

JUSTYNA DRZEWICKA

NIEPOWSZEDNI

PORWANIE

księga I

← →
JUSTYNA DRZEWICKA
← →



księga I
PORWANIE

← →
NIEPOWSZEDNI
← →



Projekt okładki i opracowanie graficzne: Małgorzata Gruszka

Projekt mapy: Małgorzata Gruszka

Typografia na okładce: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Skład i łamanie: EKART

Copyright © Justyna Drzewicka 2016

ISBN 978-83-7686-441-6

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

youtube.com/wydawnictwojaguar

instagram.com/wydawnictwojaguar

facebook.com/wydawnictwojaguar

snapchat: jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Skład wersji elektronicznej: Michał Latusek

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

* * *

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

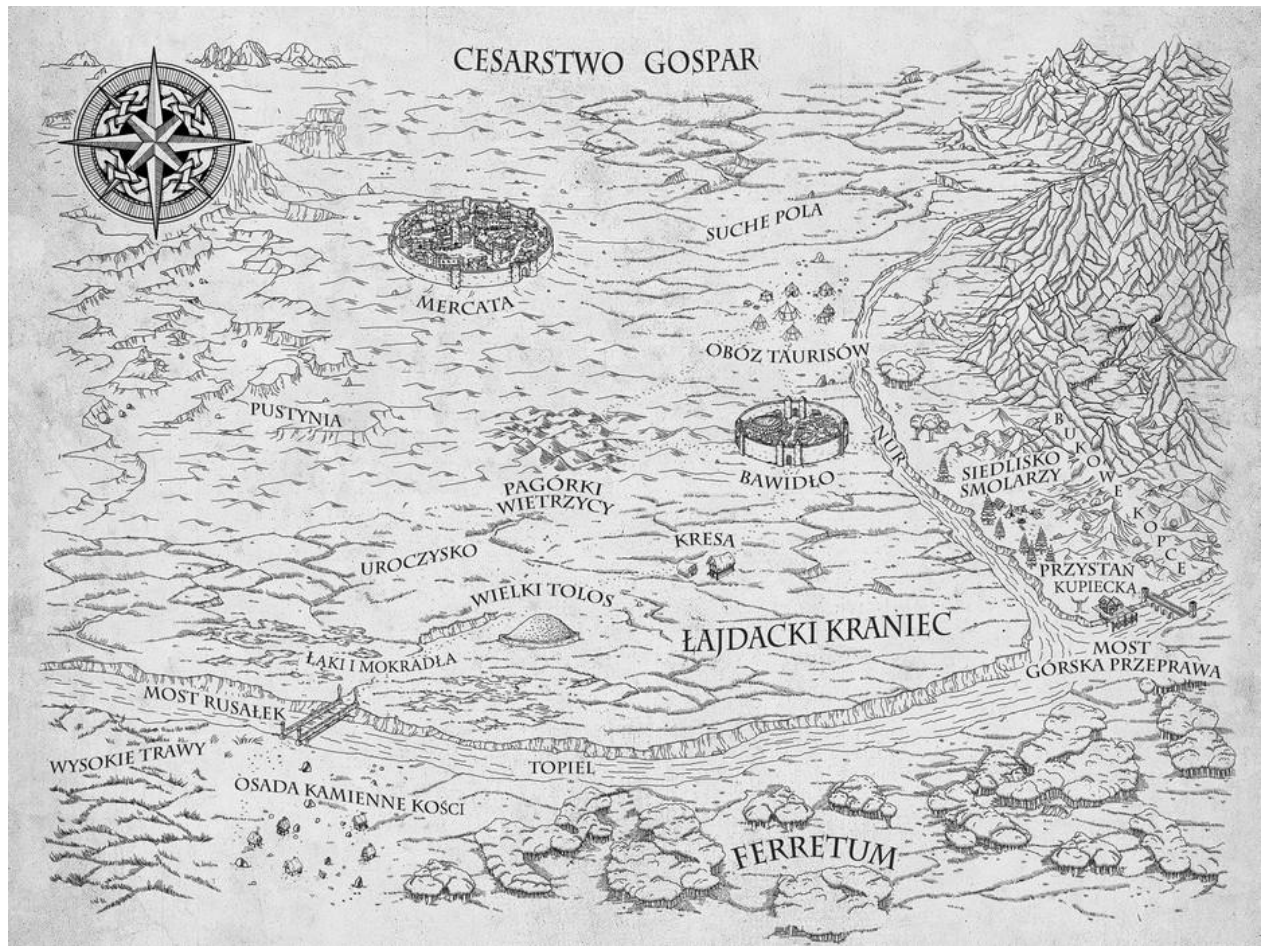
32

33

34

35

♦ M I R K O W I ♦
choć to i tak za mało...





Burzowe chmury z wolna zbierały się nad Wysokimi Trawami. Aż po odległą linię horyzontu niebo przybierało spiżowy kolor. Coraz zuchwalej poczynały sobie poddmuchy chłodnego wiatru, a długie na pięć łokci łądygi olbrzymich miskantów poddawały się jego sile. Wyginając się, pojękiwały chrzęstliwie.

Wysoka i smukła niczym trzcina, Nila pasowała do tej krainy. Stała nieruchomo wpatrzona w dal, a wiatr swawolnie łopotął szerokimi fałdami szarej sukni. Owiewał chłodnym oddechem twarz i z każdym tchnieniem burzył starannie zaplecione w warkocz włosy. Nie zwracała uwagi na te wichrowe harce. Jej oczy o barwie gryczanego miodu widziały tylko kłębowisko chmur.

Ani wiosną, ani podczas mającego się ku końcowi lata na suchą jak wiór ziemię nie spadła nawet jedna kropla wody. Teraz zaś nad uwiędłą krainę nadciągał zwarty pochód burzowych tumanów. Bez wątpienia nadchodził deszcz. Pierwszy po sześciu długich miesiącach suszy.

Radość na myśl o uldze, jaką ulewa miała przynieść spragnionej przyrodzie, mieszała się w sercu Nili z obawami. To nie było dobre miejsce na spotkanie ze strugami wody!

– Jeśli burza zastanie nas wśród Wysokich Traw, będziemy w tarapatach, Allu – powiedziała do skulonej na ziemi siostry.

Ta uniosła głowę i rozejrzała się wokół, a jej jasne niczym pszeniczne łany włosy rozsypały się na drżących ramionach.

– Raczej znowu przejdzie bokiem. – Alla skrzywiła się z bólu. – Spójrz, on chyba się nie boi.

Nila zawiesiła wzrok na stojącym nieopodal olbrzymim dzikim koniu, który spokojnie podgryzał końcówkę twardej jak dębina łądygi i z chrupotem miażdżył ją w szczękach. W istocie, wyglądał tak, jakby nadciągająca nawałnica w ogóle go nie obchodziła. Dziewczyna przez chwilę patrzyła na zwierzę z niechęcią, albowiem to z jego powodu Alla wymagała pomocy.

– Wkrótce się przekonamy – mruknęła. – Tak czy siak, nie mamy

czasu do stracenia.

Nie zwlekając dłużej, uklękła i rozchyliła rozdarty rękaw siostrzanej sukni.

Ramię wyglądało źle. Opuchło i straszło krwawymi wybroczynami. Poniżej łokcia aż po dłoń biegła czerwona linia głębokiego zadrapania. Nila uznała, że z nią łatwiej sobie poradzi, i to od niej postanowiła zacząć. Ceniła proste czynności, były szybkie i uspokajały umysł. Ponieważ nic nie powinno przeszkadzać jej w pracy, przerzuciła kasztanowy warkocz na plecy i zdjęła pierścioneł. Później położyła dłonie na swej torbie medykusa i przez moment cieszyła się kojącym dotykiem grubego płótna. Z czułością pogładziła staranne szwy z lnianej dratwy, w które ojciec włożył tyle wysiłku. Uśmiechnęła się na wspomnienie matki, bo to ona wyhaftowała na szorstkim materiale ulubiony kwiat – krwisty mak. Nikt w całej osadzie nie pamiętał już Nili bez owego sporego, zdobionego karminowymi płatkami, płóciennego mieszka. Wszyscy pozdrawiali ją z szacunkiem, gdy zaaferowana biegła do chorych, a wypchana leczniczymi miksturami torba podskakiwała na jej plecach.

– Zaczynamy – powiedziała i wyćwiczonymi ruchami poczęła metodycznie wyciągać rzeczy z sakwy.

Układała je w kolejności, w jakiej mogły być potrzebne. Śnieżnobiałe szarpie, wypalone nad ogniem szczypce do oczyszczania ran, kościaną igłę i swój najcenniejszy skarb, cienkie jak włos katgutowe nici, które mozolnie przygotowywała z baranich jelit. Na koniec wzięła do ręki czystą szmatkę i bukłak z winem medykusa. Choć miało piękną nazwę i czyniło cuda, kuracja nim była paskudnie bolesna. Rana polana tym specyfikiem na pewno się nie jątrzyła, ale w pierwszej chwili paliła żywym ogniem. Alla patrzyła na wszystko zrezygnowanym wzrokiem.

– Będzie piekło jak diabli – ostrzegła Nila i zdecydowanym ruchem przyłożyła do skaleczenia nasączony winem gałganek.

Poturbowana dziewczyna ze świstem wciągnęła powietrze i jęknęła rozdzierająco, zaś zaniepokojony dźwiękami ogier najpierw znieruchomiał, a potem zarżał ostrzegawczo. Wyraźnie nie podobało mu się to, co się działo.

Nila nie zwracała na niego uwagi. Nie miała na to czasu.

Najtrudniejsze wciąż było przed nimi, należało bowiem sięgnąć po sposoby inne niż leki z medycznej sakwy. Delikatnie, by nie sprawić siostrze bólu większego niż to konieczne, ujęła jej zmaltretowaną rękę. Podniosła wzrok i spotkała czujne spojrzenie Alli. Ona również wiedziała, że na prostym opatrzaniu ran się nie skończy.

– Przepraszam! – zaszlochała.

Koń, i tak już niespokojny, na widok dziewczęcych łez ruszył gniewnie w ich stronę.

– No i masz! – sarknęła Nila. – Rozzłoszczony kłusak! Allu, idzie wprost na mnie! Psiakrew! Ależ on jest ogromny!

Zaiste, był to wspaniały okaz – cztery łokcie w kłębie, skołtuniona grzywa, potężne mięśnie, prężące się przy każdym ruchu ciała, i boki znaczone bliznami burzliwego życia wśród Wysokich Traw. Z całą pewnością nie należał do pokornych.

Nila zmarszczyła brwi z dezaprobatą. To, co je teraz czekało, wymagało skupienia i ciszy. Było wystarczająco trudne i bez rozsierzonego konia, który czaił się tuż za jej plecami.

– Jesteś Bestiarką, zajmij się nim – poleciła siostrze, wskazując głową skraj polany. – Każ mu się odsunąć, niech idzie tam.

Alla opuściła ręce na suknię i delikatnie poruszyła palcami. Wystarczyło kilka drobnych ruchów, by rozeźlone zwierzę zatrzymało się i zareagowało nagłym podniesieniem głowy. Patrzyli na siebie skupieni: skulona na ziemi, drobna jak na czternastolatkę dziewczyna i na poły dziki koń.

Nila przyglądała się zafascynowana, jak czarne oczy ogiera spokorniały, a zwierzę przestało widzieć cokolwiek poza dłońmi Bestiarki, które pracowicie plątały niewidzialną nić. Chłonoło każde drgnienie powietrza poruszanego tańczącymi palcami.

Alla opuszkami wybijała sobie tylko znany rytm, a ten więził konia w hipnotycznym transie. Docierała do jego myśli, przedstawiając własne obrazy, pragnienia i rozkazy. Snuła niemą opowieść zaklętą w ruchach rąk, a on się w niej zatracił.

Wreszcie ogier zastrzygł uszami na znak zrozumienia, zawrócił i dostojnie kołyszając się z boku na bok, odszedł tam, gdzie mu kazała. Choć wszystko to trwało ledwie kilka krótkich chwil, czekającej w

gotowości Nili zdawało się ciągnąć godzinami.

– Powinnam go przekląć. O mało cię nie zabił!

– To moja wina, po prostu spadłam z jego grzbietu. Wybacz mi, proszę. – Alla w obronnym geście przycisnęła do piersi obolałą rękę i dodała cichutko: – Nie musisz tego robić.

Nie muszę tego robić. – Nila rozkoszowała się tą myślą. – *Niech się goi samo, bez mojego udziału. Cóż z tego, że ból potrwa dłużej? Przecież jest do zniesienia.*

Pokusa szybko jednak zgasła, spłoszona wspomnieniem matki, która czekała na nie w chacie. Pogodnej, ufnej i zupełnie nieświadomej ich potajemnych wypraw na Wysokie Trawy oraz władzy, jaką Alla miała nad zwierzętami. Jak Nila miała jej wytłumaczyć odniesione przez dziewczynę rany? Ponad wiek dojrzała, od zawsze bardzo troskliwie opiekowała się siostrą. Była starsza zaledwie o rok, ale znacznie poważniejsza i bardziej przewidująca. Powinna ją chronić zamiast pozwalać szaleć na kłusakach.

Popatrzyła na ściągniętą bólem twarz Alli, której nawet cierpienie nie mogło odebrać olśniewającej urody i do głowy przysła jej tylko jedna odpowiedź:

– Nie martw się. Odpocznię i wszystko będzie dobrze. Musisz być zdrowa.

To powiedziawszy, pogładziła mokre od łez policzki dziewczyny. Odsunęła na bok pasmo pszenicznych włosów i poprawiła siostrzany kolczyk – okrągłą, płaską blaszkę z brązu, u spodu której wesoło połyskiwały trzy jantarowe kulki. Potem delikatnie popchnęła Allę na ziemię, położyła ręce na opuchliznie i zamknęła oczy. Spokojnie czekała.

Moc nigdy nie przychodziła od razu, zupełnie jakby dłonie Nili musiały najpierw rozpoznać chorobę, obeznać się z nią.

I rzeczywiście, trzeba było chwili, by w opuszkach palców pojawiło się mrowienie oraz narastające ciepło. Później pod zaciśniętymi powiekami rozbłysło światło i potężna fala czystej wibrującej energii zaczęła krążyć pomiędzy Nilą a chorymi cząstkami w uszkodzonym ramieniu. Czuła każdą z nich! Całą sobą odbierała ich ból, drżenie, ucisk krwi rozlanej pod skórą, nawet rozdarte krańce delikatnych powłok.

Dziewczyna dygotała z wysiłku, ale pozwalała działać uzdrawiającej potędze.

Jakby z oddali słyszała jęk Alli, rzenie niespokojnego konia, zawrozczenie wiatru w Wysokich Trawach. Wszystko to było jednak niewyraźne, poniekąd skryte za mocą, którą wyzwoliła w swoich palcach i która rozbrzmiała w jej uszach donośnym łoskotem. Tak przenikliwym i porywającym, że górował nad wszystkim innym.

Wreszcie, gdy Nilę ogarnął już strach, że nie podoła, nadeszły znajome oznaki, iż kuracja się powiodła – wibracje osłabły, ciepło zniknęło i nastąpiła cisza.

Otworzyła oczy i spojrzała na ramię siostry, które z taką siłą ścisnęła. Było gładkie, różowe, bez śladu opuchlizny i krwawych wybroczyn. Zostały tylko lekkie zadrapania.

W tej samej chwili raptowna słabość zakłóciła otaczającym ją światem. Nila znała doskonale to przykre następstwo leczenia. Przywracanie zdrowia innym zawsze na nią samą sprowadzało przejściową niemoc. Musiała poleżeć choć przez moment...

Alla bez słowa sięgnęła po sakwę i delikatnie podłożyła ją pod głowę swej uzdrowicielki.

– Jak twoje ramię? – szepnęła znużona Nila.

Jasnowłosa zwinnie podniosła się z klęczek i z żartobliwą miną pomachała ręką.

– Jak nowe!

Potem spojrzała tęsknie na konia, który – choć posłusznie trzymał się skraju polany – przebierał niecierpliwie kopytami.

Nila dobrze znała ten błysk w błękitnych oczach Bestiarki.

– Spieszno ci do nowej przygody – domyśliła się.

– Przecież wiesz... Pozwól mi, proszę.

Palce Alli poruszyły się delikatnie. Kłusak natychmiast radośnie zastrzygł uszami.

– Poczekaj! – Nila złapała dłoń wystukującą już tajemny rytm. – Poczekaj! Wiesz, kiedy uzdrawiacze są bezradni, prawda? Umrzesz, jeśli spadniesz z tej bestii i skreścisz kark.

– Wiem.

– Umrzesz, jeżeli nie będziesz ostrożna i ukąsi cię żmija, a ja nie

zdążę z odtrutką.

Alla poruszyła się zniecierpliwiona. Nila wzięła głębszy oddech.

– Umrzesz, jeżeli...

– Wiem! Wszystko to wiem. Naprawdę.

Nila kiwnęła głową. Z ulgą puściła rwącą się do działania siostrę i opadła na ziemię.

Kilka ruchów Bestiarki wystarczyło, by koń w pełnym gracji kłusie dotarł do nich i pochylił kolana. Alla radośnie wskoczyła mu na grzbiet.

– Odpoczywaj! – krzyknęła, niknąc wśród Wysokich Traw. – Wróć niebawem. Zanim spadnie deszcz! Bo chyba jednak czeka nas ulewa.

Przez chwilę rozwiane pszeniczne włosy migotały jeszcze na tle błękitu sukni, a potem Nila została sama.

Na przekór zawrotom głowy ostrożnie uniosła się z piachu i usiadła. Powoli rozsypała gruby warkocz, pozwalając kosmykom swobodnie igrać z wiatrem. Odetchnęła głęboko i rozejrzała się zmęczonym wzrokiem. Nie znosiła tego miejsca, tej ponurej, rozległej równiny porośniętej gąszczem łodyg. Przychodziła tu tylko dla Alli, by czuwać nad nią, gdy ta szalała z ukochanymi kłusakami. Dla Bestiarki był to raj, dla Nili jedynie zwarty mur olbrzymich roślin, który niechętnie przepuszczał wędrowców. Niczym ustawione na sztorc piki stały gotowe do przyjęcia krwawego myta za przekroczenie granicy Wysokich Traw. Twarde, ostro zakończone liście raniły przy każdej próbie wejścia na to niegościnnie terytorium. W pełnym słońcu ciężły, drapały i szarpały bez litości, zaś mokre od deszczu stawały się wyrokiem śmierci. Wystarczył jeden nieostrożny ruch, niewinne poślizgnięcie...

Nila wygładziła fałdy szarej sukni z samodziału. Nałożyła pierścionek i delikatnie zdmuchnęła zeń drobinki piachu. Kochała to cacko, pamiątkę rodzinną przekazywaną najstarszej córce z pokolenia na pokolenie. Pieszczotliwie dotknęła opuszką wąskiej obrączki zwieńczonej dwiema małymi kulkami, które podtrzymywały niewielki czworokąt. Na wzór pieczęci wryto w nim niezwykle słońce, podobne bardziej do zwiniętego ciała rozleniwionego węża niż do ognistej tarczy. Matka opowiadała, że jej prababka wykopała kiedyś to cudo w mulistym

piachu nad rzeką, obmyła je w rwących wodach i nałożywszy raz pierścionek na palec, nie zdjęła go przez długie lata. Nila nie mogła wymarzyć sobie lepszego daru w dniu piętnastych urodzin. Uszczęśliwiona, opuściła dłoń na suknię, ciesząc się matowym połyskiem metalu na skórze.

Dopiero teraz dostrzegła, że zgubiła gdzieś jeden guzik. Ręcznie odlewany, cynowy. Pomyślawszy ze smutkiem, że oszczędny ojciec pewnie będzie miał do niej żal o tę stratę, usadowiła się wygodnie, by poczekać na powrót nadszarpniętych sił. Natura zawsze oddawała to, co odbierała podczas uzdrawiania.

Pierwszym zwiastunem poprawy było gwałtowne wyhamowanie wirującego wokół świata. Niemal w tej samej chwili ustały męczące zawroty głowy. Nila jak zwykle z ulgą powitała ten moment. Wyciągnęła przed siebie dłonie i z zadowoleniem dostrzegła brak drżenia w smukłych palcach. Uradowana myślą, że tak szybko dochodzi do siebie, wsłuchiwała się w otaczające dźwięki. Znikł pulsujący szum w uszach, a w jego miejsce pojawiły się jęklive skrzypienia traw, nawoływania ptaków i szmer wiatru grającego w łodygach.

Jedynie oczy wciąż płatały figle. Zdawało jej się, że widzi cienie przesuwane się wśród brązowej masy suchych traw. Były zbyt małe na dzikie konie i nadto duże na żyjące tu tłumnie stepowe lisy. Skołowana tymi zwidami, na powrót mocno zacisnęła powieki, by dać źrenicom jeszcze kilka chwil wytchnienia. Siedziała bez ruchu, pozwalając umysłowi leniwie błądzić, a minuty mijały jedna za drugą.

Nagle gdzieś po prawej stronie rozległ się najpierw gniewny krzyk spłoszonego myszołowa, a zaraz potem tętent końskich kopyt. Nila uśmiechnęła się pod nosem na myśl o kłusaku, który niósł na grzbiecie jej siostrę.

– Alla? – Otworzyła oczy i... przerażona zerwała się na równe nogi.

Naprzeciwko niej stał wysoki mężczyzna!

– Ot i niespodzianka, miła panno. Nie Alla!

Człowiek ów miał najzimniejsze oczy, jakie Nila kiedykolwiek widziała. Jego tęczówki przywodziły na myśl taflę błękitnego jeziora, którą skuł lód, nadając wodzie kolor stali. Szpakowate włosy nosił

przycięte krótko, starannie ułożone na skroniach. Z namysłem gładził wymyślną brodę. Biegła nisko tuż przy linii szczęki, a pod ustami okalała gęstą szczeciną cały podbródek.

Nilą gorączkowo rozejrzała się wokół. Otoczyli ją ze wszystkich stron! Stali w równych odstępach od siebie, zamykając jej wszystkie drogi ucieczki. Czterech drabów ubranych było w jutowe przeszywanice – odzież taka chroniła przed uderzeniami w walce, więc nosili ją wyłącznie wojownicy. Dostrzegła sztylety oraz krótkie miecze o szerokich głowniach i rękojeściach, zdobionych odlewanyymi w złocie runami. Nilą od razu rozpoznała, że nie są tutejsi. Takie twarze, naznaczone okrucieństwem i bezwzględnością, zapamiętywało się na całe życie. A tych, była tego pewna, nigdy wcześniej nie widziała. Podchodzili bliżej, głośno drwiąc z dziewczęcego przerażenia.

Nie śmiał się tylko ten piąty. Stał tuż przed nią i niedbałym ruchem przetaczał w dłoni dwie alabastrowe kostki do gry. Patrzył na Nilę badawczo, aż nagle zrobił krok w jej stronę.

– Szukałem cię! – mruknął.

Jego zimny głos budził grozę. Dziewczyna cofnęła się gwałtownie.

– Nie podchodź! Zabiję cię, jeśli mnie dotkniesz!

Mężczyzna zatrzymał się i pobłażliwie pokręcił głową.

– Marcus! – warknął.

Pętla spadła na Nilę gdzieś zza pleców.

– Ratunku! Ratunku! – zaskowyczała jak schwywane w sidła wilczątko.

Szarpnęła się gwałtownie, a potem drugi raz i jeszcze jeden, ale im gwałtowniejsze wykonywała ruchy, tym mocniej zaciskały się więzy.

– Pomocy! – nie przestawała zawodzić.

W końcu nie mogła już ruszać rękoma, a od barków po talię ciasno oplatał ją gruby na palec powróż. Kątem oka zauważyła, jak jeden z łotrów – wysoki, z długą brodą przewiazaną rzemykiem – podchodzi do niej od tyłu, trzymając koniec sznura. Od swojej strony zbliżył się też ten, któremu groziła śmiercią. Przysunął się bardzo blisko. Nilą bezradnie się rozpłakała.

– Zginiesz! – krzyknęła.

– Nie sądzę – stwierdził obojętnie, po czym zamachnął się i

uderzył ją otwartą dłonią w skroń.

Świat wokół znów zawirował. Dziewczyna zachwiała się na nogach. Ostatnim, co zapamiętała, był lodowaty spokój siwowłosego mężczyzny. Beznamiętnie patrzył, jak Nila osuwa się w ciemność.



Nila oprzytomniała wraz z pierwszymi kroplami deszczu. Dłonie miała ciasno związane i przymocowane do siodła. Niemal ich nie czuła. Skroń ćmiła jednostajnie tępym bólem, w miejscu żołądka tkwiła twarda kula przerażenia, a gardło zacisnęło się tak mocno, że z trudem przełykała ślinę. Pociły jej się dłonie, serce biło w oszalałym rytmie, oddychała spazmatycznie. Była pewna, że lada moment umrze z trwogi. Usiłowała zebrać myśli, ale choć bardzo się starała, nie potrafiła tego zrobić. Strach przesłaniał wszystko. Nigdy wcześniej Nila nie czuła się tak samotna, bezbronna i bezradna.

Z rozpaczą rozejrzała się na wszystkie strony. Mężczyzna, który ją uderzył, jechał na przedzie. Obok niej prowadził konia ten drugi, z rzemykiem na brodzie.

Marcus – przypomniała sobie.

Z tyłu jechała pozostała trójka, a daleko za nimi majaczyły Wysokie Trawy.

Zewsząd, jak okiem sięgnąć, otaczały ich połacie uwiedłych łąk, na których wśród uschniętych pędów roślin leżały kamienie. Setki, tysiące nieruchomych głazów. Ludzie powiadali, że to prastare pole bitwy skalnych olbrzymów, których szczątki spoczęły tu po wsze czasy.

Wjechali na Kamienne Kości! Na tych niegościnnych terenach żyli wyłącznie ci, którzy gotowi byli o swą ziemię walczyć podług kniaziewego prawa: ile łąki oczyściłeś, tyle mogłeś uznać za swoje. Nadzieja na własną majątność skusiła wielu. Przybyły dziesiątki ochotników, ale wytrzymała ledwie garstka. Wśród nich ojciec Nili, który mocował się z głazami od dnia narodzin córki. Piętnaście wiosen później był posiadaczem ledwie kilku morg siłą wydartych kamienisku.

Dziewczyna opuściła bezradnie głowę, a krople coraz silniejszego deszczu mieszały się na jej policzkach ze łzami rozpacz. Kilka stajañ dalej na północ, przesłonięta niewielkim zagajnikiem, była osada. Dom. Tak blisko, a jednak za daleko, by spodziewać się ratunku. Żaden z osadników nie zapuszczał się na to odludzie, bo nikt jeszcze nie dotarł tu

z oczyszczaniem łąk. Poza Nilą i garstką łotrów nie było wokół żywego ducha.

Konie zaczęły niespokojnie drobić wśród mokrych odłamków skalnych. Tylko dzikie kłusaki radziły sobie na tym terenie. Ich większe i twardsze kopyta pewniej kroczyły po kamiennych garbach. Zwykle wierzchowce prędzej czy później kaleczyły na nich nogi. Siwowłosa mężczyzna na przedzie musiał to rozumieć, bo dał znak do skrętu.

– W stronę rzeki – wydał cichą komendę.

Sam zatrzymał swą klacz i ze spuszczoną głową czekał, aż kolumna jeźdźców minie go swobodnym stępem. Nila zerknęła na niego ukradkiem. Nosił się strojnie i bogato. Kobaltowej barwy przesywanicę upiększały misterne ściegi i ornamenty wyszywane jedwabiem. Zaciśnięty na biodrach skórzany pas urzekał niezwykłej urody zdobieniami ze złota i czerwonych kamieni. Mimo deszczu pobłyskiwały przy każdym ruchu, rzucając migoczące skry na przedniej jakości wełniane spodnie. Nawet koszulę utkano z materii tak drogocennej, że wszystkie rodziny z Kamiennych Kości musiałyby na nią pracować tygodniami. Nila w całym swym życiu nie widziała tylu kosztowności, ile ten człowiek miał na sobie!

Zbir podniósł zniechęcony wzrok i ich spojrzenia spotkały się. Był tak upiornie blady, że dziewczyna nawet z oddali wyraźnie widziała ciemne cienie pod jego oczyma. Wychudzone dłonie zaciskał na siodle mocno, a nabrzmięte żyły znaczyły sine linie wśród sterczących kłykci. Oddychał płytko i szybko. Raptem wzdrygnął się, wychylił z siodła i zwymiotował. Nila oniemiała, bo właśnie wtedy dotarła do niej groza tego, co zobaczyła. Tylko przerażeniem mogła wytłumaczyć fakt, iż wcześniej nie dostrzegła stanu mężczyzny.

– O, niebiosa! – szepnęła z trwogą.

Widziała już takie objawy! Miała z nimi do czynienia, zawsze gdy pomagała tym, którzy zmagali się z wyniszczającą chorobą. Wszystkich tych ludzi łączyło jedno: umarli w cierpieniach. Dziewczyna uparcie była z nimi do ostatniej godziny, łagodziła męczarnie, wtłaczała siły w słabowite ciała, targowała się z losem o każdy dzień dla chorych i w końcu... zawsze przegrywała.

– On ucieka przed śmiercią! I potrzebuje mnie! Póki nie skona! –

wymamrotała ponuro sama do siebie.

Mężczyzna szarpnął wodze i niespiesznie podjechał bliżej.

– Porozmawiajmy, moja droga.

Wyciągnął z za pasa sztylet, a potem jednym ruchem przeciął sznur łączący Nilę z różkiem siodła. Choć ręce nadal miała skrępowane, wreszcie mogła poruszać na tyle swobodnie palcami, by znów poczuć krążącą w nich krew. On zaś schował broń, po czym wytwornym gestem wyjął z rękawa cienką jak mgiełka chusteczkę.

– „W”. – Wskazał kunsztowny haft. – Jestem Weles.

Starannie wytarł usta i zwrócił oczy w jej stronę. Patrzył tak przenikliwie, że Nila aż skuliła ramiona. Panicznie bała się tego człowieka. Miał w oczach mrok, jakby nie istniały w nim żadne dobre uczucia. Widziała w jego spojrzeniu wyłącznie bezwzględność i okrucieństwo.

– Wiesz, kim jestem. Prawda? – Uniósł brwi, a po chwili dodał: – Oczywiście, że wiesz.

– Jesteś łowcą Niepowszednich – wyszeptała.

Wraz z tym wyznaniem zgasła w niej nadzieja. Została porwana, bez szans na odmianę losu. W głębi serca rozumiała to od chwili, gdy usłyszała, że jej szukał, ale dziecinnie oszukiwała się tak długo, jak mogła. Nie chciała dopuścić do głowy tej najstraszliwszej z myśli, że uprowadziły ją kanalie, żyjące z handlu istotami takimi jak ona i Alla.

Łowcą nie zostawał byle rzezimieszek. Profesja ta przyciągała wyłącznie potwory bez sumienia. Tylko najbardziej bezwzględni zarabiali na krzywdzie dzieci obdarzonych mocami, jakich na próżno było szukać u zwykłych ludzi.

Takie pacholeta nazywano Niepowszednimi, gdyż były nadzwyczajne i rodziły się rzadko. Moce ujawniały się wcześniej i były wyrokiem śmierci dla tych, którzy próbowali bronić potomstwa przed łowcami. Bandy zbrojnych oprychów wpadały do domów, wyrywały dzieci z matczynych ramion, plądrowały chałupy i paliły wsie, zostawiając po sobie zgliszcza oraz opętańcze wycie zrozpaczonych kobiet.

Na szczęście ćwierć wieku wcześniej książ zakazał handlu ludźmi i od tego czasu na podległych mu terenach karą za zniewolenie

Niepowszednich była śmierć. Już od lat nie widziano tu więc łowców i Nila nie mogła pojąć, skąd wzięli się tak nagle na tych bezpiecznych dotąd ziemiach.

Jedyną znaną jej krainą, w której nadal odbywały się niewolnicze targi, był Łajdacki Kraniec, schronienie wszelkiej maści szumowin, także tych kupczących Niepowszednimi. Jednak od terytoriów kniazia dzieliła go zwodnicza i nieokiełznana Topiel. Rzeka tak groźna, że od czasów zatopienia Mostu Rusalek nikomu nie udało się jej przekroczyć. Ktokolwiek był na tyle głupi, by próbować, zawsze znajdował śmierć w zdradliwych toniach. Co prawda gdzieś tam, oddalona o tygodnie drogi, była jeszcze jedna przeprawa, ale tak dobrze chroniona, że dla łotrów całkowicie niedostępna.

– U nas za handel Niepowszednimi płaci się gardłem. – Nila drżącym głosem przypomniała Welesowi panujące na tych ziemiach prawo.

Leniwym ruchem sięgnął do kieszeni i wyjął kości do gry. Chwilę obracał nimi w milczeniu, a potem wzruszył ramionami.

– U was tak, u nas nie. Zresztą, nie zabawimy tu na tyle długo, by coś nam mogło zagrozić. Patrz! – Wyciągnął rękę w kierunku rzeki.

Nila otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Topiel, zwykle tak dzika i nieposkromiona, opadła co najmniej o dziesięć łokci! Nadal była na tyle głęboka, że bez trudu pochłonęłaby najwyższego kłusaka, ale susza ją pokonała. Uspokoiła wiecznie spienione fale, pokonała zabójcze dla człowieka wiry, ukazała poszarpane krawędzie koryta, od lat maltretowane przez gniewne uderzenia nieokiełznanej rzeki.

I... odsłoniła Most Rusalek!

Jak opowiadali starzy ludzie, solidna konstrukcja długo opierała się wodom Topieli wściekle pogłębiającym koryto, ale w końcu poddała się i skryła w odmętach. Od bez mała pięciu dziesiątków lat na powierzchnię wystawały jedynie figury nadobnych panien broniące wejścia. Po ostatnich sześciu miesiącach suszy poziom rzeki obniżył się jednak na tyle, że most ukazał swą dawną urodę aż po kamienne łuki u szczytu filarów. Pomiędzy nimi biegł szeroki przejazd z gładko ociosanych skalnych płyt.

Przeprawa znów była gotowa do przyjęcia podróżnych! Droga z

Łajdackiego Krańca, schronienia banitów, nikczemników i łotrów, stała otworem.

Umysł Nili zaczął powoli wydobywać się z sideł przerażenia. Choć wciąż spętana była strachem, odzyskiwała zdolność przemyślenia wydarzeń i wysnuwania wniosków. Wreszcie ułożyła brakujące elementy układanki.

– O, niebios! Wdarliście się do nas przez most i tędy wróćcie do siebie!

Weles zaśmiał się drwiąco.

– Otóż to! Bogowie w niebiosach! Czyż nie są podli? Najpierw go topią, żeby chronić przede mną tę krainę, a potem zwracają i podają mi ciebie jak na srebrnej tacy!

To rzekłszy, spiął konia i ruszył ku przodowi kolumny. Nila zaś po raz pierwszy w życiu przeklinała los za to, że obdarzył ją umiejętnością uzdrawiania.

Niepowszednia! – pomyślała. – *Dlaczego się taka urodziłam?!*

Dzieci obdarowane mocami nawet bez zagrożenia ze strony łowców nie miały łatwego życia. Jako że rodziny pokładały wielkie nadzieje w pacholętach, które swymi niezwykłymi talentami mogły zapewnić im lepsze życie, los takich dziewcząt i chłopców był z góry przesądzony. Kto rodził się z darem, musiał go wykorzystywać.

Z czasem zorientowano się, że cudowne zdolności dzielą ich posiadaczy na kilka grup.

Po pierwsze, Niepowszedni Trudu. Ci miewali cztery rodzaje uzdolnień. Abakusi rachowanie w pamięci na kilku poziomach złożoności opanowywali szybciej niż naukę chodzenia. Gwarkom wystarczyło jedno zdanie w obcym języku, by mówić nim płynnie. Pogodnicy, zgodnie ze swą nazwą, przepowiadali pogodę. Bestiarze potrafili zaś ułożyć każde zwierzę. Wszyscy oni poszukiwani byli przez kupców jako szczególnie pomocni przy prowadzeniu zawiłych i rozległych interesów.

Po drugie, Niepowszedni Domu, na których nie szczędzili wydatków szlachetnie urodzeni. Jakież arystokrata nie chciałby mieć na własność na przykład Obrażnika z jego wyjątkowymi talentami malarskimi, czy Nutka z muzycznymi?

Jednak za prawdziwy unikat od zawsze uważano Niepowszednich Boju. Rodzili się jeszcze rzadziej niż obdarzeni talentami Trudu czy Domu i natychmiast znajdowali chętnych gotowych do zakupu za dowolną cenę. Byli najdrożsi i najbardziej pożądani. Gdy dorastali, stawali się śmiertelnie niebezpieczną bronią w rękach każdego, kto był tak bogaty, by ich kupić i opłacić wszechstronne szkolenie w sztukach walki.

Istniały cztery niezwykle moce Boju. Żrenicznik za dnia i w nocy dostrzegał najdrobniejszą rzecz oddaloną o wiele wiorst. Wodnik wytrzymywał pod wodą długie minuty bez potrzeby oddychania. Unik był urodzonym wojownikiem. Przewidywał bezbłędnie zamiary przeciwnika i reagował ze zdumiewającą prędkością. Walczył każdym narzędziem, wystarczyło tylko mu je dać, a on umiał toczyć nim pojedynki ledwie po kilku próbnym ruchach. I robił to z precyzją oraz finezją najlepszych mistrzów sztuki wojennej.

Największym rarytasem wśród Niepowszednich Boju byli wszelako Żniwiarze, zdolni dotykem ratować, ale i zabierać życie. Tacy jak Nila.

Dziewczyna spojrzała ponuro przed siebie. Kawalkada nieuchronnie oddalała się od osady, sprawnie posuwając się w stronę rzeki. Wkrótce stanęli na brzegu Topieli. Przy koniach kręciło się dwóch mężczyzn, których Nila dotąd nie widziała. Przy samym moście stał okratowany wóz, gotowy do drogi. Siedział w nim krótkowłosa wyrostek i apatycznie podpierał brodę na podciągniętych wysoko kolanach. Jego twarz była Nili zupełnie obca. Nieco bliżej, kilka metrów od furgonu, Żniwiarka dostrzegła jeszcze dwie skulone postaci. Tych dwoje znała doskonale.

Drobna rudowłosa dziewczynka, którą wszyscy nazywali Wodniczką, bo należała do tego właśnie rodzaju Niepowszednich, a sama nie pamiętała swego imienia.

I potężnie zbudowany chłopak o obliczu tak urodziwym, że wzdychały do niego wszystkie dziewczęta w osadzie. Sambor. Podniósł głowę, jakby usłyszał swoje imię wypowiedane w myślach przez Nilę, i spojrzeli sobie w oczy zdruzgotani tym, co ich spotkało.

W Kamiennych Kościach żyło aż czworo obdarzonych mocą.

Łowcy dopadli już trójkę, jednak wciąż nie mieli Alli. Nie pozostało nic innego, jak modlić się, żeby tak zostało.

Nilą rozejrzała się i po raz pierwszy od pojmania pokonała lęk na tyle, by rozważyć ucieczkę.

Siedmiu! – Policzyła starannie mężczyzn. – *Zbyt wielu...*

Zapędzone w pułapkę przerażenia serce podpowiadało jej, żeby spaść konia i pędzić przed siebie na oślep. Rozum przekonywał, że jeśli naprawdę chce się uratować, powinna działać na chłodno, z wyrachowaniem: wybrać dogodny moment i zaplanować wszystko starannie.

A cóż ja mogę planować? – ofuknęła samą siebie. – *Nawet nie wiem, ile mam czasu, zanim pochłonie nas Łajdacki Kraniec! Auu...!*

Marcus bezceremonialnie ściągnął ją z siodła i popchnął tak mocno w kierunku Wodniczki, że upadła niezgrabnie na mokrą ziemię między rudowłosą a Samborem.

– Hmm... – Głos Welesa zagrzemiał tuż nad jej głową. – Co my tu mamy? Sambor, tak?

Trącił go czubkiem buta, a Marcus brutalnym szarpnięciem poderwał chłopaka na nogi. Młokos stał prosto i uśmiechał się pogardliwie. Choć był dużo młodszy od swych gnębicieli, bowiem szła mu ledwie siedemnasta wiosna, górował nad nimi nie tylko wzrostem. Całe jego ciało zdawało się być ulepione z twardych gruzłów napiętych mięśni. Włosy miał czarne i błyszczące jak skrzydło dorosłego kruka. Najszersze i najdłuższe ich pasmo, sięgające od czubka głowy do skroni, związywał ciasno rzemieniem z tyłu głowy. Resztę ścinał krótko przy skórze. Ludzie mówili, że chciał się upodobnić do wojowników z barbarzyńskich ziem. On jednak wzruszał ramionami na te słowa i niezmiennie odpowiadał, że łatwiej mu ćwiczyć, gdy dobrze widzi przeciwnika.

– Mocarz z ciebie, nieprawdaż? – Weles zmierzył go taksującym spojrzeniem.

Sambor opuścił głowę i ukradkiem zerknął na Nilę. Przez chwilę wpatrywała się w jego oczy, brązowe jak dojrzałe kasztany i spokojne niczym tafla jeziora wieczorem.

– Nie bój się – odczytała z ruchu warg.

Pokiwała leciutko głową, chociaż lęk wypełniał ją aż po czubek głowy.

– Gadaj, kiedy grzecznie pytają albo... – Marcus wyjął zza pasa bat.

– Nie! – zaprotestowała Nila. – Zostawcie go!

Sambor natychmiast wysunął jedną nogę do przodu, pochylił głowę i znieruchomiał jak posąg. Tylko jego oczy poruszały się nieustannie, czujnie śledząc każdy ruch wrogów.

Nila wiedziała, co się dzieje. Instynkt Niepowszedniego wziął górę nad wszystkim i chłopak szykował się do bitki. Widywała go w tym stanie nader często na obrzeżach ich osady, gdzie wyrostkowie toczyli ze sobą ciągłe pojedynki, niejednokrotnie do krwi. Wzywano ją tam niemal codziennie, by nastawiała złamane kości i tamowała krwotoki. Sambor za każdym razem pierwszy wchodził na ubitą ziemię i ostatni z niej schodził. I zawsze czekał na przeciwników w tej pozie – nieruchomy, z oczyma omiatającymi sylwetki rywali.

Marcus powolnym ruchem rozplątywał rzemienie przytroczone do rękojeści batoga. Nila nie chciała na to patrzeć. Łagodnie przytuliła Wodniczkę, by i ona nie musiała tego oglądać, a potem skupiła wzrok na śnieżnobiałej niegdyś koszuli Sambora, która teraz była mokra od deszczu i naznaczona plamami krwi. Gdy rozdarcie na piersiach odsłoniło fioletowe sińce, dziewczyna ze smutkiem pomyślała, że musieli się nad nim pastwić, gdy już udało im się skrępować mu ręce.

– To jak będzie? – warknął Weles. – Jesteś pierwszy do bitki, prawda, szczeniaku?

Głos łowcy był pełen szyderstwa. Sambor zacisnął szczęki z wściekłości. Nila widziała to już nie jeden raz. Znała go aż za dobrze. Wszyscy w Kamiennych Kościach wiedzieli, że powściągliwość i rozsądek nie były jego cnotami.

– Idź do diabła, kramarzu! – odezwał się hardo.

Po tych słowach wszystko rozegrało się tak szybko, że Żniwiarka ledwie była w stanie nadążyć za rozgrywającymi się wydarzeniami. Marcus jednym ruchem potężnego ramienia odwrócił jeńca w swoją stronę i uniósł batog. Rzemień świsnął w powietrzu, lecz zanim zdołał dotrzeć do twarzy Sambora, chłopak uchylił się i z całej siły kopnął

łowcę w brzuch. Ten stęknął boleśnie, ale nawet się nie zgiął. Znow machnął pejczem. Sambor i tym razem odskoczył błyskawicznie, a gdy tylko ramię oprawcy opadło, z wrzaskiem rzucił się na Marcusa i walnął go czołem prosto w nos. Miażdżone chrząstki chrupnęły paskudnie. Męczyzna zawył z bólu, zalał się krwią i runął na kolana.

– Tylko patrzcie na tego głupca! – krzyknął Weles. – Marcus, mądrzej byłoby wozić w kompanii psa zamiast ciebie! Byle kundel szybciej się uczy! Wszędzie jucha! Mierzisz mnie!

Gromada łotrów zarechotała usłużnie, a ranny łowca zgiął się w pół z rękoma kurczowo przyciśniętymi do twarzy. Sambor zaś spokojnie, nieomal leniwie, odwrócił się do Welesa.

– Zepsułem ci parobka, kramarzu – zadrwił z pogardliwym uśmiechem.

Weles znieruchomiał.

– Ty... – wycedził, a potem spojrzał na swoich ludzi i ryknął: – Nauczcie szczeniaka!

Dopadło go trzech jednocześnie. Bili, kopali, szarpali za włosy. Sambor jęczał, ale nie prosił o litość.

– Starczy! – zawyrokował w końcu Weles. – Towar łatwo uszkodzić.

Ominął obojętnie chłopaka i podszedł do zakrwawionego kamrata. Końcem miecza uniósł mu brodę, by ocenić rozmiar zniszczeń.

– Ty tępaku! Jakim cudem fakt, że ten dzieciak to Unik, nie dotarł do twojego zakutego łba?

Marcus przycisnął rękaw do pokiereszowanego nosa.

– Wybacz – wymamrotał z pokorą. – To się nie powtórzy.

– Oczywiście, że nie! Jeśli jeszcze raz będę musiał przez ciebie obić smarkacza, sam się tobą zajmę. Wierz mi, nie chcesz tego...

Opuścił miecz i rozejrzał się wokół z niesmakiem.

– Mam dość tej żalostnej krainy. Nic, tylko trawy i kamienie. To dobre dla kmiotków! Byle prędzej do Mercaty. Gdy sprzedamy towar, zabawimy się! Co wy na to, chłopcy?

Odpowiedział mu ryk zadowolonych kompanów, ale sam Weles wcale nie był uszczęśliwiony. Wciąż patrzył przed siebie ciężkim wzrokiem. Nila widziała bladość wracającą na jego policzki. Słyszała

świszczący, pełen bólu oddech. Gwałtownie zaczerpnął powietrza i zwrócił się ku pozostałym:

– Zwijać obóz! Ruszamy, gdy tylko wróci Izbor. Bachorom zdjąć sznury i wsadzić do klatki – wydusił przez zaciśnięte zęby.

Któryś z łotrów poderwał z ziemi Sambora, a inny Wodniczkę. Zrezygnowana Nila też ruszyła w stronę okratowanego wozu.

– Ty zostajesz, Żniwiarko.

Głos Welesa zatrzymał ją w pół kroku.



Nila wiedziała, że tym razem Welesowi nie chodzi o pogawędkę. Wystarczyło spojrzeć na jego kredowobiałą twarz i drżące dłonie, by pojąć, że cierpi. Domagał się uzdrawiania – tu, natychmiast! I potrzebował do tego Żniwiarki.

Ona zaś nie zamierzała się na to zgodzić, choć była pewna, że zapłaci za swój bunt. Jeśli chciała uciec, musiała być w pełni sił, a przywracanie zdrowia zawsze na jakiś czas odbierało jej energię. Z im poważniejszą chorobą walczyła, tym większą słabość potem odczuwała.

Drżącymi ze strachu palcami dotknęła obolałej skroni, gdzie przez nasiąknięte deszczem włosy czuła opuchliznę. Istniało wiele sposobów, na które Weles mógł ją ukarać za nieposłuszeństwo. Pewność miała tylko co do tego, że jej nie zabije. Nie dlatego, że nie pozwalało mu na to sumienie. Wyglądał na takiego, co nie raz splamił ręce krwią. Po prostu była dlań zbyt cenna.

Każę swoim siepaczom mnie obić! Albo zrobi to własnoręcznie! – zerknęła na niego strwożona.

On jednak chwilowo stracił zainteresowanie dziewczyną. Patrzył na jeźdźca, który pędził od strony Wysokich Traw. Nili wystarczył rzut oka na broń nieznanego, by zrozumieć, z kim ma do czynienia. Tak jak oręż pozostałych ludzi Welesa, rękojeść jego miecza zdobiły kute w złocie runy.

– Ósmy łowca! – jęknęła cicho.

Nadjeżdżający mężczyzna był przeciwieństwem herszta i nie miał w sobie nawet odrobiny jego eleganckiego dostojeństwa. Potężny, odziany niedbale, pokrzykiwał radośnie do witających go kompanów. Na białą luźną koszulę narzucił podbity futrem kubrak. Czarne, długie włosy mokrymi kosmykami opadały mu na aż ramiona, a niechlujny zarost nadawał twarzy wyraz barbarzyńskiej dzikości. Szeroką pierś zdobiło kilka zawieszonych na rzemieniach amuletów, zaś na nadgarstkach pyszniły się ciasno opięte szerokie bransolety, nabijane złotymi ćwiekami.

Jechał uśmiechnięty, z leniwym spokojem drapieżnika, który właśnie upolował zdobycz. Do juków miał przytroczoną kuszę z orzechowego drewna i pustą wiklinową klatkę na ptaki, a przez koński grzbiet przerzucił sporych rozmiarów worek. Wystawały z niego znoszone buty z baraniej skóry i ubrudzony błotem rąbek niebieskiej sukni. Nila przycisnęła ręce do piersi, na próżno próbując uspokoić rozpaczliwie tłukące się serce. Znała tylko jedną dziewczynę w osadzie, która nosiła taki strój!

– Izbor! – powiedział z zadowoleniem Weles.

– Jestem. – Łowca przyłożył pięść do piersi w geście powitania.

Natychmiast zsiadł z konia i bezceremonialnie ściągnął lniany worek, który z głuchym odgłosem opadł na mokrą ziemię.

– Capnąłem smarkulę w tamtych wysokich zaroślach. Co za parszywe miejsce, Weles! Psiamać! Trawa wielka na pięć łokci! – Znienacka kopnął szamoczącą się w saku ofiarę. – Koszulę przez ciebie rozdarłem, durna dziewucho!

Spod uwalanego wilgotnym piachem materiału wydobył się stłumiony jęk. Nila wszędzie rozpoznałaby ten głos!

– Wyłaź! – Izbor jednym szarpnięciem odsłonił skuloną na ziemi postać.

Spomiędzy płataniny płowych włosów wyjrzała zapłakana twarz Alli. Błada, brudna i złękniona. Wargę krwawiła, a pod podbitym okiem rozlewał się olbrzymi fioletowy siniec.

– Moja panno! – Weles trącił Allę butem. – Widzę, że dostałaś już pierwszą lekcję dobrych manier.

Nila zadrżała. Przerażenie, które do tej pory czuła, nagle ustąpiło pola czystej nienawiści. Nie liczyło się nic poza krzywdą, którą wyrządzili jej siostrze. Chciała im odpłacić! Zachłysnąć się radością na myśl o bólu, jaki sprawi oprawcom. Nieświadoma własnych gestów wyciągnęła przed siebie ręce niczym szpony, jak dzikie zwierzę. Z furią i gardłowym krzykiem ruszyła w stronę siwowłosego łowcy. Stał najbliżej, był hersztem i to za jego przyczyną działo się to wszystko! Szła jak w transie, ślizgając się na tonącej w ulewie trawie. Szła, by oddać wet za wet, może nawet zabić. Ledwie kilka kroków dzieliło ją od celu. Całą uwagę skupiła na sinych cieniach pod oczyma Welesa, na

rozciągniętych w pogardliwym grymasie bladych ustach i na kropkach deszczu, które ściekały po tej znienawidzonej twarzy.

On zaś popatrzył na nią i zdumiał się. Na moment. Potem parsknął lekceważąco.

– Żałosne – mruknął. – Załatw to.

– Z ochotą! – odpowiedział Izbor i grzmotnął Nilę pięścią w brzuch.

Zanim zgięła się w pół, zdążyła jeszcze usłyszeć rozpaczliwy krzyk Alli, a potem już tylko na próżno próbowała złapać oddech. Przed oczyma zawirowały jej czarne plamy, zaś obolałe mięśnie zacisnęły się w nagłym skurczu, który przedłużał się w nieskończoność i nie chciał odejść. Desperacko walczyła o choćby jedno płytkie tchnienie. Wreszcie spazm lekko poluźnił obręcz wokół brzucha i płuca wypełniły się powietrzem.

Izbor złapał ją za włosy i odchylił jej głowę tak gwałtownie, że szyję Nili przeszył ostry ból, a delikatne kości kręgow zachrupotały.

– Zrób to jeszcze raz! – Zarechotał. – Bicie dziewczuszek mnie bawi.

Beztroska, z jaką to powiedział, nagle ją otrzeźwiła. Ponownie dotarło do niej, że jeśli chciała wygrać, musiała być mądrzejsza! Nie mogła ulegać emocjom.

Myśl, psiakrew! – zgromiła samą siebie. – *Myśl jak oni! Zimno, akuratnie i na kilka ruchów naprzód!*

Spojrzała na skuloną siostrę. Ona była najważniejsza. Deszcz, który spływał po poobijanej, lecz wciąż pięknej twarzy Bestiarki, powoli zmywał ślady krwi i łez, ale nie koił ran zadanych jej duszy. Alla zaś nigdy nie była zbyt silna. Ciągle schowana za plecami Nili, odważna i nieustępliwa stawała się tylko wtedy, gdy w grę wchodziło dobro zwierzęcia. Jednak samej siebie bronić nie potrafiła. Jej tarczą zawsze była Nila – starsza, wytrzymała, charakterna. Teraz, w obliczu zagrożenia, zupełnie zagubiona dziewczyna trzęsła się jak osika. Przerazona, przenosiła wzrok z siostry na Izbora, u niej wypatrywała ocalenia, a po łotrze spodziewała się kolejnych razów.

Nilą wiedziała, że z godziny na godzinę z Allą będzie coraz gorzej. I nagle przyszła jej do głowy niespodziewana myśl!

Łowcy szukali Niepowszednich. Zwykle dzieci nie były im

potrzebne. Może, gdyby udało się ich oszukać... wmówić, że złapali niewłaściwą osobę.

Wzięła głęboki oddech, a potem dała z siebie wszystko, by zignorować ból zmaltretowanego brzucha i karku. Jęcząc z wysiłku, nieporadnie podniosła się z klęczek i spojrzała Welesowi w oczy.

– Twój zbir... się pomylił.

Nila miała nadzieję, że jej słowa brzmią prawdziwie. Choć bardzo się starała, nie była w stanie mówić płynnie. Po ciosie Izborza wszystko ją bolało, więc oddychała płytko i z trudem łapała oddech. Przez zupełnie przemoczony i zimny materiał sukni czuła nienaturalną ciepłotę miejsca, w które uderzył. I choć marzyła, by znowu opaść na kolana i trwać w tej pozycji tak długo, aż poczuje się lepiej, nie mogła tego zrobić. Skoro już postawiła jeden krok na drodze do uratowania Alli, musiała wykonać następny.

– Twój zbir się pomylił – powtórzyła. – Moja... siostra jest... dla was... niewiele warta.

Weles uniósł brwi, jakby nie zrozumiał, co Nila chciała mu uzmysłwić.

– Jestem jedyną Niepowszednią w rodzinie. – Wysapała z wysiłkiem. – Puść ją wolno!

Izbor poruszył się niespokojnie i zdziwiony, począł przyglądać się swemu łupowi, a Żniwiarka modliła się w duchu, by oniemiałej ze zdumienia Alli, nie przyszło do głowy zaprzeczać temu, co usłyszała. Weles zaś milczał. Przeszywał Nilę wzrokiem, a ona – choć głęboko w środku była skulona z przerażenia – stała wyprostowana i ostatkiem siły wytrzymywała jego spojrzenie.

– Zwykle... – Zmroził ją lodowaty ton jego głosu. – Nie tłumaczę się przed swoim towarem, ale ponieważ ja i ty staniemy się nierozłączni, zrobię jednak wyjątek. Izborze, w jaki sposób dowiadujemy się o Niepowszednich?

– No, kupujemy informacje.

– Otóż to! – zgodził się Weles. – Złoto otwiera usta wielu osobom. Czy zdarzyło nam się jechać na próżno, bo wieść była nieprawdziwa?

Izbor roześmiał się, ubawiony taką możliwością.

– Nigdy! – Pokręcił głową. – Nikt cię nie oszukał. Nie miał

odwagi.

Sens słów łowców dotarł do Nili z niezwykłą wyrazistością. Było gorzej, niż dotychczas sądziła. Pojęła potworność tego, co się zdarzyło. Ktoś ich wydał dla pieniędzy! Nie obcy, tylko swój! Mieszkaniec Kamiennych Kości! Weles nie przyjechał tu przypadkiem. Dokładnie wiedział, kogo i gdzie miał szukać.

Choć oznaczało to, że miała znikome szanse, by go oszukać, musiała spróbować.

– Rozumiem – powiedziała potulnie. – Pomimo to, moja siostra nie jest tą, za jaką ją bierzecie.

Herszt zrobił nagle krok w stronę Nili. Przerazona, że znów będzie ją bić, skuliła ramiona. On wszelako tylko wyciągnął dłoń, by końcówkami palców delikatnie musnąć jej mokry od deszczu policzek. W oczach miał jednak bezwzględność, która zadawała kłam czułemu gestowi.

– Hmm – wymamrotał – więc mówisz, że Izbor zamiast złapać Gwarka, chwycił zwykłą dziewczuchę?

Siostry w tym samym momencie poderwały głowy, a ich oczy spotkały się w niemym porozumieniu.

Szukają Gwarka? A więc przynajmniej część tajemnicy nadal była bezpieczna!

Niepowszedni zwykle posiadali jedną moc. Alla stanowiła rzadkość, albowiem urodziła się z dwiema. Oprócz zdolności układania zwierząt, mówiła wieloma językami jako Gwarek. Połączenie niezwykłych talentów w jednej osobie niemal się nie zdarzało, przez co dla łowców i ich klientów Alla była niczym jednorożec. Bezcenna! Choć prawo kniaziowe chroniło Niepowszednich, dziewczęta właśnie dlatego trzymały jedną z jej mocy w sekrecie. Kto wie, czy nie znaleźliby się ludzie gotowi na każde ryzyko, by zdobyć Allę na własność?

Weles, nieświadomy wymiany ich spojrzeń, stał wyprostowany i każdym centymetrem ciała demonstrował im swą pogardliwą wyższość.

– Zatem, chciałaś mi powiedzieć, że dostałem zwykłą, bezwartościową dziewczuchę zamiast złotodajnego Gwarka?

– Dokładnie tak.

Westchnął i wzruszył niedbale ramionami.

– Skoro tak mówisz... twoja siostra nie jest mi potrzebna.

Odwrócił się i zrobił dwa kroki w stronę obozowiska. Ona zaś stała zaskoczona, całkowicie oszołomiona niespodziewanym tryumfem. Nie liczyła, że uda się go oszukać tak po prostu. Bez wielkiego wysiłku!

– Wszelako, po namyśle... – Weles zatrzymał się nagle i zwrócił ku niej twarz. – Mam pewność, że nie chcę zostawiać świadka. Izbor!

Nila zamrugała oczyma, niczego nie rozumiejąc. Pojęła jednak wszystko, gdy Izbor z okrutnym uśmiechem wyciągnął zza pasa sztylet i ruszył ku Alli. Obie krzyknęły długim skowytym niczym cierpiące zwierzęta. Łowca chwycił jasnowłosą dziewczynę i docisnął ostrze do delikatnej szyi.

– Nie! – Nila zerwała się do biegu. – Nie! Błagam!

Weles zastąpił jej drogę i brutalnie szarpnął.

– Mów!

– Jest Gwarkiem! Jest Gwarkiem! – zawodziła głośno. – Wybacz!

Uderzył ją w twarz tak boleśnie, że policzek natychmiast zapłonął żywym ogniem.

– Myślisz, że można mnie ołgać?! Ciesz się, że nie oberwałaś mocniej!

Ale Nili było obojętne, co z nią zrobi. Liczyło się tylko ocalenie Alli. Strwożona, obserwowała ostrze, które wciąż spoczywało na siostrzanej krtani. W poddańczym geście rzuciła się Welesowi do stóp, lecz on nawet na nią nie spojrzał.

Zamiast tego zwrócił się do Alli. Z jego ust popłynęły słowa, których Nila nie rozumiała. Mówił w obcym języku, szorstkim, zgrzytliwym, bez jednego miękkiego dźwięku. I był zły, zgoła wściekły! Czowała to w sposobie, z jakim wypowiadał kolejne frazy. Cedził je przez zaciśnięte zęby, podnosząc głos, ilekroć wracał spojrzeniem do Żniwiarki.

– On mówi – przetłumaczyła Alla – że koniec z twoimi wybrykami. Nie ma na to czasu, Nilu.

Bojaźliwie popatrzyła na Welesa, szukając potwierdzenia, że trafnie tłumaczy. Ten kiwnął głową.

– Mówi – ciągnęła dziewczyna drżącym głosem – że masz nie sprawiać więcej kłopotów. A jeśli go zawiedziesz, za każdą twoją głupią

decyzję czy bunt ja zapłacę dziesięciokrotnie.

Weles ponownym skinieniem potwierdził te słowa.

– Mówi, że masz zacząć go leczyć tu i teraz. – Alla wytarła płynące po policzkach łzy. – A jeśli spróbujesz go skrzywdzić, Izbor mnie zabije.

Nila bezradnie oparła dłonie o przemoczoną suknię.

Przegrałam! – pojęła.

Nie pozostało jej nic innego, jak zrobić to, czego żądał. Bez słowa podniosła się z ziemi. Zdjęła pierścionek i z kamiennym wyrazem twarzy schowała go do kieszeni. Podeszła do Welesa i chłodno spojrzała mu w oczy.

– Masz swojego uzdrowiciela, łowco – powiedziała i położyła na nim dłonie. – Zaczynamy.



Uzdrowianie Welesa zupełnie Nilę wyczerpało. Nigdy jeszcze nie musiała walczyć z równie potężnym przeciwnikiem jak tumor, który załęgł mu się w trzewiach. Był niczym łowca: bezwzględny, drapieżny, okrutny. Dziewczyna wzdygnęła się na wspomnienie jego złowrogiej mocy i żarłocznego apetytu.

– Zło pożera inne zło – wyszeptała Welesowi do ucha, gdy tylko jej dłonie zrozumiały, z czym musiała się zmierzyć.

Mężczyzna popatrzył na nią lodowato. Oboje wiedzieli, że tej choroby nie da się wyleczyć. Żniwiarka mogła ją tylko opóźnić i osłabiać dolegliwe objawy. Bez pomocy uzdrowiciela Weles miał przed sobą najwyżej rok życia, uciążliwego i bolesnego. Jednak czerpiąc siły z mocy dziewczyny, mógł wytargować u Kostuchy jeszcze kilka w miarę znośnych lat. Gdyby szczęście mu sprzyjało, może nawet kilkanaście.

Gdy było już po wszystkim i ledwie przytomna Nila opadła na twarde deski wozu, miała już pewność, że jej los został przesądzony. Wiedziała, że Weles będzie chciał za wszelką cenę zatrzymać ją przy sobie aż do swojej śmierci!

Zdruzgotana tą wiedzą, przyłożyła głowę do mokrego drewna i osunęła się w ciemność. Odpoczywała snem człowieka wycieńczonego – głębokim, zupełnie pozbawionym majaków.

Do świadomości wróciła wraz z nieprzyjemnym uczuciem chłodnej wilgoci. Nasiąknięta wodą suknia oblepiała ciało niczym lodowaty kokon. Nila uniosła powieki i ostrożnie spojrzała przed siebie. Widok był przygnębiający: żelazne kraty wozu na tle zaciągniętego chmurami nieba i strugi deszczu, które równymi rzędami zalewały i ją, i świat!

– Ocknęła się! – Ktoś poruszył się obok. – Podnieś się, pomogę ci.

Żniwiarka ostrożnie dotknęła dłonią desek, na których ją ułożono, i spróbowała się unieść. Była jednak taka słaba! Nie miała sił nawet na to, by zasłonić twarz przed ulewą, a cóż dopiero usiąść. Bezradnie wychyliła się do tyłu, lecz zanim opadła z powrotem na plecy, czyjeś ramię wsunęło się pod jej barki i poderwało do góry. Dziewczyna oparła

się o wybawcę bezwładnie. Tuż przed oczyma miała nadgarstek opleciony rzemieniami, z których każdy zdobiony był białymi paciorkami z kości bawołu. Znała te bransolety.

– Sambor – mruknęła, wtulona w zimną i mokrą koszulę.

– Aha.

– Dam sobie radę. – Nieporadnie odsunęła się od niego. – Długo spałam?

– Od wczoraj leżysz bez życia. Alla odchodzi od zmysłów.

Nilą gwałtownie się wyprostowała, poszukując wzrokiem siostry. Dostrzegła ją tuż za sobą. Błądą, przemoczoną do suchej nitki, strwożoną, ale uszczęśliwioną jej widokiem.

Wczepiły się w siebie z rozpaczliwą ulgą, jak robią to ludzie, którzy na przekór okrutnym zrządeniom losu radują się, że przynajmniej wciąż są razem.

– Nareszcie! – szepnęła Bestiarka.

Nilą odsunęła ją na długość ramienia i uważnie obejrzała. Odrężyła się, widząc, że nóż łowcy nie zostawił nawet śladu na szyi. Nie zauważyła nowych sińców. Opuchlizna wokół podbitego oka zmaląła, a rana na wardze lekko się zasklepiła.

– Nic mi nie jest – zapewniła Alla. – Zostawił mnie w spokoju.

– Odkąd ruszyliśmy, całkiem machnęli na nas ręką. – Sambor wzruszył ramionami i dodał zrezygnowanym tonem: – Siedzimy tu jak szczury w klatce!

Żniwiarka rozejrzała się po wozie. Naprzeciwko nich ulokowała się Wodniczka. Patyczkowata, ledwie dziewięcioletnia dziewczynka kurczowo trzymała się krat i bez ruchu wpatrywała w dal. Jak zwykle była smutna, odległa i milcząca. Zgrzebna, brązowa sukienka z grubego samodziału ociekała deszczem, a długie, rude włosy mokrymi strąkami spływały po wychudzonych plecach.

Wszyscy w Kamiennych Kościach znali to nieszczęśliwie osierocone dziecko.

Biedna mała – pomyślała Nilą. – *Życie zgotowało jej jeszcze i ten koszmar.*

Sześć lat wcześniej rodzice rudowłosej zbyt zaufali Topieli. Stanęli na urwistym brzegu, a podmyta skarpa zsunęła się do wody wraz z trójką

nieszczęśników. Na trawie zostały dziecięca lalka z gałganka i ujadający pies, który wytrwale nawoływał właścicieli. Mieszkańcy osady jak jeden mąż zbiegli się nad rzekę, by szukać tej rodziny. Długo wypatrywano wśród bystrego nurtu choćby śladu żywego człowieka. I gdy dla wszystkich jasnym się stało, że nikt nie mógł wytrzymać pod powierzchnią tyle czasu, z fal wyłoniła się małeńka dziewczynka i z płaczem wykrzyczała, że Topiel zabrała jej rodziców. Matka Sambora porwała dziecko na ręce.

– To Wodniczka! – domyśliła się i tak oto Kamienne Kości powitały kolejnego Niepowszedniego.

Od tamtej pory cała wieś opiekowała się sierotą na zmianę. Bez ustanku ktoś brał ją do siebie, chcąc zatrzymać nieszczęsną na stałe, ale ona wolała nigdzie dłużej nie zagrzewać miejsca. Wybierała samotność przy Topieli. Do domu dziewcząt zachodziła na kubek mleka i gorący posiłek, by potem zniknąć równie cicho, jak przyszła.

Za Wodniczką, w najdalej odsuniętym kącie wozu, Nila dostrzegła wyrostka, którego po raz pierwszy widziała jeszcze nad rzeką. Miał krótkie włosy w niezwykłym odcieniu brązu, przypominającym barwę zdrewniałych łodyg na Wysokich Trawach. Mokre pasma gładko przylegały do czaszki, odsłaniając wysokie czoło i zmarszczone gniewnie brwi. Długie nogi podciągnął aż pod brodę i oparł na nich ręce. Na prawej dłoni zamotał zakrwawioną materię, a na szyi nosił kilka rzemieni. Wśród nich Nila dostrzegła srebrny amulet z wizerunkiem lisa tak potężnego, że mógł być tylko wytworem wyobraźni. Choć chłopak był szczupły, wyraziste linie mięśni odznaczały się pod lnianą koszulą. Nie mógł mieć więcej lat niż Alla, ale w jego oczach było coś, co powodowało, iż wydawał się znacznie starszy.

– Kim on jest? – zapytała Sambora szeptem.

Ten pokręcił głową niecierpliwie, jakby nie był to temat warty w tej chwili uwagi, i spojrział na dziewczynę badawczo.

– Źle wyglądasz. Jak się czujesz?

Nila zmieszana się. Od zawsze, ilekroć znajdowała się w jego pobliżu, plątały się jej słowa i traciła pewność siebie. A przecież nawet go dobrze nie знаła. Mało mieli ze sobą wspólnego. Sambor, o dwa lata starszy od Nili, miał własny świat. Ona – poważna i zawsze biegnąca do

chorych. On – roześmiany i spędzający czas w polu lub na zabawie z przyjaciółmi. Rok wcześniej, kiedy słabowała mu matka, Żniwiarka bywała w ich domu częstym gościem. Jednak, gdy wróciła kobiecie zdrowie, nie miała już powodu, by do nich zaglądać, a i on nie szukał jej towarzystwa. W osadzie widywała go albo otoczonego wianuszkiem zachwyconych dziewcząt, albo bijącego się z miejscowymi chłopakami. Gdy przechodziła obok, pozdrawiał ją nad wyraz uprzejmie i uśmiechnięty odprowadzał wzrokiem. Było jednak w jego oczach coś tak nachalnego i zawziętego, iż była pewna, że się naigrawa i szuka okazji do zaczepki.

Znów uchwyciła to samo spojrzenie – czujne, natarczywe, jakby wypatrywał powodu, by się z niej pośmiać. Pospiesznie wygładziła rozczochrane włosy i z braku innej możliwości przetarła twarz rąbkiem sukni.

– Lepiej. Dziękuję za troskę.

To powiedziawszy, odsunęła się od niego na przeciwległy kraniec wozu, a obcy chłopak zrobił jej miejsce przy sobie.

– Jestem Nila.

Nieznajomy wzruszył ramionami.

– A to moja siostra Alla – dodała niezrażona.

– Dalko.

– Jesteś Niepowszednim, jak my?

Kiwnął głową, ale uparcie omijał ją wzrokiem. Wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie życzy sobie rozmowy. Nila zerknęła na niego chyłkiem. Dostrzegła krew na krótko przyciętych włosach, siniec na skroni i szerokie otarcia od sznura na nadgarstkach. Domyśliła się, że któryś z łowców najpierw go obił, a potem złośliwie zbyt mocno zacisnął pęta. Niektóre rany sprawiały wrażenie dość starych, więc wyglądało na to, że chłopak był więźniem Welesa już od jakiegoś czasu.

– I co? Napatrzyłaś się? – warknął nagle z wściekłością.

Alla drgnęła zaskoczona, Sambor uniósł brwi, natomiast Wodniczka, choć zdawała się patrzeć prosto na Dalko, nawet się nie poruszyła, zatopiona we własnych myślach. Nila pokręciła głową. Spotkało ją tego dnia zbyt wiele złego, by chciała tracić czas na waśnie.

– Daruj – wyszeptała ugodowo.

Dalko przeniósł spojrzenie na rudowłosą dziewczynkę.

– A ty, czego się na mnie gapisz? – syknął.

Mała trwała w bezruchu, jakby nie docierał do niej żaden dźwięk z otoczenia.

– Jest w swoim świecie – cicho wyjaśniła Alla.

Chłopak uniósł się na kolana i pomachał dłonią przed oczyma Wodniczki.

– Jest pomyłona?

– Zamknij się! – wrzasnął Sambor.

Niezgrabnie wstał i kuląc się w zbyt niskim dla niego wozie, podszedł do milczącej niebogi. Zdjął cienki kubrak, który nosił na koszuli i narzucił go na wątle dziecięce plecy.

– Rodzice tej małej zginęli na jej oczach. – Zmierzył Dalko chłodnym spojrzeniem. – Miarkuj się, zanim coś powiesz.

Obcy wzruszył ramionami i odwrócił głowę, ale przez moment Nila dostrzegła w jego oczach nagłą łagodność, z jaką omiótł wzrokiem drobniutką postać w za dużym kubraku.

Tymczasem wóz, zaprzężony w dwie pary koni, w równym tempie toczył się wąską błotnistą drogą. Po obu stronach, jak okiem sięgnąć, migotały olbrzymie połacie podmokłych łąk z rzadka przecinane niezbyt rozległymi wyspami bagiennej olszy. Szare jak popiół pnie drzew pięły się wysoko w górę, a korony tworzyły zwarty baldachim, pod którym wędrowcy mogli od czasu do czasu schronić się przed deszczem. Widać już było dobroczynne działanie wody – krajobraz zaczynał się zielenić, a kępy dzikiej trawy tętniły odgłosami żab. Ich skrzekliwe nawoływania dobiegały zewsząd w takim nasileniu, że zagłuszały nawet szum ulewy.

Zbyt zmęczeni, by rozmawiać, czy się kłócić, pograżyli się w ponurej zadumie. Nila drżała na samo wspomnienie nieuchronnego końca tej podróży. Mercata! Z każdym obrotem kół, z każdą kolejną pokonaną milą byli coraz bliżej niewolniczego targu. To tam ich dotychczasowe życie miało się definitywnie zakończyć. Miejsce wolnych ludzi zajmą niewolnicy. Na dodatek zapewne zostaną rozdzieleni. Myśl o rozłące z Allą zmroziła Nilę do szpiku kości.

– Nawet nie wiem, jak daleko do tej Mercaty – jęknęła cichutko.

– Będzie z dziesięć dni drogi – burknął Dalko, nawet na nią nie

spojrzawszy.

– Skąd...?

– Wiem i już – nie pozwolił jej dokończyć.

Jeżeli więc coś w ogóle mogło zapobiec katastrofie, musiało się zdarzyć w ciągu dziesięciu dni. To niewiele czasu. Jakby tego było mało, Nilę dręczyło przecucie, że ich zły los może się dopełnić, jeszcze zanim dojadą do Mercaty. Nie miała pojęcia, skąd to wie, ale ufała swemu instynktowi.

Mimo przygnębienia dziewczyna rozglądała się po okolicy. Nie знаła tych terenów. Dla wszystkich żyjących na przeciwległym brzegu Topieli Łajdacki Kraniec był zagadką. Poddani kniazia znali te rozległe ziemie tylko z opowieści dziadów, którzy w czasach przed zatopieniem Mostu Rusalek byli na tyle odważni, by się wyprawić na drugą stronę, i mieli to szczęście, że przeżyli. To oni przynieśli wieść, iż Łajdacki Kraniec jest częścią olbrzymiego Cesarstwa Gospar, które traktowało tę krainę jak śmietnisko wszystkiego, czego nie chciało u siebie. Zsyłało więc na te ziemie najgorsze szumowiny, żeby mieć spokój w swoich cywilizowanych miastach. Przez wieki Cesarstwo robiło wszystko, by uczynić Kraniec kloaką imperium, aż w końcu tak się stało. Nie było gorszego miejsca do życia i łatwiejszego do znalezienia niespodziewanej śmierci. Ludzie robili, co chcieli. Kradli, oszukiwali, mordowali. Nie istniały reguły ani żadne prawa poza jednym: Cesarstwa się nie ruszało! Gospar oznaczał pocztylionów, strażników, kupców i posłów. Ktokolwiek ich tknął lub obraził, ginął w męczarniach.

– Marcus, jak twój nosek? – głos Welesa wyrwał Nilę z zamyślenia.

Zaczepiony łowca milczał, gniewnie zagryzając wargi, za to kamraci zgodnie zarechotali nad jego upokorzeniem. Żniwiarka trwożliwie omiotła ich wzrokiem.

Ośmiu przeciwko niej samej! Żyjącej we własnym świecie Wodniczki nie brała pod uwagę jako sojuszniczki, podobnie jak ledwie poznanego i wrogiego im Dalko. Natomiast Alla była zbyt krucha i delikatna, zaś Sambor najpierw działał, a dopiero potem myślał.

Jechali okratowanym wozem w nieznanym kierunku, otoczeni przez zbirów. Nila nie wiedziała, jak uratować siebie i siostrę. Ba, nawet

gdyby okazja do ucieczki sama się im trafiła, dziewczyna nie miałaby dość sił, by wykorzystać szczęśliwy traf. Weles chciał bowiem pozbawiać ją energii za każdym razem, gdy choroba go zaatakuje.

Zrozpaczona Nila ukryła twarz w dłoniach i załkała bezradnie.

Przejęta Alla natychmiast objęła siostrę.

– Ciiii... cicho, będzie dobrze.

– Nie będzie! Nic nas nie uratuje!

Bestiarka rozejrzała się bezradnie, jakby szukała odpowiedzi na te pełne zwątpienia słowa.

– Ciiii... – Spróbowała raz jeszcze.

Żniwiarka szlochała jednak coraz głośniej. Wszystkie jej myśli krążyły bezładnie wokół śmierci, samotności i smutku. I każda z nich, bez wyjątku, miała przerażającą twarz Welesa.

– Ja spróbuję.

Sambor stanowczym gestem odsunął Allę i ciężko usiadł naprzeciwko kwilącej Nili.

– Przestań płakać – powiedział spokojnie. – Wysłuchaj mnie.

Przyjrzała mu się z wahaniem zamglonymi od łez oczyma. Nie był ani przyjacielem, ani sojusznikiem. Nie wierzyła, by rozmowa z nim mogła okazać się pomocna, ale rozpaczliwie szukała czegoś, co pomogłoby jej pozbierać rozbitą na dziesiątki odłamków wolę przetrwania.

– Mogę.

– Słuchaj, zanim mnie znaleźli... – wymruczał cicho – nie byłem sam. Fechtowałem z moim bratem, pamiętasz Tomira.

Nila otworzyła szerzej oczy, a on pokiwał głową zadowolony, że domyśliła się głębszego sensu jego słów.

– Otóż to! Usłyszałem jeźdźców i kazałem mu się schować. Nie widzieli go, więc myślę, że bezpiecznie wrócił do domu.

– Tomir wie, że pojмали cię łowcy? – spytała z nadzieją.

Gdy chłopak skinął twierdząco, Nila niemal zachłysnęła się nagłym uczuciem ulgi.

– Zatem już dawno postawił na nogi całą wioskę. Rodzice ruszą nam na pomoc!

– A niby skąd będą wiedzieli, gdzie nas szukać? – schłodziła ten

zapał Alla.

– Będą! – odparł Sambor. – Bo wcześniej, o świcie, poszliśmy nad rzekę na ryby.

– Widzieliście most!

– Tak dobrze, jak teraz ciebie.

– Jeśli Tomir zaniósł wieści do osady... – Alla z namysłem zbierała te rewelacje w jedną całość – wszyscy pojmą, jak można przeprowić się przez Topiel!

Nilą zdecydowanym ruchem wytarła łzy. Sambor dał jej nadzieję, której mogła się kurczowo trzymać.

– Rodzice po nas przyjadą, rodzice po nas przyjadą – powtarzała cicho, delektując się brzmieniem tych prostych słów. – Rodzice po nas...

Urwała nagle, napotkawszy smutny wzrok Dalko.

– Ty coś wiesz! Mów! – ponagliła go.

Chłopak westchnął ciężko i zacisnął pięści.

– No... tego... nie mam pojęcia, kim są wasi rodzice, ale ci tam to Okrutni Złotnicy! Najgorsza pod słońcem banda łowców, nie ma większych kanalii. A ten... – Wskazał głową Welesa. – To legenda Łajdackiego Krańca. Szlag! Prawdziwy potwór!

Patrzyli na niego tak, jak gdyby nie zrozumieli nawet jednego słowa. Dalko sapnął zirytowany, a potem wyłożył im to dobitniej:

– Wasi rodzice nie dadzą rady. Weles ich zabije!

Zapadła cisza. Nilą opuściła drżące dłonie na suknię.

– Potwór czy nie, oni na pewno będą próbować. Nie zostawią nas. To twardzi ludzie – powiedział po chwili Sambor, nieudolnie udając spokój.

– Tak! Na pewno ruszą za nami! – poparła go Alla.

Nilą uśmiechnęła się do obojga z wdzięcznością.

– Nie mają zbyt wiele czasu. – Cichutki głosik wdarł się nagle w ten optymistyczny chór. – Powinni się spieszyć.

Zdumieni, jednocześnie zawiesili wzrok na Wodniczce. W osadzie odzywała się z rzadka, na ogół jednym słowem. Była najbardziej małomównym dzieckiem, jakie znali. A tym razem wygłosiła całą przemowę.

– Dlaczego? – zapytał nieświadomy powodów ich osłupienia

Dalko.

Dziewczynka odgarnęła mokre włosy z oczu i drobnym paluszkiem wskazała chmury, z których deszcz lał się rzędistymi strugami.

– Pada bez przerwy od kilkunastu godzin – wyjaśniła. – Jeszcze dzień lub dwa i rzeka znów zatopi most. Wtedy nikt już po nim nie przejedzie.



– Od trzech dni nic, tylko trawa – burknął Sambor. – Oszaleć można!

Połączenie łąk i rozległych olszynowych zagajników nie miały końca. Od świtu do zmierzchu Nila z coraz mniejszą nadzieją przeszukiwała wzrokiem horyzont i wyczekiwała wybawców. Niestety, wciąż miała do powiedzenia to samo:

– Nadal nikogo nie widać!

Co i rusz obliczała przebytą odległość oraz upływający czas, a im dłużej jechali, tym bardziej niepokojący stawał się wynik tej rachuby. Choć desperacko trzymała się wiary w pomoc rodziców, w głębi serca wiedziała, że szanse na ratunek z ich strony wciąż malały. Co gorsza, z każdą pozostawioną w tyle milą nieuchronnie przybliżali się do Mercaty, gdzie już nikt nie mógł ich ocalić.

Im mniej Nila znajdowała w sobie nadziei, tym większą czuła złość. Była rozeźlona na cały świat: na Welesa, na resztę Okrutnych Złotników i na pogodę, która sprzysięgła się przeciwko nim. Pomstowała nawet na matkę i ojca, a oboje przecież w niczym nie zawinili.

Po gniewie przyszła rezygnacja. Paskudna aura i mozolna jazda w głąb nieprzyjaznej krainy zdusiły w nich chęć do rozmów. Skostniali od wilgotnego zimna niemrawo zerkali w dal. Monotonną rutyną stały się nawet krótkie wizyty Marcusa wyznaczonego do opieki nad nimi. Trzy razy dziennie niedbale wrzucał na dno klatki chleb z serem i bukłak z wodą. Regularnie zatrzymywał wóz i pozwalał im pojedynczo oddalić się za potrzebą. Później wsiadał na konia i bacznie obserwował każdy ich ruch. W końcu przestali już zwracać na niego uwagę.

– Nadal nikogo nie widać – zameldowała znużona Nila.

– U licha! Gdyby ktoś miał się zjawić, powinien już tu być – zirytował się Sambor i zniechęcony rozejrzał się wokół. – A tu wszędzie... pustka.

– Ano nikogo – powtórzyła dziewczyna. – Nic tylko...

Przerwała zaskoczona, gdy apatyczny dotąd Dalko, nagle

wyprostował się i wbił wzrok w oddalony punkt.

– A niech mnie! – wyszeptał sam do siebie.

– Co?! – Nila szarpnęła go za rękaw. – No, co tam jest?! Powiedz mi!

Zerknął na nią niechętnie i rzucił od niechcienia:

– Cesarscy. Jadą za nami.

Natychmiast przysunęła się bliżej, by zobaczyć to, czemu się przyglądał. Wodniczka i Alla stanęły tuż przy niej. We trzy niespokojnie przeszukiwały okolicę rozbieranymi oczyma, próbując dostrzec cokolwiek. W strugach deszczu nie widziały jednak niczego poza niewyraźnym zarysem drzew, które majaczyły przed odległą linią horyzontu.

– Naprawdę widzisz tam coś? – Nila zerknęła niepewnie na chłopaka.

– Mhm – burknął pod nosem.

– Choroba, ja nic! – rozżaliła się Alla. – A ty, Nilu?

– Ja też nie!

– Dalko, jesteś Żrenicznikiem! – domyślił się Sambor.

Chłopak zmierzył go drwiącym spojrzeniem.

– Szlag! No co ty nie powiesz! Sam bym się nie domyślił.

– O co ci u licha...

– Przestańcie! – ucięła dyskusję Nila. – Na pewno tam są? W porównaniu z tobą jestem ślepa jak kret.

Dalko raz jeszcze zapatrzył się w dal i obojętnie skinął głową.

– Są. Cały oddział jedzie za nami.

– To gwardziści, prawda? Pilnują porządku w Łajdackim Krańcu, tak? – upewniła się Alla.

– E tam, porządku! Pilnują interesów Gospar – mruknął pod nosem Dalko ledwie zrozumiale.

– Co? – Sambor nie dosłyszał. – Pomogą nam?

– Pewnie, że pomogą! – zachnęła się Nila. – W końcu to cesarska gwardia!

Żrenicznik wzruszył ramionami, a potem bez słowa odsunął się w najdalszy kąt wozu.

– Ej! Wracaj tu! – Sambor zacisnął pięści.

Nilą odetchnęła głęboko.

– Dalko – powiedziała cicho – nie musisz nas lubić...

– Szlag! Nie muszę i nie lubię! Słuchaj no, nie jestem waszym przewodnikiem! Nie zamierzam się z wami przyjaźnić ani nawet gadać. Odczepcie się!

Spojrzeni na niego z wyrzutem, a on zacisnął pięści i syknął:

– Na cesarskich się gacie! Nie na mnie!

W końcu dotarło do nich, że odprawił ich z kwitkiem. Ani nie mogli go zmusić, by im pomógł, ani nie wiedzieli sensu, by się z nim kłócić. Zaczęli więc wpatrywać się w punkt, którego nikt z nich nawet nie widział. Póki co, istniał tylko w ich umysłach i sercach. Alla złapała siostrę za rękę.

– Jedzie pomoc! Uwolnią nas! – gorączkowo powtarzała jej do ucha.

Nilą podniosła oczy i z powątpiewaniem popatrzyła na coraz ciemniejsze niebo. Najdalej za pół godziny miał zapaść wieczór.

– Niedługo szarówka, a potem... – powiedziała grobowym głosem.

Nie tylko ona wiedziała, co to oznacza – wóz zostawiał głębokie koleiny, więc za dnia gwardziści zwyczajnie kierowali się śladami, ale po zmroku, gdy trop zniknie, pogoń nie będzie miała sensu.

Nilą złapała się mocniej mokrych krat.

Popędźcie konie, proszę! Popędźcie konie! – bezgłośnie wznosiła błagania do gwardzistów, a serce waliło jej jak oszalałe.

Pozostali również milczeli. Każde po swojemu modliło się, by cesarscy okazali się szybsi od zmierzchu, który z wolna nadciągał nad łąki. Niestety, choć czas płynął, nic się nie działo. Nikomu poza Żrenicznikiem nie udało się dostrzec podążającego za nimi oddziału.

Dziewczęta i Sambor spoglądali na siebie z niepokojem. Jeszcze nie stracili nadziei, ale coraz trudniej było im się jej trzymać. Nili zbierało się na płacz, a reszta smętnie zwiesiła głowy. Wreszcie, gdy zrobiło się zupełnie szaro, wiedzieli, że już po wszystkim.

Nilą ostatni raz skierowała wzrok tam, skąd miała nadciągnąć pomoc. Spojrzała bez wiary. Ot, by pożegnać się z nadzieją. Zdumiona, przetarła oczy. W oddali zamigotała ciemna plama kilku cieni!

– Są! – pisnęła cienkim głosem. – Pędzą za nami! Patrzcie!

Cesarscy nie zamierzali się poddać i przyspieszyli na tyle, że zaczęli dopędzać prowadzoną przez Welesa kawalkadę. Tego dnia los sprzyjał Niepowszednim.

Radość w głosie Żniwiarki była tak wielka, że udzieliła się pozostałej trójce.

– Najeżdżają. Doganiają nas. Nareszcie – szeptali podnieceni.
Tylko Dalko uparcie milczał.

Gwardziści zbliżali się bardzo szybko, nie oszczędzali koni. Nawet przez strugi deszczu można było dostrzec potężne kaskady błota wzbijane miarowymi uderzeniami kopyt. Tempo, w jakim jechali, mogło znaczyć tylko jedno – nie lekceważyli swej służby.

– Ledwie ośmiu – niepewnie powiedziała Nila. – Ośmiu żołnierzy przeciwko ośmiu łowcom. Dadzą radę, Sambor?

– Prawo i władza są po stronie Gospar. Weles byłby głupi, gdyby ich zaatakował. W tym kraju to jak wyrok śmierci.

– Głupi chyba nie jest, ale jeśli nie będzie miał wyboru, pewnie będzie walczył – odezwała się z wahaniem Alla. – A wtedy, kto wie, komu uda się wygrać?

Miny im ponownie zrzedły.

– Zobaczymy – westchnął po chwili Sambor. – Najpierw niech nas dogonią. Mamy szansę, bo ci głupcy nadal się nie zorientowali, że ktoś ich goni...

Ledwie zdążył to powiedzieć, rozległ się wściekły ryk Izbora:

– Cesarscy! Przyspieszaj!

Marcus, który akurat powoził, natychmiast bezlitośnie pogonił ciągnące furgon konie. Uderzane batem zwierzęta posłusznie wydłużyły krok. Klatka kiwała się tak niemiłosiernie, że więźniowie musieli mocno zaprzeć się o kraty.

– Próbują uciec! – Sambor kopnął kratę w bezsilnej złości.

Łowcy nie tylko próbowali, ale co gorsza, dobrze im szło! Wkrótce dystans pomiędzy uciekinierami a pogonią nieznacznie się powiększył. Wóz pędził przed siebie w szaleńczym tempie i chwilami podskakiwał tak gwałtownie, że kurczowe trzymanie się żelaznych prętów nie pomagało. Niepowszedni wpadali na siebie, boleśnie uderzając się łokciami.

– Prędeż! – wrzeszczał Izbor. – Prędeż! Zostają w tyle!

Rzeczywiście, cesarscy jakby zwolnili!

– Dalko! Zatrzymują się?! – krzyknęła zrozpaczona Nila.

Chłopak nie odpowiedział, a ona bezradnie rozejrzała się wokół.

Izbor wciąż krzyczał, Weles poganiał Marcusa, a ten nie ustawał w wysiłkach – bat trząsał raz za razem. Konie gnały jak szalone, ale widać było, że są u kresu sił.

– Jeśli nie każe im stanąć, niedługo padną – zauważyła Alla.

Nie tylko ona to widziała. Weles także patrzył to na zmordowane zwierzęta, to na gwardzistów. Wreszcie, po namyśle, dokonał wyboru.

– Trzymać tempo, póki się da! – krzyknął. – Izbor, wiesz, co robić!

Ten z pewnością wiedział, bo tylko uniósł porozumiewawczo pięść i dalej pędził przed siebie. Było już jednak po wszystkim. Umęczone biegiem konie nagle zwolniły i przeszły w ociężały marsz. Marcus uparcie wymachiwał batem, ale na nic się to zdało.

– Psiamać! – zaklął Izbor. – Nic z tego!

Dla wszystkich stało się jasne, że zmrok nie mógł już zagrozić pościgowi, a łowcy stracili szansę na ucieczkę. Oddział straży znajdował się nie dalej niż o wiorstę od nich i znowu zaczął się przybliżać. Minął już ostatnie olszynowe zarośla, które dzieliły go od uciekinierów i teraz obie gromady, mimo gęstniejących ciemności, widziały się bardzo wyraźnie.

– Tak! – Podskoczyła radośnie Alla. – Gospar nas uwolni!

Sambor poklepał ją po ramieniu.

– Wreszcie! A te bydlaki pożałują! W dyby za to, co zrobili!

Uśmiechnięta od ucha do ucha Nila patrzyła, jak Izbor objeżdża wóz, przygląda się koniom, a potem rozkłada bezradnie ręce i kręci głową. Wściekły Weles poczerwieniał na twarzy.

– Niech to krew zaleje! – wrzasnął. – Oby zdechły te cesarskie bękarty! Zatrzymuj!

Okrutni Złotnicy natychmiast osadzili konie w miejscu. Furgon wyhamował gwałtownie, a stłoczeni w nim Niepowszedni z jękiem opadli na deski.

Weles zsiadł z wierzchowca. Najpierw starannym gestem przeczesał wilgotne włosy i poprawił przeszywanicę. Potem wyjął

nieodłączne kostki do gry i zaczął nimi nerwowo poruszać. Robił to tak szybko, że biel alabastru tylko migotała mu między palcami. Tętent nadjeżdżających koni był coraz głośniejszy.

Ponury jak gradowa chmura Dalko usiadł na deskach i obojętnie patrzył na to, co się działo.

– Co z tobą? – zapytała Nila, ale on tylko pokręcił głową.

Wreszcie ośmiu uzbrojonych po zęby jeźdźców otoczyło herszta Okrutnych Złotników ścisłym kręgiem. Pozostali łowcy trzymali się nieco na uboczu, ale dłonie trzymali na rękojeściach mieczy.

Dowódca strażników, postawny mężczyzna z sumiastymi wąsami, w milczeniu zmierzył Welesa wzrokiem. Zdawało się, że wystarczy czyjś jeden nieostrożny ruch, by doszło do walki. Napięcie rosło z sekundy na sekundę. W wozie zapadła pełna oczekiwania cisza.

– Nie wywinie się parszywiec! – mruknął Sambor z mściwą satysfakcją.

Wąsacz podjechał krok bliżej w kierunku Welesa.

– Każ swoim ludziom się odsunąć i trzymać łapy z dala od broni. Dobrze radzę.

Łowca chwilę rozmyślał, po czym powoli odwrócił głowę w stronę kamratów.

– Zróbcie, jak powiedział kapitan.

Złotnicy posłusznie cofnęli się o kilka sążni.

– Dalej! – zażądał dowódca gwardzistów. – A kusze rzućcie na ziemię.

Weles znowu przez moment podumał.

– Wykonać! – rzucił w końcu.

– Siostrzyczko – szepnęła Alla – chyba jednak się uda. Patrz, naprawdę składają broń.

Nila też zaczynała w to wierzyć. Nie tylko ona...

– Ufff. – Sambor uśmiechnął się z ulgą. – Koniec naszej mordęgi. Wracamy do domu. A Weles...

– Ciii – przerwała mu Alla. – Coś mówią.

– ...dawno się nie widzieliśmy, kapitanie Herbort. Ile to już będzie? – zdążyli usłyszeć ostatnie słowa łowcy.

– A kogo to obchodzi, Weles? Lepiej powiedz, dlaczego uciekasz

przede mną? Z wozem pełnym ludzi.

– Uciekam? Ależ skąd! Spieszno nam do Mercaty. Ten deszcz nas wykończy.

Twarz gwardzisty stężała w pełnym złości grymasie.

– Co ty mi tu za brednie opowiadasz? – huknął na cały głos i wskazał stłoczonych w klatce więźniów. – O tych pytam? Kto to?

Weles skrzywił się i westchnął ciężko.

– Towar.

– Ach, towar! – warknął Herbort, a na policzkach rozlał mu się krwisty rumieniec wściekłości. – Tak właśnie myślałem. Nie do wiary, Weles! Uprawdzasz ludzi i myślisz, że mi się wywiniesz?

Nila zerwała się z desek i dopadła krat.

– Porwali nas! Porwali! Ratuj!

Alla, Wodniczka i Sambor dołączyli zgodnym chórem do lamentu.

– Porwali nas! Ratunku!

Herbort pokiwał głową ze zrozumieniem, wyprostował się w siodle i z dziwnym spokojem zapytał:

– I co teraz, parszywcu?

Weles uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Przyjacielu... – mruknął jowialnie. – To co zwykłe.

Niecierpliwym gestem przywołał Izbora. Ten natychmiast wręczył mu bukłak oraz niewielkie zawiniątko, na widok którego Dalko sapnęła ciężko i opuścił głowę na zaciśnięte pięści.

– Wiedziałem! – jęknął.

– Co się tu dzieje? – szepnęła Nila. – Co się dzieje?!

Nie mogła pojąć, dlaczego gwardziści jeszcze nie aresztowali całej bandy. Weles tymczasem napił się gorzałki, a potem przekazał bukłak kapitanowi, który pociągnął solidny łyk, podniósł brwi w uznaniu dla przedniej jakości trunku, otarł wąsy i cmoknął z ukontentowaniem.

– Znasz zasady, stary draniu – powiedział prawie przyjaźnie.

Łowca w odpowiedzi wyciągnął w jego stronę tajemniczy węzełek przekazany przez Izbora. Wcześniej nie zdążyli dostrzec, co nim jest. Teraz nie mieli wątpliwości. Pokażna sakiewka! Wszystko stało się jasne.

Niepowszedni patrzyli zdruzgotani na zachłanny ruch, jakim

strażnik chwycił mieszek. Chwilę ważył go w dłoniach i zajrzawszy do środka, podumał, a potem pokręcił głową.

– Eee, srebro. Mało.

– Mało?! – rozdarł się Weles. – Niech to krew zaleje! I kto tu jest złodziejem, Herbort?!

Kapitan obojętnie wzruszył ramionami.

– Jak chcesz... – rzucił pobłażliwym tonem. – Ale szkoda byłoby naszej długoletniej przyjaźni.

Jego ludzie natychmiast oparli miecze na paradnej przeszywanicy łowcy.

– Jakby nas tu nie było – szepnęła blada jak płótno Wodniczka – tak jak byśmy byli mięsem na targu...

Weles gniewnie strącił jedną głównię z ramienia, splunął pod nogi, wyjął zza pazuchy malutki mieszek i rzucił go gwardziście.

– Niech cię cholera weźmie, ty pijawko! Za każdym razem chcesz więcej!

Mężczyzna potrząsnął woreczkiem, zerknął do niego, a potem uśmiechnął się zadowolony.

– Weles, mój druhu, interesy z tobą to czysta przyjemność.

– Idź do diabła!

Łowca odwrócił się plecami, nie zaszczyciwszy kapitana nawet spojrzeniem. Przepchnął się między cesarskimi i odszedł w stronę kamratów. Targ został dobity.

– O niebiosa! A my? – jęknęła Nila.

Herbort schował pieniądze i skłonił jej się dwornie.

– Cóż poradzić, panienko? Masz pecha! Szerokiej drogi!

Szarpnął wodze i pocwałował w ślad za swym oddziałem.

– Bydlę! – wrzasnął za nim Sambor. – Sprzedajne ścierwo!

Nila bezradnie rozejrzała się po wozie. Zdumiona Alla wciąż wpatrywała się w odjeżdżających, jakby nie wierzyła w to, co rozegrało się przed jej oczyma. Wodniczka opadła na deski i położyła dłoń na zaciśniętej pięści Sambora. Dalko patrzył na cesarskich z wyrazem nienawiści w oczach.

– Jak ludzie mogą tu żyć? – wyszeptała zrozpaczona Nila. – To piekło!

Żrenicznik opuścił głowę.

– Wiem... – odezwał się niespodzianie.

– Co to za straż?! – załamała ręce.

Westchnął ciężko i wskazał głową coraz mniejszą sylwetkę Herborta.

– Dla Cesarstwa Łajdacki Kraniec to bagna i piach. No... jakby nic niewarte! Póki tacy jak Weles nie psują interesów cesarza, pozwalają im robić, co chcą. Szlag! Jeszcze się na tym nieźle obłowią.

– Wiedziałeś, że nam nie pomogą – bardziej stwierdził, niż zapytał zrezygnowany Sambor.

Dalko pokręcił głową.

– Tak na pewno to nie wiedziałem... Ale uczciwych strażników to tu ze świecą szukać.

Nila była wstrząśnięta. Oparła się bezradnie o kraty, a potem odszukała wzrokiem Welesa. Stał przy reszcie bandy i rozmawiał cicho z Izborem. Nienawidziła tych ludzi. Pokazali jej świat, którego istnienia nigdyś nawet nie podejrzewała. Czuła się zbrukana jego podłością.

– Przeklinam was – wyszeptała cicho.

Weles odwrócił się nagle i spojrzał na nią chłodno. Potem warknął coś do Marcusa i obaj ruszyli ku furgonowi.

– Nie daruje nam! – szepnęła przejęta Alla.

Miała rację. Gdy podeszli bliżej, herszt od razu przeszedł do rzeczy. Chwycił Nilę za rękę i zmusił ją, by uklękła na deskach. Pokręcił głową z naganą.

– Nie mam czasu na te brednie, dziewucho. Miałaś nie sprawiać kłopotów. Choć właściwie... – zawiesił głos – podziwiam twoją odwagę. Jednak mieliśmy umowę, pamiętasz? Za twoje wybryki płaci ona.

Miał zimne, bezwzględne oczy i celował palcem wprost w struchlałą Allę.

– Nie! – krzyknęła Nila. – Proszę, nie!

Weles nie zwracał na nią uwagi. Dał znak Marcusowi, a ten natychmiast wsadził dłoń między pręty, przyciągnął do siebie skamieniałą Bestiarkę i uderzył ją na odlew w twarz. Dziewczyna upadła na deski, trzymając się za policzek. Nila doskoczyła do siostry i przytuliła ją mocno.

– Nienawidzę cię! – wysyczała w stronę Welesa. – Nienawidzę!
Wzruszył obojętnie ramionami.
– Niewiele mnie to obchodzi.



Cesarscy odjechali. Marcus zajął swe stałe miejsce przy wozie, którego koła ponownie zaczęły się obracać i już po chwili Nila miała wrażenie, że całe zdarzenie było jedynie złudzeniem. Krok za krokiem przybliżali się do budzącej strach Mercaty, a tam nie było już żadnych szans na ratunek.

Jakby tego było mało, Nili nie opuszczały złe przeczucia. Niezmiennie dręczyła ją myśl, że jeszcze zanim dotrą na targ niewolników, spotka ich coś straszego.

Z czasem już tylko Nila i Sambor dźwigali się z desek, by spoglądać w dal. Pozostała trójka dawno przestała obejmować spojrzeniem widnokrąg i wyczekiwać ratunku. Wybrali pełne obojętności zwątpienie. Wodniczka schroniła się w zakamarkach własnego świata. Dalko spał lub udawał, że to robi, a i Alla w ogóle się nie odzywała, tylko apatycznie skubała rąbek swej sukienki. Wreszcie, zniechęcony do reszty Sambor nie wytrzymał:

– To na nic, u licha! Jest bardzo źle.

Wszystkie oczy zwróciły się w jego kierunku. Nawet Dalko zaszczycił Unika spojrzeniem.

– Jeśli oboje z Nilą dobrze rachujemy, rodzice powinni tu być dwa dni temu. Nie mówię, że się nie zjawią, ale chyba lepiej... żebyśmy sami coś wymyślili. Mercata coraz bliżej! Jeśli chcemy się uratować, musimy zwać, zanim nas dostarczą na targ.

– Ale nasz ojciec... i twój... – wtrąciła niezdarnie Alla.

Sambor skrzywił się z powątpiewaniem.

– Na razie ich tu nie ma, a my siedzimy po uszy w... – urwał wściekły, a potem dokończył już spokojniej: – Cały czas oddalamy się od domu, nie znamy terenu i wiemy tylko tyle, że Gospar na pewno nam nie pomoże. Dlatego wolę mieć swój pomysł na ucieczkę.

– Ale oni po nas przyjadą! – zapewniła żarliwie Alla.

– To wtedy najwyżej mój własny plan się nie przyda...

Nila popatrzyła na chłopaka z podziwem.

– Sambor ma rację! – powiedziała. – Póki nie ma pomocy, musimy liczyć tylko na siebie i działać razem.

Udała, że nie dostrzega grymasu niechęci na twarzy Dalko. Zerkał na nich pogardliwie, ale przynajmniej nie uciekł w sen, co wzięła za dobry znak.

Nikt nie wiedział, od czego mają zacząć. Po prostu spoglądali na siebie w milczeniu, aż wreszcie Alla, jakby na przekór swej kruchej duszy, odezwała się jako pierwsza:

– Na pewno nie pokonamy ich siłą. – Wskazała siniaki, którymi łowcy naznaczyli jej twarz. – Nie damy rady ośmiu w otwartej walce... nie wiem, czy pokonalibyśmy choć jednego.

– Ejże! – zachnął się Sambor. – Sam wezmę na siebie kilku! Są wielcy, ale powolni. Więcej tłuszczu niż mięśni. Najgorzej będzie z tym bydlakiem Izbozem, ale u licha, jestem Unikiem! Ja...

– To jakiś żart? – obcesowo wpadł mu w słowo Dalko.

– Bo co?

– Nic. Tylko sam widziałem, jak cię stłukli. Więc może... nie gadaj byle czego.

Sambor zacisnął pięści.

– Ty... – warknął i zrobił krok w stronę Żrenicznika.

Nila w porę złapała go za kraniec mokrej koszuli.

– Daj spokój! Mamy ważniejsze problemy! – syknęła z irytacją. – Myśl trochę!

Usiadł, ale z tak urażoną miną, że aż zagryzła wargi ze złości. Czuła, jak kula gniewu gwałtownie pęcznieje jej w gardle. Nawet nie powstał zaczątek planu, a Sambor już gotów był wszystko zepsuć! Wzburzenie, które Nila tłumiała w sobie godzinami, wreszcie doszło do głosu.

– Psiakrew, Sambor! – Z całej siły uderzyła go w ramię. – Użyj rozumu choć raz!

– Myślisz, że tego nie robię?!

– Ja w każdym razie nie widzę!

– To przypatrz się uważniej!

– Po co? Znam cię na wylot! – prychnęła jak rozzłoszczona kotka. Spoglądali na siebie z niechęcią, jak dwoje ludzi, którzy szczerze

się nie znoszą. I pewnie siedzieliby tak naburmuszeni aż do samej Mercaty, gdyby nie Alla, która nachyliła się ku nim.

– To już? Koniec wymyślania planu? – odezwała się drżącym głosem.

– Przestań – powiedział cicho Sambor.

Ale ona nie miała takiego zamiaru.

– Nie! – załkała. – Nie rozumiesz?! Jeśli zaczniecie się na siebie bocyć, przegramy! Ile mamy czasu? Sam mówiłeś, że trzeba uciec przed Mercatą! Zawiozą nas w tej klatce na targ, sprzedadzą i nigdy więcej nie zobaczymy domu, a może i siebie nawzajem...

Zmieszany Sambor umknął spojrzeniem w bok.

– Umrzemy w samotności! Jest mi zimno! Strasznie się boję! Przestańcie zachowywać się jak dzieci! – szeptała roztrzęsiona.

Nilu otworzyła usta, by zaprotestować, ale Alla uniosła ostrzegawczo palec.

– Oboje! – krzyknęła, po czym, zrezygnowana, ukryła twarz w dłoniach.

Sambor niezdarnie pogłaskał ją po głowie.

– No, już dobrze. Przestań... – wymamrotał. – Nie znoszę, gdy wy, dziewczyny, płaczecie. Nilu – rzucił bez zbędnych ceregieli – zgoda?

Nie dostrzegła w jego wzroku ani urazy, ani pogardy.

– Tak – odpowiedziała. – Przepraszam.

On zaś delikatnie, jakby bał się spłoszyć kruchą chwilę pojednania, położył palce na jej dłoni.

– Ja też.

Potem wskazał zapatrzonemu w dal Żrenicznika. Oboje wiedzieli, że dobrze byłoby pozyskać jeszcze jednego sojusznika, który dzięki swym mocom mógłby być prawdziwym skarbem podczas ucieczki.

– Dalko, zgoda? – zapytała Nilu spolegliwie.

Chłopak wzruszył ramionami i uparcie milczał, ona jednak postanowiła nie zwracać uwagi na jego obojętność.

– Wiesz, gdy już uciekniemy – powiedziała do niego – pomożemy sobie nawzajem. Wodniczka jest malutka, łatwo jej nie zauważyć. Poza tym, bardzo długo wytrzymuje pod wodą. Może być naszym zwiadowcą...

Ponieważ nie protestował, Nila uznała, że może mówić dalej.

– Ja jestem Żniwiarką, ale to dla ciebie nie nowina. Uzdrawiam i...
– z trudem to wyznała – ...mogę odebrać życie.

Spojrzała na niego w nadziei na jakąkolwiek oznakę zainteresowania, lecz on wciąż tylko się w nią wpatrywał.

– Ty jesteś Żrenicznikiem i jak mało kto byś nam się przydał. Sambor jest Unikiem. Doskonale walczy. Alla to Gwarek.

Nila rozmyślnie nadal nie ujawniła tajemnicy podwójnej mocy siostry. Im skrzętniej jej strzegły, tym lepsze były widoki na przetrwanie.

Chłopak w dalszym ciągu zawzięcie ją ignorował. Po prostu odwrócił wzrok, jak gdyby propozycja dziewczyny była czymś najnudniejszym, czego musiał w życiu wysłuchać. Nila ze wszystkich sił tłumiała w sobie chęć, by złapać go za koszulę i porządnie nim potrząsnąć.

– Dalko?! – w końcu huknęła rozjuszona. – Co ty na to?!

Wywrócił oczyma, dając jej do zrozumienia, że zadała mu najgłupsze pytanie na świecie. Potem od niechcienia wskazał ręką Wodniczkę.

– Ja na to, że ona... jest tylko małym dzieckiem, na dodatek dziwnym.

Przesunął rękę w stronę Alli.

– Ty jesteś przerażoną dziewczynką i to tak słabą, że do niczego mi się nie przydasz. Będiesz ciężarem.

Wściekła Nila zerwała się na równe nogi, a Dalko przeniósł spojrzenie na jej zaczerwienioną z gniewu twarz.

– A ty – powiedział – choć jesteś z nich najrozsądniejsza, myślisz tylko o tym, jak uratować siostrę. Pozostali wcale cię nie obchodzą! Szlag! W życiu wam nie zaufam!

– A ja? – na pozór spokojnie spytał Sambor.

– Ty? To proste, ty jesteś jedynie nadętym głupkiem.

Nila nie musiała zgadywać, co się stanie.

– Pożałujesz! – syknął Sambor i doskoczył do Żrenicznika.

Dopadł go, złapał za koszulę i zdzielił z całych sił. Dalko nie pozostał dłużny. Weles wydał z siebie pełen wściekłości ryk.

– Marcus, ty tępą leniu! Rusz zad!

Ponaglony łowca spiął konia i wyciągnął bat, ale zanim dotarł do wozu, pięści obu Niepowszednich były już na dobre w ruchu. Marcus zeskoczył z konia i z całej siły, na oślep, tłukł walczących drewnianą rękojęścią. Na niewiele się to jednak zdało.

– Przestań! – krzyknął do Sambora.

Chłopak ani myślał przestawać. Nie w chwili, gdy właśnie rąbnął Dalko w brodę tak, że ten aż zachwiał się na nogach.

– Dość! Ty gnido! Przestań! – Marcus wrzeszczał jak opętany.

Unik nie słyszał nikogo i niczego. Rozsierzony łowca z uporem wymierzał więc razy, a trzonek bata co i rusz przelatywał Nili przed oczyma. Gdy niezdarnie opadła na kolana, by uciec przed nim w kąt wozu, Marcus złapał ją znienacka za dłoń i boleśnie ucisnął. Coś malutkiego spoczęło między ich złączonymi palcami! Jakby kawałeczek złożonego pergaminu!

Spojrzeni na siebie w napięciu. On niepostrzeżenie skinął jej głową, ona przymknęła powieki na znak, że rozumie. Chwilę później oboje dostrzegli zbliżającego się Welesa i jednocześnie odskoczyli, byle dalej od siebie.

– Dość tego! – Głos herszta zagrzmiął jak huk błyskawicy.

O dziwo, jego ryk Unik usłyszał. Nila nie wiedziała, czy to przywódca Okrutnych Złotników wzbudzał w Samborze większy respekt niż Marcus, czy po prostu chłopak znudził się nierówną walką, ale wreszcie znieruchomiał i opuścił pięści, a poobijany Dalko padł na deski. Weles szybko otaksował wzrokiem wnętrze wozu.

– Dość! – powtórzył już spokojnie. – Jesteście towarem. A uszkodzony towar traci na wartości.

Zmusił Dalko do podniesienia głowy. Obejrzał posiniaczoną twarz i skrzywił się na widok tego, co zobaczył. Marcus w tym czasie szturchnięciem batoga dał Samborowi znak, by wyciągnął dłoń i pokazał otarcia na kostkach. Łowca zaklął, a potem wyjął zza pazuchy kawałek lnianej szmatki i obwiązał chłopakowi krwawiące knykcie. Weles obserwował te zabiegi z obojętnym wyrazem twarzy, od niechcenia bawiąc się kostkami do gry. Przesuwał je tak zręcznie między palcami, że zdawały się być naturalnym dopełnieniem jego ręki.

Po chwili wóz znów toczył się równym tempem. Marcus wrócił na

swoje stanowisko za furgonem, ale Weles – ku przerażeniu Nili – nie odjechał! A im bliżej prowadził konia, tym cięższy wydawał jej się malutki sekret ukryty w zagłębieniu dłoni. Czym prędzej schowała więc rękę w fałdach sukni i zacisnęła w kułak tak mocno, że paznokcie boleśnie wbiły się w skórę.

Zapanowało przejmujące milczenie. Nila była pewna, że bicie jej przestraszonego serca słychać z odległości kilku metrów. Skrawek pergaminu w dłoni zdawał się ważyć więcej niż cetnarowy gład. Ze zgrozą obserwowała drżenie ukrytej w zakładkach materiału pięści. Weles musiał widzieć to dygotanie równie wyraźnie jak ona! Patrzył z taką uwagą, że dziewczyna aż podkuliła nogi i docisnęła je do brzucha.

– Co z tobą, moja droga? – W głosie mężczyzny nie było nawet odrobiny troski, tylko chłodna ciekawość. – Czyżbyś była chora? Trzęsiesz się cała.

Nila gorączkowo szukała odpowiedniego kłamstwa. Dość dobrego, by jej uwierzył, i dość intymnego, by wreszcie przestał się nią interesować i oddalił od wozu!

– Nie. – Skrzywiła się boleśnie. – To tylko kobieca przypadłość... Znudzony pokiwał głową.

– Rzeczywiście, strasznie zbladłaś – stwierdził. – Marcus da ci trochę suszonego mięsa na wzmocnienie. Masz być w pełni sił, bo...

Nagle urwał, zirytowany na dźwięk tętentu końskich kopyt. Od przodu kolumny pędził na złamanie karku Izbor. W zagłębieniu ramienia wiozł drobnego gołębia, na którego widok poobijana twarz Bestiarki zastygła w podziwie.

– Magnetyk! – szepnęła nabożnie.

Nila przyjrzała mu się uważnie. Takich ptaków nie widywało się na co dzień. Za ich niezwykłą zdolność przemierzania olbrzymich odległości w poszukiwaniu swego pana płaciło się fortunę.

– Rozpoznają magnetyczną aurę właściciela. Uczą je tego od pisklęcia, więc dystans nie jest dla nich przeszkodą – tłumaczyła szeptem Alla. – Po prostu wiedzą, dokąd lecieć, bo wzajemnie przyciągają się ze swoim właścicielem.

Izbor tymczasem łagodnym ściągnięciem wodzy osadził konia w miejscu.

– Przyleciał przed chwilą. – Przekazał Welesowi kawałek papieru. Zsiadł z konia i głaszcząc delikatne skrzydełka, włożył ptaszynę do wiklinowej skrzynki przytroczonej do kulbaki.

To dlatego wieziemy pustą klatkę! – olśniło Nilę. – *Czeka na przylatujące z wiadomościami gołębie!*

Weles pograżył się w lekturze, magnetyk zaś przechylił główkę i zniechęca zwrócił swe okrągłe oczy na Bestiarę. Po sekundzie zastygł w bezruchu wpatrzony w nagły ruch dziewczęcych palców. Tak szybki, że nikt poza przywykłą do tego Nilą go nie dostrzegł. Łowca niedbale rzucił liścik w błoto.

– Cóż – rzekł – wygląda na to, że wasi rodzice pojechali po pomoc do samego kniazia. Aż do Ferretek! Godne podziwu...

Wszyscy Niepowszedni zamienili się w słuch. Weles roześmiał się drwiąco na widok ich min, zdradzających pełne napięcia oczekiwanie.

– Niestety! – Wzruszył ramionami. – Odmówił im zbrojnych. Pech, nieprawdaż?

Gdy dotarło do niego, że nie zrozumieli, popatrzył na nich z politowaniem i zaśmiał się ponuro.

– Niby wyjątkowi, a tacy głupi! Ujmę to inaczej, porzucicie nadzieję. Nikt nigdy się po was nie zjawi! Mercata czeka!

Po tych słowach skinął Nili głową, spiął konia i odjechał, a w ślad za nim podążył Izbor.

Zostali sami.

– Jakaś gnida – warknął wściekły Sambor – mu donosi!

Alla objęła siostrę ciasno ramionami.

– Ten gołąb – szepnęła – widziałam jego wspomnienia. Ktoś go wysłał z Kamiennych Kości!

– Wiem – odparła Nila i spojrzała zatroskana na pozostałych. – I co teraz? My jesteśmy coraz bliżej targu, a rodziców nawet nie ma jeszcze w Krańcu! Może w ogóle tu nie dotrą! A nawet jeśli się w końcu zjawią, to będą zupełnie sami. Bez pomocy!

– Słuchaj – przerwał jej Sambor – nasi ojcowie od dwudziestu lat walczą z kamieniami! Sami! To najtwardsi ludzie, jakich znam! Myślisz, że powstrzyma ich brak żołnierzy kniazia? Nigdy! Oni się nie poddadzą!

Nila wiedziała, że miał rację. Jednego nie można było odmówić ich

rodzicom – hartu ducha.

Uśmiechnęła się do chłopaka z wdzięcznością, a potem rozejrzała się wokół i upewniwszy się, że nikt ich nie obserwuje, wyciągnęła przed siebie zaciśniętą dłoń. Otworzyła pięść, pokazując im malutki kawałek zwiniętego pergaminu.

– Co to?

– Wiadomość. Od Marcusa.

Zdumieni, zapatrzili się na niepozorny skrawek. Nila rozwinęła go powoli.

– Umiesz czytać? – ze słabo skrywanym podziwem zapytał Dalko.

Kiwnęła głową twierdząco. Rodzice, choć biedni, potrafili czytać i tego samego nauczyli obie córki.

– I? – zniecierpliwił się Sambor. – Co napisał?

Zaskoczona dziewczyna wpatrywała się w litery koślawo skreślone niewprawną ręką łowcy.

– **POMOGĘ WAM. BĄDŹCIE CZUJNI.**

W wozie zapadła przejmująca cisza. Wszyscy wyglądali na równie zdezorientowanych, pełnych podejrzeń i najgorszych obaw. Sambor bez słowa wyjął pergamin z chłodnych palców Nili.

Kilkoma zdecydowanymi ruchami podarł liścik na maleńkie skrawki i wyrzucił przez szczeliny w deskach. Ślad po tajemnicy Marcusa przestał istnieć.

– To tylko słowa łotra – warknął. – Tyle warte, co on sam. Nic! Ale... nie mamy wyboru.

Żadna z dziewcząt się nie odezwała, oczywistym bowiem było, że musieli wykorzystać każdą okazję. Nawet tak wątpliwą. Coś innego zaprzętało teraz ich umysły.

– Dalko? – odezwał się cicho Sambor.

Żrenicznik westchnął ciężko i spojrzał na nich ponurym wzrokiem.

– Teraz, gdy dałeś mi po gębie, nie znoszę cię jeszcze bardziej, ale... no tego... tylko dureń nie spróbowałby zwiać! Szlag! Pójdę.



Wóz mozolnie brnął przez błoto. Koła tonęły w kleistej mazi niemal po osie, a zmęczone konie poruszały się z coraz większym wysiłkiem. Stopniowo przeobrażał się krajobraz – połączenie soczystej murawy ustępowały miejsca olbrzymim równinom, na których ziemia była licha i miała brzydki bury kolor. Drzew nie było tu wcale, nawet najmniejszy olszynowy zagajnik nie burzył jednostajności pejzażu.

Umęczona Nila przestała już zwracać uwagę na wodę, która nieprzerwanie lała się z nieba. Siedziała oparta o kraty i niemrawo obserwowała okolicę. Z nudów liczyła kamienie kurierskie odmierzające kolejne staje. Akurat doszła do czterdziestu dwóch, gdy dokonała się ostateczna zmiana scenerii – w końcu zieleń niemal bez reszty się poddała. Nieliczne trawy mieniły się odcieniami żółci, a wśród nich wszędzie panoszyły się kępy piołunu. Na tej wyjątkowo kiepskiej glebie i wielodniowy deszcz nie był w stanie na dobre ożywić roślinności.

Dalko mruknął coś pod nosem.

– Co takiego? Co powiedziałeś? – zapytała Nila.

– Wjechaliśmy na Uroczysko – burknął tylko nieco wyraźniej.

– To ważne?

Chłopak popatrzył na nią z politowaniem i wywrócił oczyma.

– No... dobrze chyba wiedzieć, gdzie się jest, skoro chce się zwiać.

Nila raz jeszcze zerknęła na okolicę. Wyglądało na to, że kto widział jedną wiorstę na Uroczysku, widział już wszystkie. Dokoła, jak okiem sięgnąć, było tak samo pusto, szarobrazowo, ponuro i upiornie. Jedyнным punktem, który burzył tę przygnębiającą monotonię był majaczący w oddali pagórek.

Gdy w końcu do niego dotarli, Okrutni Złotnicy bez żadnego sygnału zatrzymali się i zaczęli przygotowania do popasu.

– Bogowie, co to jest? – wyszeptała osłupiała Nila.

Łowcy, zajęci rozkulbaczaniem koni, w ogóle nie zwracali uwagi na niezwykłość tego miejsca. Dalko zresztą też nie. Porośnięta chwastami olbrzymia hałda ziemi usypana została w kształt idealnego

koła i górowała nad okolicą. Jej podstawę opasywała zasłona z potężnych granitowych bloków, a na każdym z nich wyryto misterne spiralne znaki, które nic mieszkańcom Kamiennych Kości nie mówiły. Nieco dalej stał rząd kilkunastu wbitych w ziemię idealnie ociosanych słupów z piaskowca. Niczym oddział nieruchomości wartowników broniły podejścia do największego i najbogaciej zdobionego symbolami głazu.

– To? – Żrenicznik obrzucił usypisko obojętnym spojrzeniem. – To Wielki Tolos.

Cztery pary zdumionych oczu zwróciły się w jego stronę równocześnie. Nie mieli najmniejszego pojęcia, o czym mówił.

– Wielkie co? – odezwali się chóralnie.

Chłopak podrapał się w głowę.

– Tolos. No, u nas mówią na to też kurhan, a u was to pewnie ten... grobowiec!

– Grobowiec?! To tutaj tak grzebie się zmarłych? – nie mogła uwierzyć Alla.

– Kiedyś tak, w starodawnych czasach. – W głosie Dalko zabrzmiała nuta nieskrywanej irytacji. – Gdzie wyście się chowali? Nic nie wiecie.

– I wszystkie grobowce są takie wielkie? – Bestiarka nie dawała za wygraną.

– Nie, nie wszystkie! – warknął chłopak. – Coś się tak przyczepiła? Nie jestem waszą niańką! Nie muszę wam wszystkiego wyjaśniać.

Nilą zdążyła już przywyknąć do tych wybuchów złości, więc nie przejęła się jego burkliwym tonem.

Z niedowierzaniem patrzyła na nasyp. W jej krainie ludzie witali się ze śmiercią tak jak żyli – skromnie, a ich mogiły były małe i niepozorne. Z szacunku dla zmarłego oraz na znak wiecznego pożegnania kładziono na stosie mokrej ziemi biały odłamek skalny, w końcu mieli takich pod dostatkiem w Kamiennych Kościach.

– Ma chyba ze trzydzieści pięć sążni średnicy – zdumiał się Sambor, szacując rozmiary Wielkiego Tolosa. – I pewnie z sześć wysokości! Kogo, u licha, pochowaliście w takim olbrzymie?

– Króla? – z nabożnym szacunkiem spytała Alla.

Dalko wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem! Nikt już nie pamięta. Teraz to tu się śpi!

– Co takiego? – przeraziła się Nila.

– No patrz, głupia!

Głucha na obelgę, posłusznie przyjrzała się gorączkowej bieganinie Okrutnych Złotników. Rozkulbaczone konie przywiązano już długimi powrozami do kamiennych słupów, a zwierzęta skubały nędzną trawę. Łowcy zajęli się przygotowaniem obozowiska. Sprawnie przesunęli ogromny głaz, odsłaniając mroczne wejście do wnętrza Tolosa. Rażno wnosili tam sakwy, siodła i broń. Wszyscy poza Welesem byli zajęci. Herszt z wysokości wierzchowca obserwował poczynania swych ludzi i jak zwykle dłoń miał zajęta kośćmi do gry.

– Otworzyli grób?! – jęknęła Nila.

Dalko patrzył na to niewzruszony.

– No i co z tego? Zawsze tu się zatrzymują.

– Skąd wiesz?

– Jechałem z nimi w przeciwną stronę, ku Topieli.

Nila spojrzała uważnie na chłopaka. Choć wciąż usiłował ich obrazić i odgrażał się, że nie jest przewodnikiem, w gruncie rzeczy chętnie dzielił się z nimi swą wiedzą, a przy tym nie wyglądał na kogoś, kto lubi być najmądrzejszy. Nie puszył się, nie przybierał pozy lepszego od nich. Po prostu, sam z siebie mówił tylko tyle, ile chciał i kiedy miał na to ochotę, a ostatnio robił to znacznie częściej niż na początku podróży. Najwyraźniej albo zaczęła mu doskwierać samotność i bezwiednie szukał akceptacji towarzyszy niedoli, albo w istocie nie był aż tak nieprzystępny, za jakiego chciał uchodzić. Po namyśle Nila gotowa była się założyć, że najpewniej i jedno, i drugie było prawdą.

Tymczasem Weles szarpnął wodzami i skierował konia w stronę wozu.

– Warty? – krzyknął za nim Izbor.

– Co cztery godziny!

– Tak jest! – Izbor rozejrzał się wokół. – Czedrog! Czedrog, psiakrew!

Zza nasypu wyszedł wysoki, brudny mężczyzna z kulbaką przerzuconą przez ramię. Jego rozchełstaną przeszywanicę znaczyły

smoliste ślady, a buty aż do cholewek umazane były błotem. Czedroga nie sposób było pomylić z innym łowcą. Miał bowiem najbardziej bezmyślny wyraz twarzy spośród wszystkich Okrutnych Złotników.

Po tylu dniach wspólnego wędrowania Niepowszedni znali znienawidzone oblicza łotrów na pamięć. Fizjonomia Welesa mogła zwieść tylko naiwne istoty. Każdy, kto twardo stąpał po ziemi, dostrzegał w nim lodowaty chłód, zupełny brak współczucia i okrucieństwo, przekraczające granice wyobraźni. Wszystko to było słabo ukryte pod maską dostojności. Rysy Izbor od razu przywodziły na myśl zachwyconego sobą łajdaka, który chciał w życiu tylko złota, okowity, uciech i solidnego mordobicia. Marcus i Lasota byli do siebie podobni, choć fizycznie różnili się jak ogień i woda. Jeden zwalisty jak niedźwiedź, z szopą skołtunionych włosów i brodą związaną rzemykiem, drugi barczysty, ale gibki, z krótkimi złotymi lokami, okalającymi mu twarz na wzór cherubina. Obaj jednak skrywali w oczach tę samą chciwość i przez nią spoglądali na Niepowszednich jak na inwestycję, która miała się rychło spieniężyć. Faro, dla odmiany, wyglądał jak bestia, zachowywał się jak bestia i z całą pewnością był bestią. Natomiast Nadira i Lederga charakteryzowały głównie złośliwość wyryta na twarzach oraz krzaczaste bokobrody, bo takie – nie wiedzieć czemu – obaj sobie upodobali. Gdyby nie bulwiasty czerwony nos tego pierwszego oraz wąskie, niemal niewidoczne usta tego drugiego, trudno byłoby ich od siebie odróżnić. I wreszcie Czedrog. Niskie czoło, szeroko rozstawione oczy, krzywe zęby, wiecznie uwalana jedzeniem broda i odór, jakby nie mył się od kilku lat. Widywali go rzadko podczas podróży. Zwykle jechał daleko na przedzie jako zwiadowca, a w obozie pojawiał się dopiero w porze popasu.

- No, nareszcie! – krzyknął na jego widok Izbor.
- Czego?
- Bierz pierwszą wartę przy wejściu!
- Niech cię cholera! Marcus miał mieć pierwszą!
- Ma bachory na łbie, durniu!
- Ale...

Izbor ostrzegawczo uniósł pięść.

- Jeszcze słowo...

Wściekły Czedrog rzucił siodło na ziemię, w milczeniu ulokował się przy wejściu do ciemnego korytarza i wyciągnął nogi na całą szerokość wąskiego tunelu. Pozostali mężczyźni, niezrażeni tą niespodziewaną przeszkodą, przestępowali nad łowcą, wciąż uwijając się jak w ukropie. Wnieśli już do środka większość tobołków, a z najwyższego punktu nasypu wydobywała się cienka smużka dymu. Rozpalono ogień! Mieszkańcy Kamiennych Kości patrzyli zgorszeni na to znieważenie umarłych.

– Bydlaki! Jeszcze będą tam żreć! – warknął Sambor.

Weles, usłyszawszy jego słowa, podjechał do wozu i zmierzył chłopaka lodowatym spojrzeniem.

– A ty masz wciąż niewyparzoną gębę. Wiesz, że mogę coś na to poradzić. Ot tak! – Strzelił palcami. – W jednej chwili!

Nila wyciągnęła dłoń w stronę grobowca.

– To obraza bogów! – zaprotestowała. – Spotka nas za to kara! Tak się nie godzi! Tam są zmarli!

Łowca parsknął śmiechem.

– Moja droga, jedyne, co tam jest, to proch po trupach i wyborne schronienie przed deszczem. Wreszcie odrobina ciepła!

– Nie! – krzyknęła. – Nie chcę tam wchodzić! Nie wolno! Niebiosam tego nie darują!

Weles wzniósł oczy do nieba i przez chwilę ważył słowa.

– Nadal nic nie rozumiecie, prawda? Niebiosom nic do tego, gdzie wam każę spać, dziewczynko. Dla was ja jestem jedynym bogiem! I radzę wam, róbcie, co każę, bo mój gniew bywa bolesny! Wierz mi, że nic gorszego ode mnie nie może cię już spotkać! Miarkujesz, co mówię?

Dla niego nie ma żadnej świętości, zdepcze wszystko! – pomyślała Nila, patrząc w jego zimne i bezduszne oczy. – *To czyste, najprawdziwsze zło. Jeśli się sprzeciwię, znów skrzywdzi Allę.*

– Moja droga? – ponaglił ją niecierpliwie.

Nila westchnęła ciężko.

– Wejdę tam, przeproszę zmarłych i dotrwam do rana.

– Tak też myślałem. Marcus!

Uniósł w górę klucz do klatki, ale nawet nie zadał sobie trudu, by podać go podkomendnemu. Po prostu rzucił go niedbale, jak ciska się

ochłap psu.

– Aport, durniu! – zarechotał.

Marcus nie ruszył się z miejsca. Podczas, gdy on w milczeniu patrzył na leżący w kałuży kawałek metalu, Weles nie przestawał komenderować.

– Bierz towar do środka! Zwiąż ich razem solidnie, wypuść i zaprowadź do najmniejszej wnęki. Zrozumiałeś?

Odpowiedziała mu cisza.

– Marcus, głąbie! Pojąłeś?!

– ... Tak jest.

Łowca pokornie schylił głowę ale Nila nie dała się zwieść.

Nienawiść do Welesa miał wypisaną na twarzy. Powoli zaczynała składać w całość elementy rozsypanej dotąd układanki. Od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyła Okrutnych Złotników, nie słyszała jednego dobrego słowa wypowiedzianego w stronę Marcusa, najmniejszego nawet gestu, którym herszt nagrodziłby swego towarzysza. Była za to świadkiem ciągłych zniewag i nadto widocznej wzdargi. Zaczęła rozumieć powody, dla których jeden z członków bandy zamierzał wystąpić przeciw swemu watażce.

Chwilę później, gdy Niepowszedni stanęli przed niewielkim wejściem do grobowca, Czedrog zmierzył ich niechętnym spojrzeniem.

– Ty bydlaku – wycedził do Marcusa. – To twoja warta! Rzygam już tym deszczem! Chciałem trochę łachy wysuszyć!

Marcus sięgnął ręką za pazuchę i wyjął niewielki bukłaczek.

– Druhu! – rzucił pogodnie. – Zmienię cię, zanim się obejrzysz. Póki co, masz. Okowita, mocna jak czort! Jest twoja, Czedrog. Ino spróbuj, a od razu powiesz, żeśmy kwita.

Obdarowany łowca bez słowa wyciągnął korek i pociągnął solidny łyk. Przymknął na chwilę oczy, rozkoszując się smakiem gorzałki, po czym skinął głową.

– Idź.

Marcus brutalnie szarpnął powróż.

– Ruszać się, gnojki!

Wkroczyli gęsiego w wąski korytarz. Ze wszystkich stron otaczały ich granitowe bloki. Nigdy nie widzieli czegoś podobnego. Nawet

sklepienie ułożono z kamiennych płyt!

Ze środka docierał stłumiony odgłos śmiechu i rozmów. Łowcy byli gdzieś w pobliżu, ukryci za ścianami.

Marcus szedł pierwszy, ciągnąc za sobą Nilę. Reszta wlokła się za nimi, kalecząc się w półmroku o ostre krawędzie ścian. Rzecz jasna z wyjątkiem Żrenicznika, który widział wszystko tak pewnie, jak za dnia.

Nilę przesunęła palcami po zimnej granitowej powierzchni.

– Darujcie, że wam przeszkadzamy – przeprosiła szeptem spoczywających tu zmarłych. – To nie nasza wina ...

Marcus szarpnął sznurem tak mocno, że dziewczyna zachwiała się na nierównym podłożu i niezdarnie oparła o jego pierś. Natychmiast złapał ją za kark i gdy pomyślała, że chce ją zdzielić za nieporadność, on niespodziewanie przycisnął wargi do jej ucha.

– Licz kroki! Uciekamy w nocy. Jasne? Licz!

Szybko pokiwała głową, a on odepchnął ją i jakby nigdy nic ruszył przed siebie.

Nilę odwróciła się, by popatrzeć na obramowanie wejścia. Nie miała pojęcia, ile kroków przeszła. Pewnie nie więcej niż dziesięć. Zaczęła więc rachować od jedenastu. Gdy doliczyła do trzydziestu dziewięciu, korytarz się skończył.

Stanęli w okrągłej izbie – ciemnej, dusznej i zaskakująco niedużej jak na wnętrze takiego olbrzyma. Pośrodku rozpalono ogień, a na ruszcie obracał się niewielki królik. Łowcy rzeczywiście zamierzali tu jeść! Rozłożyli się na piachu, zdjęli mokre przeszywanice i radowali się ciepłem przy wesoło trzaskających płomieniach. Siedzieli w kręgu, oparci o swoje sakwy, a rynsztunek spoczywał za nimi. Jedynie Izbor tuż przy udzie trzymał kuszę, którą zwykle woził przytroczoną do siodła. Najwyraźniej nie rozstawał się z nią nigdy.

Komora rozbrzmiewała śmiechem, krzykami i pogroźkami, a mężczyźni przekazywali sobie raz kości do gry, raz bukłaki z gorzałką.

Nilę skuliła ramiona, słysząc takie hałasy, i rozejrzała się trwożliwie po pomieszczeniu w poszukiwaniu śladu prawdziwych gospodarzy tego mrocznego miejsca. Nie było tu jednak nic poza piachem i rozbitymi skorupami starych glinianych dzbanów.

Sala miała trzy ślepe wnęki. Gdy Marcus popchnął ich w stronę tej

najmniejszej, dziewczyna ponownie zaczęła liczyć. Okrąglą izbę przeszła w czternastu krokach, a to razem z trzydziestoma dziewięcioma w korytarzu dawało ponad pięćdziesiąt.

Na łące czy polu pięćdziesiąt kroków byłoby nic nieznaczącym dystansem, ale gdy miały odmierzać drogę ucieczki przez wypełnioną łowcami główną komorę i wąski, ciemny tunel, stanowiły odległość ogromną. Na dodatek Złotnicy rozłożyli się dokładnie na trasie, którą Niepowszedni mieli się skradać. Nila pokręciła głowę z powątpiewaniem. To nie mogło się udać, w każdym razie było potwornie ryzykowne!

– Włazić tu! – Marcus wepchnął ich do niszy.

Była tak mała, że siedzieli naprzeciw siebie i ciasno stykali się kolanami.

– Patrzcie! – Wskazał zajętych rzucaniem kości towarzyszy. – Mamy was już dość i chcemy się zabawić. Nareszcie nie leje się nam na łby. Można zagrać i napić się gorzałki aż... padniemy!

Boleśnie dźgnął Nilę palcem w ramię.

– Pojmujesz, głupia?! Aż padniemy!

Czekamy więc, aż się upiją!

Kiwnęła mu głową, że zrozumiała.

– No! To zamknąć gęby i nie przeszkadzać!

To powiedziawszy, odszedł w kierunku ognia. Mężczyźni rozsunęli się, robiąc mu miejsce. Marcus trącił nogą Izborę i powiedział coś do niego burkliwie, na co wszyscy zrazu wybuchnęli grubiańskim rechotem, ale już po chwili zamilkli pod zirytowanym spojrzeniem dowódcy. Ten bowiem niecierpliwie pociągnął z bukłaka i zarządził natychmiastowy powrót do gry. Siedmiu Okrutnych Złotników nachyliło się nad rozłożoną na piachu przeszywanicą, po której miały się za chwilę potoczyć alabastrowe bryłki. Weles lekko potrząsnął kubeczkami i wsłuchał się w grzechoczące na dnie kości. Rzucił, a potem, jak pozostali, czekał, aż sześciany zdecydują o wygranej lub przegranej. Gdy wreszcie zastygły w bezruchu, jęknął zawiedziony.

– Aaaaa! Niech to krew zaleje!

Zadowolony Izbor zatarł ręce.

– Płacisz, wodzu! – Kubek powędrował do kolejnych rąk, a gracze

znów przygarbili się nad ziemią w oczekiwaniu na następny rzut.

Nilą tymczasem w duchu dziękowała budowniczym grobowca za to, że wnęka była tak mała. Dzięki temu nie musiała się przemieszczać, by rozmawiać z pozostałymi. Wystarczyło szeptać.

– Dziś w nocy – wymamrotała. – Pięćdziesiąt trzy kroki do wyjścia.

Aż podskoczyli! Wszyscy czworo. Sambor złapał ją za rękę.

– Kiedy?

Mogła mieć tylko nadzieję, że dobrze zrozumiała to, co Marcus chciał jej przekazać.

– Gdy się upiją i padną.

Pięć par oczu spoczęło na mężczyznach. Choć na wyścigi raczyli się gorzalką, wciąż byli zbyt trzeźwi, by kłaść się spać.

– Przed nami długa noc – zauważyła Alla.

Minuty przechodziły w kwadransy, te w godziny, a oni wciąż tylko siedzieli i czekali. Czas płynął, łowcy grali, pili, przeklinali i coraz głośniej wrzeszczeli na siebie. Pieniądze, tak jak flaszki i kości, przechodziły wciąż z rąk do rąk. Nikt nie spał – ani zbóje, zbyt pochłonięci rzucaniem kości, ani czworo Niepowszednich, czujnie przyglądających się swym prześladowcom. Tylko Dalko nie chciał patrzeć w stronę graczy. Opuścił głowę i wbijał wzrok w ziemię z jakąś ponurą zaciętością. Wyglądał tak, jakby rozgrywające się w Tolosie przedstawienie frasowało go bardziej niż cokolwiek dotąd. Ponieważ jednak dał jasno do zrozumienia, że nie przejmuje się zmarłymi, zrozumieli, że coś innego musiało zatruwać mu myśli.

Nilą wierciła się niespokojnie przy każdym pijackim okrzyku czy gwałtowniejszym ruchu coraz bardziej niezdarnych mężczyzn. Nerwy miała napięte jak postronki, więc gdy Marcus wstał nagle i wskazał ręką wyjście, o mało nie wyskoczyła ze skóry.

– Co on robi? – syknęła.

– Idę! – zabełkotał łowca. – Muszę zmienić Czedroga!

Weles uniósł głowę znad rozrzuconych na kaftanie kości i zmarszczył brwi. Myślał nad czymś usilnie. Wreszcie w jego zamglonych trunkiem oczach pojawił się błysk chciwości.

– Czedrog? On ma pieniądze! Niech tu przyjdzie, to zagra z nami.

Twarz Marcusa wykrzywił błazeński uśmiech. Niezgrabnie podniósł z piachu pękaty bukłak i pokazał go reszcie.

– On? Toż woli to! I ja też! Idę!

Po jego zniknięciu niewiele się zmieniło. Tylko Nili doszedł jeszcze jeden powód do zmartwień. Nie miała pojęcia, czy powinni czekać na powrót Marcusa, czy wyjść sami, gdy tylko łowców zmorzy sen. Knute naprędce spiski zwykle miały to siebie, że konspiratorzy nie znali odpowiedzi na większość najważniejszych pytań, od których zależały ich losy. I nie inaczej było z ich tajemnymi zamiarami.

Ponieważ nie wiedzieli, co począć, nie odważyli się podjąć żadnej decyzji. Musieli więc nadal cierpliwie czekać, aż banda zatraci się w grze i pijaństwie.

Z czasem krzyki Okrutnych Złotników były coraz mniej wyraźne, przegrane coraz gorzej przyjmowane, a wygrane świętowane coraz większymi łykami gorzałki. Weles zaś wraz z każdym opróżnionym bukłakiem i kolejną utraconą sakiewką porzucał pozory statecznego eleganta. Na przemian szydził z przeciwników, gdy tryumfował, i szpetnie przeklinał kaprysy losu, kiedy przegrywał z kretesem. Krzyczał, chwiał się, mamrotał, ale mimo niedbale rozchylonej koszuli, przekrwionych policzków i chybotliwego kroku nadal budził grozę. I nie trzeba było być jego jeńcem, by się go bać. Kompani też woleli nie zadzierać ze swoim hersztem. Zaczęli kolejno milknąć, a w ich mętnych od okowity spojrzaniach pojawiła się czujność, jaką widuje się w oczach ludzi, którzy już niejedną raz mieli do czynienia z bestią i wiedzą, kiedy trzeba zejść jej z drogi.

Mężczyźni porzucili bukłaki, przysunęli do siebie miecze i układali się do snu wokół dogasającego ognia. Robiło się coraz ciszej, a izba pogrążała się w półmroku. Weles rozejrzał się wokół, zaskoczony.

– Co jest?! – ryknął. – Koniec gry? Tchórzliwe łajzy!

Nikt mu nie odpowiedział.

– Izbor! – Kopnął najbliższego leżącego mężczyznę. – Faro! Lasota!

Nikt się nie poruszył.

– Kundle jedne! – Weles cisnął bukłakiem o ścianę. – Niech was krew zaleje!

Niezgrabnie opadł na ziemię i bełkocząc coś pod nosem, położył

głowę na sakwie. Chwilę później zachrapał donośnie.

– Wreszcie! – Nila odetchnęła z ulgą i spojrzała w stronę wyjścia.

Czekali w bezruchu. Napięci jak struny nie spuszczała oka z ciemnego wylotu korytarza. Nic się jednak nie działo! Czas płynął, ale Marcusa nie było widać. Ogień prawie już wygasł, a resztki jego blasku coraz słabiej oświetlały wnętrze grobowca.

– Idzie! Widzę go – szepnął nagle Dalko.

Mimo iż usilnie wpatrywała się w mrok, Nila nie zobaczyła nikogo. Dopiero odgłos kroków – lekkich, szybkich i bardzo cichych – wskazał jej łowcę. Jak na tak wielkiego mężczyznę, Marcus potrafił poruszać się nad wyraz zwinnie. Uniósłszy w górę tłącą się pochodnię, ominął śpiących kamratów i ukląkł u wejścia do wnęki. Wyjął nóż, po czym sprawnie uwolnił więźniów.

– Czedrog? – wyszeptała Nila.

Mężczyzna przesunął kantem dłoni po szyi, na co wystraszona Alla jęknęła głucho. Stuknął ją niecierpliwie w głowę i przyłożył palec do ust, nakazując ciszę. Potem wyciągnął rękę w kierunku korytarza, a oni pokiwali głowami na znak zrozumienia. Po kolei ostrożnie podnosili się i wychodzili z kamiennej niszy. Marcus złapał Żrenicznika za ramię.

– Patrz i pomagaj prowadzić – szepnął.

Dalko przytaknął.

– Pięćdziesiąt trzy kroki – przypomniał Sambor.

Ruszyli powoli. Nila zaczęła liczyć. Po siedmiu natknęli się na pierwszego z Okrutnych Złotników. Faro spał z szeroko rozłożonymi ramionami i nawet nie drgnął, choć przeszli niemal ocierając się o niego. Lasota, Lederg i Nadir leżeli po przeciwległej stronie ogniska, którą Marcus postanowił ominąć. Szedł ku południowej ścianie izby, wprost na Welesa i Izbora!

Powoli, prawie bezszelestnie, przesuwali się do przodu. Łowca wraz z Wodniczką podążali jako pierwsi, a za nimi Alla. Szło jej nadzwyczaj dobrze. Stąpała lekko i zgrabnie manewrowała między rozrzuconymi sakwami.

Nila, wiedziona przez Dalko, sprawnie minęła Welesa. Przeszła już dziesięć kroków – wejście do tunelu było tak blisko! Wystarczyło tylko zostawić za sobą Izbora, a droga do wolności stawała otworem.

Dziewczyna odwróciła się, by spojrzeć, jak radzi sobie Sambor, i serce zamarło jej z trwogi. Unika za nią nie było! Został przy jukach Welesa i sięgał po miecz!

– Ty głupcze! – krzyknęła bezgłośnie. – Ty bezmyślny dzieciaku!

W poszukiwaniu pomocy gwałtownie szarpnęła dłoń Dalko, a on jednym spojrzeniem ogarnął sytuację i złapał się za głowę. Marcus uniósł pięść i wygrażał nią Samborowi z daleka. Wszyscy w bezsilnej złości machali rękoma, by odwieść chłopaka od szalonego pomysłu, być może najgłupszego w jego życiu. Jednak on nic sobie z tego nie robił. Położył dłoń na zdobionej runami rękojeści i powoli przyciągał oręż ku sobie. Nie spieszył się. Głownia przesuwiała się z cichym zgrzytnięciem po sakwie, tuż przy chrapiącym Welesie. Zdawało się, że w panującej dokoła ciszy tarcie metalu o skórzany worek brzmi głośniejsz niż pijacki charkot śpiącego łowcy. Żniwiarka i Żrenicznik zakryli usta w obawie, że zaczną krzyczeć z przerażenia.

Wreszcie Sambor tryumfalnie wyprostował się, wyciągnął miecz w górę i podszedł do nich spokojnym krokiem. Zadowolony z siebie, uśmiechnięty od ucha do ucha, z bronią nonszalancko położoną na barku. Nila zmierzyła chłopaka złym spojrzeniem.

– Dureń – przywitał go szeptem Dalko.

Unik wykrzywił lekceważąco usta, a gdy ruszył przed siebie, przyjął pozę walecznego rycerza, wracającego ze zwycięskiej walki. Niedbałym ruchem zdjął oręż z ramienia, a potem zaczął opuszczać miecz ku ziemi. Dziewczyna skamieniała na widok tego gestu. Wraz z nim zobaczyła bowiem coś jeszcze! Rzecz, której Unik nie dostrzegł, a która mogła ich kosztować wolność!

Kusza! Piękna, wykonana z orzechowego drewna ukochana zabawka Izbora leżała ledwie krok od Sambora i to w jej stronę sunęła klinga. Nila nie mogła nic zrobić! Patrzyła bezradnie, jak zdobiona złotymi runami broń opada centymetr po centymetrze. I gdy wydawało się, że nie ma już ratunku, bo wraz z głośnym uderzeniem metalu o drewno ich nadzieje zostaną pogrzebane, Dalko odepchnął dziewczynę, desperacko rzucił się przed siebie i gołymi rękoma chwycił za ostrze! Zapobiegł katastrofie w ostatniej chwili, ale drogo za to zapłacił. Na starannie wypolerowany orzech skapywały ciemne krople jego krwi.

Oniemiały Sambor z niedowierzaniem wpatrywał się w leżącego u jego stóp Dalko. Ten delikatnie rozprostował palce, a potem odsunął miecz na bezpieczną odległość. W końcu wstał, przycisnął pokaleczone dłonie do piersi i krótkim gestem ponaglił ich do wyjścia.

Marcus też miał już dość czekania. Wetknął gasnącą pochodnię w rękę Alli, ruchem głowy nakazał Wodniczce iść w stronę wyjścia i brutalnie wepchnął dziewczęta do korytarza.

– Szybciej! – warknął cicho do pozostałej trójki.

Posłusznie postawili pierwsze ostrożne kroki w stronę tunelu i po chwili weszli w mrok wąskiego przejścia. Daleko w tyle Marcus zamykał pochód.

– Jeszcze tylko trzydzieści dziewięć – przypomniała Nila pozostałym, daremnie usiłując uspokoić kołaczące serce.

Szli niezdarnie. Bez pochodni i zdani wyłącznie na cichą pomoc Dalko, poruszali się bardzo powoli. Trzymali się mocno za ręce, a Żrenicznik co chwila odwracał się, by ostrzec przed nierównością podłoża. Do wyjścia było coraz bliżej. Po dziesięciu krokach nadzieja nieśmiało wstąpiła w ich serca.

Po dwudziestu Sambor zawadził mieczem o wystający ze ściany kamienny wypust i wszystko legło w gruzach.

Dźwięk metalicznego uderzenia niczym niespodziewany grom wdarł się w ciszę, w której tak bardzo chcieli się schronić. Najpierw znieruchomieli przerażeni, a potem – niewiele myśląc – zerwali się do oszalałego biegu w ciemnościach. Potykali się, poganiali nawzajem i robili coraz więcej hałasu, który niósł się aż do głównej komory Wielkiego Tolosa.

Nili zdawało się, że coraz wyraźniej słyszy dobiegające zeń głosy. Nie tylko ona miała te same podejrzenia, bo Dalko zatrzymał się i obejrzał się za siebie.

– Nie! – jęknął. – Nie!

W oświetlonym blaskiem na nowo roznieconego ognia wylocie korytarza tłoczyli się Okrutni Złotnicy! Na ich czele, niedbale opierając o brzuch naciągniętą kuszę, stał Izbor.

– Marcus! Kamratów się nie kantuje! – zawołał i... zwolnił cięciwę.

Bełt z impetem wbił się w udo łowcy, który zachwiał się i padł na kolana. Krew, która rozlewała się wokół rannego coraz większą plamą, powoli wsiąkała w piach. Nila zaczęła krzyczeć.



Marcus nie żył. Zamknięci we wnętrzu grobowca, Niepowszedni zrozumieli to w chwili, gdy na zewnątrz nastąpiła nagle i przerażająca cisza. Wcześniej, przez kilka godzin słuchali jego pełnych cierpienia jęków. Ludzie Welesa wyciągnęli go na zewnątrz, gdzie nad ciałem Czedroga zadawali wciąż te same pytania o plan ucieczki oraz współników. Rozpętali piekło i kazali skrytym w Tolosie jeńcom przysłuchiwać się wrzaskom, przekleństwom i głuchym odgłosom uderzeń, którym towarzyszył jednostajny skowyt Marcusa. Ciemnym korytarzem bez przerwy niosły się upiorne dźwięki i nie sposób było im umknąć.

Nilą pragnęła z całych sił uratować łowcy życie, lecz gdy tylko wyciągnęła dłonie w stronę rannego, Izbor ryknął jak rozjuszona bestia, podbiegł do niej i jednym ciosem obalił ją na ziemię.

– Zabieraj łapy! Ani się waż! – warknął.

Potem uparcie błagała Welesa, by pozwolił jej pomóc Marcusowi, ale on pozostał głuchy na wszelkie prośby. Po prostu wzruszył ramionami i wyszedł na zewnątrz, a Okrutni Złotnicy ruszyli w ślad za nim, wlokąc po piachu krwawiącego towarzysza.

– Nilu – Żrenicznik po raz pierwszy nazwał ją po imieniu – już po nim. Nie darują mu zdrady.

Wiedziała, że miał rację. Po tym, co się wydarzyło, Marcus nie miał żadnych szans na przeżycie.

Cisza, która nastąpiła tak nagle na zewnątrz mogła oznaczać tylko jedno. Wszyscy unieśli głowy w oczekiwaniu na cokolwiek, co dałoby im nadzieję, że ich niedoszły wybawca wciąż żyje. Na próżno! Wokół Wielkiego Tolosa panowało głuche milczenie.

– Odszedł – wyszeptała Alla.

Ich jedyny sojusznik w tym piekle umarł! Znów byli sami i zdani wyłącznie na siebie. Co gorsza, mieli pewność, że zdradzony Weles na pewno zechce ukazać im swoje najgroźniejsze oblicze.

Nilą ukryła twarz w dłoniach. Nie mogła powstrzymać się od

szukania winnego, więc w nieskończoność na nowo odtwarzała w myślach wydarzenia ostatniej nocy. I za każdym razem tylko jedno imię przychodziło jej do głowy. Sambor!

Wciąż widziała go ze skradzionym Welesowi mieczem – uś-miechniętego, niedbałego i nieostrożnego. Jedna głupia decyzja Sambora sprowadziła na nich tyle nieszczęść. A byli już tak blisko! Gdy głównia uderzyła o występ w ścianie, od wolności dzieliło ich niespełna dwadzieścia kroków.

Spojrzała na chłopaka ponad tłącym się ogniem. Siedział z opuszczoną nisko głową, a palcami lewej dłoni ścisnął rzemienie bransolet tak mocno, że kościane paciorki wpijały mu się w nadgarstek. Nila powiodła spojrzeniem po ściągniętych trwogą i żalostí twarzach pozostałych. Alla patrzyła na Unika chyba ze współczuciem. Ze wzroku Wodniczki niewiele dało się wyczytać. Natomiast Dalko nawet nie krył się ze swoją wściekłością. On też wypowiedział głośno to, co i Nili leżało na sercu:

– Szlag! Wszystko przez ciebie!

Dziewczyna popatrzyła z niepokojem na Sambora. Choć bardzo przeżywał nocną tragedię, i tak spodziewała się, że raczej co najmniej odburknie Żrenicznikowi, niż potulnie przyjmie krytykę. Jego rogata dusza wojownika pozostawiała niewiele miejsca na spolegliwość. Tymczasem Sambor powoli uniósł głowę i oczom pozostałych ukazał się zaskakujący widok – miał poszarzałą twarz, a po policzkach ciekły mu łzy, których nie próbował ocierać.

– Tak, to moja wina. Więc mówcie, co macie do powiedzenia! – rzekł zbolalym głosem. – Wszystko! U licha! Cokolwiek to będzie, na pewno na to zasłużyłem.

Nila znieruchomiała zdumiona, jakby zobaczyła go pierwszy raz w życiu. Gdy siedział z dłońmi drżącymi tak bardzo, że musiał je zacisnąć w pięści, i czekał pokornie, aż na jego głowę spadną gromy, aż ludzie, którym odebrał ostatnią nadzieję, wyleją na niego całą swą złość, niespodziewanie dostrzegła w nim coś więcej poza olśniewającą urodą i talentami wojownika. Ta zaskakująca refleksja sprawiła, że w jej serce wkradł się dziwny niepokój, którego wcześniej nie czuła.

– To twoja wina, ty durniu! – powtórzył Dalko. – Musiałeś brać ten

miecz?!

– Ale... – cicho przerwała mu Alla.

– No czego? Może nie? Marcus umarł, bo ten nie mógł sobie darować! Każdy Unik to głupiec!

– Ja... nie pomyślałem – odezwał się Sambor.

Słyszając to, Nila westchnęła ciężko, a Dalko prychnął:

– No i masz! Szlag! Ty chyba w ogóle rzadko myślisz, co? Sęk w tym, że to Marcus za to zapłacił!

Wszyscy wpatrywali się w Sambora niepewni, czy skoczy Żrenicznikowi do gardła, czy nie. On jednak nawet nie drgnął. Zamiast tego zaczął się żarliwie tłumaczyć.

– Nie chciałem tego! Przysięgam! Myślałem tylko... Miecz bardzo by nam się przydał. Jestem Unikiem. Mogłem was bronić, gdybym miał czym. Wybaczcie!

– Powiedz to Marcusowi! – z pogardą w głosie wycedził Dalko.

Sambor popatrzył na nich bezradnie, a potem bezsilnie schował twarz w dłoniach. Nila nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak ciężkie brzemie przyszło mu nieść na barkach. Zdumiona tym, co chce zrobić, już wyciągała dłoń, by pogłodzić nieszczęśliwego chłopaka po włosach, gdy nagle odezwała się Wodniczka:

– To nie Sambor zabił Marcusa.

Żrenicznik przekrzywił głowę.

– Co? – nie zrozumiał.

– Strzelał Izbor.

– Wiesz dobrze, że gdyby on nie wziął miecza, nic by się nie stało!

Dziewczynka położyła delikatnie rękę na drżącej dłoni Sambora i zamilkła, jakby musiała ułożyć rozbiegane myśli. A kiedy znów się odezwała, stanowczo i z wielką pewnością słuszności swych słów, przykuła uwagę pozostałych. W tej krótkiej chwili mieli przed sobą nie drobną, zagubioną istotę, ale kogoś, kto mimo młodego wieku mądrością przewyższał ich wszystkich.

– Gdy Sambor wziął miecz, nie liczył się z nikim. To prawda. Taki już jest, najpierw działa, potem myśli, ale... tak robi każdy Unik.

– No, mówiłem? To głupcy! – burknął Dalko.

Nila patrzyła, jak na blade policzki Sambora wstępują krwiste

rumieńce upokorzenia. Delikatnie szarpnął dłonią, chcąc się uwolnić od dotyku dziewczynki, ale ona – zupełnie tym niezrażona – nie zamierzała na to pozwolić. Jeszcze mocniej ścisnęła jego rękę.

– A czy nie inaczej jest z nami wszystkimi? – zapytała. – Wiecie przecież, co się dzieje, gdy nagle zapada ciemność, słyhać obcą mowę, pojawia się woda lub gdy należy kogoś uleczyć.

– Kiedy trzeba, moc zawsze zjawia się jako pierwsza – odezwała się Alla. – Przed rozumem.

– Właśnie! Sambor nie jest głupi. Znam go lepiej niż wy...

– Przestań, proszę! – szepnął błagalnie chłopak.

– I wiem – ciągnęła dziewczynka – że gdy on chce kogoś chronić, zawsze najpierw jest Unikiem.

– Skąd to wiesz? – zapytała Nila.

Wodniczka uśmiechnęła się ciepło.

– Bo on mnie pilnuje, od kiedy moi rodzice... – zawiesiła głos. – No, od bardzo dawna. Jest ze mną nad Topielą, na Wysokich Trawach, w wiosce. Nie znosi, gdy chodzę gdzieś sama. Broni mnie!

– Dość! – zaprotestował Sambor.

Nila była wstrząśnięta. Z otwartymi ze zdumienia ustami patrzyła na rozgniewanego tymi wyznaniem chłopaka i nie potrafiła zrozumieć, jak mogła tak bardzo mylić się co do niego. Tyle lat życia w jednej osadzie, a ona widziała w nim tylko zadziornego osiłka, za którym uganiały się wszystkie panny!

– Dobrze! – przyznał Dalko. – Zgoda! Unik z mieczem... no przydałby się po ucieczce. Ale co z tego? To był świetny plan, a ten dureń go zepsuł. Gdyby nie on, dalibyśmy nogę po cichu! A Marcus by żył! Szlag! Narażał się dla nas!

Alla pokręciła przecząco głową.

– Pewnie, że ryzykował, ale był łowcą, nie naiwnym dzieciakiem jak my. Na pewno znał cenę zdrady – wyjaśniała cierpliwie. – A sam plan, Dalko... Cóż, był...

– Szlag! No, jaki?!

– ...lichy – odważył się odezwać Sambor.

Trafił w sedno! Nila odtworzyła w myślach wydarzenia minionej nocy. Uciekali gęsiego w ciemnościach, tuż przy głowach pogrążonych

we śnie Złotników. Niemal się nawzajem nie widzieli! Jedynie Żrenicznik poruszał się swobodnie w gęstym mroku.

– Że jak? – zdumiał się Dalko.

– Ano tak, że każdy poza tobą mógł narobić hałasu i obudzić Izborę. Prawie nic nie widzieliśmy! – odparła Alla.

Chłopak spoglądał na każdego po kolei, oni zaś potakiwali, jednomyślnie zgadzając się z dziewczyną.

– Niech wam będzie! Może i tak było – mruknął w końcu. – Ale Unikowi więcej nie zaufam. Za duże ryzyko!

– Dalko, posłuchaj... – błagalny głos Sambora utonął w hałasie, który dochodził z korytarza.

Łowcy wracali do środka! Widać nadeszła pora, by zająć się pozostałymi spiskowcami.

Okrutni Złotnicy wpadli do izby jak stado wściekłych psów. Ustawili więźniów w jednym rzędzie, a sami zajęli miejsca z tyłu. Weles wszedł do komory jako ostatni. Na jego wymęczonej nocnym pijaństwem twarzy malował się, tak dobrze znany Niepowszednim, pogardliwy uśmiech.

Nil nerwowo przełknęła ślinę. Nie łudziła się, że przyszedł tu w innym celu niż sprawienie im bólu. W tym bezlitosnym świecie za wszystko trzeba było zapłacić.

Patrzyła na jednostajny ruch, jakim obracał w dłoni kości do gry – opanowany, uważny, doskonały. Zupełnie jakby utrata Czedroga i śmierć Marcusa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

– Moi młodzi przyjaciele, handluję Niepowszednimi od ćwierćwiecza i wciąż nie ma lepszego ode mnie. – Weles nadał swemu głosowi ton zadumy. – Spytacie: dlaczego?

Popatrzył na nich badawczo, ale nikt się nie odezwał.

– Otóż z dwóch powodów. Pierwszy, nie mam sumienia i z dumą przyznaję, że jestem najpodlejszym typem w Łajdackim Krańcu. Drugi, hołduję kilku żelaznym zasadom. – Rzucił na ziemię zakrwawiony rzemyk. – Marcus o tym zapomniał. Dobrze by było, żebyście wy mieli lepszą pamięć.

Weles stanął przed Nilą i z uwagą przypatrywał się jej pobladłej ze strachu twarzy. Odruchowo skuliła ramiona pewna, że będzie ją bił.

– Zasada pierwsza, nie kłamiecie. Nienawidzę być oszukiwany. – Czułym gestem poklepał ją po skroni, w którą kilka dni temu tak ochoczo uderzył. – Ty już się o tym przekonałaś, prawda?

Pokornie pokiwała głową, zaś on uśmiechnął się do niej z wyższością i zrobił krok w stronę Sambora. Złapał chłopaka za włosy, a potem szarpnął gwałtownie, siłą przyciągając twarz Unika do swojej.

– Zasada druga, nie znoszę krnąbrnych szczeniaków. Działają mi na nerwy. Lubię grzecznych i potulnych.

Sambor zmierzył go złym spojrzeniem, lecz nie odezwał się nawet słowem. Łowca odepchnął go szorstko i przeniósł uwagę na Dalko.

– Zasada trzecia, nie knujecie spisków. Za to płaci się u mnie bardzo wysoką cenę. Taki Marcus, na przykład, oddał życie. Poszłicie za nim, jak te durne owce, więc jak głupim zwierzętom wam daruję. Ale... – westchnął – ktoś z was mu pomagał w tych ciemnościach! I ten ktoś musi ponieść karę... Żreniczniku, coś mi się zdaje, że to ty.

Dalko zbladł, za to Izbor, który stał za plecami chłopaka, wyszczerzył radośnie zęby i wyciągnął zza pasa batog. Nili wystarczył jeden rzut oka na gruby spleciony rzemień przytwierdzony do ozdobnej rękojeści, by wiedzieć, że na chwilę plecy biedaka zmienią się w krwawą miazgę.

– Pięć solidnych batów pozwoli ci zapamiętać moje nauki. – Weles dał znak Izborowi.

– Proszę, nie! – wyszeptała Nila, ale łowca ostrzegawczo położył palec na ustach.

Żrenicznik zamknął oczy i bezradnie zwiesił ramiona.

– Nie! – zaprotestował nagle Sambor. – To ja pomagałem Marcusowi! Miałem pochodnię! Ja! I ukradłem twój miecz, bydlaku!

To nie była prawda. Niepowszedni pamiętali przecież aż nadto dobrze, co wydarzyło się w nocy. Podczas, gdy Dalko robił wszystko, by bezpiecznie doprowadzić ich do wyjścia, Sambor głównie w tym przeszkadzał. Tymczasem teraz kłamał i zgłaszał się na ochotnika pod pręgierz! Sambor ratował Dalko skórę, by ten mu zaufał.

Ów najwyraźniej dobrze zrozumiał to przesłanie, bo gwałtownie zaprotestował:

– Nieprawda! Łże! To ja! Ja pomagałem! Ja prowadziłem w

ciemnościach!

Weles wzruszył ramionami.

– Zamknąć się! Wszystko mi jedno, kto oberwie. Unik przyznał się pierwszy i to on dostanie bity. Izbor, bierz się wreszcie do roboty!

Łowca popchnął Sambora do przodu. Ten stanął prosto i odszukał wzrokiem Nilę. Ona zaś nie uciekła spojrzeniem. Gdy bat spadł z głośnym świstem, chłopak uniósł do twarzy zaciśnięte pięści, ale nie krzyknął. Widziała strach i mękę w jego oczach, a mogła jedynie uśmiechać się do niego kojąco. I tak zrobiła, na przekór łzom, które płynęły po jej policzkach. Razem dotrwali do ostatniego uderzenia.

Po wszystkim Sambor opadł na kolana i zastygł w tej pozycji zupełnie nieruchomy. Nie podniósł głowy, ale przecież nie musieli oglądać łez, by wiedzieć, że bardzo cierpi. Plecy spływały mu krwią, ramiona drżały, a zaciśnięte pięści zamarły w bezruchu, na poły przysypane ziemią.

Weles chrząknął i zwrócił się w stronę pozostałych Niepowszednich. Kopnął zakrwawiony rzemień, który wciąż leżał w piachu.

– I wreszcie pora na bolesną prawdę. Marcus, był bardzo złym człowiekiem...

– Chciał nas ratować! – wyrwało się Nili.

Izbor ryknął śmiechem, a potem podszedł do wciąż nieruchomego Sambora i wytarł ociekający krwią bat jedynym czystym skrawkiem koszuli chłopaka.

– Ależ ty jesteś durna! – powiedział. – Psiamać! Nic nie rozumiecie, szczeniaki?

Nilę nie pojmowała jego słów. Bezradnie wpatrywała się w Welesa.

– Marcus był Okrutnym Złotnikiem! Nie pocziwym kmiotkiem, który ratuje bachory, bo ma serce. My nie robimy takich głupot! Marcus też nie. Miał łądak własne plany – wyjaśnił jej. – I wyznał nam wszystko przed śmiercią. Cała ta żalosna ucieczka miała was zaprowadzić na targ!

– Nie wierzę!

Łowca spojrział na nią z politowaniem.

– Moja droga, ci, którzy umierają, nie kłamią! Bo i jakież mieliby

powód? Ten kundel chciał zgarnąć całe złoto dla siebie! Złodziej! Bez dzielenia się z nami! Jesteście tacy naiwni!

– Łżesz! Chciał nas ratować!

Weles wzruszył ramionami.

– Myśl, co chcesz.

Nila przebiegła wzrokiem po twarzach towarzyszy, szukając w ich oczach wiary w Marcusa. Nie znalazła. Weles podążył za jej spojrzeniem i szyderczy uśmiech wykrzywił mu usta natychmiast, gdy dostrzegł to samo, co ona. Wiedzieli, że powiedział im prawdę. Marcus ich oszukał!

Jeszcze i to potworne rozczarowanie... Nie mieli już żadnych szans na ocalenie. Mercata była coraz bliżej.

Jeżeli w ogóle tam dotrzemy – pomyślała Nila, nie mogąc uwolnić się od złych przeczuć.



Welesowi spieszno było ruszać w dalszą drogę. Ledwie skończył swą bezlitosną lekcję, wydał rozkaz pogrzebania zmarłych i zwijania obozowiska. Niepowszednich wepchnięto brutalnie do wozu, nie bacząc na ból, jaki traktowanie sprawiało wychłostanemu Samborowi. Gdy tylko usiedli na nasiąkniętych wodą deskach, wtulili się w siebie, a deszcz znów moczył ich ledwie co wysuszone ubrania.

Od tej pory pieczę nad nimi sprawować miał Faro. Mrukliwy drab, który budził grozę blizną przecinającą twarz od brwi aż po brodę.

– Przyjrzyjcie mu się dobrze i zapamiętajcie, że nie warto go złościć – oznajmił Weles. – Kto z nim zadziera, zawsze wychodzi na tym gorzej niż Faro. O ile, rzecz jasna, przeżyje...

Nila odruchowo odsunęła się w dalszy kąt. Z lękiem zerknęła na szramy, które szpeciły wygoloną czaszkę ich nowego strażnika. Jedno ucho mężczyzny było w połowie ucięte, a u lewej dłoni brakowało dwóch palców. Jeśli zamiarem Welesa było wzbudzenie w Niepowszednich respektu, udało mu się to znakomicie. Okaleczony i naznaczony śladami potyczek, Faro całym swym zaprawionym w walce ciałem ostrzegał przed nieposłuszeństwem.

Spojrzał na swych podopiecznych zimnym wzrokiem i bez słowa objął wartę przy wozie. Widać uznał, że czyny znaczą więcej niż tysiąc słów, bo zamiast pouczać czy grozić, od razu zajął się ostrzeniem sztyletu, zdobionego tak jak jego miecz, złotymi runami. Stłoczeni w klatce jeńcy natychmiast zrozumieli, co oznaczał ten gest.

Wydano sygnał do wymarszu i wkrótce Wielki Tolos został w tyle.

Niepowszedni w milczeniu patrzyli na dwa znikające w oddali kopczyki, usypane pospiesznie i niedbale.

Marcus okazał się kłamcą! Od początku miał wobec nich złe zamiary!

– Był taki sam jak reszta łowców! – powiedziała twardo Alla.

– Szlag! Może i gorszy! – wycedził nienawistnie Dalko. – A bo ja wiem, czy w ogóle chciał jechać na targ? Pewnie by nas sprzedał

pierwszemu lepszemu na drodze, byle pozbyć się kłopotu. A może by i ukatrupił!

– Nie wierzę...

– A ja tak – mruknął Sambor. – Gdyby go wytropili kompani, a my zawadzalibyśmy mu w ucieczce... Dalko ma rację.

Nila wzdrygnęła się po tych słowach. Im dłużej przebywali na terenie Łajdackiego Krańca, tym straszniejszą twarz ukazywała im ta kraina.

Dziewczyna ze smętną miną patrzyła na Uroczysko, roztaczające wokół swą upiorną krasę. Zmaltretowana deszczem ziemia z burej stała się przygnębiająco szara, jakby woda wypłukała z niej resztki życia. Wszystko było tu smutne i naznaczone widmem śmierci.

Sambor leżał na brzuchu, wystawiając zakrwawiony grzbiet na kojące działanie chłodnych strug wody. Batog porwał koszulę na strzępy i poharatał skórę pięcioma głębokimi rozcięciami. Strapiona Nila bezradnie przyglądała się poranionym plecom. Wymagały natychmiastowego polania leczniczym winem, które beczynnie spoczywało w jej medycznej sakwie. Faro nie pozwolił na żadne zabiegi, a błagalną prośbę Żniwiarki skwitował pogardliwym splunięciem.

– Sambor, jak z tobą? – spytała cicho, gdy kolejny wybój wyrwał z jego piersi jęk bólu.

– Przeżyję...

– Mogłabym to uleczyć! Faro to bydlę!

Ku jej zdumieniu z drugiego końca wozu podniósł się Dalko i zgarnawszy leżący na deskach bukłak, ruszył w ich stronę.

– A ty dokąd?! – ryknął łowca.

Żrenicznik spojrzał na niego jak na szaleńca.

– Szlag! A co? Pić też już nie wolno?

– Ino pić i jeść! – Faro lekceważąco machnął ręką.

– A co innego, durniu, mogę tu robić? – wzruszył ramionami chłopak.

Odkorkował skórzany worek i delikatnie przystawił szyjkę do ust Sambora. Potem usiadł przy zakrwawionym towarzyszu i wyciągnął dłoń na znak zgody.

– Wiem, dlaczego to zrobiłeś. – Ruchem brwi wskazał obrażenia

na plecach. – I dziękuję ci.

Sambor uścisnął rękę i mimo bólu uśmiechnął się lekko.

– Daj spokój. Żaden ze mnie bohater. Tak naprawdę chciałem tylko zrobić wrażenie na Nili.

Zerknął na nią spod powiek, a ona drgnęła zaskoczona tym niespodziewanym wyznaniem.

– Co? – zapytała zdumiona, a Dalko uśmiechnął się krzywo.

– Szlag! No nie dziwię ci się, ale zrobisz jeszcze większe, gdy wyzdrowiejesz i pomożesz nam uciec – powiedział. – Byle szybko. Zanim zaciągną nas do Mercaty.

Nila uśmiechnęła się w myślach. Miała ku temu powody. Skoro Sambor był w stanie żartować, ból musiał być do zniesienia. Na dodatek Dalko nie tylko chętnie pojednał się z Unikiem, ale sam zaczął mówić o ucieczce. Ten odludek otworzył się na nich, wreszcie im zaufał. Choć zdawało się to niemożliwe, jednak dokonali czegoś dobrego – dla siebie, a jeszcze bardziej dla niego.

– Weles w kółko gada o Mercacie – powiedziała. – Boję się tego miejsca, Dalko.

Chłopak pokiwał głową ze zrozumieniem.

– I słusznie. To największy targ Niepowszednich. Tam już naprawdę będzie po nas.

Nila widziała olbrzymie zmęczenie w jego oczach i przeraziła się tego, ile musiał przejść w swym życiu, skoro same wspomnienia kosztowały go tak wiele wysiłku.

– Łajdacki Kraniec to piekło – szepnął ponuro. – No, nic tu się nie liczy poza złotem. Zabijają dla paru groszy, sprzedają wszystko i wszystkich. Żadnych świętości. A w Mercacie, zrobią z nami... no, co chcą. Sprzedadzą temu, kto da więcej. Choćby był najgorszym łotrem pod słońcem.

Zamarli, wstrząśnięci grozą. Sambor zaklął pod nosem, zaś Nila myślała tylko o tym, by Alla wytrzymała i nie dała się unieść fali przerażenia. Wodniczka smutno patrzyła na Żrenicznika.

– Widziałeś targ – domyśliła się.

– Codziennie. Moi rodzice byli licytatorami. – Uśmiechnął się z goryczą. – Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie szukali innego zajęcia. Nie

chcieli o tym gadać. Mówili tylko, że pieniądze są ogromne. Jakby to wszystko usprawiedliwiało... Po każdym pracowitym dniu szli do tawerny z Welesem i do rana grywali z nim w kości. Zawsze tam się z nim spotykali. Nigdy nie było ich w domu. Taka przyjaźń! I pewnej nocy... no, przegrali chałupę, kram na targu, matki złote zausznicę, cały dobytek...

Zawiesił głos, jakby nie był pewien, czy chce dokończyć. A potem zamknął oczy i bardzo cicho powiedział coś, od czego pozostałym włosy zjeżyły się na głowach.

– A na koniec, przegrali najcenniejszy skarb, Żrenicznika... mnie. Dalko ukrył twarz w zgięciu łokcia.

Popatrzyli na siebie wstrząśnięci. Rodzice przegrali go w kości! Nikt nie odważył się powtórzyć tego głośno. Milczeli, bo nie wiedzieli, co powiedzieć. Któż znalazłby właściwe słowa po czymś takim? W końcu Sambor pokręcił głową z niedowierzaniem.

– A ja narzekam, kiedy ojciec każe mi ponad siły pracować na polu! – westchnął.

W jego głosie nie było tklivości, ale Nila dostrzegła, jak ukradkiem wyciągnął rękę i mocno, po męsku, uścisnął dłoń Dalko.

Niezmierzona podłość, jakiej ojciec i matka dopuścili się wobec Żrenicznika, jakimś sposobem naprowadziła myśli Żniwiarki na jej własnych rodziców. Chwilami oschłych, często zbyt zapracowanych, by znaleźć czas dla córek, ale przecież przepelnionych miłością i najlepszych na świecie. Cóż teraz porabiają? Czy są już blisko? Jak bardzo muszą cierpieć! Straszna tęsknota chwyciła ją za serce.

– Weles tu jedzie! – przerwała te rozmyślenia Alla.

– I dobrze – powiedziała twardo Nila i poklepała Sambora po dłoni. – Spróbuję ci pomóc. Może ten drań będzie mądrzejszy od Faro.

Gdy tylko łowca zbliżył się do wozu, rzuciła się w stronę krat i wskazała na zakrwawione plecy Sambora.

– Pozwól mi go opatrzyć!

On jednak spojrział na cierpiącego chłopaka obojętnym wzrokiem. Jedną dłonią machinalnie obrócił między palcami białą kostkę do gry, drugą z namysłem potarł brodę.

– Izbor był zbyt gorliwy – tłumaczyła żarliwie. – Bez winy

medykusa i mojej pomocy jeszcze przez nocą będziesz miał z tymi ranami kłopot.

Weles zawiesił na niej badawcze spojrzenie, a potem cmoknął z dezaprobatą.

– Niech to cholera! Dobrze. – Westchnął. – Opatrzysz go, żeby mi nie zdechł, ale uzdrawiać nie będziesz! Jesteś tu dla mnie, dziewczyno. Nie po to, by leczyć innych.

– Opatrzysz?! – wycedziła zimno Nila. – Wiesz, że on bardzo cierpi? Ten głupiec Izbor mógł mu coś uszkodzić, ale twoja wola. Teraz jeszcze mogę to naprawić. Potem będziesz miał niesprawnego Unika.

Dalko uniósł głowę znad kolan i zarechotał kpiąco.

– Ciekawe, kto taką niedołągę kupi? – prychnął pogardliwie, choć cały czas patrzył ze współczuciem na zmaltretowanego towarzysza. – Stracisz kupę florenów! I dobrze ci tak, Weles!

Ten podjechał bliżej i przez kraty z całej siły kopnął chłopaka w bok.

– Zamknij gębę, szczeniaku! – warknął, a potem zwrócił się do Nili: – Jedno dotknięcie! Tak, żeby zakażenie się nie wdało i można go było szybko sprzedać. Jedno! I dość! Pojmujesz?

– Tak.

On tymczasem niedbałym ruchem sięgnął za pazuchę, wyciągnął stamtąd kawałek pergaminu i pomachał nim przed oczyma jeńców.

– No. To teraz ciekawsze wieści. Przyleciał kolejny ptaszek. Mostu już nie ma. Zniknął pod wodą, a wasi rodzice zostali po tamtej stronie.

Nila oparła bezsilnie czoło o ramię Alli. Zamknęła oczy. Nie na długo, bowiem Weles natychmiast stuknął w kratę, przy której przycupnęła. Zmęczona, uniosła powieki.

– Do roboty! Pomóż mu. – Wskazał Sambora i odjechał.

Ona jednak nie była w stanie się podnieść. Trwała w bezruchu, wpatrując się w swoją medyczną sakwę. Czuła się jak w pułapce, jakby nad jej głową zatrzasnęło się ciężkie wieko trumny. Nic im się nie udawało!

– Przynajmniej wiemy, że musimy liczyć tylko na siebie – cichutko odezwała się Alla.

Nila zamrugała gwałtownie. Spojrzała na siostrę i opuściła

bezradnie ramiona.

– Na siebie? Niby jak? Psiakrew! Czego się tknę, obraca się w pył. Wszędzie złodzieje, mordercy, przekupni oszuści! Nawet pogoda jest przeciwko nam! Cały ten kraj powinno się spalić!

Przez chwilę panowała cisza, a potem Sambor z wysiłkiem zaczął podnosić się z desek. Jęczał przy tym i mamrotał coś pod nosem, a kiedy w końcu udało mu się usiąść, zaklął tak paskudnie, że Nila aż gniewnie syknęła. Machnął lekceważąco ręką na znak, że nie pora na oburzenie.

– Słuchaj no! – Skrzywił się, prostując obolałe plecy. – Szkoda czasu na rozpacz. Nic się przecież nie zmieniło.

– Jak to nic? Rodzice już nie przyjadą!

– Nilu, wiedzieliśmy, że może się tak zdarzyć. Pamiętasz? Właśnie dlatego chciałaś mieć własny plan. Już nawet próbowaliśmy coś z tym zrobić. No wiesz, zanim ja i Dalko pobiliśmy się... – Spojrzał na Żrenicznika i rzucił w jego stronę: – Przepraszam.

Ten uśmiechnął się smutno.

– Ja też. Dajmy temu spokój. No, pogodziliśmy się. I słusznie gadasz, nie pora na rozpacz. Mówię wam jeszcze raz, że w Mercacie będzie już po nas. Tam Niepowszedni sprzedają się na pniu! Szybciej niż gorący chleb u piekarza. Mnie przehandlowaliby od razu, gdyby nie magnetyk z tych waszych Kamiennych Kości. Przyleciał w nocy zaraz po tym, jak Weles mnie wygrał. No to i ruszyli z kopyta, żeby was capnąć! Tylko dlatego ciągną mnie ze sobą przez pół świata. Szlag! Radzę wam, wiejmy i to szybko, bo ten targ jest coraz bliżej!

– Sama słyszysz. – Sambor nieśmiało pogładził Nilę po dłoni.

– A co my możemy? – Złapała się za głowę. – Nic!

– Nilu... – odezwała się nagle Wodniczka. – Albo im uciekniemy albo umrzesz tu i to całkiem niedługo. Wiesz o tym przecież od początku.

Żniwiarka westchnęła rozdzierająco.

– Wiem.

Alla zrobiła się blada jak prześcieradło.

– Co takiego?! – wykrztusiła. – O czym wy w ogóle mówicie?

Patrzyła na nich tak, jakby niczego nie rozumiała. Ponieważ nie mieli serca obdzierać jej z resztki złudzeń, milczeli i uciekali

spojrzeniami w bok.

– Powiedzcie mi! Natychmiast!

Wreszcie Dalko odezwał się pierwszy:

– Weles nigdy nie wypuści twojej siostry. Będzie ją trzymał aż do swojej śmierci albo no... jej. Po to ją w końcu porwał, nie? Żeby go leczyła, dopóki da radę. No i w końcu ona przyplaci to życiem.

– O niebiosy!

Nilu opuściła wzrok na swoje drżące dłonie.

– Jeśli go przeżyję, będę cieniem człowieka. A potem znajdą się inni, których każą mi ratować. Bez wytchnienia, jednego po drugim, z najgorszymi chorobami, leżących na łożu śmierci. Długo tak nie dam rady.

– Siostrzyczko! – jęknęła Alla.

Wodniczka przeniosła wzrok na zrozpaczoną Bestiarke.

– Ty też musisz uciekać – powiedziała. – Nad tobą będzie się pastwił, póki Nilu żyje. Bo tylko tak zmusi ją do wszystkiego.

Alla zbladła, ale nie rozplakała się ani nie szukała pocieszenia. Zamiast tego zagryzła zęby i popatrzyła z nienawiścią w stronę Welesa. Sambor zaś przeglądał się w skupieniu rudowłosej dziewczynce. Wreszcie pokręcił głową z niedowierzaniem i zapytał:

– Czy tylko mnie się wydaje, że ta mała jest najmądrzejsza z naszej piątki?

Nilu ciężko oparła się o kraty.

– Nie zdaje ci się – powiedziała. – Jest najmądrzejsza. Aż szkoda, że tak rzadko się odzywa, choć teraz mówi więcej niż kiedykolwiek dotąd. Przynajmniej jedna dobra rzecz wyniknęła z tego porwania. Zamknęli ją w z nami w jednej klatce, to nie ma wyboru. Musi z nami rozmawiać.

Na przekór przygnębieniu Nilu mrugnęła do dziewczynki.

– No to wymyślmy wreszcie ten plan! – syknęła niecierpliwie Alla.
– Bo ja, Nilu, wolę sto razy próbować zwać tej kanalii niż patrzeć, jak cierpisz, by mnie chronić.

– Wiem. – Żniwiarka mocno przytuliła siostrę. – Myślmy więc, a ja w tym czasie...

Spojrzała na Sambora i wymownie postukała w mokre deski. On

zaś skwitował to niechętnym skrzywieniem ust, ale zdjął poszarpaną koszulę i niezgrabnie się położył. Nila dyskretnie sięgnęła po wino medykusa. Wiedziała, że rannego czeka ciężka przeprawa. Ulubiony specyfik Żniwiarzy sprawiał niewysłowiony ból nawet przy małych obrażeniach, a ona musiała go wylać na pocięte do żywego mięsa plecy! Chciała więc skupić uwagę biedaka na czymś innym niż oczekiwanie na nieuchronne cierpienie. Zerknęła znacząco na Żrenicznika.

– Zagaduj go! – bezgłośnie poruszyła ustami.

Nieznacznie skinął głową.

– Dalko, wiesz, dokąd nas teraz wiozą? – odezwała się.

– Pewnie. – Chłopak zręcznie wszedł w swoją rolę. – Zrobią postój w Kresie.

– To miasto? – spytał niewyraźnie Sambor.

– Eee, nie. Kresa to taka nieduża karczma. Jedyna na szlaku. Potem aż do samego Bawidła znowu nie ma nic.

– Bawidło? A to co znowu?

– Gród. Ogromny, prawie tak wielki jak Mercata. Stamtąd zawiozą nas...

Nila nie czekała dłużej. Przechyliła bukłak i chlusnęła winem na otwarte rany. Sambor gwałtownie wciągnął powietrze, zamknął dłonie w pięści i zdusił krzyk, zaciskając zęby na ramieniu. Oddychał szybko, ze świstem, jakby jego płuca buntowały się przeciwko bólowi. W końcu odwrócił głowę i spojrzał na dziewczynę z wyrzutem.

– Matko jedyna! – jęknął. – Mogłaś uprzedzić!

Alla pokazała mu własne ramię znaczone śladami zadrapań.

– Wierz mi, na to nie da się przygotować.

Nila tymczasem delikatnie osuszyła plecy rannego lnianą szmatką, a potem pochyliła się nad nimi uważnie i przyjrzała się każdemu rozcięciu z osobna. Batog poranił skórę, zostawiając poszarpane krawędzie ran. Nie było wątpliwości, że bez pomocy Żniwiarki obrażenia będą goiły się kiepsko i bardzo długo. Musiała zrobić dużo więcej niż to, na co zezwolił Weles. Ostrożnie spojrzała w stronę Faro. Jechał dalej niż poprzednio i nie obserwował ich już tak bacznie.

– Dalko – powiedziała – zasłoń nas trochę.

Chłopak natychmiast przesunął się bliżej Alli i Wodniczki. We

trójkę tworzyli zwarty mur, który osłonił Nilę przed ciekawskimi spojrzeciami. Ona zaś jak zwykle zdjęła pierścionek, przełożyła warkocz na plecy i lekko zatarła dłonie, by je rozgrzać.

– A z tej Kresy – dobiegł ją cichy głos Wodniczki – da się uciec?

Dalko odwrócił się do dziewczynki i zadumał nad pytaniem.

– Sambor – szepnęła Nila – leż spokojnie, spróbuję wyleczyć twoje plecy.

Szarpnął się gwałtownie.

– Mowy nie ma! – zaprotestował.

Niezrażona, znów dotknęła jego skóry, a on ponownie odsunął się od jej dłoni. Przez moment mierzyli się wzrokiem.

– O co chodzi? – syknęła.

– Ja...

– Gdybyśmy uciekali w nocy, gdy wszyscy będą już pijani – rozmyślał w tym czasie na głos Dalko – albo czy ja wiem, przy wielkim zamieszaniu. Może mielibyśmy szansę.

Sambor prawdopodobnie nawet nie spostrzegł, że Żrenicznik mu przerwał.

– Posłuchaj Nilu, ja – wciąż szukał właściwych słów – bo ja...

Przerwał, napotkawszy wzrok Alli. Westchnął ciężko, a ona zdecydowanie skinęła mu głową.

– Nilu, naprawdę nie chcę – powtórzył.

– Cicho! Faro gapi się gdzie indziej, zdążę uleczyć te rany.

Spróbowała znów położyć na nim dłonie, a on raz jeszcze je strącił.

– Przestań się wyrywać! – fuknęła. – Nie żartuję!

Parsknął urywanym śmiechem, na dźwięk którego Alla wzniosła oczy do nieba.

– No co? – zdumiała się Nila.

Chłopak spoważniał, a potem uniósł się z wysiłkiem na rękach.

– Nie chcę, żebyś mnie uzdrawiała, i nie chcę, żebyś przeze mnie opadła z sił – powiedział. – Bo ja wtedy mówiłem prawdę. No wiesz, że chciałem zrobić wrażenie... na tobie. Tylko na tobie.

Popatrzyła na niego oszołomiona.

Gdy tak próbowali dojść do porozumienia, zatopiony w myślach o ucieczce i zupełnie nieświadomy sceny, która rozgrywała się za jego

plecami, Dalko wciąż snuł swe rozważania.

– Pewnie zamkną nas w stodole. Może gdybyśmy znaleźli konie i spłoszyli resztę zwierząt, w zamieszaniu dalibyśmy radę.

Sambor zaś nadal nie zauważał Żrenicznika. W owej chwili chyba w ogóle niczego nie dostrzegał poza Nilą. Ona z kolei, choć nie pojmowała tego, co chciał jej powiedzieć, wyraźnie słyszała własne serce, które nie wiedzieć czemu, kołatało radośnie.

– Sambor, wykrztuś to wreszcie! – nie wytrzymała Alla. – Co ci mówiłam? Ona nie gryzie, tylko wygląda na taką!

Po tych słowach nawet Dalko przekręcił głowę w ich stronę. Wodniczka natychmiast zrobiła to samo.

Zapadła cisza, w której słyszać było jedynie miarową pracę toczących się kół. Sambor przełknął ślinę i opuścił wzrok.

Alla westchnęła ciężko.

– Wybacz mi – szepnęła szybko – ale jesteś moim przyjacielem i chcę ci pomóc.

Zanim zdążył jej przeszkodzić, spojrzała na Nilę i powiedziała:

– On kocha się w tobie od roku. Bez nadziei, jak dotąd, bo ty go wcale nie widzisz!

To rzekłszy, uśmiechnęła się pokrzepiająco do zawstydzonego chłopaka i wraz z Wodniczką i Dalko odwrócili się w drugą stronę. Jakkolwiek było to trudne w ciasnym wozie, chcieli dać tym dwojgu choć odrobinę intymności.

– Skąd wiesz, że zamkną nas w stodole? – Alla jakby nigdy nic wróciła do rozmyślań nad planem ucieczki.

Oszołomiona tym wszystkim Nila zerknęła na Sambora bezradnie.

– Kocha? Od roku? – powtórzyła jak echo.

Zaczerwieniony się po uszy przytaknął.

– Rok temu bywałeś u nas często. Moja mama chorowała, pamiętasz?

Dziewczyna bez słowa pokiwała głową. Nigdy nie zapomniała ludzi, których uzdrawiała.

– Przychodziłaś, a ona zawsze się śmiała przy tobie. Leczyłaś ją, potem odpoczywałaś u nas, ja cię odprowadzałem i od tamtej pory...

– Ale przecież ty nigdy ze mną nie rozmawiasz! I śmiejesz się ze

mnie, gdy cię mijam! – wypomniała mu, zdumiona.

Sambor spojrział na nią dobrotliwie.

– Ależ ja bardzo chciałbym z tobą rozmawiać – odezwał się łagodnie – ale nie mogę, bo uciekasz. I nigdy nie śmieję się z ciebie. Uśmiecham się. Jak zawsze, gdy cię widzę.

Nilą poczuła, że się czerwieni. Zawstydzona, opuściła wzrok na swoje dłonie. Nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć. Nigdy wcześniej nikt nie mówił jej takich rzeczy. Chłopcy nie zbliżali się do niej. Była zbyt poważna. Nie stroiła się, nie bawiła na potańcówkach. Uważała, że w porównaniu z przepiękną Allą była zaledwie ładna. Zawsze związywała włosy w warkocz i biegła do chorych w zwykłej sukni, z torbą przewieszoną przez ramię. Była zwyczajna. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Za to imię Sambora było na ustach wszystkich młódek. Do głowy jej nie przyszło, że wśród tłumu dziewcząt mógł zwrócić uwagę właśnie na nią.

– Ale ty jesteś przecież... – szukała właściwych słów – ...ty jesteś Sambor!

Popatrzył na nią z niedowierzaniem i rozłożył ręce, jakby pokazywał coś niezwykłego.

– A ty jesteś przecież... Nilą! Do licha! Jąkam się przy tobie i brakuje mi słów! I wciąż zbierałem się na odwagę. Ale za każdym razem ty mnie po prostu mijająś. Jakbym był niewidzialny!

Nilą spłonęła rumieńcem. Nie było w tym ni krztyny prawdy! Nigdy nie przechodziła obok niego obojętnie. Zawsze ukradkiem spoglądała na tego najprzystojniejszego w osadzie chłopaka, ciekawa, co robi, jak się śmieje i mówi, o czym rozprawia z dziewczętami, które na jego widok odrzucały na plecy starannie splecione warkocze.

– A ja – odwróciła się nagle Wodniczka, wybawiając Nilę z opresji – wcale nie rozmawiam z wami dlatego, że muszę. Chcę. Teraz nie jesteście obcy.

Nilą uśmiechnęła się do niej krzepiąco na znak, że wszystko rozumie. Alla pogładziła zaś rudowłosą po głowie i jednocześnie dała jej kuksańca w bok.

– Chyba mamy plan – rzekła do siostry.

Dalko przekręcił się lekko i mruknął:

– No, nie całkiem. Szlag, bo jak spłoszyć konie? – Podrapał się po głowie. – I nie wiem, jak je puścić wprost na łowców.

Alla uśmiechnęła się pod nosem i spojrzała na Nilę. Ta skinęła jej głową.

– Powiedz im – zdecydowała.

– Myślę, że ze zwierzętami sobie poradzę – szepnęła Alla. – Tylko błagam, nie zdradźcie mnie przed Złotnikami.

Najprościej, jak umiała, wyjawiała im skrywaną od dawna tajemnicę dwóch niepowszednich talentów.

Oni natomiast, choć byli niewątpliwie zdumieni tym niezwykłym dubletem mocy, mieli do powiedzenia tylko tyle, że jej sekret zawsze będzie bezpieczny.

– Nilu? – przypomniał o sobie Sambor, gdy tylko znów mieli chwilę dla siebie.

Wiedziała, że wpatrywał się w nią przez cały czas. Czowała ciężar jego spojrzenia i zaklętą w nim nadzieję.

– Może na początek zaczniemy więcej rozmawiać? – powiedziała drżącym głosem, a gdy zobaczyła ulgę w jego oczach, dodała: – Widziałam cię. Za każdym razem.

Uśmiechnął się i odetchnął głęboko. Ona zaś wyciągnęła rękę jego w stronę.

– Nie uzdrowię cię, skoro nie chcesz, tylko zmniejszę ból i zasklepię rany. Łatwiej ci będzie uciekać.

– Będziesz się po tym źle się czuła?

– Najwyżej zakręci mi się w głowie. – Uśmiechnęła się i dorzuciła tak cicho, że tylko on mógł to usłyszeć: – Jeszcze bardziej...

Spojrzał na nią ciepło i posłusznie wystawił poranione plecy na dotyk jej dłoni.



Deszcz przestał padać, gdy dojechali do karczmy. Choć niebo wciąż pozostawało we władaniu ciemnych chmur, nareszcie nie lały się z niego strugi wody. Powietrze nabrało krystalicznej przejrzystości, dzięki czemu można było dostrzec każdy obskurny szczegół przycupniętej przy trakcie oberży.

– To rudera – mruknął Sambor, obrzucając niechętnym spojrzeniem drewniany budynek.

Kresa rzeczywiście lata świetności dawno miała za sobą. Lekko pochylona ze starości, z zapadniętym dachem i podcieniami wspartymi na chybotliwych filarach, sprawiała odpychające wrażenie. U samego wejścia, wśród udeptanego końskimi kopytami mokrego piachu, stado psów i kilka zabiedzonych kur walczyło o wyrzucane przez czeladź resztki. Wrota wjazdowe zwisały smętnie na poluzowanych zawiasach, a za nimi ciągnął się ciemny korytarz prowadzący do stajni. Rozświetlał go jedynie blask świateł z przyległej izby karczemnej, z której dobiegały gwary rozmów, śmiechy, pokrzykiwania i wysokie dźwięki skrzypek.

Okrutni Złotnicy jeszcze nie zdążyli zsiąść z koni, gdy na podwórze wypadł przysadzisty karczmarz, przepasany szarym fartuchem. Z szacunkiem powitał Welesa i zgięty w niskim ukłonie, zaprosił bandę do środka.

– Wszystko przygotowane wedle rozkazu – zameldował usłużnie. – Napitki, strawa, karty i kości do gry.

Weles łaskawym gestem poklepał go po ramieniu.

– Chętni do zabawy już są?

– Czekają od rana, panie.

– Konie i smarkacze do stajni – zarządził natychmiast Izbor. – Sakwy do komory gościnnej, broń zostawcie przy sobie.

Łowcy w mig zabrali się do pracy. Rozkulbaczali wierzchowce, wyprzęgali zwierzęta z wozu i oddawali pachółkom juki oraz mokre przeszywanice do wysuszenia. Wreszcie ochoczo ruszyli ku oberży, a pochylony służalczo szynkarz przytrzymał im drzwi.

Tylko Faro i Lederg zostali na podwórzu. Wyciągali jeńców z wozu, krępowali im ręce powrozem, w końcu skierowali Niepowszednich w stronę skrytego w mroku przejścia. Chłopak stajenny otworzył przed nimi solidne dwudrzwiowe wrota, wzmocnione poprzecznymi okuciami. Powitało ich ciche rzenie koni.

Drewniany budynek mógł pomieścić dwa rzędy zwierząt. Uwiązane przy żłobie wierzchowce stały ciasno jeden przy drugim, odgródzone od siebie jedynie drągami uwieszonymi na skórzanych pasach. W najdalszym końcu budynku, tuż przy tylnych wrotach, przygotowano dwa wygodne stanowiska przedzielone przepierzeniem z desek. W tych boksach trzymano co bardziej krewkie ogiery, zbyt chętne do atakowania poczciwych podjezdków. W jednym z nich karczmarz zdążył już ulokować wspaniałego, gniadego rumaka. Drugie było puste. Faro pociągnął ich w kierunku wolnego miejsca.

– Właźcie! – Wskazał stertę słomy na gliniastej podłodze. – Ino migiem!

Ogier za przepierzeniem zareagował na niespodziewanych sąsiadów gniewnym parsknięciem.

– Sprawdź wszystko – mruknął Faro do kamrata.

– Przecież wiem! – warknął Lederg. – Rozwiąż bachory i chodźmy już.

Podszedł do tylnej bramy i solidnym kopniakiem sprawdził, czy jest zamknięta. Później rzucił okiem na niewielkie wietrzniki w ścianach. Były tak małe, że co najwyżej kot mógłby się przez nie przecisnąć.

– Zawarte na głucho – zameldował.

Faro w tym czasie mozolił się z mocno zaciśniętym powrozem.

– Możecie łązić po stajni – stęknął, szarpiąc węzeł. – Ale...

– Szybciej! – przerwał mu ze złością Lederg. – Zabawa nam umyka!

– ...spróbujcie tylko czegoś głupiego, a utłukę! Wszędzie są warty... Nie radzę!

Lederg miał dość czekania. Wyciągnął z sakwy bochenek chleba, rzucił go więźniom pod nogi i przeklinając opieszałość kamrata, pobiegł w stronę wyjścia.

– Gnida! – zawołał za nim Faro.

Przestał tracić czas na rozsypywanie więzów. Po prostu wyjął zza pasa nóż i przeciął pęta. Potem, wabiony odgłosami coraz weselszej hulanki, pognął za Ledergiem, a chłopak stajenny zatrzasnął za nim podwójne wrota.

Niepowszedni zostali sami w półmroku, rozświetlanym łożowymi kagankami. Alla wstała z klepiska.

– Idę się rozejrzeć – powiedziała i ruszyła ku wierzchowcom.

Gwizdnęła cichutko, a po chwili delikatnie poruszyła palcami. Konie natychmiast podniosły głowy znad owsa, by utkwic zaciekawione spojrzenia w drobnej dziewczynie. Nila nie patrzyła na siostrę; w skupieniu przyjrzała się obu bramom wyjściowym. Ta od frontu była zbyt solidna, by ją sforsować, a droga z niej wiodła zbyt blisko izby karczemnej. Za to podwoje na tyłach stajni były znacznie mniejsze, miały wygięte odrzwia, przerdzewiałe zawiasy i szpary między deskami. Wyglądały na nieużywane od dawna i dość sfatygowane. Dziewczyna zerkała na nie z zadowoleniem. Były wystarczająco mocne, by oprzeć się człowiekowi, ale zgodnie z zamierzeniami Niepowszednich to nie ludzie mieli je forsować. Tego Okrutni Złotnicy nie wzięli pod uwagę!

– Myślisz o tym samym, co ja? – Sambor wskazał głową tylne wejście. – Licha ta brama.

Nilą mrugnęła łobuzersko.

– Na pewno nadwątlona przez korniki i rdzę.

Oparła się o deski boksu i spokojnie czekała, aż Alla skończy oglądać zgromadzone w stajni zwierzęta. Raz jeszcze powtórzyła w myślach uknuty w wozie podstęp. W czasie, gdy Weles z kompanami zajęci będą piciem i hazardem, oni wybiorą konie zdatne do szybkiej ucieczki. W tej kwestii polegali na Alli, która wyszukiwała właśnie co lepsze sztuki. Pozostałe rumaki Bestiarka miała rozsierdzić i skierować wprost na pijanych łowców, zaś gromadka uciekinierów, skorzystawszy z zamieszania, powinna bez problemów umknąć pod osłoną nocy w kierunku, który wskaże im Dalko. Musieli tylko poczekać, aż zabawa stanie się tak głośna, a łowcy tak pijani, że na wpół przytomni nie będą w stanie sprawnie ścigać zbiegów. Tak czy siak, najpierw trzeba było wyważyć bramę...

Wszystko szło zgodnie z planem. Na razie. W ciszę, która

panowała w stajni, wciąż wdzierały się odgłosy z izby karczemnej – coraz głośniejsze okrzyki i pijackie śpiewy. Nila uśmiechnęła się sama do siebie, bo ledwie zaczęła się wieczorna szarówka, a łowcy już bawili się w najlepsze.

– Do nocy będą zupełnie zalani – uznał Sambor.

– Mam nadzieję.

Popatrzył na nią uważnie i poklepał słomę przy sobie.

– Usiądź. – powiedział czule. – I zjedz coś. Musisz mieć siły do ucieczki.

A ona natychmiast oblała się rumieńcem na myśl o tym, że tak otwarcie troszczył się o nią. Pokiwała głową i nieśmiało przycupnęła przy nim, delikatnie wsparta o jego łokieć. Sambor natychmiast przysunął się bliżej, by otoczyć jej plecy ramieniem, a oszołomiona tą nagłą intymnością Nila zamknęła na chwilę oczy.

Czy to moje głupie serce już zawsze będzie przy nim biło tak szybko? – zawstydziła się. – *Na pewno je słyszy!*

Przez całą drogę do Kresy rozmawiali. On opowiadał jej o sobie. Mówił, jak żyje, co robi każdego dnia, ile ćwiczy, by doskonalić moc Unika. Ona kreśliła mu obraz codzienności Żniwiarki. Mówiła o radości z uzdrawiania i o przejmującym smutku, gdy była bezsilna wobec chorób. On wyznał, iż szalał za nią tak długo, że już wszyscy w Kamiennych Kościach znali jego tajemnicę.

– Tylko nie ty. – Uśmiechnął się melancholijnie, a Nila pomyślała, że nigdy w życiu nie widziała kogoś równie pięknego.

Wyszeptała mu splotiona, że ilekroć nie patrzył w jej stronę, zerkala na niego z ciekawością, a najmilej wspominała dni, w których odprowadzał ją do domu. Pamiętała każdy z nich!

Oboje zdawali się być zaskoczeni tym, co się między nimi działo. Ona, bo zbyt długo wmawiała sobie, że ten chłopak w ogóle jej nie obchodzi. On, bo nie śmiał wierzyć, że Nila kiedykolwiek spojrzy na niego życzliwie. Aż wreszcie Sambor wyciągnął do niej rękę i spleli razem palce. Chwilę patrzyli na siebie oszołomieni, bo nagle okazało się, że ich wzajemne zawstydzenie i lęk znikły niczym burzowe chmury rozproszone ciepłym letnim wiatrem. Czuli się bowiem tak, jakby od dawna było im to pisane.

– Jest tu trzydzieści koni. – Głos Alli wyrwał dziewczynę z zamyślenia. – Potrzebujemy pięciu. Znalazłam...

– Czterech – wtrąciła Wodniczka i wyjaśniła szybko: – Bo ja nie umiem jeździć.

Bestiarka pokiwała głową.

– Dalko, a ty? Poradzisz sobie konno? – zapytała.

– Tak.

– A więc czterech – zdecydowała. – Ty malutka, pojedziesz ze mną. Chodźcie, zobaczcie, co wybrałam.

Zaprowadziła ich na środek stajni i pokazała piękne kare podjezdki, które strzygły czujnie uszami i wpatrywały się w Allę, przekrzywiając łby. Podeszła do nich i czule pogłaskała każdego po chrapach.

– Nałóżycie im siodła, jeszcze zanim zacznę podjudzać pozostałe. Tylko uważajcie, bo gdy stado wpadnie w szal, konie mogą was stratować w jednej chwili! – przestrzegła surowym tonem.

Przytaknęli zgodnie.

– A tylne wrota? – spytał Dalko.

Dziewczyna popatrzyła na niespokojnego gniadego ogiera.

– Myślę, że nimi poradzi sobie... ten koń.

– Jesteś pewna?! To znaczy, ja wiem, że jesteś Bestiarką. Ale skąd on będzie wiedział, co ma robić? A jeśli nie zrozumie? Szlag! To jedyna droga...

– Dalko – przerwała mu Alla – wierz mi, że wyrwie te drzwi z zawiasów. Po prostu mi zaufaj.

Żrenicznik popatrzył niepewnie na pozostałych towarzyszy, bo wyjaśnienia dziewczyny niewiele mu pomogły. Wodniczka i Sambor zgodnie wzruszyli ramionami, dając do zrozumienia, że wiedzą tylko tyle, co on. Natomiast Nila uśmiechnęła się uspokajająco.

Wykonali połowę planu i nie pozostało im już nic innego, jak pozwolić, by gorzałka zrobiła swoje z łowcami. Wrócili więc na słomiane legowisko i niemrawo posilając się chlebem, wsłuchiwali się w hałaśliwe, coraz bardziej gniewne odgłosy hulanki. Nila, oparta o ramię Sambora, łowiła uchem wzburzone okrzyki, przekleństwa i pogardliwy śmiech. W ów pijacki gwar wplatała się głośna muzyka skrzypek,

drażniąc uszy wysokimi tonami i jednostajnym rytmem.

W końcu zapadła noc, a przez niewielkie wietrzniki w ścianach wpadał nikły blask księżyca. Wrzaski i wyzwiska nasiliły się. Do jękliwych dźwięków smyczka doszły brzęk tłuczonych szklanic i płaczliwe protesty karczmarza. Wreszcie Alla podniosła się z klepiska.

– Zaczynajmy! – powiedziała. – Strasznie hałasują. Głośniej już chyba nie będzie.

Dalko z Wodniczką sprawnie uwolnili uwiązane u żłobów konie, a zaciekawione zwierzęta od razu zaczęły drobić po stajni. Sambor z Nilą podeszli do przewieszonych przez belki siodeł.

Osiodłanie czterech wierzchowców nie zajęło im wiele czasu. Dla pewności dwukrotnie sprawdzili dociągnięcia popręgów i pełni nadziei, czekali przyczajeni na końskich grzbietach. Teraz wszystko zależało już tylko od Alli.

Łowcy wciąż hałasowali jak stado czortów, a skrzypek nie przestawał grać nawet na chwilę. usiłując zagłuszyć swą muzyką wszystko, co działo się w izbie! Alla podprowadziła wielkiego ogiera wprost pod tylne wierzeje i ustawiła zwierzę zadem w ich kierunku. Odeszła na tyle daleko, by dobrze widzieć pozostałe konie. Stała przed nimi wyprostowana i lekko poruszyła dłońmi.

– Sambor, teraz patrz bardzo uważnie... – szepnęła mu Nila do ucha.

W jednej chwili wszystkie zwierzęta zwróciły się w stronę Bestiarki. Dziewczyna wpatrywała się po kolei w każdego wierzchowca, a opuszkami palców wybijała w powietrzu szybki rytm. Konie patrzyły na jej ręce szeroko otwartymi ślepiami. Usiłowały pojąć wszystko, co chciała im przekazać w zrozumiałych jedynie dla nich i dla niej znakach. Widziały tylko Allę, obojętne na wszystko wokół, nawet na krzyki i muzykę, które dobiegały z zewnątrz.

– A niech mnie! – szepnął Sambor. – Nigdy nie wiedziałem Bestiarza przy pracy!

Nilą spojrzała na niego z lekkim uśmiechem.

– Ja widuję często, przy dzikich kłusakach. Zwykle wybiera te największe i najbardziej narowiste.

Sambor zaniemówił, a potem przeniósł na Allę wzrok pełen

podziwu. Ona zaś z wielką wprawą i spokojem poruszała palcami, magnetyzując spojrzeniem całe stado. Nagle coś zaczęło się dziać. Pierwszy poruszył się gniadosz przy wrotach. Podskoczył lekko, opadł na przednie nogi, a tylnymi kopytami gniewnie kopnął w sparciałe drewno wierzei. Pozostałe wierzchowce drgnęły gwałtownie, jakby przebudzone z transu i zaczęły rzucać łbami. Ogier uderzył ponownie. Rozległ się łoskot tak gromki, że Nila bezwiednie zakryła na moment uszy. Sambor natychmiast zerknął na frontowe wejście i uspokajająco pokręcił głową. Nikt nie nadchodził, a muzyka i pijackie wrzaski docierały do nich wciąż tak samo głośno. Hałas kopnięć ginął w odgłosach czynionych przez ludzi w karczmie.

Alla przyspieszyła. Bardziej gorączkowy rytm ośmielił rozdrażnionego rumaka. Raz za razem odbijał się z przednich nóg, a zadnimi kopytami tłukł z całej siły w przeszkodę. Owo natarczywe łomotanie rozdrażniło resztę stada. Wierzchowce niecierpliwie przepychały się w stronę tylnej bramy. Niepowszedni chwycili mocniej wodze.

– Zawiasy ledwie się trzymają! – wypalił zachwycony Dalko. – Już prawie je wyrwał!

Palce Alli znów przyspieszyły, na co ogier odpowiedział jeszcze wścieklejszymi kopnięciami. Wreszcie zawiasy wypadły z ościeży, a brama z głuchym łoskotem runęła na glinianą podłogę!

– Jazda! – wrzasnęła Alla i zwinnie wskoczyła na siodło.

Wierzchowce z impetem ruszyły do wyjścia, a Niepowszedni starali się w tym rozgardiaszu przede wszystkim utrzymać w siodłach. Porwani przez spłoszone stado, niezdarnie manewrowali swoimi podjezdkiem między resztą koni. Wreszcie wypadli na zewnątrz i natychmiast przyczaili się tuż za węglem, by poczekać, aż Dalko wskaże kierunek ucieczki.

– Tam! – Chłopak bez wahania pokazał północ.

Niestety, nie dane im było ruszyć. W stajni rozległ się ciężki tętent kopyt i po chwili wyskoczył z niej rozłozszczony koń. Gniady ogier!

Uderzył piersią w bok wierzchowca Alli, domagając się jej uwagi. Przerazone zwierzę wierzgnęło tak, że niemal wyrzuciło Wodniczkę z siodła.

– Psiakrew! – zaklęła Bestiarka.

Złapała się jedną ręką łęku, a palcami drugiej zaczęła wykonywać szybkie ruchy. Wielki rumak natychmiast spotulniał, opuścił potężny łeb na kolana dziewczyny i wlepił w nią maślany wzrok, ale wciąż nie miał zamiaru odejść! Przeciwnie, uszczęśliwiony, rozdał nozdrza, niespiesznie wypuścił powietrze i mocniej wtulił się w jej suknię.

– Idźże sobie wreszcie! – warknął Dalko i nagle znieruchomiał. – Szlag!

Podążyli za jego spojrzeniem.

– Już po nas! – jęknęła Nila.

W opustoszałej stajni stał zdumiony pacholek i gapił się na Allę jak wół na malowane wrota. Musiał ją obserwować zapewne od chwili, gdy na podwórzu pojawił się gniadosz i to właśnie widok sztuczek, za pomocą których władała wielkim zwierzęciem, wprowadził go w osłupienie.

– Bestiarka! – wrzasnął nagle, odwracając się w stronę karczmy. – Bestiarka!

– Dość tego! Wiejemy! – zdecydował Sambor i huknął wprost w ucho rozanielonego konia: – Kysz!

Ogier drgnął przestraszony i cofnął łeb z kolan dziewczyny. Alla nie czekała. Krzyknęła donośnie na swojego podjezdka i popędziła na północ, zostawiając gniadosza z tyłu. Pozostali natychmiast ruszyli za nią. Nie było chwili do stracenia.

– Faro! Uciekają! Faro! – wszczął larum stajenny.

– Żwawo! – ponaglił Dalko.

Z izby wypadli pierwsi łowcy. Uchylając się przed końskimi kopytami, usiłowali złapać i uspokoić wzburzone zwierzęta.

Zdenerwowany zamieszaniem ogier odwrócił się w stronę Okrutnych Złotników i nie pozwalał nikomu podejść bliżej. Gryzł, kopał i jeszcze bardziej narowił pozostałe wierzchowce. Ludzie krzyczeli, jedne konie uciekały, inne drobiły nerwowo, a wszystkie co rusz wpadały na siebie. Na podwórzu zapanował całkowity chaos, dzięki któremu Niepowszedni zyskali cenny czas. Skorzystali z tego najlepiej, jak mogli – pognali przed siebie na złamanie karku.

Księżyc rozświetlał okolicę nikłym blaskiem, więc niewiele było widać, ale Dalko wykrzykiwał na zmianę to krótkie komendy, to

ostrzeżenia i w ten sposób pewnie prowadził ich w ciemnościach. Wkrótce światła Kresy znikły w mroku, a krzyki umilkły. Mimo to wciąż pędzili i nie zamierzali zmieniać tempa. Podjezdki, wypoczęte i rześkie, dziarsko pokonywały kolejne wiorsty.

– Siostrzyczko, udało się! – krzyknęła radośnie Alla.

Nilą, skupiona na szybkiej jeździe, przytaknęła skinieniem głowy. Choć upajała się pierwszymi chwilami wolności, bała się do końca uwierzyć w to szczęście. Powiększająca się odległość od karczmy dawała im zaledwie niewielką przewagę. Gdzieś tam za nimi wciąż czaili się łowcy.

I nagle, jakby na potwierdzenie jej obaw, rozległo się dramatyczne zawołanie Żrenicznika:

– Gonią nas!

Jednocześnie odwrócili się w kulbakach. Niczego nie wypatrzyli, ale z oddali słychać było przytłumiony tętent wierzchowców.

– Ilu, Dalko? – krzyknęła Alla.

– Najmniej czterech! I psy! Dopędzają nas!

Nilą nie mogła pojąć, jakim sposobem pościg był coraz bliżej. Wszak to oni mieli wypoczęte, posłuszne wierzchowce! Łowcom zaś zostawili tylko te zdrożone podróżą do Kamiennych Kości i z powrotem oraz te znarowione, które najpierw trzeba było złapać, uspokoić i osiodłać!

– Szlag! – jęknął Dalko. – Mają inne konie! Nie z naszej stajni!

Wszystko stało się jasne. Karczmarz trzymał gdzieś w lepszych warunkach zwierzęta dla co znamienitszej klienteli. Przeznaczone najpewniej dla cesarskiej poczty lub strażników Gospar. Nic dziwnego, że zrywniejsze rumaki oberżysty doganiały ich zwykłe podjezdki. Było źle!

Przerażona Nilą rozejrzała się wokół siebie. Sambor wyprzedzał ją o kilka długości. Alla trzymała się z tyłu. Dalko to odwracał się w stronę łowców, to znów sprawdzał spowity ciemnościami teren przed Niepowszednimi. Nagle uniósł się w strzemionach i przez chwilę jechał wpatrzony w mrok, w który zmierzał podjezdek Unika.

– Sambor, uważaj!

– Co?! – krzyknęła Nilą. – Dalko, co się...

– Parów! – przerwał jej. – Sambor, parów przed tobą, skacz!
Skacz! Szlag!

– Co?! Aaaaa! – zdążył tylko wrzasnąć Sambor i zamilkł.

Nie mieli pojęcia, czy jego koń dał sobie radę z niespodziewaną przeszkodą. Przez chwilę nie działo się nic, a potem usłyszeli radosne:

– Udało się! Łatwo poszło!

– Teraz my! – zdecydował Dalko.

– Nie dam rady! Nic nie widać! – zaprotestowała Nila.

– Dasz! Tylko trzeba nam skakać razem! Pomogę!

Alla posłusznie zrównała wierzchowca z podjezdkiem Nili, a Żrenicznik zajął miejsce między nimi. Wyciągnął rękę przed siebie, wskazując niewidoczne dla dziewcząt zbocze.

– Równo i obok siebie!

Ruszyli co tchu. Pochylili się nad końskimi grzbietami i lekko unieśli w strzemionach.

– Uważajcie! – ostrzegł Dalko. – I... teraz!

Bestiarka skoczyła pierwsza, bo jej podjezdek wyprzedził ich o pół łokcia. Dwa pozostałe wierzchowce dobiegły nad parów w równym tempie. Gdy koń Nili wybił się w górę, odwróciła głowę, by spojrzeć na Żrenicznika. Jęknęła przerażona. Nie to chciała zobaczyć! Karosz Dalko zamiast skoczyć, zarył kopytami tuż przed rozpadliną. Chłopak z krzykiem przeleciał nad jego grzbietem, grzmotnął w ziemię i wrzasnął z bólu. Nila struchlała.

– Ratunku! Dalko spadł! Pomocy! – zawołała, gdy jej podjezdek miękko dotknął kopytami ziemi po drugiej stronie parowu.

Ponieważ nikt jej nie odpowiedział, wstrzymała gwałtownie konia i odwróciła się w poszukiwaniu Żrenicznika.

– Dalko! Słyszysz mnie? Dalko!

Z ciemności doleciało tylko stłumione stęknienie. Tuż po nim rozległy się głośnie wrzaski łowców i szczekanie psów. Pościg był już bardzo blisko.

– Psiakrew! – zaklęła Nila.

Bez wahania szarpnęła wodze i skierowała wierzchowca z powrotem w stronę jaru. Zanim jednak zdążyła ruszyć, z mroku wypadła Alla i w biegu przerzuciła jej na siodło Wodniczkę.

– Ruszaj! Do Sambora! Ja mu pomogę!

Nie czekając na odpowiedź, trzepnęła podjezdka Żniwiarki w zad.

– Uciekajcie! – dotarł do nich przepełniony łękiem głos Dalko. –

Uciekajcie!

Mimo strachu o Allę, który ścisnął jej gardło, Nila pognęła przed siebie. Miała do uratowania także Wodniczkę! Wciąż odwracała się jednak w nadziei, że dojrzy wracającą siostrę. Na próżno. Niezmiennie widziała tylko ciemność. W końcu pewna, że bez Alli nie zrobi dalej nawet jednego kroku, zatrzymała gwałtownie konia. Uniosła się w strzemiączkach i nadstawiła ucha. Wokół panował spokój. Ucichły odgłosy pogoni i wrzaski mężczyzn.

– Słyszysz ją? – szepnęła Wodniczka.

Nilę pokręciła głową.

– Tylko poszczekiwanie psów.

– Nilu... – Z ciemności bezszelestnie wyłonił się Sambor.

Stał tuż przy nich i tak jak one chłonał dźwięki z oddali.

– Powinni już tu być – szepnęła przerażona. – Musiało stać się coś złego.

Chłopak popatrzył na nią zatroskany.

– Dopadli ich.

Nie mylił się. W mroku rozległ się pełen cierpienia dziewczęcy krzyk. Nila aż podskoczyła ze strachu! Niemal natychmiast ciszę przeciął następny. Po nim kolejny.

– Alla!

Nie było odzewu.

– Alla! Alla! – powtarzała Nila.

To zdzierała gardło w histerycznych nawoływaniach, to milkła, by nasłuchiwać odpowiedzi.

– Odezwij się!

Nic.

– Błagam!

W końcu się doczekała. Niestety, zamiast łagodnego głosu Alli usłyszała bas Izbora.

– Ej, dziewczucho! Chcesz zobaczyć siostrę zdrową? To, psiamac, radzę ci tu wrócić!

Nilą zacisnęła ręce na wodzach. Choć serce tłukło jej się z przerażenia, wiedziała, co musi zrobić. Delikatnie uścisnęła Wodniczkę i podała dziewczynkę Samborowi. Potem zsunęła się z siodła i z płaczem opadła na kolana. Nie miała przed sobą innej drogi niż powrót do znienawidzonej niewoli.

Sambor stanął tuż obok. Pozwolił jej na ten moment rozpaczy, ale już po chwili łagodnie podniósł dziewczynę z klęczek.

Nilą wytarła łzy i spojrzała na rudowłosą.

– Zabierz ją i uciekajcie – szepnęła. – Ja wracam.

Mała pokręciła głową.

– Na pewno nie sama! – oświadczyła stanowczo.

Nilą westchnęła ciężko.

– Mówię poważnie – powiedziała. – Uciekajcie, póki możecie...

Sambor wzruszył lekko ramionami i podszedł tak blisko, że mogłaby wtulić się w jego pierś. Delikatnie ujął jej twarz w dłonie i przysunął się jeszcze bliżej.

– Głuptas z ciebie – mruknął, a potem dotknął wargami jej ust.

Zanim Nilą zdążyła ochłonąć, odwrócił się w stronę parowu i krzyknął:

– Izbor, wracamy!



Nila przyglądała się Izborowi, który przy okazałej bramie wjazdowej do Bawidła pertraktował z poborcami myta. Więźniowie i reszta Okrutnych Złotników czekali na jego sygnał przy suchej fosie wypełnionej ustawionymi na sztorc palami. Szeroki wykop otaczał gród na całej długości murów, a tych Nila za nic nie chciała przekraczać. Wciąż wspominała bowiem słowa, które Weles rzucił im z mściwą złośliwością po nieudanej ucieczce z Kresy. Zmierzył wówczas całą piątkę niedoszłych zbiegów surowym spojrzeniem i na widok tego, co Izbor zrobił z twarzą Alli, pokręcił głową.

– Same sińce. Nie ma już miejsca, by cię obić, a należy ci się – zawiesił głos – ...Bestiarko! Już po twojej tajemnicy!

Rozwścieczony, zrobił krok w jej kierunku, a bezbronna dziewczyna mogła tylko skulić ramiona i z lękiem pochylić głowę.

– Przez twoje gierki karczmarzowi uciekło pięć koni. Nie mogą ich znaleźć, a kosztowały fortunę. Dziesięć florenów! – warknął. – To teraz twój dług u mnie, durna dziewucho!

Potem przesunął się bliżej Nili. Patrzył na nią przez chwilę, po czym westchnął i pokręcił głową.

– Moja droga, ty niczego się nie uczysz – powiedział głosem zimnym jak lód. – No trudno, nie będę was więcej batożyć, skoro to nie ma sensu. Poobijani tracicie na wartości, a i tak wciąż się buntujecie. Mnie zaś interesuje tylko złoto, które za was dostanę. Dlatego znalazłem inny sposób, by nauczyć was posłuszeństwa. W Bawidle dam wam nową lekcję. Dla ciebie, Żniwiarko, szczególnie.

Po tych słowach uśmiechnął się do Nili złośliwie i wydał rozkaz wyjazdu z Kresy.

I oto stali na progu miasta, w którym czekało ich z pewnością coś złego, ponieważ Weles nigdy nie rzucał słów na wiatr.

Nila przyjrzała się grubym na trzy łokcie i wysokim na cztery sążnie murom obronnym Bawidła. Miała wrażenie, że gdy je przekroczy, spełnią się wszystkie niedobre przeczucia, które towarzyszyły jej od

początku podróży. Dalko podążył za zmartwionym spojrzeniem dziewczyny.

– Blanki wzniesli niedawno – odezwał się – ale mur, bramy i Arena stoją tu od tych no, niepamiętnych czasów. Ponoć będzie już ponad tysiąc lat! Miasto pobudowali jacyś najeźdźcy z południa.

– Arena? – powtórzyła jak echo Alla.

Chłopak skrzywił się z niechęcią i wyciągnął rękę w stronę górującej nad Bawidłem kolistej konstrukcji z kamienia. Nakrywała ją skomplikowana płatanina płacht rozpiętych na długich masztach.

– Paskudne miejsce. – Wzdrygnął się z odrazą. – Sami się przekonacie.

– Byłeś tam?

– Mhm.

– Sporo wiesz – zdziwiła się Bestiarka. – A mówiłeś, że pochodzisz z Mercaty...

– Mercata to mój dom – wyjaśnił. – Ale Bawidło to... Bawidło. Każdy tu przyjeżdża. No wiecie, wszyscy z Łajdackiego Krańca. Szlag! Mój ojciec uwielbia tu się zabawić. Ciągnął nas z matką do Bawidła kilka razy w roku. Niestety...

– Dogadał się! – wtrącił zniechęca Sambor, wskazując na Izborę.

Rzeczywiście poborca myta zachłannie sięgnął po spoczywającą w dłoni łowcy sakiewkę i pieniądze przeszły z rąk do rąk. Brama stała przed nimi otworem! Natychmiast rozległ się przenikliwy gwizd, którym Izbor przywoływał ich niewielką kawalkadę pod wjazd.

Nilę złapała chłopaka za rękę. Od czasu, gdy pocałował ją na pustkowiach Uroczyńska i nie zostawił na pastwę łowców, bez obaw dzieliła się z nim najskrytszymi uczuciami. Ufała mu.

– Boję się – powiedziała. – Weles na pewno coś knuje.

– Wiem, ale ani nas nie stłucze, ani nie narazi na śmierć. Jesteśmy warci kupę florenów! Jakoś to będzie, Nilu.

Dziewczyna westchnęła ciężko.

– Pożyjemy, zobaczymy – mruknęła.

Przy wtórze przekleństw i protestów innych wędrowców Okrutni Złotnicy bezceremonialnie wepchnęli się na początek kolejki i po przerzuconym nad fosą drewnianym moście wprowadzili wóz do

Bawidła.

Już po kilku krokach pochłonał ich labirynt zatłoczonych wąskich uliczek, wyznaczanych fasadami ciasno stłoczonych budynków. Domy stały tak blisko siebie, że chociaż nie były wysokie, promienie słoneczne docierały tylko do połowy ich ścian. Co kilkanaście sążni piętra naprzeciwległych kamienic spinały potężne ceglane łuki, które bezwzględnie okradały kolejne fragmenty grodu z naturalnego światła. Wyłożony niewielkimi otoczkami deptak tonął w błocie, końskich odchodach i wylewanych z okien zawartościach nocników. Jakby tego było mało, wszędzie stały proste gliniane piece na żelaznych trójnogach, przy nich zaś piętrzyły się sterty suchego łąjna. Odór mieszaniny tych nieczystości dosłownie wgryzał się w nozdrza.

– Fuj, skąd to łąjno? Po co? – skrzywiła się Alla.

Dalko wzruszył ramionami.

– W Bawidle zabawa trwa do rana, a po zmroku jest zimno. No to, żeby ludziom chciało się łązić całą noc po mieście i zostawiać w nim pieniądze, postawili piece. Goście ogrzeją się przy gliniakach, łykną okowity i pójdą dalej szastać groszem.

– A nie prościej palić drewnem? – zdziwił się Sambor.

– A widzisz tu jakieś drzewa? Taki opał jest dla bogaczy. Ciągną go aż spod zachodniej granicy, a to kosztuje. Łajno dobrze się pali i jest tanie. Co z tego, że śmierdzi? Kogo obchodzi smród...

Na pewno nie Okrutnych Złotników. Obojętni na fetor, niestrudzenie parli przed siebie i lżyli każdego, kto stanął im na drodze. Co chwila słyhać było a to złorzeczenia Welesa i jego kompanów, a to wyzwiska wściekłych przechodniów, którzy zmuszeni byli chować się po bramach lub przywierać do ścian, by uniknąć niechybnego zmiżdżenia przez wóz.

Otaczało ich mrowie ludzi. Nili, wychowanej na bezkresnych przestrzeniach Kamiennych Kości, gdzie do najbliższej osady jechało się konno, taki tłum wydawał się czymś niezwykłym. W całym swym życiu nie widziała naraz tylu osób, ile w Bawidle w tej jednej, bocznej uliczce.

Mijali ich i starannie odziani mieszczanie, i gnani pośpiechem służący, i uliczni sprzedawcy, którzy dźwigali na plecach swój towar. Wszyscy podążali za swoimi sprawami, nie zamieniali z nikim słowa i

nie zwracali uwagi na pozostałych przechodniów.

Między tą ciżbą zwykłych mieszkańców wesołymi okrzykami, śmiechem i poszturchiwaniem torowała sobie drogę gromada cudaków, jakich w rodzinnych stronach Nili ze świecą szukać. Chłopcy w pstrokatych strojach, którzy ku ucieście gawiedzi przemierzali część drogi na rękach. Mężczyźni tak potężni, że zdawali się zdolni do rozerwania krat wozu gołymi rękami. Lutniści, podskakujący do rytmu wygrywanych przez siebie melodii. Kobiety ustrojone w suknie tak przejryste, że widać było każdy skrawek ich ciał. Szły lekko, prowokacyjnie kołysały biodrami i przy każdym kroku pobrzękiwały błyskotkami zaplecionymi wokół kostek.

– Dalko, kim oni są? – zdumiał się Sambor.

– Zwykli kuglarze. No, żyją z pokazywania sztuczek.

– Sztuczek?

Chłopak przez chwilę przyglądał im się z niedowierzaniem.

– Szlag! Te wasze Kamienne Kości to jakaś zapadła dziura, co? – Westchnął ciężko nad ich niewiedzą i zaczął cierpliwie wyjaśniać: – Kuglarze dają przedstawienia. Pokazują takie no, najdziwniejsze umiejętności...

– Są Niepowszednimi? – przerwała mu Wodniczka.

Pokręcił głową.

– Nie! Po prostu dużo ćwiczą i są w czymś świetni. Czekaście. – Zamilkł, szukając w głowie najlepszego przykładu. – O! Niektórzy potrafią chodzić po linie albo wyginają się strasznie, jak wąż! Inni... czy ja wiem... Podnoszą ogromne ciężary albo potrafią żonglować pochodniami.

Nila stanęła na palcach i z wysokości wozu rozejrzała się wśród wielobarwnego tłumu. Im bliżej byli Areny, tym gęstsza ciżba ich otaczała.

– A co tam właściwie jest? – Wskazała imponującą budowlę.

Dalko obrzucił kamienną konstrukcję tym samym niechętnym spojrzeniem, jakie dostrzegł u niego przed wjazdem do miasta.

– No właśnie. Nie wiem, jak wam to powiedzieć. Bo tam, no ta Arena... Szlag! – wybuchł. – Niepotrzebnie wracaliście po mnie! Gdyby nie to, byłibyście już daleko! No, a przez to jesteście tu! Przeze mnie!

Alla spojrzała na niego pobłaźliwie.

– Nie gadaj znowu bzdur. Już o tym rozmawialiśmy w wozie. Zrobiliśmy to, co ty też byś dla nas zrobił. Zgoda?

Żrenicznik uśmiechnął się smutno.

– Zgoda, ale ja i tak nie przestanę być wam za to wdzięczny. Wiecie, że nie umiem za bardzo przemawiać... Bo wy nawet nie wiecie, ale wy pierwsi... no nikt wcześniej nic dla mnie nie zrobił. – Westchnął ciężko. – Nawet nie macie pojęcia, co tam jest! Nie chcę wam tego mówić...

Zdenerwowany, kopnął kratę i zamilkł na dobre, oni zaś spojrzeli na siebie bezradnie, bo niewiele rozumieli z jego zachowania. W końcu Wodniczka dotknęła lekko ramienia chłopaka.

– Dalko, po prostu nam powiedz. Cokolwiek tam jest i tak już na nas czeka.

– No przecież wiem!

Gwałtownym ruchem ucisnął skronie, jakby usiłował zebrać myśli. Po chwili odetchnął głęboko, podniósł głowę i zatoczył ramieniem wokół siebie, pokazując tym gestem całe miasto.

– Dobra! Jest tak: Bawidło to jeden wielki stragan z zabawami dla bogaczy. Kupią tu każdą uciechę, nawet... – zawiesił głos i po chwili dokończył ponuro: – ...śmiertelną. Zależy, jakie rozrywki lubisz i na ile cię stać. Mówią, że cokolwiek się wydarzyło w Bawidle, zostaje tu na wieki.

– Co to znaczy? – spytała Alla.

Dalko spojrzał na nią ze smutkiem.

– To, że nikt się o niczym nie dowie, jeśli masz dość złota. Ten no... występek jest tu najpilniej strzeżoną tajemnicą. O ile zapłacisz. Można tu robić wszystko, a najdroższe rozrywki i najlepsze występy są

...

– W Arenie! – domyśliła się Nila.

Chłopak pokiwał głową.

– Dlatego tam nas wiozą.

– Chyba nie chcą, żebyśmy wstępowali? – zapytała podejrzliwie Alla.

Chłopak nie odezwał się.

– A więc będziemy występować?! – wycodziła oburzona. – Jak gołe tancerki i ci... jakże im... kuglarze?!

Dalko wzruszył niemrawo ramionami i bezsilnie rozłożył ręce.

– Oczywiście – odezwał się z kamiennym spokojem w głosie Sambor. – Weles nie przepuści okazji, żeby na nas dodatkowo zarobić.

Ich cudowne moce miały stać się zwykłymi jarmarcznymi sztuczkami tylko po to, by gromada pijanych, zepsutych ludzi mogła sypanąć groszem. Nila poczuła się poniżona. Alla jakby odgadła jej myśli.

– Do groma! – wściekła się. – Przecież jesteśmy Niepowszednimi.

– E tam! – mruknął Dalko. – Co z tego? Dla nich to bez znaczenia.

Nie takich już widzieli!

Żniwiarka zacisnęła pięści.

– Co z tego?! To pośmiewisko! Niebiosa! Ja nie wyginam się jak wąż! Mam zabawiać kogoś swoją mocą?! Nigdy! Uzdrawianie to cud!

– Nilu... – przerwała jej spokojnie Wodniczka – jednak mogło być znacznie gorzej.

– No nareszcie! – westchnął z ulgą Sambor.

Nila spojrzała na nich osłupiała.

– Gorzej?! Co wy wygadujecie?

Chłopak wyciągnął rękę i zdecydowanym ruchem przyciągnął ją do siebie.

– Psiakrew, Sambor! – fuknęła. – Przecież ja ratuję ludziom życie! Nie jestem zabawką! Na pewno nie będę się popisywać! Mowy nie ma!

– Słuchaj mnie! – przerwał jej, a stanowczość w jego głosie zmusiła ją do uwagi. – Ty też, Allu! Słuchajcie mnie obie, u licha! Też jestem wściekły, ale nie mamy wyboru. Zrozumiałyście cokolwiek z tego, co powiedział Dalko? Chyba nie! Mała ma rację! Mogło być znacznie gorzej. To chore miejsce, w którym mogą nam zrobić wszystko. Rozumiesz?

– Przecież nas nie zmuszą do występów! – sarknęła Alla.

Dalko zacisnął wargi i pokręcił głową.

– Wierz mi, Weles tak czy siak na tobie zarobi. – Wymownym gestem pokazał ją całą. – Taka piękność!

Oczy dziewczyny rozszerzyły się ze zgrozy.

– Wreszcie pojęłaś, co? – mruknął Sambor i dodał: – Nilu,

przynajmniej wiemy, na czym polega lekcja Welesa. I wierz mi, to niewielka cena za ucieczkę. Dlatego po prostu zabawmy tych ludzi i pozwólmy im o sobie zapomnieć. Im szybciej, tym lepiej. Pojmujesz mnie?

Kiedy dotarło do niej, jak bardzo naiwnie patrzyła na świat ledwie kilka minut wcześniej i ile jeszcze musiała się nauczyć, by na nim przetrwać, mogła powiedzieć tylko jedno:

– Pojmuję.

Naprawdę to rozumiała, ale nie była w stanie uciszyć tego dziwnego niepokoju, który dręczył ją od dłuższego czasu. Od owej chwili opanował jej serce bez reszty. Czuła, że zbliża się coś jeszcze gorszego od wszystkich złych rzeczy, które do tej pory im się przydarzyły.



Widzowie, stłoczeni w sektorach wyznaczonych kamiennymi bramami wejściowymi, zajmowali się sączeniem trunków i głośnymi rozmowami, których jedynym tematem była najważniejsza atrakcja wieczoru – występ Niepowszednich. Wszyscy tak niecierpliwie czekali na rozpoczęcie wyjątkowego pokazu, że prawie nikt nie zwracał uwagi na połykacza ognia, choć ten dwoił się i troił na scenie.

Nila nerwowo zaplotła palce, zastanawiając się, co dzieje się z jej towarzyszami. Rozstali się w łaźni, gdzie zmyto z nich trudy wielodniowej podróży i rozpoczęto pieczołowite przygotowania do wypuszczenia ich na deski Areny. Dostali nowe stroje, ułożono im włosy, opatrzone i zamaskowano co bardziej przykre dla oczu widzów obrażenia. Gdy tylko Nila zaczęła na powrót przypominać urodziwą piętnastolatkę, a nie poranionego kocmołucha, Izbor wyciągnął ją z gotowalni, nakazał zająć miejsce na widowni i pod groźbą batów zabronił ujawniania się z mocą Żniwiarki.

– Słuchaj no, głupia – warknął – służysz tylko jednemu panu, a on nie ma zamiaru cię pokazywać. A zrób ino coś głupiego, to popamiętasz. Dawno nikogo nie sprąłem i aż mnie ręka świerzbi do dobrej zabawy.

Nila przycupnęła więc posłusznie i ze swojego miejsca, w rzędzie najbliższym sceny, obserwowała napływający tłum.

Arena tętniła życiem. Czterdzieści szeregów wykutych w wapieniu siedzisk obiegało scenę i pięło się w górę aż po wsparte na masztach materie, które chroniły widzów przed słońcem i deszczem. Choć zdawało się, że wszystkie ławy były już zajęte, ludzi wciąż przybywało. Dziewczyna nie próbowała zliczyć, ile osób zgromadziło się tego wieczoru, by oglądać występy. Była pewna, że nie zna tak wielkich liczb.

Goście niecierpliwili się, przepychali i narzekali na złe traktowanie, chociaż służba uwijała się jak w ukropie. Dziesiątki czeladników oraz posługaczek odprowadzało kolejnych widzów do ich sektorów, przygotowywało poduszki, dostarczało trunki i słodycze.

Izbor również rozglądał się wokół i zabijał nudę wyszukiwaniem znajomych twarzy. Co chwila podnosił rękę, by pozdrowić kogoś albo przesyłać całusy damom. Widać było, że czuł się w tym miejscu jak ryba w wodzie. Dosłownie upajał się zachwyconymi spojrzeciami kobiet i rubasznymi okrzykami, którymi witali go mężczyźni. Służący co bardziej śmiałych dam bez ustanku przynosili mu liściki, dołączone do wymyślnych przekąsek. On zaś nawet nie zadawał sobie trudu, by odczytać te miłosne wyznania, tylko chował je wszystkie za pazuchę. Potem znów wracał do żłopania wina, zjadania się smakołykami i rozglądania się po Arenie. Od czasu do czasu pokazywał kogoś Nili i tłumaczył jej półgłosem, kto zacz. Zupełnie, jakby byli parą zaprzyjaźnionych znajomków, a nie oprawcą i ofiarą. To, że Izbor jednakowo dobrze bawił się, rozmawiając z nią i katując ją bez litości, wydało się dziewczynie jeszcze straszniejsze, niż gdyby tylko się nad nią pastwił. Jasnym się bowiem stało, że pomijając wartość wyrażoną w złocie, Żniwiarka wraz z resztą Niepowszednich liczyli się dla niego mniej niż znoszone łapcie. Mógłby równie dobrze ich tłuc, może nawet zabić, jak z nimi gawędzić. Ot tak, po prostu. Bez emocji.

– Patrz tam, to Lubgost Dragon – łowca, nieświadomy rozważań Nili, zwrócił jej uwagę na siwowłosego grubasa. – Najważniejsza persona w Bawidle.

Dziewczyna zmrużyła oczy, zmęczone migotliwym ogniem pochodni, rozświetlających każdy zakątek trybun. Niechętnie przyjrzała się człowiekowi, który zajmował najbardziej okazałą łóżę widowni. To dla jego uciechy jej siostrę i przyjaciół czekał upokarzający spektakl na scenie.

Lubgost Dragon był postawnym, nie więcej niż pięćdziesięcioletnim mężczyzną. Siedział swobodnie rozparty na ławie wyłożonej poduchami, a olbrzymi brzuch wylewał mu się spod haftowanej złotymi nićmi koszuli. Nila wzdrygnęła się na widok jego rozmówcy. Weles! Stał obok i tłumaczył coś z wielkim ożywieniem. Tuż za nimi dziewczyna dostrzegła młodą kobietę, uzbrojoną w dwa przytwierdzone do pleców miecze, oraz staruszka w powłóczystej szacie, z trudem wspierającego się na drewnianym kosturze.

Łajdak coś knuje! – pomyślała, uważnie obserwując pochylonego

nad Lubgostem łowcę.

Mierziła ją służalczość, z jaką złożył głęboki ukłon Dragonowi i zadowolony uśmiezek, który wykrzywił mu usta, kiedy obaj splunęli w dłonie na znak dobitego targu i energicznie uścisnęli sobie prawice.

Gdy rozanielony Weles odwrócił się ku widowni i lekko zbiegł po kamiennych stopniach na scenę, przemknęło jej przez głowę, że tak oto wyznaczono cenę za ich upodlenie.

Spragniona wrażeń tłuszcza nagrodziła go rzęsiстыми oklaskami, a Nila poczuła wędrujący po plecach dreszcz niepokoju.

Zaczyna się – pomyślała.

Łotr z gracją skłonił się zebrany i uniósł w górę dłonie, by uciszyć tłum.

– Taki wieczór długo się pewnie nie powtórzy. Rzadko bowiem mogę tak znamienitej publice zaprezentować aż tyle niezwykłych atrakcji.

Uniósł cztery palce ponad głowę.

– Czworo! – krzyknął. – Czworo Niepowszednich czeka dziś na wasze uznanie! W tym aż troje... Niepowszednich Boju!

Gawiedź zafalowała podekscytowana.

– Dawaj ich! Dawaj! Pokaż ich, Weles! – rozlegało się ze wszystkich stron.

Łowca skinął głową i wskazał skryte w ciemnym zakątku sceny postaci.

– Występ podzielimy na dwie części! Najpierw niech oszołomią was Unik, Żrenicznik... i Wodniczka!!!

Tłum oklaskami powitał tę trójkę. Trzymali się za ręce i szli przed siebie obojętni na euforię widzów. Dwaj wysocy młodzieńcy po bokach, a mała dziewczynka pomiędzy nimi. Za plecami Niepowszednich czterech łowców z wysiłkiem wtoczyło na środek sceny potężną szklaną kadź po brzegi wypełnioną wodą. Przystawili do niej drabinę i zajęli się odsuwaniem ciężkiej pokrywy. Tylko Lederg podszedł na moment do herszta, by podać mu klepsydrę.

Weles szarmanckim gestem wskazał Wodniczkę.

– Ta urocza rudowłosa panna – powiedział – znajdzie się za chwilę pod wodą. Kadź jest tak szczelna, że gdy ją zamkniemy, nie dostanie się

tam nawet odrobina powietrza.

Dziewczynka przez chwilę bacznie przyglądała się zbiornikowi, a potem zupełnie straciła nim zainteresowanie i zaczęła oddychać miarowo. Siedzącej nieopodal Nili zdawało się, że niemal słyszy szum powietrza na przemian wciąganego i wypuszczanego ustami przez dziecko.

Weles podniósł wysoko zegar.

– Odmierzy nam czas! – krzyknął. – Równe dwadzieścia minut!

Po tych słowach na widowni zapadła głęboka cisza. Publika zamilkła uszczęśliwiona zapowiedzianą właśnie makabrą, a Niepowszedni znieruchomieli z przerażenia. Wpatrywali się w najstraszliwszego z Okrutnych Złotników i nie mogli uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszeli. Dwadzieścia minut! Weles narażał Wodniczkę na śmierć!

– Jeszcze nikt nie wytrzymał dłużej! – łowca nie przestawał mówić. – Nie bez powodu! Co następuje później? No co?

– Zgon! Koniec! – ryknął tłum.

Gawiedź najpierw zafalowała, podniecona koszmarnym spektaklem, a potem pod niebo wzbiły się oklaski. Wstrząśnięta Nila rozejrzała się wokół. Nikt poza nią i pozostałymi Niepowszednimi nie przejął się losem małego dziecka!

Lisi uśmiech przemknął przez usta Welesa.

– Ale nie bądźmy okrutni! Niechaj to, jak długo nasza czarująca panna będzie musiała czekać pod wodą, zależy także od jej dzielnych przyjaciół! Uwolnimy ją w chwili, gdy obaj młodzieńcy zakończą swe zadania! Oto pierwszy bohater – Unik!!!

Sambor zrobił krok przed siebie, a Nili wystarczył jeden rzut oka na jego zaciśnięte wargi, by wiedzieć, jakie uczucia szalały mu w sercu. Jednak nie pozwolił im zawładnąć sobą, trzymał je w ryzach. Po ostatnich przeżyciach z wolna przestawał być narwanym chłopakiem, którego znała z Kamiennych Kości. Nila patrzyła z podziwem, ile było w nim opanowania. Jedyńm, na co sobie pozwolił, było ostentacyjnie splunięcie pod nogi. Uwłączył tym całej widowni, ale Nila nie miała mu tego za złe. Sama miała ochotę to zrobić.

Sambor spokojnym ruchem wziął podany mu przez Faro miecz,

wolno przeszedł na środek sceny i hardym spojrzeniem obrzucił wiwatującą gawieź. Nie zaszczycił swych wielbicieli nawet jednym uśmiechem. Czekał niewzruszony, z kamiennym wyrazem twarzy, także wtedy, gdy w jego kierunku posypał się deszcz monet. Weles natychmiast dał służącym znak, by zebrali drobniaki i krzyknął:

– Zadanie jest proste! Pokonać jak najszybciej najlepszego fehmistrza Bawidła! Walka do pierwszej krwi! Podkreślam, do pierwszej krwi, ale jeśli pierwsza będzie zarazem ostatnią, cóż począć... niech stracę!

Tłum zawył radośnie. Zawołania co śmielszych widzów, zrazu pojedyncze, przeszły po chwili w zgodny okrzyk, który tysiącami głosów niósł jedno imię.

– Sigurd! Sigurd! Sigurd!

Darli się tak, dopóki z najniższego rzędu siedzeń nie wstał wywołany przez nich mężczyzna. Nila na widok jego potężnego karku, ramion o mięśniach wielkich jak bochny chleba i mocarnych ud, ciasno opiętych materia pludrów, aż jęknęła z trwogi. Sigurd był prawdziwym kolosem! Unik zaś, choć wysoki i umięśniony, przy swoim przeciwniku wydawał się ledwie mikrusem.

Olbrzym z pogardliwym śmiechem stanął przy Niepowszednim i – by zrobić wrażenie na zachwyconej nim publiczności – zatoczył nad głową chłopaka trzy kręgi olbrzymim mieczem. A zrobił to z taką lekkością, jakby machanie ciężkim żelastwem nie kosztowało go nawet odrobiny wysiłku!

Nila, mimo wiary w niezwykle umiejętności Unika, nie potrafiła uciszyć lęku, który rozszalał się w jej sercu. O dziwo, Sambor zupełnie nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego. Popisy Sigurda skwitował niedbałym wzruszeniem ramion i demonstracyjnie postukał się w czoło, co publiczność nagrodziła życzliwym wybuchem śmiechu, buczeniem, wyzwiskami i oklaskami. Najwyraźniej każdy z zawodników miał już swoich oddanych miłośników.

– Unik! Już cię kocham! – wrzasnęła nagle siedząca przy Nili kobieta w wydekoltowanej sukni. – Kocham!

Zdumiona dziewczyna uważnie przyjrzała się damie.

Była uderzająco piękna i ubrana z niebывałym zbytkiem. Wprost

lśniła od złota, którym obwieszona była, gdzie tylko się dało. Musiała kochać rubiny, bo kilka okazałych kamieni rzucało krwistoczerwone refleksy na jej urodziwą twarz. Za same zausznice można było przez tydzień wyżywić pół miasta. Chyba знаła się z Welesem i pozostałymi łowcami, bo Izbor powitał ją z pewną dozą szacunku. Ślicznotka skinęła mu głową obojętnie i wróciła do podziwiania Sambora. A patrzyła na niego z tak bezczelną pewnością siebie, że Nila poczuła nieprzyjemny ucisk w okolicy serca.

– Hej, cudny! – zaśmiała się kobieta. – Spójrz na mnie!

Tego było już za wiele!

– Przestań! Odczep się! – prychnęła oburzona Nila, a Izbor prostacko zarechotał.

– Bijcie się, dziewczuchy! Bijcie! – ryknął.

Chociaż chciał jeszcze coś dodać, zamilkł, bo piękność spojrzała na niego ze złością. Tymczasem Nila, wiedzioną niezrozumiałą dla siebie potrzebą upokorzenia rubinowej wiedźmy, krzyknęła najgłośniejszym głosem, jak potrafiła:

– Sambor! Sambor!

Natychmiast zaczął rozbieranym wzrokiem przeszukiwać widownię, a gdy ujrzał Nilę, cały się rozpromienił. Przyłożył końce palców do ust i posłał w powietrzu całusa, zaś ona uśmiechnęła się, że łapie go w locie i przykłada do warg. Wzruszony tą niespodziewaną miłosną scenką tłum nagrodził ich entuzjastyczną wrzawą. Zarumieniona dziewczyna zadarła głowę do góry i obdarzyła obwieszoną złotem ślicznotkę pełnym wyższości uśmiechem. Dama wyduła wargi i zlustrowała ją pogardliwym spojrzeniem.

– Phi! – prychnęła. – Myślisz, że mi zależało, wieśniaczko?!

Nila bez słowa usiadła na ławie. Nie zamierzała więcej wdawać się w sprzeczki z tą kobietą. Woląca okazać jej swą wyższość milczącym lekceważeniem.

– Miłość! – krzyknął się zniecierpliwiony Weles. – Piękne uczucie, ale będzie musiało poczekać! Najpierw zadanie. Oto drugi bohater wieczoru... Żrenicznik!!!

Dalko, w odróżnieniu od Sambora, wszystkie uczucia miał wypisane na twarzy. Nienawidził herszta Okrutnych Złotników z całego

serca i zginanie przed nim karku było dla niego więcej niż trudne do zniesienia. Patrzył na Welesa z nieskrywaną wrogością. Ten jednak, wielce zadowolony z siebie, radośnie poklepał Żrenicznika po ramieniu.

– Ukryliśmy w ciemnych zakamarkach Areny pięć inkrustowanych złotem sztyletów, a pięć przepięknych dam poprosiliśmy o nałożenie wyjątkowej urody zausznic z rubinami. O takich! – Uniósł w górę misternej urody kolczyk. – Dwa złote węże splecione wokół rubinu! Trzeba je znaleźć, choć nie jest to proste, prawda? Ten rozpraszaający blask pochodni, dziesiątki zakamarków i tłumy nadobnych kobiet w zausznicach.

Dalko odsunął się od niego ze wstrętem i spojrział na dziewczynkę, której życie zależało teraz także i od jego zdolności.

– Nie bój się, mała – powiedział kojącem tonem – zaraz cię wyciągniemy.

Wodniczka kiwnęła głową.

– Im prędzej odnajdziesz owe przedmioty, przyjacielu – przypomniał zasady Weles – tym szybciej ją wypuścimy. Zaczynamy na trzy! Jeden!

Wodniczka zsunęła się z drabiny do wnętrza kadzi, rozlewając obficie wodę na deskach. Przez chwilę unosiła się na powierzchni i dotykała dłońmi ścian.

– Dwa!

Dziewczynka wzięła głęboki wdech, a potem opadła na dno pojemnika.

– Trzymaj się, dzieciaku! – szepnęła czule Nila.

Łowcy zatrzasnęli pokrywę, Weles odwrócił klepsydrę.

– Trzy! – wrzasnął.

Dalko zmrużył oczy i natychmiast zaczął niespokojnym wzrokiem rozglądać się po Arenie.

Sambor zaś mocniej ujął miecz, lekko się pochylił i znieruchomiał jak zwykle, gdy poddawał się instynktowi Unika. Wysunął nieco lewą nogę i – choć Nila nie mogła tego dostrzec, była pewna, że tak jest – zaczął po swojemu strzyc oczami.

Sigurd powoli ruszył w prawo. Chłopak natychmiast przesunął się w ślad za przeciwnikiem. Stąpał czujnie na zgiętych kolanach, z

ramionami napiętymi i gotowymi do walki. Na każdy krok starego fechtmistrza przypadał jeden Unika. Mierzyli się wzrokiem, przemieszczając w idealnie równym tempie po obrzeżu kreślonego stopami kręgu. Żaden jeszcze nie był gotowy, by zaatakować.

– Tam! – krzyknął Dalko. – Pierwszy sztylet, pod filarem.

– Dobrze! – potwierdził Weles.

– Tam! Trzeci rząd, biała suknia, pierwszy rubin.

– Zgadza się!

Wojownicy wciąż krążyli wokół siebie, chociaż już zwawiej, bo Sigurd przyspieszył, a Sambor dostosował się do nowego rytmu. Nagle mężczyzna prychnął pogardliwie, poderwał głównię broni wysoko nad siebie i ruszył do przodu. Młodzik zrobił mały krok w stronę olbrzyma.

– O niebiosa! – jęknęła Nila, gdy Sigurd gwałtownie opuścił rękę i ogromny miecz runął na chłopaka.

– Aaaaaa!!! – zawyła zachwycona publika, bo Unik w ostatniej chwili cofnął lekko nogę i unosząc wysoko zgięte ramię, zablokował uderzenie.

Przejście było mistrzowskie! Sambor zasłonił się w porę przed opadającym ostrzem i ocalił życie, ale gdy stał zadzwoniła o stal, aż krzyknął z bólu i przykląkł na deskach.

– Sigurd uderza niczym kafar! – zarechotał z uznaniem Izbor. – Twój chłoptaş nie da mu rady!

Tymczasem wielkolud nie tracił tempa. Zaskakująco szybko cofnął się, szykując się do następnego uderzenia.

Na szczęście Sambor nie czekał, aż jego przeciwnik ułoży się do ciosu. Poderwał się gwałtownie z podłogi i znów zachwycił publikę błyskawicznym manewrem. Krótkim ruchem przeniósł lewą nogę do przodu, wsparł się mocno na prawej i z całej długości ramienia wyprowadził sztych prosto w brzuch Sigurda, kompletnie zaskoczonego tą nagłą zmianą pozycji.

Mężczyzna jakimś cudem odparł atak, a Sambor zawirował w kolejnym półobrocie i ryzykownie zamachnął się z góry. Ciął pewnie wzdłuż prawego ramienia przeciwnika, lecz Sigurd odskoczywszy do tyłu, tylko zaśmiał się kpiąco.

– W krawca się bawisz?! – ryknął i pokazał Samborowi rozcięty

rękaw koszuli.

Nie było tam nawet kropli krwi. Zawiedziona publiczność jęknęła.

Fechmistrz znów rozpoczął marsz po okręgu. Unik dostosował się do tej taktyki, lecz tym razem to on narzucił szybsze tempo i zmusił przeciwnika do wydłużenia kroku. Raz po raz chłopak wyprowadzał krótki sztych, po czym błyskawicznie wracał na miejsce, zmieniał rytm, robił krok w tył i znów do przodu. Pchnięcie i powrót. Pchnięcie i powrót. Sigurd był wyraźnie zdezorientowany. Rozbieganym wzrokiem śledził to ruchy stóp Sambora, to znów wyprosty jego ramienia. Jednak wciąż nie pozwalał sobie na błędy, a szala zwycięstwa nie przechylała się na żadną ze stron.

Nilą spojrzała szybko na Wodniczkę. Póki co, mała siedziała spokojnie, patrząc na zmagania przyjaciół szeroko otwartymi oczami.

– Tam! – Dalko wskazał jedną z bram. – Drugi sztylet, na lewej kolumnie! I tam! Drugi rubin, dama z pieskiem, ostatni rząd!

– Dobrze! – Klasnął w dłonie Weles. – Piąta minuta za nami!

A wojownicy kontynuowali swój groźny taniec. Sambor z precyzją wykonywał kolejne figury śmiertelnego płąsu: pchnięcie i powrót. Sigurd zaś usilnie starał się za młokosem nadążyć. I gdy wreszcie zdawało się, że opanował ten zadziwiający układ kroków i pełen zadowolenia uśmiech wypełził na jego usta, Sambor odbił się z nienacka z lewej nogi, poszybował w górę i ciął!

Chybił, ale miecz i tak ze świstem przemknął tuż przed oczyma fechmistrza. Zaskoczony kolos gwałtownie odchylił się do tyłu i lekko zachwiał. Chłopak skoczył do przodu, ale przeciwnik już pewnie stał na nogach! Zasłoniwszy się przed ostrzem Unika, z wściekłym rykiem ruszył do ataku. Przewaga, którą jeszcze chwilę wcześniej cieszył się Sambor, ulotniła się. Sigurd osaczał go szybkimi ruchami miecza i spychał w stronę kadzi z wodą. Unik wił się jak fryga. Uchyłał się, nagłymi obrotami zmieniał kierunek uderzenia, ale wciąż się cofał. Kadź była coraz bliżej. Sigurd atakował nieprzerwanie długimi pchnięciami. Sambor nie miał wyboru, musiał dać krok w tył.

Nilą nie widziała sensu w taktyce osiłka dopóty, dopóki nie dostrzegła śliskiej kałuży za plecami Niepowszedniego.

– Uważaj! – krzyknęła.

Za późno! Sambor postawił już nogę w rozlanej przez Wodniczkę wodzie. Poślizgnął się i ciężko uderzył plecami o deski. Miecz wypadł mu z dłoni.

Sigurd tylko na to czekał! Natychmiast znalazł się przy chłopaku i wzniosł śmiertelne ostrze nad jego gardłem.

– Nie! Nie! – rozkrzyczała się Nila. – Miało być do pierwszej krwi! Jej rozpacz nie była w stanie niczemu zapobiec, ale na szczęście ktoś jeszcze czuwał nad Samborem...

– Sigurd! Za tobą! – wrzasnął zniecierpliwiony Dalko.

Zaskoczony mężczyzna znieruchomiał i odwrócił głowę.

– Trzeci rubin! Za Sigurdem, dama w niebieskiej sukni!

– Dobrze! – potwierdził Weles.

Rozbawiona publiczność nagrodziła fortel Żrenicznika gradem monet. Sigurd wściekł się.

– Aaaa! Zdychaj, dziwołagu! – ryknął i opuścił miecz na Sambora.

Jednak Unikowi ta krótka chwila, którą podarował mu Dalko, wystarczyła! Z niewiarygodną szybkością przetoczył się po deskach i ostrze minęło koszulę chłopaka o kilka cali. Zanim Sigurd zdołał zareagować, Sambor podciął mu nogi potężnym kopnięciem. Mężczyzna zwałił się na scenę z głuchym łomotem.

Takiej okazji chłopak nie mógł zmarnować! Z kocią zwinnością chwycił miecz, uniósł się z podłogi i stanął na lekko zgiętych nogach. Wypchnął ramię do przodu i dźgnął Sigurda płytkim sztychem tuż nad dłonią. Potem w tryumfalnym geście wyrzucił ręce w górę.

Za wcześnie!

– Furda tam! – skwitował Sigurd.

Znowu nie było krwi! Mężczyzna poniosł się z ziemi i w butnym geście poderwał do góry zaciśniętą pięść. Opadający rękaw koszuli odsłonił ozdobny nadgarstnik! Zniszczony, bo przeciął go miecz Unika, ale skóra Sigurda wciąż pozostawała nietknięta.

– Psiakrew! – zaklęła Nila.

– Dziesiąta minuta! – przypomniał o sobie Weles.

– Mam! – zawołał Dalko. – Trzeci sztylet ostatnie wolne miejsce pod kopułą, lewa strona i...

– Dobrze!

– I... – Żrenicznik wskazał kogoś w odległym rzędzie. – Czwarty rubin, tamta gruba dama. Zajada migdały w karmelu.

Potężny wybuch śmiechu przetoczył się przez widownię.

– Tak jest!

Nilą spojrziała ze strachem na Wodniczkę. Dziewczynka nie wyglądała dobrze. Wyraźnie osłabła. Osowiała, oparła się czołem o ścianę kadzi. Dalko musiał dostrzec to samo, bo nie odrywając wzroku od gawiedzi, huknął do Unika:

– Skończ z nim! Jest źle!

Grymas przerażenia przemknął po pięknej twarzy Sambora. Potem zastąpiła go czysta furia.

Chłopak odsłonił zaciśnięte zęby i niczym wściekły pies ruszył na Sigurda. Był szybki, precyzyjny i bezwzględny. Atakował zaciekle, jakby ogarnięty szałem – bez osłony, niepomny zasad. Weles odliczał kolejne minuty, a on niezmordowanie nadciągał zewsząd, uderzał z każdej strony. Ciął, dźgał i tłukł w niewiarygodnie szybkim rytmie. Stapał to w tył, by dezorientować fehmistrza zmianą kierunku, to w przód, by zmylić go ruchami nogi wykroczonej. Przesuwał ją z taką prędkością, że nikt nie mógł przewidzieć kolejnego ruchu.

Sigurd cofał się zaskoczony szybkością uderzeń i siłą, z jaką na niego spadały. Z trudem nadążał z blokowaniem pchnięć. Stracił refleks, plątały mu się nogi, a ręka coraz wolniej reagowała na ataki Sambora. Marniał z każdym kolejnym sparowanym uderzeniem. Był wielki i przerażająco silny, ale mniej wytrzymały od przeciwnika. I znacznie starszy.

– Chce go szczeniak zamęczyć! – mruknął Izbor, ale Nilą i bez tego zrozumiała strategię Unika.

Czerwony na twarzy Sigurd ledwie łapał oddech. Sambor był już krok od zwycięstwa.

– Czwarty sztylet, najgrubszy maszt sklepienia! – zawołał Dalko.

– Dobrze! – Pokiwał głową Weles. – Masz piąty?

– Będę miał! – sapnął chłopak, pocierając zmęczone oczy.

Nilą przyłożyła do ust zaciśnięte pięści. Wodniczce zostało niewiele czasu. Mała apatycznie patrzyła przed siebie, bezsilnie oparta o ścianę kadzi. Sambor zapewne widział to samo, bo wciąż atakował

przeciwnika z niesłabnącą werwą. Zasapany i ociekający potem Sigurd popełniał błąd za błędem, ale wciąż nie pozwalał utoczyć sobie krwi.

– Piąty! Piąty sztylet! – wrzasnął Dalko głosem zachrypniętym z emocji. – Między poduszkami w łoży honorowej!

– Bardzo dobrze! – tubalnym głosem potwierdził Lubgost Dragon.

– Siedemnasta minuta! – zapowiedział Weles i dodał: – Boję się, że jeszcze trochę i będzie za późno.

Nilą nie mogła w to uwierzyć! Przez cały czas tliła się w niej iskierka nadziei, że łowca nie pozwoli umrzeć Wodniczce. Tymczasem on naprawdę gotów był ją poświęcić, byle tylko ucieszyć publiczność.

Nagle ogarnął ją straszliwy smutek. Patrzyła, jak Dalko miota się po scenie, nie mogąc odnaleźć ostatniego rubinu. Spoglądała na Sambora wściekle zadającego kolejne ciosy. I widziała małą dziewczynkę, która tonęła na jej oczach.

– Teraz! Tnij! – wyrwał ją z rozpaczki wrzask publiki.

Sigurd z trudem podniósł ramię do odparcia kolejnego ataku.

Kiwał się na drżących z wysiłku nogach i czekał na uderzenie. Sambor zrozumiał, że nadeszła właściwa chwila. Wziął potężny zamach i ciął z boku. Sigurd dzwignął wyżej łokieć, ale Unik w ostatniej chwili krótkim ruchem nadgarstka cofnął rękojeść w swoją stronę. Natychmiast pchnął ponownie tam, gdzie jego rywal przez moment był zupełnie odsłonięty. Zaskoczony olbrzym krzyknął i spróbował się ratować obrotem, ale było już za późno.

Sambor pewnie pociągnął ostrzem po jego dłoni. Mężczyzna zawył i opadł na kolana. Broń z hukiem upadła na deski.

– Krew! Krew! – krzyknął Sambor i zażądał: – Pokaż im! Już!

Sigurd wyciągnął palce. Przecinała je równa, krwawa pręga.

– Krew! Krew! Unik! Unik! – rozdarła się publika

On jednak nawet nie spojrział w stronę widowni. Odrzucił miecz i natychmiast znalazł się przy kadzi. Walił w nią dłońmi, krzycząc rozpaczliwie do Wodniczki:

– Wytrzymaj! Wytrzymaj!

– Minuta! – zawołał Weles.

Mała nawet nie uniosła głowy. Sambor załkał, a kiedy odwrócił się do Żrenicznika, który wciąż szukał piątego rubinu, miał w oczach

szaleństwo.

– Dalko! – zawył. – Ona tu umiera! Znajdź wreszcie to czerwone gówno!

W tej samej chwili Nila usłyszała jadowity śmiech siedzącej obok niej kobiety.

– Szukaj dalej, głupcze!

Wystarczył jeden rzut oka na wyniosłą piękność, by zrozumieć wszystko. Pod dociśniętą do policzka dłonią skrywała tę ostatnią, najcenniejszą zausznicę – wartą tyle, co życie Wodniczki. W złotych splotach węża migotał krwistą czerwienią rubin! Dalko nie miał żadnych szans na jego odnalezienie. Ubawiona okrutną psotą dama chichotała rozradowana.

Ty potworze – pomyślała zimno Nila i niby od niechcienia lekko dotknęła jej łokcia.

Zamknęła oczy, czekając na uderzenie mocy. Tym razem, zrodzona z wściekłości, nie kazała na siebie czekać. Zaskoczona ślicznotka spojrzała na Żniwiarke mętnym wzrokiem. Nagła bladość wystąpiła na jej piękne policzki, a odsłonięte piersi przestały falować.

– Co się... – wystękała słabym głosem, a potem błysnęła białkami oczu i osunęła się bez przytomności na siedzisko.

– Mdlejesz – mruknęła z mściwą satysfakcją Nila.

Momentalnie zdjęła błyskotkę z czerwonym kamieniem, przełożyła ją do bezwładnej upierścienionej dłoni i podniosła rękę damulki w górę.

– Ratunku! Ludzie, jaśnie pani zasłabła!

Bezustannie machała dłonią nieprzytomnej kobiety, dając w ten sposób Dalko szansę na odkrycie rubinu.

– Ludzie, dama potrzebuje medyka! Ratunku!

Zgodnie z przypuszczeniami Nili tłum, który był tak chętny, by zobaczyć śmierć małego dziecka, okazał się bardzo wrażliwy na słabość elegantki z widowni. Fala współczujących okrzyków ogarnęła cały sektor i natychmiast zwróciła uwagę Żrenicznika.

– Piąty rubin! – krzyknął, padając z płaczem na kolana. – Piąty rubin! Omdlała dama!

– Dobrze! – ryknął Weles i dał znak do otwarcia pokrywy. –
Koniec!

Tłum eksplodował kakofonią wrzasków. Ludzie przeklinali przegrane albo świętowali wygrane zakłady. Młode kobiety rzucały na scenę złote ozdoby i wykrzykiwały w stronę obu Niepowszednich miłosne wyznania. Spadające ze wszystkich stron monety stukały o deski sceny niczym krople ulewnego deszczu o bruk. Okrutni Złotnicy ledwie nadążali z upychaniem ich do mieszkań. Weles obłowił się na krzywdzie swych więźniów jak król.

Hałas był tak trudny do wytrzymania, że umęczona wrażeniami Nila opadła na kamienne siedzenie, zakryła uszy i z napięciem wpatrywała się w Sambora i Dalko, którzy wyciągali z kadzi na wpół żywą dziewczynkę. Osunęli się na podłogę, tuląc się do siebie i odwracając od wiwatującego tłumu. Ramiona całej trójki spazmatycznie drgały, wstrząsane rozpaczliwym szlochem.

Zmęczony i zlany potem Sambor odszukał Nilę wzrokiem. Patrzył na nią oczyma starego człowieka, który wszedł w drogę śmierci i stanął z nią do walki. Uśmiechnęła się do chłopaka pokrzepiająco, choć wiedziała, że żaden gest nie był wystarczający w tej sytuacji.

– Ciiiiisza! – W gwar krzyków, przekleństw i podekscytowanych rozmów wdarł się rozkaz wypowiedziany głosem tak władcym i nieznoszącym sprzeciwu, że mógł go wydać tylko jeden człowiek w Bawidle.

Lubgost Dragon. Nila, podobnie jak reszta publiczności, wpatrywała się z uwagą w otyłego mężczyznę.

– Cisza! – powtórzył i upierścienioną dłonią wskazał Welesa. – Ochłońmy nieco po tych niezwykłych wrażeniach. Okowita dla wszystkich na mój koszt!

Gawiedź nagrodziła go okrzykami uznania.

– A po przerwie – kontynuował – pozwólmy naszemu gościowi zaprezentować drugą część jego znamienitego pokazu. Skądinąd wiem, że może przyćmić to, co przed chwilą widzieliśmy!



– A teraz – z uśmiechem zaanonsował Weles – najpiękniejszy diament w mojej kolekcji! Bestiarka!

Nilą czule westchnęła na widok siostry.

Uroda jasnowłosej dziewczyny zapierała dech w piersiach. Na tle zgromadzonych w Arenie kobiet – wydekoltowanych, ufryzowanych z przesadnym wymysłem, wymalowanych barwiczką i obwieszonych złotem – Alla była niczym nagły powiew świeżego powietrza nad gnijącym bagniskiem.

Starą, podartą suknię zastąpiła nowa, w tym samym błękitnym odcieniu. Ozdobiono ją szerokim pasem z migoczącą srebrem klamrą. Pszeniczne pukle spleciono w prosty warkocz, a na okrasę wpięto węń pojedyncze kulki jantarów. Idealnie pasowały do tych, która Alla nosiła w kolczykach.

Szkoda, że matka i ojciec nie mogą jej teraz zobaczyć – pomyślała Nilą i w tej samej chwili zbeształa się. – Nie, nie szkoda! Dobrze, że nie widzą tych potworności.

Jak zwykle na myśl o rodzicach poczuła łzy w kącikach oczu. Starła je natychmiast, by nie dostarczać siostrze dodatkowego powodu do zmartwień.

Alla tymczasem stanęła przy łowcy, a ten z kurtuazją zaprezentował ją widzom. Żniwiarka prychnęła ze złością, gdy przybrał przy tym minę dumnego ojca, przedstawiającego oblubienicę zgromadzonym na zaślubinach gościom. Ani Weles nie był troskliwym opiekunem, ani Alla szczęśliwą panną młodą. Uroczystości natomiast było bliżej do egzekucji niż do wesela, zaś gawiedź przypominała żądne krwi sępy, a nie życzliwych biesiadników.

– Olśniewająca, prawda?! – krzyknął herszt Okrutnych Złotników.
– Za chwilę stanie oko w oko z potworem! Pokaz prawdziwej grozy!
Bestiarka przeciw niedźwiedziowi!

Tłum wrzaskiem oraz tupaniem wyraził swój zachwyt i coraz większą niecierpliwość.

– Niedźwiedź?! – spanikowała Nila.

Nie miała pojęcia, czy jej siostra jest w stanie zapanować nad stworzeniem tak zabójczym i olbrzymim. Alla nigdy nie układała równie wielkiego drapieznika! W zaroślach Wysokich Traw czy na połaciach łąk Kamiennych Kości najgroźniejszymi zwierzętami były wilki, a nawet z nimi Bestiarka niewiele miała do czynienia!

– Ona tego wcześniej nie robiła! Może zginąć! – Nila szarpnęła Izbora za ramię. – Psiakrew! Słyszysz?! Daj mu jakiś znak! Niech to przerwie!

Łowca spojrzał na nią groźnie spod zmrużonych powiek, a potem chwycił za włosy i przyciągnął do siebie z taką siłą, że aż jęknęła z bólu.

– Zamknij gębę! – syknął. – Ta dziewczucha to Bestiarka! Da sobie radę! A jak nie, to zdechnie na scenie. Kogo to obchodzi?! Pieniądze już zarobiła.

Odepchnął ją od siebie i wrócił spojrzeniem na scenę, jakby nic się między nimi nie wydarzyło.

– Pieniądze już zarobiła? – powtórzyła szeptem Nila, zachodząc w głowę, co miał na myśli.

Weles klasnął w dłonie.

– Zaczynajmy! Perhan!

Z mroku, który skrywał zaplecze sceny, wyszedł ponury mężczyzna o śniadej cerze, uzbrojony tylko w pleciony bicz o długiej rękojeści. Za nim czterej pomocnicy mozolnie prowadzili olbrzymiego niedźwiedzia. Zwierzę zawodziło i szarpało się na wszystkie strony, ale dwa długie drągi doczepione hakami do obroży uniemożliwiały mu ucieczkę.

– Uuuuuu! – żądny wrażeń tłum zawył z aprobatą.

Nila, bezsilna wobec tego, co miało się za chwilę stać, wbiła paznokcie we wnętrze dłoni i z przerażeniem czekała na dalszy ciąg.

Weles wskazał chmurnego osobnika.

– Oto Perhan! Poskromiciel zwierząt naszego wspaniałego gospodarza Lubgosta Dragona!

Publika nagrodziła brawami obu wywołanych przez łowcę mężczyzn. Pan Bawidła grzał się przez chwilę w blasku uwielbienia, po czym łaskawie skinął dłonią i oddał głos swojemu najemnikowi.

– Ta niedźwiedzica – ryknął Perhan – to najgorsza bestia, z jaką miałem do czynienia. Głupia, wredna, złośliwa i zabójcza. Miała służyć do obrony mojego pana, ale nie chce pracować z ludźmi! Woli ich mordować! Już dwa razy skosztowała zabijania i tylko tego pragnie! Człowieczej krwi!

Tłum zabuczał głośno.

– Zatluc ją! – wrzasnął ktoś.

– Ukatrupić!

– Niech szejnie!

Weles podniósł wysoko dłonie.

– Wszystko w swoim czasie! Najpierw Bestiarka uczyni z niej łagodnego misia. Potem zajmiemy się krwawymi zabawami!

Niedźwiedzica, jakby wyczuwając grozę tych słów, zawyła rozzłością, gwałtownie szarpnęła potężną szyją i z głośnym warkotem odsłoniła kły.

– Spokój! – huknął Perhan.

Uniósł pejcz i z całej siły trzepnął zwierzę w rozwarty pysk. Skowytowi bólu towarzyszył pełen tryumfu okrzyk oprawcy. Jęcząca samica opuściła głowę, ale upojony jej cierpieniem okrutnik szykował się do ponownego uderzenia.

Nila ani przez chwilę nie miała wątpliwości, co się stanie. Wystarczył jeden rzut oka na tężejącą w furii twarz siostry.

– Wara! – Dziewczęcy głos miał w sobie chłód stali.

Alla stawiała się twarda i nieustępliwa tylko wtedy, gdy przychodziło jej ratować zwierzęta z opresji. Nie czuła wówczas strachu i nie było siły, która w takich momentach zawróciłaby ją z obranej ścieżki.

– Wara, durniu! – powtórzyła gniewnie Bestiarka.

Perhan znieruchomiał z uniesioną dłonią, a potem z niedowierzaniem odwrócił się w stronę dziewczyny.

– Coś ty powiedziała?!

– Won! Odsuń się od mojej niedźwiedzicy!

– Twojej?! – zatchnął się oburzony. – A od kiedy ona jest twoja?

Alla nie zaszczyciła poskromiciela nawet jednym spojrzeniem. Wyminęła go zwinnie i podeszła do zawodzącego z bólu stworzenia.

Stała przed samicą, dając mężczyźnie jasno do zrozumienia, że czyni ze swego ciała osłonę przed jego kolejnymi ciosami.

Perhan zaśmiał się pogardliwie, ale butny grymas zamarł mu na ustach, gdy Alla ponownie się odezwała:

– Jest moja, od kiedy twój pan wreszcie pojął, że ma u swego boku durnia i daje mu się naciągać. Przecież to oczywiste, że jesteś zbyt głupi i nie poradzisz sobie z tym biednym miśkiem!

Na widowni zapadła nagła i zatrważająca cisza. Słyszeć było tylko mrukliwy lament obitej samicy.

– Kłopoty – szepnęła z lękiem Nila.

– O psiamać! – równie cicho potwierdził jej niepokój Izbor.

Wszyscy zwrócili się w stronę najważniejszej łoży Areny i w milczeniu czekali na reakcję Lubgosta Dragona. Alla stąpała bowiem po kruchym lodzie. Każdy wszak wiedział, że kto znieważał otwarcie sługę, obrażał też jego pana.

Jednak gospodarz Bawidła ryknął tubalnym śmiechem.

– Piękna! – rechotał, a wielkie brzuszysko trzęsło się do wtóru tej radości. – I z charakterem! Masz, dziewczyno, odwagę! Misiek jest twój! Perhan, chodź tu!

Wzburzony poskromiciel zaklął pod nosem, ale posłusznie odwrócił się na pięcie i opuścił scenę. Alla zaś, zupełnie lekceważąc obecność Welesa, zakomenderowała:

– Zdejmijcie z niej drągi, a potem uciekajcie.

Pomocnicy Perhana zrobili, co kazała.

– Ty też – nakazała Alla zdumionemu łowcy.

Weles, choć na pewno niezadowolony, że czternastoletnia dziewczyna przejęła stery najważniejszego pokazu wieczoru, nie dał po sobie tego poznać. Do końca grał rolę wodzireja. Klasnął w dłonie i obwieścił:

– Wreszcie to, na co wszyscy czekamy! Piękna istota i żarłoczna bestia!

Zrobił ostrożny krok do tyłu, a potem długimi susami pognał na widownię, bezpiecznie oddzieloną od sceny wysokim na sążęń murem. Alla została sama, oko w oko ze szczerzącą kły niedźwiedzicą.

Zdumione nagłą wolnością zwierzę ostrożnie przesunęło się w

stronę Bestiarki. Wśród gawiedzi znowu zapanowała idealna cisza. Wszyscy obserwowali ruch olbrzymiego cielska. A było na co patrzeć! Przy każdym kroku sploty mięśni prężyły się pod ciemnobrązowym futrem, długie pazury zostawiały głębokie rysy na deskach sceny, a spomiędzy wyszczerzonych kłów kapąca szeroka struga śliny.

Żaden człowiek nie miał szans ze stworem tak potężnym, że mógłby zabić konia od niechcenia! Ze wszystkich ludzi w Arenie tylko Alla zdawała się w ogóle nad tym nie rozmyślać. Zamiast tego złożyła usta do gwizdu i wydobywszy z nich wysoki przenikliwy dźwięk, z werwą poruszyła dłonią.

Póki co, osiągnęła tyle, że niedźwiedzica spojrzała na nią gniewnym wzrokiem, zakołysała się na przednich łapach i gromkim rykiem obwieściła swe niezadowolenie. Przez widownię przemknął pomruk trwogi. Bestiarka nie cofnęła się jednak ani odrobinę. Wciąż wykonywała skomplikowane ruchy palcami, na widok których rozeźlona samica przekrzywiła wielki łeb, jakby nie mogła się nadziwić, że ta krucha istota nadal się jej nie obawia.

Alla uniosła dłoń wyżej, na wysokość brzucha, zagwizdała ponownie i śmiało zrobiła krok do przodu. Niedźwiedzica znieruchomiała, a potem nagle ugięła tylne kolana i stanęła na zadnich łapach! Zrobiła to zwinnie jak kot, choć ważyła tysiącokrotnie więcej od piwniczego mruca. Tym razem przez tłum przetoczył się zduszony okrzyk przerażenia.

Zwierzę było dwukrotnie wyższe od dziewczyny! Stało pewnie na kłocowatych nogach, podparte grubymi pazurami i bacznie wpatrywało się w nią z góry. Bestiarka powoli uniosła dłoń jeszcze wyżej, aż wreszcie poruszała palcami blisko własnych ust. Znow przesunęła się do przodu. Od samicy dzieliła ją odległość ledwie dwóch kroków. Przy takim dystansie jeden ruch niedźwiedziej łapy niechybnie pozbawiłby Allę głowy!

Na Arenie było tak cicho, że dało się słyszeć brzęczenie komarów, krążących pod materiałową kopułą.

Nila w napięciu czekała na pierwsze sygnały słabnącego oporu dzikiego stworzenia. Nic się jednak nie działo. Obie istoty stały niemal w bezruchu. Pogrzyżyły się w obrazach, które nawzajem w sobie

odkrywały.

Jakże musiały być to straszne wizje, skoro nagle zwierzę zaczęło dyszeć przejmująco, aż w końcu z jego potężnej paszczy wyrwał się jęk tak rozpaczliwy, że wstrząśnięta Bestiarka zamknęła na chwilę powieki. Misternie pleciona nić porozumienia została zerwana!

Niestety, Alla wciąż trwała w osłupieniu, wyraźnie poruszona tym, czego doświadczyła, natomiast niedźwiedzica ocknęła się, ciężko opadła na cztery łapy i nienawistnie wyszczerzyła kły.

Nilą skoczyła na równe nogi.

– Biegnij! Psiakrew! Ratuj się!

Na dźwięk głosu siostry Bestiarka rozejrzała się lękliwie, ale było już za późno na ucieczkę! Rozwścieczona samica ruszyła wprost na nią. Z szybkością kobry dopadła młódkę, uderzyła ją w brzuch szeroko rozwartym pyskiem i powaliła na deski. Przestraszona Alla z jękiem upadła na plecy, a zwierzę stanęło nad nią okrakiem. Potężne łapy uwięziły piękną twarz dziewczyny, zaś olbrzymie kły zawisły nad delikatną szyją. Na widowni rozległy się pojedyncze okrzyki przerażenia.

Nilą z całej siły wbiła zęby w dłoń, byle tylko nie płakać.

Zabije ją! Niebiosa! Zabije mi ją! – zawodziła w myślach.

Niedźwiedzica dyszała ciężko, wpatrzona w bezbronną istotę.

Górna warga zwierzęcia drgała spazmatycznie, odsłaniając potężne zęby, a pasmo śliny spłynęło z otwartego pyska wprost na suknię Bestiarki. Alla, śmiertelnie blada, nawet nie mrugnęła. Leżała nieruchomo i szeroko otwartymi oczyma obserwowała samicę. Potem zaryzykowała leciutkie drgnienie palców.

– To już trup. – Izbor trącił Nilę łokciem.

Odsunęła się od niego ze wstrętem i syknęła:

– Kiedyś mi za to zapłacisz! A teraz patrz, co znaczy Bestiarz, głupcze.

I rzeczywiście było co podziwiać. Alla śmielej poruszyła dłonią. Spomiędzy potężnych szczęk wydobył się ostrzegawczy warkot, a zwierzęcy nos oparł się na dziewczęcej krtani. Bestiarka posłusznie zastygła z ręką na piersi, ale złożyła wargi do gwizdu i wprost w ucho drapieznika posłała cichy, jednostajny dźwięk. Samica znieruchomiała i

przechyliła łeb, jakby szukała czegoś w zakamarkach pamięci. Dziewczyna zaś ostrożnie uniosła palce tak, aż znalazły się tuż pod ślepiami stworzenia. Znow nimi poruszyła. Niedźwiedzica wreszcie podała się ich magnetyzującym płasom. Długo uczyły się siebie, ale w końcu samica podskoczyła i z pełnym cierpienia wyciem odsunęła się od Alli.

Nilą odetchnęła z ulgą. Wiedziała, że teraz zwierzę już nie skrzywdzi jej siostry. I miała rację. Niedźwiedzica kiwała się na boki i jednostajnie zawodząc, szła wokół sceny z wysoko uniesionym łbem. Wytrwale wypatrywała czegoś, czego brak napawał ją taką rozpaczą.

Alla zaś podniosła się z desek i stanęła przed lożą Lubgosta Dragona. Gdy uniosła twarz, publika westchnęła na widok śladu po niedźwiedzim pazurze. Przecinał policzek od ucha aż po usta.

Nilą badawczo przyjrzała się siostrze. Nie chodziło o ranę, bo tę dałoby się bez trudu uleczyć i bez mocy Żniwiarki, ale o oczy, w których po raz pierwszy w życiu zamiast słodyczy i niewinności dostrzegła nieposkromioną wściekłość. Nie został nawet ślad po młódce, której dotąd – mimo koszmaru ostatnich dni – udawało się ocalić spory skrawek dziecięcej beztroski i naiwności.

Teraz było to spojrzenie dziewczyny, która ujrzała życie takim, jakie było w swej najgorszej odsłonie, i choć przeraziła się tego, co zobaczyła, zdecydowała się temu przeciwstawić.

Nilą wiedziała, kogo Alla szuka w loży Lubgosta Dragona.

– Poskromicielu! – Bestiarka ryknęła głosem twardym i bezlitosnym. – Odebrałeś samicy dziecko?!

Perhan skwitował to pytanie niedbałym wzruszeniem ramion.

– A po co jej młode? Sama i tak długo nie pożyje! Jeszcze dziś zdechnie na scenie.

– Dureń z ciebie!

Choć mężczyzna próbował coś odpowiedzieć, dziewczyna zlekceważyła go ostentacyjnie i schyliła głowę przed gospodarzem Bawidła.

– Panie, twój poskromiciel jest głupcem, jakich mało. A że pojęcia nie ma o zwierzętach, prędzej niż później jego niewiedza będzie drogo kosztowała... Jego albo ciebie – dodała po namyśle.

Lubgost Dragon niespokojnie poprawił się na poduchach.

– Mnie?

– Ciebie, bo przez niego stracisz dwa doskonałe i kosztowne niedźwiedzie obronne. Nie musi tak być.

Nila uśmiechnęła się pod nosem, bo wiele wskazywało na to, że Alli uda się uratować nieszczęsne stworzenie przed śmiercią.

– Mów! – zażądał krótko Lubgost Dragon, nie zważając na nerwowe szepty Perhana.

– Nie odbiera się matkom młodych – wyjaśniła Alla. – Żadne zwierzę nie będzie wtedy chętne do układania. Nie dlatego, że jest bezrozumne czy wredne, jak twierdzi ten głupiec. Po prostu ma złamane serce i cierpi. Prosta rada: zwróć jej dziecko, a natychmiast się uspokoi.

Gruby mężczyzna spoglądał na nią z uwagą.

– Podołasz z dwoma?

Alla bez namysłu skinęła głową.

– Do czasu naszego wyjazdu będziesz miał dwa niedźwiedzie obronne.

Na te słowa Lubgost Dragon i towarzyszący mu Weles popatrzyli na siebie i z niewiadomego powodu ryknęli śmiechem. Podczas gdy Alla zerknęła na nich zaskoczona, Nila zmarszczyła brwi, wietrząc podstęp.

– A więc zgoda! Perhan, przyprowadź na scenę małego!

Poskromiciel zerwał się z poduszek wyraźnie urażony, że potraktowano go jak podrzędnego chłopca na posyłki. Ponieważ jednak z panem Bawidła się nie dyskutowało, rad nierad zniknął w zakamarkach Areny.

Alla tymczasem znów zwróciła się twarzą do niedźwiedzicy. Złożyła usta, by wydobyć z nich cichutki gwizd. Zwierzę natychmiast przekrzywiło łeb i zapatrzone w dziewczynę zamilkło zupełnie. Nie warczało, nie pomrukiwało. Ucichł też rozpaczliwy jęk. Tempo wystukiwanego przez palce Bestiarki rytmu gwałtownie wzrosło. Samica zastygła oszołomiona tym, co pszenicznowłosa panna przekazywała jej w szalonym tańcu dłoni.

Dziecko! – domyśliła się Nila. – *Mówi o dziecku!*

– Ej! – wrzasnął z za wysokiego przepierzenia Perhan. – Bierz małego, dziewucho!

– Sam go wprowadź! Chyba że się boisz!

Poskromiciel obrzucił Allę wyzwiskami, ale otworzył żelazną furtkę i pojawił się na deskach sceny.

Ciągnął za sobą na powrozie przerażonego niedźwiadka. Maluch zapierał się łapkami, a to tylko rozwścieczyło mężczyznę.

– Ruszaj się! – Trzepnął go pejczem po grzbiecie.

Niedźwiadek zapiszczał jak dziecko.

Jego matka natychmiast uniosła łeb w poszukiwaniu płaczącego malca. W chwili, gdy go dostrzegła, wszystko posypało się jak domek z kart. Instykt macierzyński wziął górę nad rodzącą się bliskością z Bestiarką. Samica z rykiem zerwała się z desek i pognała w kierunku Perhana.

Ten z wrzaskiem rzucił się w stronę furtki, ale było już za późno na rejteradę. Niedźwiedzica dopadła go, nim zdążył przebiec kilka kroków. Uderzyła okrutnika łapą w plecy z taką siłą, że zamieniła je w upiorną miazgę. Pomiędzy zwisającymi skrawkami skóry widać było krwawiące mięśnie.

Poskromiciel zawył i upadł na brzuch, ale zwierzę jeszcze z nim nie skończyło. Stało mu na barkach i powoli obwąchało spocony kark, jakby szykowało się do zagłębienia w nim kłów.

– Zrób coś! Ratuj go! Rusz się! – żądała od Bestiarki publika.

Alla tymczasem nawet nie drgnęła. Patrzyła na Perhana, a na jej twarzy nie widać było ani odrobiny współczucia. Stała nieruchoma, zupełnie obojętna na krzyki widowni i zdawało się, że daje niedźwiedzicy przyzwolenie na ostateczną rozprawę z poskromicielem. Dla wszystkich było jasne, że ten lada moment może stracić życie.

– Błagam! – jęknął Perhan. – Dziewczyno, pomóż mi!

Alla zamrugła, jakby wybudzona ze snu. Gwizdnęła nagle tak głośno, że widzowie aż podskoczyli na siedziskach, zaś zwierzę znieruchomiało. Echo tego dźwięku jeszcze pobrzmiwało w najdalszych rzędach Areny, a palce Bestiarki już zdążyły odzyskać uwagę drapieznika.

Udało się! Niedźwiedzica zeskoczyła z pleców poskromiciela! Kołysząc się niezgrabnie, podeszła do skulonego na deskach malucha i dokładnie go obwąchała. Uspokojony obecnością matki niedźwiadek

radośnie przewrócił się na grzbiet, a pazurkami niezdarnie łapał badający go pysk.

Alla usiadła na deskach i nadal po swojemu zaprzyjaźniała się z niedźwiedzią rodziną. Samica podeszła bliżej, popychając przed sobą malca. Dziewczyna uśmiechnęła się łagodnie na widok tego dowodu zaufania.

Całą trójkę dzieliła teraz odległość mniejsza niż długość ludzkiego ramienia. Alla poruszała palcami tak szybko i z takim wysiłkiem, że Nila widziała pot perlący się na czole siostry. W końcu Bestiarka wyciągnęła powoli rękę i delikatnie pogłaskała niedźwiedzicę za uchem. Zwierzę westchnęło z ulgą. Miętko opadło brzuchem u jej stóp, a maluch natychmiast poszedł w ślady matki. Ułożył się obok i wymachując łapkami, zabiegał o uwagę dziewczyny. Ona zaś pochyliła się nad nim czule i połaskotała odsłonięty brzusek.

– Panie! – krzyknęła do Lubgosta Dragona. – Możesz już zabrać swojego poskromiciela.

Gruby mężczyzna podniósł się z poduszek i w milczeniu przyglądał wtulonej w niedźwiedzie futro Bestiarce.

– Nie pomogłaś mu – stwierdził obojętnym tonem.

Alla nie przerwała pieszczotliwej zabawy.

– Zastanawiałam się, czy warto mu pomóc.

– I?

– Uratowałam mu życie – odparła znużona – choć on naraził mnie na śmierć, gdy nie wspomniał ani słowem o maluchu. Tyle że ja sobie poradziłam z niedźwiedziem, a on nie. Uprzedzałam go.

– Ano uprzedzałaś. Dobra robota, dziewczyno! To się nazywa przedstawienie, prawda?! – wrzasnął w kierunku gawiedzi.

Zachwycona pokazem publiczność nagle ożyła. Ludzie powstali z miejsc. Tłum wrzeszczał, gwizdał i rzucał na scenę dziesiątki monet. Weles w te pędy pomknął w kierunku sceny.

– Idziemy – mruknął Izbor. – Zaraz będzie po wszystkim.

Nila ruszyła za nim posłusznie, nie tracąc jednak siostry z oczu. Alla wyprowadziła niedźwiedzie na zaplecze i stanęła obok Welesa. Bez emocji obserwowała szaleństwo widowni poruszonej jej zdolnościami i odwagą. Na scenę wpuszczono pozostałych Niepowszednich, by zajęli

miejsce po prawicy herszta Okrutnych Złotników. Sambor niedbale ściskał miecz, przebrana w suche szaty Wodniczka trzymała za rękę zmęczonego Dalko.

Nilą z Izbozem stanęli kilka kroków dalej, skryci w półmroku.

Wszyscy po raz ostatni ukłonili się gawiedzi. Koniec! Lekcję pokory mieli za sobą. Pozostało im jeszcze schylić kolana przed panem Bawidła.

Zwrócili się więc w stronę łoża honorowej, gdzie Lubgost Dragon stał z rękoma złożonymi jak do modlitwy.

– Dzisiejszy pokaz – jego basowy silny głos docierał do każdego zakątka widowni – po raz kolejny dowiódł, że nasz przyjaciel Weles nie ma sobie równych!

Nilą słuchała tych słów pełna obrzydzenia do mieszkańców grodu. Dwie Niepowszednie o mało nie zginęły dla rozrywki nikczemnego tłumu. Na całej piątce ten wieczór odcisnął piętno, którego nie sposób było zmasać żadnymi sposobami. Dziewczyna zacisnęła zęby na samo wspomnienie upiornych przeżyć.

Nieświadomy jej odrazy Lubgost Dragon wziął z rąk służącego kielich z winem i wzniosł go w górę.

– Twoje zdrowie, druhu! – Skinął głową Welesowi. – I choć moja kiesa jest znacznie lżejsza po zakupie tego jasnowłosego cuda...

Żniwiarka drgnęła na dźwięk tych słów.

– ...jestem ci – kontynuował pan Bawidła – niezmiernie wdzięczny za ten rzadki towar.

– Izbor, o czym on mówi?! – Nilą szarpnęła łowcę za rękaw.

Nie odpowiedział, wpatrzony w Lubgosta Dragona, który unosił kielich do ust. Publika czym prędzej powtórzyła ten gest, sięgając po flaszki, kielichy i bukłaki.

– Izbor! No o czym?! Gadaj!

Zirytowany łotr odepchnął ją z taką siłą, że upadła na deski.

– Dalej nie pojmujesz, głupia dziewucho? – syknął jej w twarz. – Weles sprzedał twoją siostrę za górę złota!

Nilą poczuła nagle, że tkwi w samym środku pulsującej czerwieni bańki.

A więc przeczucia mnie nie zwiodły – zdążyła pomyśleć. –

Straciłam Allę, zanim dotarliśmy do Mercaty.

Potem ogarnęła ją ślepa furia! Całą sobą, każdym fragmentem udręczonego ciała wiedziała, co musi zrobić. Podpowiadał to cichy głos powtarzający z coraz większą natarczywością: *Zabij! Zabij! Zabij ich wszystkich!*

Uniosła więc dłoń i złapała Izbora za szyję w miejscu, w którym pulsowała tętnica. Łajdak zamilkł przerażony, lecz zanim pojął, co Żniwiarka z nim robi, było już za późno. Mgła zasnuła mu oczy, a osłabione nogi, niezdolne już dźwigać jego ciężaru, zgięły się gwałtownie.

Nilą zostawiła go sinego na twarzy i biegiem ruszyła w stronę największego wroga. Weles odwrócił się ku niej zrazu zdumiony, lecz w chwili, gdy dostrzegł leżącego bezwładnie kamrata, w jego spojrzeniu pojawiło się coś, na co dziewczyna czekała od dawna – trwoga! Bezwiednie cofnął się o krok, szukając obrońców.

Ona zaś działała z taką jasnością myśli, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczyła. Po lewej stronie widziała Faro, zbyt zajętego pakowaniem monet do mieszka, by zwrócił na nią uwagę. Po prawej miała łowcę, którego imienia nie była sobie w stanie przypomnieć. Patrzył na nią oniemiały, więc przyspieszyła gwałtownie.

Pędem minęła przerażonego Unika i z wyciągniętymi dłońmi rzuciła się na Welesa. Była już niemal przy nim, prawie go dotykała, gdy nagły ból niemal rozsadził jej czaszkę. Świat zawirował, a światło zaczęło gasnąć, topiąc się w mroku, który zasnuwał oczy. Ostatnim, co zapamiętała, był Sambor. Odrzucał miecz, którym ją uderzył!

Trzymał teraz Nilę mocno i krzyczał coś donośnie. Nie rozumiała słów, a ciemność wokół niej stawała się coraz gęstsza.

– Dlaczego? – wyszeptała.

Nie dosłyszała odpowiedzi. Zewsząd nadciągała złowroga cisza. Nilą nie dostrzegała już ni ludzi, ni światła. Czerń w końcu po nią przyszła, a ona dała się jej otulić.

Śmierć – pomyślała – z ręki Sambora.



Nila wracała do świata powoli, bo i do czegoż miała się spieszyć? Wiedziała, że gdy otworzy oczy, czeka ją koszmar istnienia bez Alli i nie potrafiła wyobrazić sobie ani gorszej przyszłości, ani lepszego powodu, by zrezygnować z życia. Pod zamkniętymi powiekami próbowała więc skryć się przed bólem. Leżała nieruchomo i można byłoby uznać ją za zmarłą, gdyby nie bicie upartego serca. Zewsząd słyszała szepty, zaniepokojone i stroskane. Dźwięki wracały i odchodziły, wciąż tak samo przepełnione frasunkiem i nadal tak niewiele dla niej znaczące. Do czasu. Nagle bowiem z potoku nieistotnych słów Nila wyłowiła te, wobec których nie mogła pozostać obojętna.

– Mamy szansę odzyskać Allę – usłyszała.

– Sambor ... – szepnęła, lecz nagle dotarło do niej wspomnienie tego, co zdarzyło się po pokazie.

– Ryzyko jest olbrzymie, a czasu mało – odpowiedział ktoś.

Nila nie rozpoznawała tego kobiecego głosu. Cichego, stanowczego, zdradzającego wielką siłę charakteru.

– Do licha z ryzykiem! Jeśli się uda, wrócimy do domu!

– Sambor, pamiętaj, że we wszystkim wam nie pomogę.

Dostaniecie burzę i uwolnię Bestiarkę, ale potem musicie sobie poradzić sami.

– Uwolnię Bestiarkę? – powtórzyła jak echo Nila.

Nie wiedziała, kto i w jak sposób miałby tego dokonać, ale gdy dostrzegła iskierkę nadziei, nie miała już zamiaru się poddawać.

Otworzyła oczy, a to, co zobaczyła, tak ją zaskoczyło, że na chwilę znów je zamknęła. Była pewna, że ma omamy po uderzeniu w głowę. Zmysły jednak nie kłamały. Zniknęły rozległa powierzchnia Areny i płachty rozpięte na potężnych masztach. Zewsząd otaczał Nilę mur z solidnych cegieł nakryty skomplikowaną konstrukcją kamiennego sklepienia. W ścianie dostrzegła dwa wąskie otwory, przez które wpadała niewielka ilość dziennego światła, a widoczny skrawek jasnego błękitu nieba uzmysłowił jej, że nieprzytomna przeleżała całą noc.

Uniosła się z wysiłkiem.

– Obudziła się! – krzyknął Sambor i mimo oporu Nili złapał ją w ramiona. – Wreszcie! Tak się bałem! Myślałem, że umierasza!

Nilą odepchnęła go. Nadto dobrze pamiętała zdradzieckie uderzenie i szybki ruch, którym odrzucał miecz. Potem dotknęła pulsującego bólem miejsca u podstawy czaszki. Wyczuła twardą kulę rozległego guza. Tak obrzmiałego, że niemal rozsadzał delikatną skórę. Przybliżyła palce do oczu, ale nie dostrzegła krwi na opuszkach. Ostrze jakimś cudem nie przecięło skóry.

– Nilu...

– Chciałeś mnie zabić! – rzuciła mu w twarz.

Ramiona opadły Samborowi bezsilnie, a w oczach pojawiło się najpierw niedowierzanie, a potem rozpacz.

– Uratowałem ci życie – powiedział cicho.

– Mówi prawdę...

Tuż za jego plecami stanęli Dalko z Wodniczką i oboje patrzyli na Nilę z wyrzutem. Żniwiarka bezradnie pokręciła głową.

– Nie rozumiem.

Rudowłosa dziewczynka sztywno usiadła u jej boku. Obie czuły się tak zmalretowane przeżyciami ostatniego wieczoru, że nie miały siły na żadne serdeczne gesty. Ciepłe spojrzenia były wszystkim, na co potrafiły się zdobyć.

– Najpierw prawie zabiłaś Izbora, pamiętasz? – zapytała Wodniczka.

– Tak.

– Nieźle ci poszło – wtrącił Dalko. – Szlag, wciąż nie mogą go postawić na nogi. No, nikt się nie zorientował, co zrobiłaś, póki nie ruszyłaś na Welesa. Wtedy się zaczęło! Miałaś taki wyraz oczu...

– Śmierć – mruknął Sambor. – Miałaś w oczach śmierć.

– Tak! Śmierć! – zgodził się Żrenicznik. – Najgorsze, że nie tylko my to widzieliśmy. Każdy się połapał! I Weles, i ochrona Lubgosta Dragona, i Lasota. W końcu nawet Faro to pojął.

– Widziałaś, że ludzie Dragona wycelowali w ciebie kusze? – zapytała Wodniczka. – Pewnie nie!

Nilą pokręciła głową.

– Szlag! No to miałaś szczęście, że ona kazała im czekać.
– Jaka ona?
– Kobieta, która dowodzi strażą Dragona. Zresztą...
– Ale Lasota nie czekał! – przerwał mu Sambor i westchnął ciężko.
– Nilu, on rzucił w ciebie nożem! Zobaczyłem, że robi zamach i serce mi zamarło! Ale wiedziałem, że jeśli upadniesz, nóż przeleci nad tobą. Nie było czasu... a ja miałem tylko ten miecz! U licha, co miałem zrobić? Po prostu uderzyłem! Płaską stroną głowni, żeby cię nie pokaleczyć. Tylko tyle wymyśliłem.

Nilu przyłożyła dłonie do policzków. Najchętniej schowałaby się za nimi cała, byle tylko nie patrzeć na przyjaciół. Nie wiedziała, gdzie ma podziąć oczy! O niebiosa! Nie przeżyłaby, gdyby nie przytomność umysłu i pewna ręka chłopaka, który się w niej zakochał. Tymczasem ona tak paskudnie go oskarżyła! Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak głupio.

– Sambor, wybac mi – szepnęła, bojąc się na niego spojrzeć. – Byłabym martwa, gdyby nie ty. Wybac, proszę!

– Nilu, przecież ja cię kocham.

Natychmiast znalazł się przy niej i zamknął w ramionach. Odważyła się podnieść wzrok i przez chwilę wpatrywali się w siebie tak, jakby zostali zupełnie sami. I była w tym spojrzeniu taka tkliwość, że przez moment Nilu zapomniała o całym świecie.

Kiedy wreszcie wróciła do rzeczywistości, zadała to jedno, najważniejsze dla niej pytanie.

– Chcecie uwolnić Allę?

– No właśnie! – rozpromienił się Sambor. – To najlepsza wieść! W tym podłym mieście jest ktoś, kto może nam pomóc. Nilu, oto Aga Badur i jej synek.

Z odległego krańca izby podeszła do nich młoda kobieta, która w ramionach tuliła maleńkiego, ledwie rocznego chłopca. Oboje mieli kruczoczarne włosy i fiołkowe oczy w obramowaniu długich, niezwykle gęstych rzęs. Loki matki związano w okazały węzeł i wbito weń dwie ozdobne szpile. Tak długie i ostre, że wyglądały bardziej na śmiercionośną broń niż kobiece ozdoby. Pukle dziecka dla odmiany sterczały zabawnie wokół pucołowatej główki i gdyby nie chorobliwa

bladość policzków, nadawałyby mu wygląd figlarnego chochlika.

Aga Badur miała proste regularne rysy rozświetlone naturalnym rumieńcem. Gdy tak trzymała syna w objęciach, była istnym ucieleśnieniem macierzyństwa. Jednak i strój, i oręż świadczyły także o innej stronie jej natury. Aga Badur była wojowniczką. Nie nosiła sukni. Woląwała wąskie czarne spodnie i długą białą koszulę otoczoną w talii szerokim pasem. Tak prostym i surowym, że za przybranie uchodziły rękojeści zatkniętych zań noży. Na piersiach zapięła skórzaną uprząż, dzięki której mogła nosić na plecach dwa krótkie miecze o trzonach inkrustowanych czarnymi jak węgiel kamieniami.

– Znam cię! – powiedziała Nila. – Byłaś w loży Lubgosta Dragona. Kobieta skinęła głową.

– Jestem dowódcą jego osobistej straży. – Mocniej przytuliła zaciskające piąstki maleństwo i dodała: – A to Egon. Moje życie.

Nila przyjrzała się dziecku, które bezsilnie zwisało w matczynych ramionach. Chłopiec pokasływał i z trudem łapał oddech. Przy każdym wdechu z jego usteczek wydobywał się dziwny świszczący dźwięk, jakby płuca nie miały siły wchłonąć życiodajnego powietrza. Kobieta obrzuciła synka zatroskanym spojrzeniem i ucałowała jego główkę, a kiedy przeniosła wzrok na Nilę, nie miała w oczach ni lęku, ni błagania. Tylko powagę i determinację. A ponieważ nie wyglądała na kogoś, kto idzie przez życie okrężnymi drogami, Nila też nie traciła czasu na kluczenie.

– Wiem, że uratowałaś mi życie, nie pozwalając kusznikom strzelać do mnie. Czego żadasz w zamian? – zapytała wprost.

– Nie w tym rzecz. Zaraz wszystko wyjaśnię, ale najpierw coś ci pokażę – odrzekła Aga Badur i skierowała się w stronę wąskiego otworu w ścianie.

Nila poszła za nią. Oparła się o chłodne cegły i wyjrzała na zewnątrz. Byli we wnętrzu baszty górującej nad murem obronnym. Wzdłuż blanków przechadzali się strażnicy. Ledwie kilku zajmowało się patrolowaniem okolicy. Reszta wypatrywała dziewcząt, które niosły naręczą wypranej bielizny i ze śmiechem wywijały nią przed wartownikami. Wszystkie wracały znad migoczącej niedaleko rzeki.

– To Nur – powiedziała kobieta. – Płynie przez wschodnią część

Łajdackiego Krańca i daleko stąd wpada do... Topieli. Znacie ją, prawda?

Nilą przytaknęła i słuchała dalej.

– Szmat drogi stąd leży nad nią pewien kamienny most. Nazywają go Górską Przeprawą. I tak po jednej stronie rzeki jest Cesarstwo Gospar, po drugiej Ferretum, czyli wasz kraj, a na moście posterunek celny. Kto chce przejść, musi opłacić myto. Jednak nie każdy może przekroczyć granicę. Ci z Gospar i ci z Ferretum przechodzą bez problemów. Natomiast mieszkańcy Łajdackiego Krańca nie mają już tak łatwo. Nie są mile widziani na obcych ziemiach. Pewnie nie muszę wam tłumaczyć, dlaczego tak jest – zamilkła na chwilę, a potem dodała: – Jeszcze dziad waszego kniazia dogadał się w tej kwestii z imperium. Przejść mogą tylko ci, którzy nie złamali prawa. Jak się domyślacie, z tego powodu niewielu z nas wyjeżdża za granicę. Ani Gospar, ani Ferretum nie chcą u siebie kłopotów. Dlatego strażnicy na Górskiej Przeprawie mają długą listę tych, których nigdy z Łajdackiego Krańca nie wypuszczą. Weles i jego banda od lat są na niej na pierwszym miejscu. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Jeśli przejedziemy przez most, nikt za nami nie pójdzie!

– Otóż to! – przytaknął z entuzjazmem Sambor.

Aga Badur usiadła wygodnie na podłodze i przytuliła do piersi umęczonego chorobą synka. Dziecko zasnęło. Wyglądało nawet odrobinę lepiej, jakby oddychanie sprawiało mu mniejszy ból, ale świszczący dźwięk nadal rozlegał się przy każdym wdechu. Żniwiarka wyciągnęła dłoń w stronę malca.

– Chcesz, żebym go uleczyła, prawda? Mogę to zrobić.

Jednak kobieta odepchnęła jej rękę.

– Jeszcze nie! – powiedziała. – Może i żyję w parszywym mieście, ale jestem uczciwa i tak się targuję. Ty musisz wiedzieć, na co się godzisz, a ja pragnę, byś zrozumiała, w czym wam pomogę, ale czego nie zrobię.

Nilą poczuła do niej ogromny szacunek. W tym podstępny i nieuczciwym świecie, który tak nagle ich pochłonął, Aga Badur jako jedyna prowadziła z nimi grę o przejrzystych zasadach. Nie żądała, nie zmuszała do niczego, nie mąciła w głowach.

– Dobrze. Mów więc dalej.

– Najpierw my dwie, Żniwiarko. To, co było na Arenie, nie liczy się. Zrobiłam, co należało. Niczym nie ryzykowałam, więc nic mi się za to nie należy. Nasze przymierze zaś widzę tak: życie za życie. Ulecz mi synka, a ja przyprowadzę twoją siostrę pod Bramę Flisaków. Wcześniej i tobie, i pozostałym dam okazję do ucieczki. Jeśli ją wykorzystacie, razem z Allą popłyniecie w dół rzeki aż do Górskiej Przepawy.

– Kiedy? – zapytała rzeczowo Nila.

– Od dziś za sześć dni – odpowiedział Sambor. – Wtedy mają tu jakieś największe święto w roku.

– Pierwszy dzień Karnawału Złota – mruknął Dalko.

Aga Badur spojrzała na niego przelotnie.

– Zgadza się – potwierdziła. – Tydzień prawdziwego szaleństwa! Pokazy, hazard i zabawa. Przyjadą najwięksi bogacze Łajdackiego Krańca, a za nimi ściągną wszyscy kuglarze i komedianci. Tłumy ludzi, zwierząt, setki wozów. Chaos, nad którym nie sposób zapanować. Idealny czas na ucieczkę!

– Jak dostaniemy się do Górskiej Przepawy? – Wychylona przez okienko Nila szukała wzrokiem łodzi.

– To akurat jest proste. Co dwa tygodnie cumują tu dwie barki. Na jedną ładuje się towar, na drugą podróżnych. W pierwszym dniu Karnawału Złota flisacy przybiją nad ranem i wyładują tych, którzy przyjadą świętować. Po południu wyruszą z powrotem w dół rzeki. Normalnie następne przypłynęłyby po czternastu dniach, ale ponieważ skończy się Karnawał, pojawią się już po siedmiu. To jednak nie ma znaczenia, bo w tym czasie i tak będziecie już w Ferretum. Weles was nie doścignie.

– Rzeką może i nie, a lądem? – upewniła się Nila.

Aga Badur zdecydowanie pokręciła głową.

– Już przy Bawidle wody Nura płyną bystro, a później tylko coraz prędzej. Barka mknie jak wiatr. Za to wzdłuż brzegów nie znajdziesz właściwie żadnych duktów. Trzeba się przedzierać przez lasy. Nie ma mowy, żeby łowcy byli szybsi od łodzi.

– Rozumiem. – Nila osunęła się po murze na podłogę. – A teraz chcę wiedzieć, czego dla nas nie zrobisz.

Kobieta popatrzyła na nią znad ciemnej czupryny śpiącego dziecka. Westchnęła lekko i wygodniej ułożyła synka w ramionach.

– Dobrze. Miejmy to za sobą. Po pierwsze, nie wyrwę was z łap łowców. Sami się z tym zmierzycie. Ja stworzę wam szansę.

– Czyli? – drążyła Nila.

– Zaskoczę Złotników burzą, która pozwoli wam uciec, ale... może też was zabić. – Skrzywiła się z niechęcią. – Gdy nadciągnie nawałnica, Weles i jego kompani wezmą nogi za pas. Wy zaś, jeśli przeżyjecie, będziecie wreszcie wolni.

Umilkła, czekając na reakcję. Nuciała synkowi cichą melodię, ale czujne oczy wciąż obserwowały każdy ruch Żniwiarki.

Nila obrzuciła przyjaciół zmęczonym spojrzeniem.

– Wiedzieliście?

Dalko skinął głową.

– No tak... Ale pozwól jej wytłumaczyć. Szlag! To naprawdę ma sens.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i oparła się o zimne cegły. Przyjemny chłód odrobinę kołował uporczywy ból guza z tyłu czaszki.

– Dobrze, Ago. – Westchnęła ciężko. – Dokończ.

– Nie wprowadzę was z powrotem do Bawidła. Musicie sami wrócić tu po burzy i przejechać przez bramę tak, żeby nikt was nie rozpoznał. Nie wiem, jak to zrobicie, ale nie macie wyjścia. Weles na pewno będzie węszył. Ma floreny, więc opłaci ludzi, żeby szukali zguby.

Nila złapała się za głowę.

– Czy wy wiecie, do czego mnie namawiacie? – jęknęła. – Zanim odzyskam Allę, muszę narazić was na śmierć albo niewolę! Burza i powrót do Bawidła. Dwa razy zagramy o życie!

– Trzy – odezwała się twardo kobieta. – Bo trzeba wam uciekać na Suche Pola.

Przytrzymując synka jedną ręką, drugą zaczęła kreślić coś końcem noża na deskach.

– To nasze Bawidło. A to Mercata. Od nas można do niej dojechać na dwa sposoby: przez Pagórki Wietrzycy albo przez Suche Pola. Tyle że nikt, kto chce żyć, nie zapuści się na Suche Pola. Nawet na nie spojrzysz. A Weles...

Zamilkła na moment, zastanawiając się nad rysunkiem.

– Ruszy z łowcami na Pagórki! – stwierdziła z przekonaniem. – Znam łotra od lat i wiem, że sprzedałby własną matkę, gdyby mógł za to kupić jeden dzień życia. Ominie Suche Pola szerokim łukiem. Nie będzie ryzykował.

– Dlaczego? Co tam jest?

– Taurisi i Batu Tauris – odparł ponuro Dalko.

– Najbardziej wojowniczy lud Krańca i ich wódz – wyjaśniła kobieta. – Wieki temu dostali te ziemie od Cesarstwa, bo mieli być ostatnim bastionem Gospar, przedpołem w razie wojny. Tyle że to już historia i od dawna nie są imperium do niczego potrzebni. Stworzyli więc własne państewko i żyją według swoich zasad.

– I Weles ich jeszcze nie przekupił? – zainteresował się Sambor.

Dalko parsknął rozbawiony i pokręcił głową.

– Szlag! Taurisi ponad wszystko nienawidzą łowców.

Nila uniosła brwi.

– To chyba dobrze. Powinni być naszymi sprzymierzeńcami.

Aga Badur wzruszyła ramionami bezradnie.

– Nie jestem tego taka pewna. Może tak, może nie. To tajemniczy lud, który nie cierpi obcych i nie patyczkuje się z intruzami. To, że jesteś wrogiem ich wroga, nie oznacza, iż stajesz się przyjacielem.

– Ale dlaczego w ogóle mamy uciekać na Suche Pola? Wystarczy, że po burzy tą samą drogą wrócimy do Bawidła! – załamała ręce Nila.

– To nie takie proste. Mur Bawidła ma cztery bramy, ale z Pagórków możecie dostać się do grodu tylko dwiema: Piaskową i Północną. Inaczej musielibyście objeżdżać miasto dookoła, a ani na to nie będzie czasu, ani nie byłoby to dla was bezpieczne. Przez Piaskową Weles wywiezie was do Mercaty, bo to najkrótsza droga. Jeśli łowcy nie zginą podczas burzy, na pewno tam będą na was czekać. Musicie więc wrócić do Bawidła przez Bramę Północną. A droga do niej wiedzie przez Suche Pola.

– Psiakrew!

Nila wpatrywała się uważnie w rysunek na deskach. Im więcej szczegółów poznawała, tym bardziej szalony wydawał się cały ten plan. Jedyne, co jej się w nim podobało, to nadzieja na odzyskanie Alli.

– Powiedz mi więcej o burzy – zażądała.

Kobieta wbiła czubek noża w trzy kreski wyryte w drewnie.

– Pagórki Wietrzycy, wąski cypel pustyni i szybka droga do Mercaty. Przy dobrej pogodzie pokonuje się ten dystans w trzy lub cztery dni. To jednak bardzo zdradliwe tereny. Gdy z gór wieje ciepły wiatr, pustynia szaleje, a burza piaskowa to piekło i niemal pewna śmierć. Dlatego nikt w Bawidle nie ruszy na Pagórki, zanim nie poradzi się Pogodnika.

– Macie tu własnego? – zdumiał się Sambor.

Przepowiadacze aury należeli do Niepowszednich Trudu i z niewiadomych przyczyn od wielu lat rodzili się coraz rzadziej i rzadziej, by w końcu stać się prawdziwą osobliwością. Jeśli już jednak któryś żył w jakiejś okolicy, żadna podróż, siewy czy ważna uroczystość nie rozpoczynały się bez uprzedniej prognozy.

– A mamy – mruknęła. – I staruszek potrafi przewidzieć zmianę na pięć dni wcześniej. Weles wyruszy więc przekonany, iż czeka go bezpieczna podróż.

– Pogodnik go okłamie! – domyśliła się Nila.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Raczej pomyli się niefortunnie. Cóż, ma prawo do błędu. Matka Natura bywa kapryśna i czasem zaskakuje. Nikt nie może mieć do starca pretensji, jeżeli raz na parę lat pobłądzi w swych wyliczeniach.

– Ale nam przepowie burzę dokładnie, prawda? My będziemy wiedzieli?

– Wy tak, Weles nie – potwierdziła Aga Badur.

– Damy radę to przeżyć?

– Nie dam ci gwarancji, Nilu. Nie będę cię oszukiwać. Wiem tyle, że jeśli burza cię zaskoczy, najpewniej umrzesz. Gdy się jej spodziewasz i wiesz, co robić, masz szansę przetrwać. Przed wyjazdem znajdzie was bliski mi człowiek, ma na imię Wit, i wszystko wam wytłumaczy. Dostarczy też dodatkową żywność, wodę i derki.

– Możemy mu zaufać?

Aga Badur czule spojrzała na synka.

– Nawet powinniście – powiedziała. – To ojciec Egona.

Dziecko zakwiliło żałościwie i zaczęło szukać matczynej piersi.

Kobieta wstała z podłogi i jedną ręką zaczęła rozsznurowywać tasiemki koszuli.

– To wszystko, co miałam do powiedzenia. Teraz muszę nakarmić syna, pójdę więc tam. – Wskazała oddalony kraniec izby. – A wy zastanówcie się dobrze nad odpowiedzią.

– Jeszcze jedno – zatrzymała ją Nila. – Nie wiem, dlaczego nam ufasz. Możemy sobie coś nawzajem dać, pojmuję... ale mimo wszystko ryzykujesz. Skąd wiesz, że nie zechcę wymienić cię na siostrę? Lubgost Dragon pewnie dużo by dał za takie wieści o dowódcy swojej straży. Nie znasz nas...

Aga Badur zmierzyła ją ciepłym spojrzeniem i uśmiechnęła się spokojnie.

– Ależ znam was! Jestem matką i widziałam, co twoi przyjaciele zrobili na scenie dla tej rudowłosej małej, a twoja siostra dla niedźwiedzicy i jej dziecka. To mi wystarczy. Ufam wam.

To powiedziawszy, odwróciła się na pięcie i poszła w stronę zacisznego kąta. Nila patrzyła na tę wyprostowaną dumnie kobietę, która w objęciach niosła chore maleństwo, a na plecach dwa ciężkie miecze. Było coś zdumiewającego w tym połączeniu tkliwości i siły. Dziewczyna z czułością spojrzała na twarze przyjaciół, a potem wtuliła się w bezpieczne ramiona Sambora.

– Nadal kręci mi się w głowie – powiedziała – więc upewnię się, czy dobrze zrozumiałam. Wpadniemy w sam środek paskudnej burzy piaskowej. Jeśli uda nam się przeżyć i uciec, pójdziemy na Suche Pola. Stamtąd, o ile przetrwamy spotkanie z Taurisami, wślizgniemy się potajemnie do Bawidła po Allę. Planu nie mamy, ale musi być niezawodny, bo inaczej moja siostra zostanie w niewoli, a my do niej wrócimy. Gdyby jednak los nam sprzyjał, popłyniemy barką przez pół Krańca, mając za plecami łowców. Po drodze poszukamy pieniędzy, bo przecież nie mamy ani grosza, a trzeba zapłacić myto na Górskiej Przeprawie.

Umilkła, wsłuchując się w echo własnych słów. Przyjaciele wpatrywali się w nią i kiwali głowami.

– Szlag! – zarechotał Dalko. – Pomysł szaleńca!

– No! – parsknął Unik.

– Ktoś ma wątpliwości? – spytała Nila.

Sambor pocałował ją w skroń.

– Ja nie mam, ale to ty decydujesz – powiedział.

– Ja też nie – zapewniła Wodniczka.

Dalko pokręcił głową.

– Żadnych.

Nila zaśmiała się cicho i wstała z podłogi. Podeszła do kobiety, uklękła przed nią i wyciągnęła ręce po dziecko.

– Ago Badur – szepnęła, skłaniając głowę z szacunkiem – to dla mnie zaszczyt leczyć twego syna.



Roczny synek Agi Badur odebrał Nili niemal tyle samo energii, co Weles kilka dni wcześniej. Dziecko było poważniej chore, niż przypuszczała, i bez jej pomocy nie dożyłoby drugiej rocznicy urodzin. Żniwiarka walczyła więc o chłopca zaciekle, wtłaczając życiodajną moc w każdy skrawek jego umęczonego ciała tak długo, aż nie został w nim nawet cień słabości. Gdy wreszcie niezdrowa siność zniknęła z niemowlęcych ust, a skóra malucha przybrała radosny różowy kolor, Nila odjęła dłonie i osunęła się bez tchu na podłogę.

Zdażyła tylko przyłożyć głowę do miękkiego kubraka, który Sambor rozłożył jej na deskach, a potem natychmiast zapadła w sen.

Przebudziła się na odgłos pospiesznych kroków na schodach. Chwilę później zasapany i czerwony na twarzy Lederg otworzył drzwi potężnym kopnięciem.

– Na dół! Migiem! – ryknął.

– Weles jest chory? – zapytała Nila słabym głosem.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Gra od dwunastu godzin. Jesteście mu potrzebni, bo...

– Szlag! Dureń pewnie przegrał? – przerwał mu błady jak ściana Żrenicznik.

– Zawrzyj ryj! Na dół! Wszyscy!

Poszli więc za nim, pokonując serpentynę schodów i długą płataninę korytarzy, a droga zdawała się nie mieć końca. Lederg poganiał ich wrzaskami, ale Nila z trudem stawiała kolejne kroki. Uwiesiła się na ramieniu Sambora i robiła, co mogła, by poruszać się szybciej, jednak niemoc była silniejsza od grózb łowcy. Krople potu spływały jej po plecach, zaś serce kołatało tak silnie, że widziała mroczki przed oczyma. Gdy w końcu dotarła pod drzwi, zza których dobiegał wściekły głos herszta Okrutnych Złotników, umęczone marszem nogi drżały tak, że Sambor musiał ją wziąć na ręce i wnieść do komnaty.

Weles siedział przy stole, na którym piętrzył się stos kart oraz

kości do gry i... wyglądał jak przepity szaleniec. Na nieogolonych policzkach kładł mu się cień szczeciniastego zarostu, zaś siwe włosy, zazwyczaj tak starannie zaczesane do tyłu, sterczały dziko na wszystkie strony. Jedną dłonią podpierał czoło, a drugą grzebał pod niedbale rozchełstaną koszulą. Dawniej śnieżnobiałą materię pokrywały plamy po winie i smugi brudu. Zmęczony, na wpół przytomny od gorzałki, patrzył przed siebie ze złością w przekrwionych oczach.

Reszta bandy ulokowała się przy ścianach, przezornie jak najdalej od swego dowódcy.

– No nareszcie! – warknął.

W izbie cuchnęło winem i dymem z łożowych świec. Wszędzie wały się puste flaszki i resztki jedzenia, a między brudnymi talerzami laził niewielki piesek, węsząc za co lepszymi kąskami. Nila dała Samborowi znak, by ją postawił i niezdarnie oparła się o ścianę. Zawroty głowy były nie do wytrzymania. Dyszała ciężko, żołądek podchodził jej do gardła, a usta wypełnił wstrętny posmak goryczy.

Zwymiotuję! – pomyślała strwożona.

Opuściła głowę nisko, by rozpuszczone włosy opadły na twarz i choć trochę skryły bladość policzków. Miała nadzieję, że wytrzyma. Fala nudności zaatakowała jednak tak gwałtownie, że nie dała rady się jej oprzeć. Nim dopadły ją torsje, zdążyła tylko odwrócić się plecami do przyjaciół i zgarnąć fałdy sukni.

– Lederg! Ty durniu! – wściekł się Weles. – Co ona tu robi?!

– Kazałeś ich przyprowadzić, to przyleźli.

– A na diabła mi tutaj ona, ty pusty łbie?!

Odsunął z rumorem stółek, a potem chwiejnie ruszył ku Nili. Zatrzymał się tuż przy kałuży wymiocin i chwyciwszy dziewczynę za włosy, z odrazą popatrzył na jej szarą ze zmęczenia twarz.

– Co ci jest? – burknął.

Nie mogła zdradzić tego, co zrobiła w baszcie. Ich plan natychmiast zawałiłby się jak domek z kart. Weles nie tylko nie darowałby Żniwiarce uzdrawiania kogoś innego, ale chciałby też wiedzieć, czym Aga Badur zapłaciła za leczenie swego dziecka. Prawda oznaczałaby zdradę tych, którzy chcieli pomóc Niepowszednim oraz pogrzebanie szans na odzyskanie Alli. Nila musiała chronić i siostrę, i

sojuszników.

– To przez to uderzenie w głowę – skłamała. – Sambor za mocno mnie zdzielił.

Weles wzruszył ramionami.

– I dobrze! Nie trzeba się było awanturować. Sprzedałem twoją siostrę. Co z tego?! A niby po co ją łapałem?

Jego słowa zaboląły ją o wiele bardziej, niż gdyby wymierzył jej tysiąc batów. Gniew i nienawiść rozszalały się w niej niczym pożoga. Znów widziała tylko Welesa i jeszcze raz zapragnęła zadać mu śmierć. Za Allę!

Przed oczyma na nowo rozlała się czerwona mgła, a gwałtowne bicie serca przesłoniło wszelkie inne dźwięki. Dziewczyna otarła usta, a potem ciężko podniosła się na nogi.

– Nie! – syknął Sambor i uszczypnął ją tak mocno, że szarpiący ból przywrócił Nili zdolność myślenia.

Rozejrzała się oszołomiona. Chwilę walczyła ze sobą, by miejsce furii zajął w jej sercu chłód. Wreszcie oddech odzyskał normalny rytm, a szum krwi w uszach ustąpił pola odgłosom krzątającej się w izbie czeladzi.

Weles gapił się na nią z kpiną w przepitych oczach. Nie chciała z nim walczyć, ale nadal marzyła, by zetrzeć mu z ust ten pogardliwy grymas. Tyle musiała zrobić dla siebie... i dla Alli.

– A jak Izbor? – spytała więc lodowatym głosem. – Przeżyje, czy przeze mnie zostaniesz bez parobka?

Twarz mu stężała na ułamek sekundy, a potem ryknął rozjuszony i trzepnął Nilę na odlew. Oburzony Sambor uniósł dłoń, ale nim zdołał coś zrobić, Faro oparł trzonek batoga na jego ramieniu i pokręcił ostrzegawczo głową.

Choć cios rozciął Żniwiarce wargę, a policzek zapłonął piekącym bólem, nie przejęła się tym. Rozciągnęła usta w upiornej parodii uśmiechu, ukazując Welesowi zakrwawione zęby.

– Warto było – mruknęła.

Zacisnął pięść, ale nie uderzył jej ponownie. Jedynie wydarł się tak, że widziała krople śliny wypadające z jego ust.

– Won! Siadaj pod ścianą i milcz!

Nila spojrzała na to pijane, pozbawione serca monstrum i nagle pojęła, co oznaczała nieobecność Alli.

– Zmuś mnie! – wybuchła z nienawiścią. – Odebrałeś mi siostrę, głupcze! Nie mam już nic! Ani jednego powodu, by cię słuchać!

Nie skończyła jeszcze mówić, a na usta już wypełził mu uśmiech tak perfidny, że Nila poczuła dźgnięcie strachu w okolicy serca.

– Ależ mylisz się, moja droga – odezwał się zimno. – Jestem pewien, że masz aż trzy powody, by być posłuszną. Proszę bardzo. – Wskazał Dalko, Wodniczkę i Sambora. – Powód pierwszy, powód drugi i wreszcie powód trzeci! Będę ich batożyć do krwi, gdy tylko mi się sprzeciwisz.

Wściekły podskoczył do Nili i złapał ją za ramię. Zbliżył twarz tak bardzo, że z trudem wytrzymała bijący od niego odór skwaśniałego wina.

– Ty głupia! Myślisz, że nie widziałem, jak wam zależy na tej rudej? Uważacie ją za młodszą siostrę, czy co? Taką, o którą trzeba się troszczyć i temu podobne bzdury! Durnie! A może zdaje ci się, że nic nie wiem o przyjaźni z Dalko? Nie do wiary! Przecież to żalosny ponurak. Jesteście dziwni...

Zdenerwowana Nila szarpnęła ramieniem, by się uwolnić. Weles trzymał ją jednak w żelaznym uścisku i coraz mocniej wbijał palce w miękkie ciało nad łokciem.

– A te naiwne amory pomiędzy tobą a tym durnym Unikiem? Jak sądzisz, dlaczego na nie pozwalałam? Szybciutko wybiłbym je wam z głowy, gdyby nie były po mojej myśli... gdybym przez to nie trzymał cię w szachu. Och, miłość, miłość, miłość... – Zarechotał odrażająco.

Okrutni Złotnicy zawyli z uciechy. Nila nie wiedziała, gdzie ma podziąć oczy. Czuła rumieńce wstydu i upokorzenia, bo jej uczucia zostały potraktowane tak grubiańsko.

Weles westchnął, jakby zabrakło mu sił do poniżania dziewczyny.

– To jak będzie? – Wpatrywał się w nią znużonym wzrokiem. – Nabrałaś rozumu, czy mam sprać twoich przyjaciół?

Nila pokornie opuściła głowę i zwiesiła bezsilnie ramiona.

– Nie krzywdź ich, proszę.

Niecierpliwym gestem pchnął ją mocno w stronę kąta. Zanim

ledwie przytomna ze zmęczenia dotarła do muru i bez sił osunęła się na podłogę, on zdążył już wrócić do stołu. Opadł na zydel, ujął w dłoń kości do gry i zaczął nimi odruchowo obracać.

– Ema! – wrzasnął. – Wracaj, mogę już grać! Ema!

W ciszy, która zapadła po tych słowach, dało się słyszeć kroki. Do komnaty weszła piękność, której suknia, złote ozdoby i krwista czerwień zausznic na zawsze wryły się w pamięć Żniwiarki.

– Psiakrew! – zaklęła pod nosem Nila.

Miała wrażenie, że ledwie przed chwilą odebrała przytomność tej damie, by pomóc Dalko znaleźć rubinowy klejnot. W nadziei, że pozostanie niezauważona w ciemnym rogu izby, opuściła nisko głowę i spod półprzymkniętych powiek wpatrywała się w kosztowne buciki przybyłej kobiety. Niestety, strojnisia zapamiętała dziewczynę tak samo dobrze, jak Nila ją.

– To ty! – krzyknęła i z rozmysłem wbiła ostry szpic paradnej cizemki w udo Żniwiarki.

Nila tylko mogła udawać głupią. Uniosła brodę i spojrzała w wykrzywioną irytacją twarz złościcy.

– Pani? – spytała z przesadnym szacunkiem.

Ema fuknęła na nią niczym rozłoszczona kotka.

– Pamiętam cię! To przez ciebie zemdlałam!

Nila pokręciła głową.

– To przez ten ścisk. Było bardzo duszno, proszę pani. Sama ledwie oddychałam, ale ostatkiem sił wezwałam pomoc.

Dama zmierzyła ją bazyliżkowym spojrzeniem.

– Masz mnie za idiotkę? Myślisz, że jesteś sprytna? Doskonale wiem, co zrobiłaś! Mamy rachunki do wyrównania, ty podstępna prostaczko. Poczekaj tylko, a zobaczysz!

Nila przełknęła nerwowo ślinę. W jej zupełnie suchym gardle znów zaczęła narastać twarda gruda strachu. Nie miała pojęcia, ile złego może wyrządzić bogata dama z Bawidła, ale była pewna, że na pewno się postara.

Ema zaś odwróciła się na pięcie i zmarszczyła nos.

– Fúj, Weles! Każ tu najpierw posprzątać i wywietrzyć.

Łowcy wezwali służebną, a gdy ta na kolanach wycierała plamę

wymiocin, Ema wzięła w ramiona wężącego wśród resztek pieska i przytuliła go do piersi jak niemowlę.

– Mój kochaniutki – zagruchała.

Podeszła z nim do uprzątniętego już stołu i rozgarnęła palcem piętrzący się tam stos monet.

– To mają być prawdziwe pieniądze? To jakieś marne grosze! O co będziemy grać? – Kapryśnie wyduła usta.

Rozejrzała się wokół i w końcu raczyła dostrzec kolejne nowe twarze w komnacie. Podeszła do Sambora i przez chwilę przyglądała mu się tak samo bezczelnie, jak wówczas w Arenie, a potem odezwała się kokieteryjnie:

– Witaj, Uniku! W końcu się spotykamy.

Chłopak ostentacyjnie cofnął się o krok, ale Ema nie zwracała już na niego uwagi. Odwróciła się ze złośliwym uśmiechem w stronę Nili i uniosła kształtne brwi.

– Będzie ciekawiej, niż sądziłam, dziewczyno! – powiedziała, po czym spojrzała na Welesa i dodała rzeczowo: – Spytałam, o co będziemy grać. Masz coś cennego? Gadaj wreszcie, bo szkoda mi czasu!

Weles pociągnął solidny łyk wina i wskazując flaszką kolejno każdego z Niepowszednich, wyliczał:

– Unik, Żrenicznik, Wodniczka. Wybieraj! Jeśli wygrasz, zrobią, co im każesz!

Kobieta przechyliła głowę, by przyjrzeć im się jak zwierzynie na targu. W końcu westchnęła zniechęcona.

– Eee, prywatny pokaz? Co to za stawka? Oglądałam już ich sztuczki. Nie chce mi się nawet siadać do gry o takie nic. To dobre dla dziewczek kuchennych. Weles, za kogo ty mnie masz, oprzytomniej! No... ale – uśmiechnęła się drapieźnie do Sambora – gdybyś miał odwagę postawić któreś z nich, to chętnie, chętnie... Rozumiesz? Chciałabym wygrać Unika. Na własność! Innych też mogę wziąć. Niepotrzebne mi nowe gęby do wyżywienia, ale sprzedam ich na pniu.

Łowca obrzucił ją taksującym spojrzeniem.

– Nie, żebym ci nie ufał – mruknął. – Ale do takiej gry trzeba poważnego gracza. Chcesz Niepowszedniego na własność? To najpierw mi pokaż, ile masz. Skąd mam wiedzieć, czy cię stać?

– Bydlę! – krzyknął Dalko, ale umilkł natychmiast, gdy Faro dzielił go trzonkiem batoga przez plecy.

Świadomość tego, co tak naprawdę odbywało się w tej komnacie, spadła na resztę Niepowszednich jak grom z jasnego nieba. Ledwie dzięki Adze Badur uwierzyli, że ich los może się odmienić, a już wszelkie kalkulacje wzięły w łeb, bo pijak i rozkapryszona dama mieli o nich grać tak, jak wieśniacy czasem grają o kozy czy owce. Przegrana Welesa oznaczała kres marzeń o wolności, odzyskaniu Alli i powrocie do domu. Rozdzieleni i rozproszeni po Łajdackim Krańcu nigdy nie zdołaliby nawet trafić na swój ślad, nie mówiąc już o wspólnej ucieczce.

– No, Ema! – sarknął łowca. – Ile masz?

– Zaraz, mój drogi! Nie tak szybko. Najpierw wyjaśnijmy sobie coś innego. Chcę grać o całą czwórkę po kolei. O Żniwiarke też!

Weles zmierzył kobietę tak ciężkim spojrzeniem, że ta aż się pod nim ugięła. W jakiś dziwny sposób nagle wyparowała z niej cała buta.

– Uwierz mi, że wcale nie chcesz o nią grać. Gdybym ją stracił, musiałbym cię zabić, żeby ją odzyskać.

Ema westchnęła teatralnie, wzruszyła ramionami, ale nic nie powiedziała. Na chwilę zapadła gęsta od napięcia cisza, aż w końcu bogaczka skinęła głową, zgadzając się na warunki łowcy. Potem, jak gdyby nigdy nic, klasnęła w dłonie, by przywołać służącego. Mężczyzna wniósł na tacy kilka identycznych, jednakowo niewielkich i tak samo pękatych mieszkań.

Weles wstał od stołu, zważył w dłoniach pierwszą z brzegu sakiewkę, zajrzał do woreczka i wyciągnął zeń złotego florena.

– Za każdego Niepowszedniego pełen trzosik – powiedziała Ema.

– Mało!

– Dwóch nie dam! – zaperzyła się.

Łowca spoglądał to na mieszki, to na swych jeńców, jakby nie wiedział, co wybrać. W końcu raz jeszcze obejrzał floreny i rzucił sakiewkę z powrotem na tacę.

– Zgoda! Ale do każdej przegranej dołożysz jedną błyskotkę.

Ema uniosła z uznaniem brwi.

– Weles, gra z tobą nie przestaje mnie zaskakiwać. Niech będzie, złote cudeńko do każdej przegranej. Zaczynamy? Trochę się już...

– Ty bydlaku! – Wzburzony krzyk Dalko przerwał paplaninę w połowie zdania. – Już raz o mnie grałeś! A teraz znowu mi to robisz! Nie jestem garstką monet! Nienawidzę cię, ty potworze!

Nilą patrzyła ze ściśniętym sercem na zrozpaczonego chłopaka. Starą się zrozumieć, co on czuje, ale pewnie nawet jej najgorsze wyobrażenia nie odpowiadały rzeczywistości.

Faro zamachnął się raz jeszcze i tym razem cios w plecy pozbawił Żrenicznika głosu. Biedak upadł na podłogę skulony z bólu, z trudem łapiąc oddech.

– No – odezwała się Ema, obojętnie przyglądając się jego cierpieniom. – Grajmy wreszcie, bo zaczynam się już nudzić. Śmiertelna Trójka?

Weles przytaknął i pociągnął z flaszki.

– Przynajmniej szybko będzie po wszystkim – mruknął. – Bo kiepsko się już czuję.

W Kamiennych Kościach nawet dzieci znały tę grę. Była krótka i banalnie prosta, w sam raz dla umęczonych pracą ludzi. Trzy rundy, w których na każdego gracza przypadały trzy rzuty dwiema kostkami. Wszystko nie trwało dłużej niż wypicie jednego kufła w karczmie.

Ema rzuciła jeden mieszek na stół.

– Najpierw, stary łajdaku – powiedziała nieomal pieszczotliwie – daj mi tę małą dziewczuszkę. Na przystawkę.

Lederg lekko popchnął Wodniczkę, nakazując jej zająć miejsce pomiędzy kobietą a Welesem. Ten zaś zdążył już wrzucić kości do kubka i z werwą nim potrząsał. Potem szybkim ruchem przechylił naczynko i spokojnie czekał, aż oba alabastrowe sześciany znieruchomieją na stole.

– Cztery i sześć – obwieścił tryumfalnie. – Dziesięć dla mnie!

Ema beztrąsko wzruszyła ramionami, a potem z wdziękiem rzuciła kośćmi.

– Pięć i sześć! Jedenaście, Weles!

Łowca nie czekał. Machnął niedbale kubkiem i pochyliwszy się nad dębowym blatem, wpatrywał się w podskakujące bryłki.

– Do diabła!

Ema zaśmiała się pogardliwie.

– Pięc! Żałosne!

Złote obręcze na jej przegubach zadźwięczały, gdy wprawiła naczynko w ruch. Weles zagryzł wargę, lecz po chwili wyszczerzył zęby, rozbawiony. Kości wskazywały jedynkę i trójkę.

– Cztery! – ryknął. – Remis, kobieto! Po piętnaście!

Gdy przyszła kolej na jego ostatni rzut, Nila wyciągnęła szyję. Sześciany mknęły po stole w jednakowym tempie, a w ich zimnych kamiennych ściankach zaklęty był los Wodniczki.

– Dziewięć! – szepnęła, dostrzegając piątkę i czwórkę.

Wszystko zależało teraz od jednego ruchu nadgarstka kobiety. Ema, rozbawiona grą o żywe stawki, nie spieszyła się jednak. Powoli popijała wino i podgryzała maczane w miodzie migdały. Wreszcie leniwie włożyła kości do kubeczka i zagrzechotała nimi ze śmiechem. Wypuściła białe bryłki na wolność, a gdy się zatrzymały, zmarszczyła brwi i niezadowolona wykrzywiła usta.

– Och! Sześć...

– Trzy i trzy! – wrzasnął Weles. – Przegrałaś dwadzieścia jeden do dwudziestu czterech! Floreny i dziewczyna zostają u mnie.

Natychmiast zgarnął mieszek i chciwie wyciągnął dłoń.

– Dawaj błyskotkę!

Kobieta niedbałym gestem zdjęła grubą jak palec złotą bransoletę, rzuciła ją na blat i niewzruszona znów sięgnęła po miseczkę ze słodkościami. Skinieniem głowy dała znak służącemu, a ten od razu zdjął z tacy kolejną sakiewkę.

– Który teraz? – spytał Weles.

Zmrużywszy oczy, Ema spoglądała to na jednego, to na drugiego Niepowszedniego.

– On! – Wskazała zrezygnowanego Żrenicznika. – Piękniśia zostawiam sobie na deser.

Dalko podniósł się z podłogi i bez słowa stanął przy graczach. Patrzył na nich wzrokiem tak obojętnym, jakby na niczym mu już nie zależało.

Ema potrząsnęła kubeczkem i posłała kości płaskim rzutem na blat. Zatrzymały się niemal natychmiast, wskazując żałośnie niski wynik.

– Jeden i jeden? – prychnęła z niedowierzaniem, a potem zawiesiła wzrok na Żreniczniku. – Chłopcze, jakiś pechowy jesteś czy co?

Weles ryknął śmiechem i zamachnął się energicznie. Białe bryłki potoczyły się wzdłuż krawędzi stołu.

Cztery i sześć! – Nila z ulgą wzięła głęboki oddech.

Ema drapieżnym gestem złapała kubek. Przez chwilę poruszała nim tak mocno, że złote kółka na jej ręce dźwięcznie podskakiwały między nadgarstkiem a łokciem.

– Pięć i sześć! – wykrzyknęła tryumfalnie.

Weles wyrwał jej naczynko z dłoni i nerwowym ruchem potrząsnął nim tuż przy ustach. Zbliżył jego krawędź do warg, chuchnął weń na szczęście, a potem przechylił je dnem do góry. Sześciiany wskazały trzy i jeden.

– Cztery!

Nadszedł czas na ostatnie rzuty w tej rundzie. Kobieta cisnęła bryłkami o blat.

– Do cholery, chłopcze! – Grymas wściekłości wykrzywił jej piękną twarz.

Dalko, wyrwany z letargu, spojrział na kości. Roześmiał się arogancko i mruknął:

– Jeden i pięć!

Weles nerwowo zatarł dłonie. Sięgnął po flaszkę. Pił i pił nieprzerwanie, a wino ściekało mu po haftowanej kamizelce. Wreszcie z łomotem odstawił butelkę i jednym ruchem wyrzucił kamienne sześciiany na stół. Dalko pozwolił sobie na uśmiech, a Nila klasnęła radośnie w dłonie.

– Sześć i pięć! – krzyknął Weles, zachłannym gestem łapiąc sakiewkę. – Dwadzieścia pięć do dziewiętnastu! Błyskotka!

Ema zdjęła z palca pierścień z ogromnym rubinem i ze złością rzuciła mu go pod nogi. Niezrażony tym afrontem łowca schylił się, a potem spokojnie przetaił kamień rękawem.

– No, przestań się boczyć! Wciąż jeszcze możesz wygrać tego. – Wskazał jej Sambora i zarechotał: – Albo przegrać co nieco...

– Właśnie! Dostanę chłopcia albo wyjdę uboższa o kolejną fortunę!

Przez moment przyglądała się Unikowi, po czym machnięciem palców wezwała go do siebie.

– Mam nadzieję, że przyniesiesz mi więcej szczęścia niż tamta dwójka.

Sambor nie odpowiedział, tylko popatrzył zafrasowany na Nilę. Ona zaś, choć słaba, podeszła krok do stołu. Przycisnęła pięści do ust, a rzucone kości zagrzechotały na stole.

– Dwanaście! – Ema zerwała się w radosnych podskokach. – Sześć i sześć, Weles! Widzisz to?

Oczy Nili wypełniły się łzami. Szanse Welesa na wygraną, a przez to i nadzieje Sambora, dramatycznie się skurczyły. Chłopak nerwowym ruchem potarł skronie.

Łowca zaklął szpetnie i energicznie poruszył kubkiem. Malutkie bryłki pomknęły w kierunku wypielęgnowanych kobiecych dłoni, aż w końcu zatrzymały się tuż przy miseczce ze słodkimi migdałami. Ema parsknęła śmiechem.

– Phi! – Wydeła usta. – Jeden i cztery! Prawdziwa nędza...

Otarła usta z miodu i sięgnęła po kości. Wsłuchana w ich stukot na dnie naczynka, zerknęła na Sambora.

– Cieszysz się, że do mnie trafisz?

Kiedy wzruszył ramionami, przechyliła głowę, a rubiny w jej zausznicach zamigotały czerwonym blaskiem. Lekkim szarpnięciem nadgarstka wprawiła sześciany w ruch.

– Sprawdźmy, co ci los przyniesie...

Kości zatrzymały się przy Samborze, a ten westchnął głęboko i opuścił głowę.

– Pięć i sześć – wyszeptała zmartwiałymi ustami Nila.

Ema za to rozparła się wygodnie na krześle. Niedbałym gestem poprawiła naszyjnik na piersiach.

– Dwadzieścia trzy, Weles – mruknęła z uśmiechem. – Do twoich... pięciu.

Łowca popatrzył na nią spode łba, a potem zniechęcony przechylił kubek. Nadzieja, choć coraz mniejsza, wciąż jednak tliła się w sercu Nili. Stała na palcach, by lepiej widzieć i czekała napięta jak struna.

– Do piętnastu! Dwie piątki!

Kobieta zaśmiała się filuternie i sięgnęła po kości. Obracała je chwilę w dłoniach, ale po namyśle odłożyła na stół.

– Wiesz, Weles – powiedziała – dobrze liczę. Choćbyś nawet wyrzucił dwunastkę, mnie wystarczy ledwie piątka, by zabrać chłopaka. Właściwie już jest mój.

Nilą jęknęła, a Sambor zacisnął pięści. Ema obrzuciła go baczny spojrzeniem.

– Nie chcę tu burd! – odezwała się twardo. – Ani żalosnych pożegnań. Pozwolisz zatem, że moi ludzie zawczasu staną za drzwiami?

Łowca markotnie skinął głową i bez słowa pchnął w jej stronę kubek. Potrząsała nim dłuższą chwilę, wyraźnie ciesząc się grymasem bólu na twarzy Sambora i trwogą Nili. Wreszcie wypuściła kości krótkim ruchem, dzięki któremu wytraciły prędkość po ledwie kilku obrotach.

– Jeden i jeden – stwierdziła obojętnie.

Nilą rozpląkała się. Weles musiałby wyrzucić jedenastkę, żeby zatrzymać Unika! Wciąż jeszcze mógł zdarzyć się cud, ale przeczucie podpowiadało jej, że łowca poniesie klęskę. Jedyne, co wówczas mogłaby zrobić, to pożegnać się z Samborem, zanim do izby wpadną siepacze Emy. Spojrzała w pełne rozpaczy oczy chłopaka i pojęła, że i on myśli tak samo. Zupełnie się z tym nie kryjąc, przesunął dłoń nad własną pierś i wskazał na serce. Nilą powtórzyła ten gest.

– Rzucaj wreszcie, Weles! – rozległ się gniewny głosik Emy.

Ten niemrawym ruchem wypchnął kostki z kubeczka. Toczyły się powoli, ale wreszcie zatrzymały się na środku stołu.

– Cztery i pięć. Przegrałeś! – warknął Sambor i ruszył w kierunku Nili.

Dotarł do niej w dwóch krokach, ale zanim zdążyła wykrztusić choć słowo, przycisnął wargi do jej ucha.

– Uciekajcie zgodnie z planem! Znajdę was, słyszysz? Znajdę!

A potem pocałował ją mocno i gwałtownie, nie bacząc na nadbiegających służących Emy.

– Kocham cię, Nilu – szepnął.

Nie odrywał od niej ust dopóty, dopóki trzy pary silnych rąk nie wyrwały go z jej uścisku i nie wyprowadziły z izby.



Weles, gotowy do wyjazdu, dla pewności czekał na werdykt Pogodnika. Od ponad godziny stali w ciemnym zaułku pod Bramą Piaskową, a z ust sędziwego starca wciąż nie padło ani jedno słowo.

Przepowiadacz pogody zbliżał się już do kresu swych dni i najwyraźniej nigdzie się nie spieszył. Był tak wysuszony długim życiem, że przypominał żywy szkielet, powleczone pomarszczoną skórą.

– No, ma chyba ze sto lat. Boję się, że umrze, zanim coś doradzi – szepnął zaniepokojony Dalko.

Starzec rzeczywiście z trudem trzymał się na nogach. Powłóczyła szata nie była w stanie skryć drżenia leciwych kolan, zaś kostur w dłoni stanowił bardziej symbol niezwykłych mocy Pogodnika niż solidne oparcie. Jego prawdziwą podporą była Aga Badur, która przez cały czas mocno trzymała wiekowego Niepowszedniego za łokieć.

Przybyła pod Piaskową Bramę jako wysłanniczka Lubgosta Dragona i doskonale grała swą rolę. Była wyniosła, twarda i nieprzystępna. Nie poświęciła jeńcom Welesa nawet chwili życzliwej uwagi. Po prostu omiotła całą trójkę spojrzeniem tak obojętnym, jakby w ogóle ich nie zauważyła. Bardziej interesowały ją juczne zwierzęta, które szykowano Okrutnym Złotnikom i podrózne sakwy. Na jej polecenie służący wypełnili je tajemniczymi zawiniątkami i bukłakami z wodą.

– Pani – odezwał się Weles – miło, że przyszłaś nas pożegnać.

Aga Badur spojrzała na niego równie beznamiętnie, jak na Niepowszednich.

– Żegnanie łowców nie jest moim zadaniem – powiedziała i wskazała dziewięć potężnych zwierząt, na których garbatych grzbietach zapinano właśnie wysokie kulbaki. – Mój pan kazał dopilnować, byś uregulował dług. Wymieniłeś swoje konie na jego tulu i nie dopłaciłeś różnicy.

– Przecież oddam! – zaperzył się Weles.

– Mój pan chce odzyskać pieniądze natychmiast. Nie udziela pożyczek. – W głosie kobiety zabrzmiały ostrzegawcze tony.

Weles również musiał je usłyszeć, bo niechętnie, ale sięgnął po sakiewkę.

– Pilnuje każdego florena, co? – mruknął złośliwie. – Stary kutwa...

Aga Badur zachowała kamienną twarz w obliczu tej obelgi, za to dodała z przesadną atencją:

– Mój pan w podziękowaniu za niezwykle przedstawienie, przesyła wam wszystkim wiktuały na drogę, zapasy wody, a także dodatkowe ubrania na wypadek chłodu i wiatru na pagórkach Wietrzycy.

To powiedziawszy, zawiesiła na moment wzrok na Niepowszednich.

Żywność, wodę i odzienie mamy w sakwach – domyśliła się Nila.

Weles chrząknął, skonfundowany swoimi słowami o skąpstwie Lubgosta Dragona, i pospiesznie odliczył pieniądze.

– Wybacz! Takie tam prostackie żarty! Niech pozostaną między nami, dobrze? Tak będzie lepiej! Koniecznie podziękuj swojemu niezwykle szczodremu panu! Jestem mu bardzo wdzięczny za te podarunki oraz za wyśmienite zwierzęta, rzecz jasna – dodał przymilnym tonem.

Aga Badur bez słowa wrzuciła monety do kieszeni.

Weles zmierzył ją niechętnym spojrzeniem i raz jeszcze spróbował zatrzeć kiepskie wrażenie.

– No i jakże będzie, czcigodny starcze? – zagadnął układnie Pogodnika.

Ten zignorował pytanie, podobnie jak dwa wcześniejsze. Wciąż pogrążony w jasnowidzącym transie, badał zakłete w żywiołach zapowiedzi aury. Stał z zamkniętymi oczyma, z zadartą wysoko głową i w skupieniu wsłuchiwał się w siebie tylko zrozumiałe sygnały, wysyłane przez wiatr, chmury i zapach powietrza. Nie odzywał się, o nic nie pytał i tym niemym bezruchem doprowadzał Welesa do szewskiej pasji.

Zirytowany łowca skrzywił się i mamrocząc coś pod nosem, zwrócił się do Agi Badur:

– Ależ pani, no... przecież to śmieszne! Ileż można czekać?

– Możesz ruszać bez prognozy. – Uśmiechnęła się grzecznie. – Nikt cię tu nie zatrzymuje, panie.

Pogodnik zniecka otworzył oczy.

– Wiem już! Wiem!

Weles westchnął teatralnie.

– Nareszcie! No więc, ile mam czasu?

– Jeśli wyruszysz dziś, cztery dni i cztery noce. – Cienki głos

Pogodnika drżał równie mocno jak on sam. – Pagórki Wietrzycy są teraz spokojne, ale piątego dnia nad ranem w górach zerwą się Czarne Wichry.

Nila, Wodniczka i Dalko chłonęli każde słowo przepowiadacza. Wszystko, co słyszał Weles, było łągstwem, a prawda leżała między wierszami. Jeśli chcieli przeżyć, musieli ją odnaleźć.

– Pamiętaj, piątego dnia...

Staruszek zaniósł się gwałtownym kaszlem i zgięty w pół uderzył kostur w ziemię. Oddychał tak ciężko, jakby zdobył się na wysiłek ponad własną miarę, a dłonie dygotały mu ze zmęczenia. Wreszcie złapał oddech i dokończył myśl:

– Piątego dnia do południa nadciągnie wielka burza. Wówczas, strzeż się! – Stuknął końcem kija raz jeszcze, jakby dla podkreślenia swej groźby.

Weles klepnął go w ramię, wielce zadowolony.

– Starcze, jeśli zdrowo pogonię zwierzęta, za trzy dni będę już u bram Mercaty! Dziękuję za twe rady.

Potem odwrócił się do swoich ludzi i wrzasnął:

– Szykować się! Smarkacze na końcu! Przytroczyć nosze z Izbozem! Za kwadrans ruszamy!

Aga Badur chwyciła Pogodnika mocniej.

– Chodźmy, dziadku – powiedziała głosem przepelnionym czułością.

– Dziadku? – zdziwił się cicho Dalko.

Cała trójka oniemiała na chwilę, zanim wszystkie rozsypane wcześniej klocki ułożyły się w ich głowach w zgrabną całość.

Staruszek wolno zmierzał w stronę siedziby Lubgosta Dragona. Kobieta prowadziła go tak, by przed sobą mieć Niepowszednich, a za plecami Okrutnych Złotników. Gdy tylko oddaliła się od łowców, uniosła przed piersiami dwa palce.

– Za dwa dni – wyszeptła.

Wodniczka pokiwała głową.

– Jak dwa uderzenia kostura – zachichotała.

Drobiący małymi kroczkami staruszek uśmiechnął się od ucha do ucha. Nila mogłaby przysiąc, że mrugnął do nich radośnie.



Ponury krajobraz Uroczyśka towarzyszył im ledwie przez kilka godzin po opuszczeniu Bawidła. Potem, i tak skąpa, roślinność zniknęła zupełnie, zaś płaskie przestrzenie burej ziemi przeszły w połacie złotego piachu.

Piasek był wszędzie. Kroczyli wśród milionów drobnych ziarenek migoczącego w słońcu kwarcu. Piasek otoczył ich niczym wielką pofałdowaną materią, w której ugrzęźli i poruszali się w ślimaczym tempie. Piasek osaczał ich ze wszystkich stron, zasłaniając horyzont wysokimi wałami. Zgrzytał między zębami i zalegał na dnie bukłaków z wodą. Wdzierał się do oczu i ust przy najłżejszym nawet zefirku. Przy mocniejszych podmuchach więził karawanę w kłębowisku żółtego pyłu, wśród którego nie dawało się ani patrzeć, ani oddychać. I choć o wichurze nie było jeszcze mowy, wszyscy nieustannie pokasywali i przemywali wodą obolałe od pocierania powieki.

Nila, nadal słaba po uzdrawianiu małego Egon, zniechęciła się Pagórki Wietrzycy już pierwszego dnia podróży. Wzniesienia nie miały końca. Rozpościerały się daleko jak okiem sięgnąć i dopiero hen, na zachodzie, zatrzymywały się u podnóża potężnych górskich łańcuchów. Gdy tylko wdrapywali się na jeden szczyt, wyłaniały się zza niego trzy kolejne.

– Nie cierpię tego miejsca! – co chwila wściekał się Weles.

Tulu, nowe wierzchowce, dzielnie parły przed siebie, ale i one musiały zwalniać, gdy sypki piach sięgał ich kolan. Jednak nawet wtedy nikt nie miał wątpliwości, że nie było stworzeń lepiej niż one radzących sobie na pustyni. Z pozoru nieporadne, brzydkie i garbate, cały swój wdzięk i urodę ujawniały, dzielnie stąpając po miłkich zboczach Pagórków. Czyniły to z lekkością, jakby tańczyły nad ziemią. Z gracją podrywały jednocześnie obie nogi z lewej strony ciała, by opadając, wznieść naraz prawe kopyta.

Nawet mrowie wirujących wokół ziarenek piachu nie robiło na nich wrażenia. Tulu po prostu przymykały okolone niebywale długimi

rzęsami powieki, mocno zaciskały ruchliwe nozdrza i spokojnie czekały, aż piaskowa chmura opadnie.

Nie dyszały z gorąca w dzień ani nie drżały z zimna w nocy.

– To przez tę sierść. Pamiętajcie, co mówił Wit? – Dalko zanurzył łagodnie palce w gęstwinie wełnianych splotów, a przyjaźnie nastawione stworzenie nagrodziło tę pieśczętę czułym uszczypnięciem.

Wit, główny masztalerz Bawidła i ojciec Egona. Pod pozorem dopilnowania juków i kondycji kosztownych tulu, które wyruszały w ciężką drogę, podszedł do Niepowszednich tuż przed wyjazdem z grodu i pospiesznie udzielił im lekcji przetrwania.

Dzięki niemu wiedzieli, że futro tych zwierząt ratuje ludzkie życie w zimne pustynne noce. Wystarczyło wtulić się w nie, by nie zmarznąć. Wyjaśnił też, że garb tulu nie jest chorobą koślawego grzbietu, ale wielką spiżarnią tłuszczu, dzięki któremu stworzenie mogło przetrwać długie okresy bez jedzenia. Wbił im do głów, że w czasie zawieruchy powinni zachować się tak, jak te garbate rumaki, które zamykały oczy i nos, by piach ich nie oślepił i nie udusił. Na pierwszy zwiastun burzy powinni owinać głowy materia, a za pazuchę włożyć pełen bukłak, by nie umrzeć z pragnienia.

Nila odruchowo dotknęła przytroczonej do siodła sakwy, po raz kolejny upewniając się, że dodatkowa koszula i woda są na swoim miejscu. Potem, pewnie po raz tysięczny tego dnia, rozejrzała się uważnie dookoła. Wit kazał im bowiem bezustannie wypatrywać znaków nadciągającej nawałnicy i wsłuchiwać się w odgłosy Pagórków.

– Dalko, nic się nie dzieje. Myślisz, że długo jeszcze? – spytała cicho.

– Nie mam pojęcia, ale przynajmniej tamci dobrze się już schlali.

I rzeczywiście. Jadący na przedzie karawany Weles, Faro i Lasota nic tylko utyskiwali na wszędobyłski piach i topili tę zgryzotę w gorzałce.

Lederg i Nadir, którzy zamykali kawalkadę, również nie zawiedli Niepowszednich. Zwykle pierwsi do wypitki, zamiast interesować się horyzontem, natychmiast wyciągnęli bukłaki i zajmowali się ich opróżnianiem. Czasami z nudów gapili się tuż przed siebie, gdzie na noszach z dębowych żerdzi ciągnięto Izbora, wciąż bladego i

słabującego. Leżał bezwładnie i tylko w jego gniewnych oczach widać było dawną siłę, której nagle zabrakło ciała. Przez cały czas patrzył na Nilę tak przenikliwie, że w końcu obróciła w jego stronę wzrok. Natychmiast tego pożałowała. Dostrzegła bowiem w jego spojrzeniu coś, co napawało ją przerażeniem. Czystą, nieokiełzaną nienawiść. Nie tylko ona to widziała.

– Szlag! Zwiejmy, zanim to bydlę stanie na nogi. On ci nie daruje – ostrzegł Dalko.

– Wiem. Tyle że nie dam rady iść, a co dopiero biec.

– Nie martw się, pomożemy.

– Ty! – Gniewny głos Izbor przerwał ich szepty. – Żniwiarko!

Nilą nie odpowiedziała. Przełknęła nerwowo ślinę i zacisnęła mocniej dłonie na wodzach.

– Żniwiarko! – Izbor nie rezygnował. – Patrz na mnie!

Kiedy odwróciła się lekko w jego kierunku, wycelował w nią palcem i wolno wycedził:

– Pożałujesz, że się urodziłaś!

– Przestań! – krzyknęła.

– Ty wredna dziewucho! Prawie mnie zabiłaś! Poczekaj tylko!

Psiamać! Pamiętasz, jak sprąłem twoją siostrzyczkę?

Nilą drgnęła, jakby dźgnął ją nożem. Nie mógł zranić jej mocniej.

– Tak! Boli cię, co? – Izbor zaśmiał się okrutnie. – Twoja słodka Alla! Ją prąłem dla zabawy. Z tobą będzie inaczej! Rodzona matka cię nie pozna, gdy z tobą skończę!

Tego było za wiele.

– Spróbuj! – warknęła lodowatym głosem. – A wtedy ja dopadnę cię jeszcze raz. Może znów przeżyjesz, Izbor! A może nie. Kto wie...

Urwała i rozejrzała się wokół, zaskoczona. Wiatr ucichł zniemacka, jakby litościwa dłoń niewidzialnego olbrzyma otuliła połączenie piachu przed jego natarczywymi uderzeniami. Wszystko zamarło. Nagła cisza, która spowiła pagórki, mogła oznaczać tylko jedno.

– Zaczęło się! – szepnęła Wodniczka.

Nilą pokiwała głową.

– Myślisz, że się boję?! – krzyknął Izbor, nieświadomy nadchodzącego zagrożenia. – Ja?!

Dziewczyna nie zwracała już na niego uwagi. Powietrze stało się raptem tak ciężkie, że z trudem łapała kolejny oddech.

– Najpierw martwa cisza, potem duchota. – Dalko głuchym głosem powtórzył słowa Wita.

Ledwie skończył mówić, w otaczający ich beznamiętny bezgłos wdarły się dziwnie wysokie dźwięki. Najpierw słyszeli je z oddali, niczym pomruk olbrzymiego roju szerszeni. Chwilę później brzmiały już bardziej złowieszczo, jakby mrowie zbrojnych uderzało mieczami o miecze. Pagórki Wietrzycy zalały metaliczne odgłosy zderzających się w szalonym pędzie drobinek kwarcu.

– Weles! – wrzasnął Lederg. – Burza!

Herszt Okrutnych Złotników oderwał się od flaszki i spojrzał w stronę zachodniego krańca. Zerknął i zamarł, a gorzałka lała się z przechylonego naczynia pod nogi tulu.

– Niech to cholera! Mieliśmy pięć dni! Ten stary idiota się pomylił!

– Patrzcie! – Dalko wskazał widnokrąg i czym prędzej schylił się do sakwy.

Nili głos uwiązł w gardle, gdy zobaczyła, co czai się na zachodnim krańcu pustynnego cypla.

– A potem, niech bogowie wam sprzyjają... – Wodniczka zmartwiały mi z przerażenia ustami powtórzyła słowa Wita.

Daleko na horyzoncie zawisła olbrzymia czarna ściana. Zasłaniała wszystko – słońce, chmury i wydmy. Nie miała ani początku, ani końca i z głuchym rykiem parła wprost na nich.

– Ratujcie mnie! Weles! – Izbor opętańczo rzucał się na noszach. – Ratunku! Nadir! Psiamać!

– Koszule i buklaki! – rzucił krótko Dalko. – Szybko!

Nila mozolnie walczyła z opornym zapięciem sakwy. Nie miała sił, by szarpać zaciśnięte zbyt mocno rzemienie. Osłabione palce stawiały opór.

Tymczasem czarna ściana piachu gnała przed siebie. Jak żarłoczna bestia pochłaniała wszystko, co stanęło na jej drodze.

– Co teraz?! – krzyknął Faro.

Weles patrzył na pogrążający się w chaosie świat nad podziw przytomnie i czujnie. Bezpowrotnie znikło pijackie otumanienie, które

jeszcze przed chwilą gościło w jego spojrzeniu.

– Tam! – Wskazał południową stronę cypla. – Do Bawidła! Byle...

Nie dosłyszeli reszty. Wycie kłębiących się tumanów piachu zagłuszyło jego słowa. Złowrogi mur rozszalałego pyłu pokonał kolejne wzniesienia i sunął w stronę ludzi z zawrotną prędkością. Weles szarpnął kwiczącego ze strachu tulu.

– Szybciej! – ryknął. – Bierzcie bachory!

Lasota ruszył ku nim pierwszy, a tuż za nim Faro. Obaj wrzeszczeli do Niepowszednich, by pędzili przed siebie.

– Do Bawidła!

Tymczasem Dalko ani myślał wykonywać polecenia łowców. Złapał mocniej wodze i rozkazał:

– Ku burzy!

W pierwszej chwili Nila nie zrozumiała, co chodzi mu po głowie. Nie było jednak czasu na myślenie. Posłusznie spięła wierzchowca i pognąła w stronę kłębowiska chmur.

– Mała, dasz radę?! – krzyknęła do Wodniczki.

Dziewczynka nadal kiepsko radziła sobie w siodle, ale kiwnęła uspokajająco głową.

We trójkę pomknęli wprost na galopujących im naprzeciw mężczyzn. Zwinnie wyminęli obu i pojechali dalej. Zaskoczony Faro osadził gwałtownie tulu.

– Wy dokąd?! – wrzasnął za nimi. – Wracać! Tam śmierć!

Żadne z nich nie zwolniło nawet na chwilę. Nila jedynie odwróciła się, by sprawdzić, czy Okrutni Złotnicy ich gonią.

Jednak nikt nie zamierzał ryzykować dla nich życia. Przeciwnie, cała banda skierowała się ku Bawidłu. Lasota nawet nie zwolnił. Jechał tak szybko, że wkrótce zniknął za najbliższym pagórkiem.

Lederg i Nadir, złapawszy wodze tulu, który ciągnął nosze, pędzili przed siebie ponaglani przekleństwami Izbora. Do Faro dołączył Weles. Nila bała się, że wbrew rozsądkowi ruszy za nią, i to przerażało ją nie mniej niż burza piaskowa.

On jednak nie myślał o jeńcach. Walczył o życie i po chwili też zniknął za pagórkiem. Oprócz trójki Niepowszednich nie było już w okolicy nikogo.

Dalko natychmiast dał znak do postoju. Zeskoczył z tulu i wcisnął sobie bukłak za pazuchę.

– Woda i koszule! – nakazał dziewczętom.

Nilą na próżno szarpała zaciśnięte węzły rzemyków. Nadal nie chciały puścić, choć łamała sobie na nich paznokcie. W końcu, gdy cienkie troczki podróżnych juków po raz kolejny wysunęły się z jej sztywnych palców, rozplakała się bezradnie.

– Dalko, nie dam rady!

Bez słowa rozplątał supły i sięgnął do sakwy. Szybko włożył jej za pas giezło i przywiązał bukłak do przegubu.

– Teraz go nie zgubisz! – przekrzykiwał ogłuszające wycie wichru.

Wychylił się nagle zza wierzchowca i spojrzał zdumiony w stronę Bawidła.

– Co to? Szlag! Jeździec!

– Łowca?! Wraca któryś?! – krzyknęła strwożona Wodniczka.

Pokręcił głową przecząco.

– Nie wiem, kto to! Gna z zachodu! Tamci pojechali bardziej na południe!

– Tulu kładą się! – przerwała im Nilą. – Już pora!

Zwierzęta zgięły kolana i opadły brzuchami na piach. Wiedzieli, co muszą zrobić. Wit kazał im wtulić się w ciała stworzeń od nawietrznej strony. Dalko mocno objął Nilę w pasie i zdecydowanie ściągnął ją z siodła na piach.

– Mała, dasz radę sama? – zawołał do Wodniczki.

– Dam!

– Zawiąż sukno wokół głowy! Zakryj twarz! I pilnuj wody!

– Wiem! – Dziewczynka machnęła ręką.

Nilą zaś mocno przywarła do futra przesiąkniętego ostrą wonią wełny i odchodów, a Dalko sprawnie owijał jej głowę koszulą.

– Łowcy nie wracają? – spytała słabym głosem. – Nie widzę ich!

– A jeździec?

– Zniknął!

Ściana piachu była ledwie kilkadziesiąt sążni od nich. Świat pograżył się w ciemnościach i huku nadchodzącego piekła. Nilą spojrziała ciepło na krzątającego się przy niej przyjaciela. Złapała go za

ręce i uścisnęła tak mocno, jak dała radę.

– Idź, Dalko! Schowaj się! – zawołała.

– Poradzisz sobie?

– Tak! – Odepchnęła go zdecydowanie.

Raz dwa omotał gieżło wokół twarzy i popędził w kierunku swojego wierzchowca. Po chwili już się nie widzieli. Choć siedzieli tak blisko siebie, każde zostało samo. Nie mogli sobie nawzajem pomóc.

Nilu podniosła wzrok na piaskowy mur, który zbliżał się nieubłaganie, i podskoczyła gwałtownie. W czarnej ścianie kłębiących się ziaren coś się poruszało!

– O niebiosa! – szepnęła przerażona.

Zmrużyła obolałe oczy, bo nie dowierzała już własnym zmysłom. A jednak! Coś dużego, żywego i szybkiego parło do przodu. Wprost na nią! Jeśli było to dzikie zwierzę, nie miała szans. Drapieżnik musiał zwyciężyć.

Nagle niewyraźny, zasłonięty tumanami piachu kształt wyrwał się spod władania czarnej chmury i rzucił się na Nilę.

– Nie! Nie! – zapiszczała.

I choć była przekonana, że umrze, wyciągnęła przed siebie bezsilne ręce, próbując bronić się mimo wszystko.

Tymczasem otoczyły ją mocarne ramiona i ktoś krzyknął jej do ucha:

– To ja! Nilu, to ja!

Rozpoznałaby wszędzie ten głos.

– Sambor? – wyszeptwała z niedowierzaniem.

– Uciekłem! Znalazłem cię!

Przywarła do niego tak mocno, jakby nigdy więcej nie miało się to powtórzyć. Złowrogi mur zmierzwionych chmur przyczał się w odległości ledwie kilkunastu sążni. Wył opętańczo i bezlitośnie smagał ich coraz silniejszymi uderzeniami wiatru. Wiedziała, że mają niewiele czasu.

– Sambor...

– Nilu? – zapytał niepewnie, gdy przysunęła bliżej twarz.

– Kocham cię – szepnęła i przycisnęła wargi do jego ust.

Objął ją mocno prawym ramieniem, a lewą dłoń zatopił w jej

targanych wichrem włosach. Całowali się lekko i czule. Nie chcieli unosić powiek, desperacko wierząc, że odgrodzi ich to od skradającej się śmierci. Z zamkniętymi oczyma tkliwie uczyli się siebie nawzajem i zapamiętali się w tym bez reszty. Ręka Sambora coraz silniej zaciskała się wokół talii dziewczyny. Nila opuściła dłonie na jego pierś. I nagle, wśród lęku i smutku, zrodził się między nimi nowy żar, którego dotąd nie znali.

– Nilu... – powtórzył Sambor między jednym oddechem a drugim, a ona zamruła, oszołomiona tym niespodziewanym powrotem do świata.

Patrzyła to na piękne oblicze przed swoimi oczyma, to na zatrważające piaskowe monstrum, które rozpościerało przed nimi swe ogromne ramiona. I zrozumiała, że nigdy nie daruje sobie, jeśli Samborowi coś się stanie. Strwożona, dotknęła jego nieosłoniętej niczym głowy.

– Trzeba cię okryć!

Niecierpliwym ruchem zdarła mu z pleców kubrak.

– Zdejmuj koszulę! I osłoń twarz! Kaftan nałóż z powrotem!

Czekała, aż zrobi to wszystko, a potem znów przyciągnęła go bliżej siebie i oboje wtulili się w ciepły bok tułu.

W samą porę, bo ściana piachu dotykała już niemal ich stóp.

– Sambor, boję się!

Opasał ją ramionami i zaczął coś mówić. Nie słyszała jednak jego słów.

Chmura otoczyła ich ze wszystkich stron, a ryk wiatru wdarł się między nich niczym głos rozjuszonej bestii. Tulu jęknął boleśnie, ale ani drgnął, gdy mrowie twardych drobinek z ogromną mocą uderzyło w jego ciało. Huk wichru i łoskot niesionych z wiatrem korców piachu rozbrzmiewały w uszach z potworną siłą.

Gdzieś z oddali dobiegały rozpaczliwe krzyki i płacz, ale mogło im się to tylko wydawać, bo wszystko ginęło w dudnieniu żywiołu, który przetaczał się nad ich głowami. Nie widzieli niczego. Ciało przykrywał im coraz większy ciężar. Pył wdierał się do ust, a powietrze z trudem przedzierało się przez zwartą ścianę kwarcowych ziaren. Na próżno zasłaniali oczy dłońmi. Wiatr z olbrzymią siłą właczał pod ich powieki

ostre jak nóż kruszyny. Niczym opętany oprawca smagał bezlitośnie, nie dając chwili wytchnienia. Skłębione w szalonym wirowaniu macki nawałnicy atakowały ich z każdej strony, na przemian rycząc tubalnie lub świszcząc dziko. Raz po raz wiszącą nad nimi litą ścianę piachu rozświetlały żółte ognie błyskawic, a każdemu rozbłyskowi światła towarzyszył ogłuszający grzmot.

Nilą odsłoniła nieco zakrywającą usta materię i krzyknęła przerażona:

– Wodniczko! Dalko! Żyjecie?! Wodniczko!

Piach natychmiast wcisnął się w wąską szczelinę w lnianej tkaninie. Wdzierał się do gardła i zatykał nos. Zakaszłała gwałtownie i choć brakowało jej tchu, spróbowała raz jeszcze:

– Dalko?! Wodniczko?! Odezwijcie się!

Nikt jej nie odpowiedział.

Struchlała, docisnęła dłonie do rozdygotanego serca, wtuliła się mocniej w Sambora i ukryła twarz na jego piersi. Mogli już tylko czekać i wznosić modlitwy o przetrwanie.

Aż nagle, gdy wydawało się, że gorzej być nie może, skowyt wiatru przeszedł w głęboki, jednostajny pomruk. Otaczał ich ze wszystkich stron, wdzierał się w uszy złowrogo brzmiącym wibrowaniem, od którego cierpła im skóra. Nie mogli oddychać! Zdawało się, że nawałnica wyssała całe życiodajne powietrze. Zrobiło się ciemniej, jakby dzień raptownie się skończył.

Nilą spojrzała przez malutką szczelinę w materii i zamarła.

Nie było już kłębowiska chmur! Wprost na nich, niczym olbrzymia, przesłaniająca świat skała, opadała z góry czarna chmura zwartego piachu. I z każdą sekundą więziła ich w coraz ciaśniejszym kokonie. Wraz z nią uderzała w nich przejmująca kakofonia dźwięków. Wszystko wokół zawodziło, jęczało, szeleściło, huczało, grzmiało, jazgotało i wyło. W końcu piaskowy potwór zwałił im się na głowę i pochłonął ich jednym żarłocznym kęsem.

Nastąpiła ciemność – straszliwa i nieprzenikniona. Nilą bezwładnie oparła się o nieruchomy bok tulu. Oddychała z coraz większym wysiłkiem. Czowała słabnący ucisk ramion Sambora i nagły ruch, z jakim osunął się bezwładnie na ziemię. Nie miała siły, by go ocucić. Ostatnim,

co zapamiętała, było uderzenie wiatru, który narzucił jej na twarz ciężką zasłonę z piachu.



Nilę obudził ruch za plecami. To tulu dźwignął się na nogi tak gwałtownie, że piach z jego grzbietu spłynął szeroką kaskadą wprost na głowę dziewczyny.

– Ej! – zaprotestowała.

– Powoli! Błagam! – rozległo się w tej samej chwili.

Choć dźwięki były zduszone, jakby wydobywały się spod ziemi, Nila ocknęła się na dobre. Sambor! Był tuż obok! Przykryty wysokim na pół sążnia pagórkiem miążkiego piasku, niezdarnie próbował się podnieść. Gieżło zamotane wokół twarzy przekrzywiło się i zwisało w uwalanych kurzem strzępach tak, że chroniło tylko połowę głowy. I ta pozostała nietknięta. Za to prawa strona czaszki straszyla poranioną skórą na skroniach i zmierzwionymi włosami, które bardziej przypominały najeżony kołtun niż długie, spętane rzemieniem pukle. Burza piaskowa nie miała litości. Mimo to Nila uśmiechnęła się, uszczęśliwiona. Pokaleczony, rozczochrany, brudny, spocony, ale cudownie żywy Sambor wydał się jej najpiękniejszą istotą na świecie.

Niestety, był też jedynym człowiekiem w okolicy. Nie dostrzegła nikogo więcej. Ani żadnego z Okrutnych Złotników, ani pozostałej dwójki przyjaciół. Nila nie znalazła w sobie siły, by cieszyć się ze zniknięcia prześladowców, bo brak towarzyszy...! Dziewczyna rozumiała, co to znaczy. O ile łowcy być może zdołali uciec, o tyle Dalko i Wodniczka wciąż musieli leżeć gdzieś, przysypani wydmami. Nie było czasu do stracenia! Opieszałość oznaczała śmierć. Zerwała się na równe nogi, a ledwie na nich stanęła, już wiedziała, że po niedawnej słabości nie został nawet ślad. Znów czuła się zdrowa, silna i pełna werwy.

– Sambor! Nie ma ich! Musimy kopać!

Wyzwolił się z kopca kilkoma energicznymi ruchami i czym prędzej rzucił się jej na pomoc.

– Gdzie byli? Pokaż mi!

Nilę nerwowo przeszukała oczyma najbliższe sąsiedztwo. Burza

naniosa tak wielkie ilości piasku, że miejsce, w którym spędzili noc, w niczym nie przypominało tego sprzed nawałnicy.

– Ja leżałam tu – mówiła sama do siebie, obchodząc ich niewielki obóz. – Tam Dalko, a mała rozłożyła się gdzieś w tamym...

Wierzchowiec Nili przekrzywił zniecacka łeb, zastrzygł uszami i spojrział na niewielkie usypisko za ich plecami. Zaryczał głośno, gdy pagórek drgnął nagle. Z piasku podniosło się wielkie, garbate stworzenie.

– Sambor, to tulu Dalko! – rozpoznała wierzchowca. – A więc ten jest Wodniczki!

Oboje patrzyli z przerażeniem na olbrzymią pryzmę, spod której wystawał zaledwie skrawek skołtunionej wełnianej sierści. Źle to wyglądało! Zwierzę, zupełnie głuche na nawoływania stojących nieopodal pobratymców, leżało bez ruchu, a nad nim piętrzyły się zwały ziemi.

Usypisko przy jego prawym boku zakrywało grzbiet i całą głowę. Wit miał rację, każąc im wystrzegać się zawietrznej! Żaden człowiek nie miał szans na przetrwanie pod takim ciężarem!

Kłopot w tym, że hałda od nawietrznej, pod którą powinni szukać dziewczynki, była niewiele mniejsza.

– Chodź! – Sambor pociągnął Nilę. – Biegnij do małej, ja zajmę się Dalko!

Oboje padli na kolana i zaczęli rozgrzebywać kopce. Składając dłonie w miseczki, odrzucali ziemię garściami. Kaleczyli palce o ostre odłamki skał naniesione przez nawałnicę, ale zawzięcie zgarniali pod siebie kolejne sterty piasku. Pracowali jak szaleni, nawet na moment nie pozwalając odpocząć obolałym ramionom. Nie rozmawiali. Po prostu odsuwali w milczeniu kolejne kilogramy miazgu. Nie przerwali pracy nawet wtedy, gdy nagle ciszę między nimi zakłócił tętent kopyt. Oboje poderwali głowy przerażeni, gdyż tylko jedna myśl przyszła im do głowy – Okrutni Złotnicy! Tymczasem wprost na nich kłusowało samotne, garbate stworzenie, na którego widok tulu Żniwiarki i Żrenicznika zaczęły radośnie skakać i porykiwać.

– Patrz! – zawołał Sambor. – Mój zwierzak też przeżył!

Nilę uśmiechnęła się, ale dalej walczyła z wydumą. Sambor robił to

samo i w końcu rozkrzyczał się tak, jakby odnalazł najcenniejszy skarb:

– Jest! Jest!

Spod piachu wychynęła krótka czupryna Dalko. Chłopak, zupełnie siwy od pyłu, wystawił twarz na powietrze. Chrząknął donośnie, splunął, zaniósł się duszącym kaszlem, a na koniec przywitał wybawców po swojemu:

– Szlag!

Wylazł na czworakach z rozgrzebanej pryzmy i wpadł w szeroko rozwarte ramiona przyjaciela.

– Uciekłeś! No... zwiąłeś z Bawidła! Wiedziałem, że ci się uda! Jak?

– Dalko, później pogadamy! Teraz trzeba odkopać Wodniczkę! Żrenicznik spoważniał natychmiast. Zerwał się na równe nogi i wielkimi susami pognął w stronę walczącej z wydmą dziewczyny.

– Mała! Szlag! Mała! – wołał bez przerwy.

– Nie mogę się do niej dostać! – sapnęła z wysiłkiem Nila. – I jeszcze ten tulu! Nie chce się ruszyć!

Chłopakowi wystarczył rzut oka, by zrozumieć grozę sytuacji. Runął na kolana i od razu zaczął odgarniać ziemię.

– Sambor, odkop zwierzaka! Niech odejdzie kawałek! Szybciej ją znajdziemy!

Unik pokiwał głową i przyjrzał się ciału, które wciąż sztywno tkwiło w usypisku. Po namyśle stanął tam, gdzie powinna być skryta głowa wierzchowca i potężnymi zamachami zsuwał z niego kolejne warstwy piasku. Nila i Dalko niecierpliwie rozwalali wydmę po nawietrznej stronie. A Wodniczki wciąż nie było widać!

– U licha! – jęknął nagle Sambor, gdy bezwładny łeb tulu ześlizgnął mu się na dłoń.

Pierś nieszczęsnego stworzenia była nieruchoma jak głaz.

– Padł... – szepnęła Nila. – Udusił się biedak.

Wszyscy troje jednocześnie spojrzeli na zwały ziemi pod nimi. Poblady Żrenicznik zaklął z rozpacz.

Zaczęli kopać jeszcze szybciej. Choć ramiona protestowały ostrym bólem, a palce krwawiły, nie zwracali na to uwagi. Głusi na zmęczenie, ze wściekłą zapalczywością odrzucali piach, aż w końcu natrafili na

drewnianą terlicę siodła.

– Zdjęła je? – zdumiał się Sambor. – Po co?

Dalko szukał dalej, tuż pod łękiem. Obie ręce zapadły mu się niespodzianie aż po łokcie.

– Co jest?! – stęknął zaskoczony.

Natrafili na nieckę pod kulbaką. Na tyle dużą, że mogła się w niej zmieścić istota tak drobna jak Wodniczka. Niestety, panowała w niej złowieszcza cisza.

Spojrzeni na siebie przejęci i nerwowo przysunęli się bliżej.

– Zajrzyj... – szepnął Sambor.

Strwożony Żrenicznik zacisnął mocno pięści, zagryzł usta i wcisnął głowę między siodło a przyzmę ziemi. Jęknął, a potem cofnął się i ciężko runął na ziemię.

– No... nie uwierzycie – wyrzeził.

Nilą z Samborem rzucili się do otworu.

Stery naniesionego piachu utworzyły ścianki, które całkiem solidnie utrzymywały wsparty na rzeźbionych nóżkach stelaż kulbaki. Pod powstałym w ten sposób bezpiecznym sklepieniem, opatulona pledami ściągniętymi z siodła, leżała zwinięta w kłębuszek dziewczynka.

– Śpi! – roześmiała się Nilą.

Dalko wyszczerzył radośnie zęby.

– Ona śpi, a ja prawie umarłem ze strachu o nią.

Sambor odsunął się od nasypu na drżących nogach.

– Ja też!

Zdumieni i pełni podziwu, spoglądali na schronienie, które wymościło sobie to niezwykle dziecko. Było o niebo lepsze od ich kryjówek. Podczas gdy oni po prostu biernie przeczekiwali piaskową burzę, Wodniczka sama zadbała o własne życie.

– Wiesz, że znowu wyszliśmy przy niej na ... – zaczął Sambor.

– Wiem! – zaśmiał się Dalko. – Szlag! Niesamowita jest, co?

Nilą łagodnie potrząsnęła przyjaciółką.

– Wstawaj...

Mała otworzyła oczy i przez chwilę wpatrywała się w nich z niedowierzaniem. Spoglądała kolejno na Żniwiarkę, Unika i Żrenicznika z takim wyrazem twarzy, jakby powstałi z martwych. Nic nie mówiła.

Nie odzywała się tak długo, że zaczęli się bać, czy przeżycia ostatnich godzin nie zepchnęły jej znów do ciemnego świata smutku. W końcu jednak wydobyła z siebie drżący szept:

- Sambor, uciekłeś.
- Nie mogłem was zostawić.

I nagle drobna broda rudzielca zaczęła drżeć, a niebieskie oczy wypełniły się łzami. Z płaczem rzuciła się Nili w ramiona, objęła ją ze wszystkich sił i wtuliła mokrą twarzyczkę w szyję.

- Tak się bałam! Tak bardzo się bałam!
- Cicho, maleńka. Już dobrze, już po burzy... – szepnęła Nila.

Kiwała się przy tym do przodu i do tyłu w kojącym rytmie, tak jak to robiła tyle razy wcześniej, ilekroć pociechy potrzebowała Alla. Sambor i Dalko usiedli tuż obok, na przemian to głaszcząc dziewczynkę, to pocieszając ją w strapieniu. Ona jednak zamiast się uspokoić, rozszlochała się jeszcze bardziej.

– Wy nic nie rozumiecie! – wydukała. – Ja się bałam, że nie żyjecie! Że znowu jestem sama! Że wszyscy umarli! Wołałam i wołałam! I nikt nie odpowiadał!

Wyrzucała z siebie te straszne słowa z taką zapalczywością, jakby lękała się, że jeśli ich nie wypowie, przyjaciele nie zrozumieją, ile dla niej znaczą. Oni zaś nie tylko to pojęli, ale spojrzeli na siebie zawstydzeni tym, że od razu nie zapewnili jej o swym oddaniu.

– Przysięgam ci, że nie słyszeliśmy – powiedziała Nila. – Ale ja wciąż cię przyzywałam. Bardzo się o ciebie martwiłam.

– Ja też – odezwał się Sambor.

– Szlag! I ja! Cały czas!

Wodniczka rozłożyła bezsilnie ręce.

– U mnie tylko wył wiatr. Płakałam i płakałam... a potem padł mój tulu! Więc znów płakałam i wołałam, bardzo długo. Pomyślałam, że jeśli on umarł, to wy też! I jestem zupełnie sama! Znowu...

– A niech to! – warknął Dalko, rzucając się w jej stronę. – Chodź tu!

Wyrwał ją z ramion Nili i przytulił tak mocno, że mała aż pisnęła. Całą czwórką patrzyli na siebie w milczeniu, połączeni strasznymi przeżyciami oraz burzą uczuć, która przetaczała się przez ich serca –

przerażeniem tej najmłodszej i wzruszeniem tych starszych.

– Słuchaj – odezwał się po chwili Żrenicznik – no, tego... nikt z nas cię nie opuści, rozumiesz? Choćbym zdychał, to i tak wygrzebałbym się spod tego piachu! Szlag! Szedłbym w twoją stronę! Pojmujesz?

Wodniczka wpatrywała się w niego jak w obraz.

– I ja. – Nila pocałowała ją w czoło.

– Ja też! Przysięgam! – zapewnił żarliwie Sambor, a po namyśle dodał: – Myślę, że nawet wyprzedziłbym Dalko.

Dziewczynka parsknęła śmiechem. Jej radość pozostali przyjęli z ulgą, ale ciągle pozostawali poważni. Zwłaszcza Żrenicznik dobrze rozumiał, że zostało jeszcze coś ważnego do dodania.

– Mała, ty wiesz, że ja nie mam braci ani sióstr – odezwał się.

Wodniczka spoglądała na niego wyczekująco.

– No, a tych, co mnie sprzedali Welesowi, to ja nie chcę znać. Jacy z nich rodzice! To... chyba... no, jestem sam jak palec.

– Jak ja! – szepnęła smutno.

– No, jak ty. – Zerknął na nią spłoniony. – I tego... bo ja chcę ci powiedzieć, że gdybyś, no wiesz... chciała mnie za brata, to ja bym skakał z radości! Ja umiem się opiekować, naprawdę! Szlag! Nie pozwolę cię nikomu skrzywdzić, będę cię bronił. Przysięgam!

Wszyscy spojrzeli na siebie zaskoczeni, bo nagle spadła im z oczu zasłona. Nila mogłaby przysiąc, że raptem jakaś niezwykła siła pojawiła się między nimi, równie mocna jak więzy krwi. Pragnęła jej! Za nic nie chciała z niej zrezygnować.

– Ja też! – powiedziała pewna swych słów. – Ja też chcę mieć w tobie siostrę!

Sambor uśmiechnął się od ucha do ucha, jakby tylko czekał na takie ślubowanie.

– No, dzieciaku! – mruknął wesoło do Wodniczki. – To ci jednego dnia przybędzie krewnych. Też chcę być twoim bratem!

Zdumiona dziewczynka patrzyła na nich oczyma otwartymi tak szeroko, że uniesione brwi sięgały niemal nasady włosów. Przyłożyła opuszki palców do drżących warg i zawiesiła na każdym spojrzeniu, a jej wzrok przenikał ich dusze na wskroś.

– Naprawdę? – wyszeptała. – Chcecie mnie? Na zawsze?

Pokiwali głowami radośnie.

– No, jeśli tylko się zgodzisz – zastrzegł Dalko.

Wodniczka nawet się nie zastanawiała.

– Tak! Tak! Tak!

Wytarła łzy i przez chwilę trwała bez ruchu, wtulona w Żrenicznika. Potem wyplątała się jego ramion i w szalonych podskokach rzuciła się na szyję Samborowi.

– Tak! – Pocałowała go w policzek.

– Tak! – Popędziła w objęcia Nili.

Nie mogli oderwać od niej wzroku. Za ich przyczyną zniknęło małe, nieszczęśliwe stworzonko, pogrążone w ponurych zakamarkach własnego świata, a pojawiała się niezwykła wesoła dziewczuszka, która patrzyła na nich z błyskiem w oczach. Byli rodziną, a fakt ten jakoś wcale ich nie dziwił. Wszystkim wydawało się to tak prawdziwe i słuszne, jakby od zawsze łączyło ich prawdziwe pokrewieństwo, tyle że żyli z dala od siebie.

Wreszcie Wodniczka zległa na piachu i powiedziała czule:

– Dziękuję.

– My też – odrzekł poważnie Sambor, gdyż tylko tak można było odpowiedzieć.

Wkrótce ruszyli dalej, bo choć dobrze im było razem na tym zacisznym odludziu, wizja czyhających gdzieś Okrutnych Złotników oraz wypatrującej ratunku Alli nakazywała podnieść się z piachu, spakować dobytek i jak najszybciej jechać w stronę ziem Taurisów.

Podczas gdy Dalko przenosił juki Wodniczki na swojego tulu, a Sambor poprawiał wiązania kulbak, dziewczęta rozglądały się po okolicy. Wszystko wyglądało inaczej niż przed burzą!

Nawałnica, niczym bezlitosny najeźdźca, zmieniła zdobyte terytorium. Zburzyła stare wydmy, by usypać je na nowo bliżej, dalej lub w inny sposób. Niektóre wzniesienia zmniejszyła, innym odłupała piaszczyste szczyty albo wyrwała drapieżnymi kęsami boki, zmieniając je w dziwne, wykrzywione karykatury nasypów. W swym szalonym ataku odsłoniła ostre zadziory skał, wcześniej schowanych pod kopcami, wytyczyła nowe szlaki i zakryła ślady karawany.

– Strasznie cicho, co? – szepnęła Nila.

Wodniczka złapała ją kurczowo za rękę.

– Tam!

Zza odległego pagórka wyszedł samotny, okulbaczony tulu.

– Sambor! Dalko! – ściszym głosem zaalarmowały chłopaków i we czwórkę wpatrywali się w drepczącego bez celu zwierzaka.

– Poznajecie, czyj on jest? – odezwał się Unik.

Dalko pokręcił głową.

– Dla mnie wszystkie były takie same. Szlag! Nikt poza łowcami tędy nie jechał. Może wiózł Faro, on miał takie frędzle przy siodle, nie?

– Wszyscy mieli takie same frędzle. Patrz, nasze też mają – szepnęła Nila.

Wodniczka nie odzywała się, ale widać było, że jest zafrasowana. Miejsce rozbrykanego dziecka na powrót zajęła poważna istota, która na wszystko spoglądała z rozmysłem.

– Skoro jest wierzchowiec, to może być i jeździec – powiedziała ponuro. – Widzisz kogoś, Dalko?

– Nie, ale jeżeli ukrył się za wydumą, nawet ja go nie zobaczę.

– A więc powinniśmy tam pójść.

I tak zrobili. Poprowadzili pustynne rumaki ostrożnie, by niczego nie przeoczyć. Wypatrywali znaków, ale piach naprzeciw nich ścielił się równo, nietknięty niczyją stopą. Nie sposób było odnaleźć cokolwiek, co naprowadziłoby ich na ślad Okrutnych Złotników. Jedyne widoczne tropy należały do ocalałego tulu. Wszystko inne zniknęło pod grubą warstwą naniesionego przez nawałnicę pyłu.

Powoli zbliżali się do osamotnionego zwierzęcia. Ich własne wierzchowce zaczęły porykiwać tak głośno, że zagubiony na wydmie nieszczęśnik wreszcie dostrzegł niewielką karawanę, zakwicział wesoło i popędził wprost na nich. Tulu Niepowszednich odpowiedziały na to szybszym cwałem i chóralnym postękiwaniem. W końcu cała gromada wtuliła się w siebie, rżąc, pojękując i czule podgryzając. Jeźdźcy zaś przezornie zsunęli się z siodła, bo wzajemne pieszczoty tych wielkich zwierząt bywały dla ludzi bolesne.

– Niech się nacieszą – zdecydował Sambor i na wszelki wypadek odsunął Wodniczkę poza zasięg kłapiących nad jej głową zębów.

– Uff – rozejrzała się Nila. – Nie ma tu nikogo! Niepotrzebnie...

– Rozejrzyjmy się dokładnie, może coś znajdziemy – przerwała jej dziewczynka.

– Niby co?

– Ktoś dosiadał tego tulu. Może gdzieś tu leży.

– No i co z tego? – zdziwił się Unik. – Niech sobie leży. Pustynia już go pochowała. Po co mielibyśmy...

– Sambor! – Mała jemu też nie pozwoliła dokończyć. – Nie mamy broni, a przydałaby się. Jeśli gdzieś jest tu martwy łowca, to razem z ryszunkiem. Chcesz nas bronić? Znajdź ciało!

Chłopak patrzył na nią przez moment jak wół na malowane wrota. Potem westchnął ciężko i mruknął:

– Mądrość tego dziecka nie przestaje mnie zadziwiać. Czasem czuję się przy niej jak wioskowy głupek.

– Nie ty jeden – wyszczerzył zęby Dalko. – Chodź, mądralo!

Żrenicznik i Wodniczka ruszyli przed siebie. Nila odwróciła się by pójść za nimi, lecz zanim zdążyła zrobić krok, Sambor złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

– Ty poczekaj! Chcę się wreszcie z tobą przywitać!

Spojrzała na niego, przepojona szczęściem.

– Jak to jest – zagadnęła żartobliwie – że nawet, gdy wyglądasz okropnie, jesteś taki piękny?

– Chciałem cię spytać o to samo – mruknął, wtulając twarz w jej włosy.

Na chwilę zastygli w bezruchu, chłonąc nawzajem swoje ciepło. Oboje pachnieli piachem, zmierzwioną sierścią tulu i słońcem.

– Nilu, żyjemy.

– Żyjemy – powtórzyła cicho.

– A ty mnie kochasz.

– A ja cię kocham...

Ona całowała go powoli, tak by nacieszyć się każdą sekundą odzyskanego życia. On muskał pocałunkami jej policzki, zamknięte powieki i znów wracał do czekających na niego ust. I choć trudno im było w to uwierzyć, gdyby nie tęsknota za Allą, mogliby poczuć się szczęśliwi. Smutek mącił ich serca, jednak w tej niezwykłej chwili nic nie liczyło się bardziej niż to, co do siebie czuli.

– Uciekłeś – powiedziała w końcu Nila. – Dla mnie!

– Przecież obiecałem! A ci głupcy od Emy zamknęli mnie w stajni! Z setką koni, tulu, osłów i kucyków. I jednym poczciwym stajennym. Wystarczyło go lekko trącić, a padł jak długi! U licha! Tylko dureń by zepsuł taką okazję.

– Sambor! Szybko!

W ułamku sekundy odwrócili się w stronę Żrenicznika.

– Patrzcie! – Odsłonił wystający z hałdy kawałek drewna.

– Co to? Drąg?

– Żerdź.

Nila zbladła.

– Psiakrew, Dalko! To nosze! To Izbor!

– Szlag!

Żrenicznik jednym susem zeskoczył z olbrzymiej zasy i wlepił w nią podejrzliwy wzrok.

– Zostań tam, gdzie jesteś! – zawołał na wszelki wypadek do Żniwiarki.

Potem zbliżył się ostrożnie do muldy i wyrwał z niej ułamane drzewce.

– Sambor!

Unik już pędził jak błyskawica w jego stronę. Złapał rzucony mu przez przyjaciela kawał drewnianej lagi i z impetem wskoczył na stertę piachu. Deptał po niej energicznie, wbijając i stopy, i żerdź głęboko w usypisko.

– Pusto!

Obaj z Dalko zajęli się wyciąganiem noszy i wkrótce ich oczom ukazały się prawdziwe skarby. Bukłaki z wodą, juki z mięsiwem, chleb, ser zapakowany w schludną, lnianą chustę, suszone daktyle, a także coś, na widok czego oczy Unika rozbłysły w zachwycie. Miecz Izbora!

Sambor ujął go w dłonie i przez chwilę ważył jego ciężar. Oglądał go ze wszystkich stron, podziwiał szlachetną linię, przymierzył do pasa. Dalko uśmiechnął się pod nosem, a przyłapany na tak jawnym zachłyśnięciu się zdobycznym rynsztunkiem Unik zaczerwienił się po czubki uszu.

– To piękna broń. Całe życie marzyłem o mieczu...

– Bracie – przerwał mu chłopak – to broń twojego wroga!
Zasłużyłeś.

– Nilu? – Sambor przeniósł na nią spojrzenie.

Bardzo dobrze wiedziała, jak się czuł, trzymając w dłoniach prawdziwy oręż. W Ferretum prawo noszenia miecza przysługiwało tylko szlachetnie urodzonym i tym Niepowszednim, których stać było na jego kupno. Takich wśród obdarzonych mocami było jednak niewiele. Dopiero służba na kniaziowym dworze sprawiała, że bieda wreszcie przestawała zaglądać im w oczy. Dopóki więc Sambor żył w Kamiennych Kościach, dopóty za broń musiał mu służyć nóż, a za ćwiczebny oręż wystrugany z drewna miecz.

Dziewczyna uśmiechnęła się czule.

– Jest twój. Powinien być.

Sambor śmielej zacisnął palce na rękojeści, ale gdy dotknął złotych runów, w jego spojrzeniu pojawił się chłód. Przybliżył miecz do oczu, jakby próbował ocenić, czy da się zerwać drogocenne ozdoby, tak nienawistne dla wszystkich Niepowszednich.

– No, ale na te runy nie mogę patrzeć!

– Każdy kowal ci je odłupie – mruknął lekceważąco Dalko.

– Mała, a ty co o tym myślisz? – Sambor świdrował niepewnym wzrokiem Wodniczkę. – Runy to zły znak!

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Runy nie mają znaczenia. Nie jesteś Okrutnym Złotnikiem.

Chłopak raz jeszcze przeciągnął opuszkami po kosztownych zdobieniach.

– Jestem Niepowszednim – szepnął sam do siebie i przytroczył miecz do pasa.

Nie mieli tu już czego szukać. Wypchali sakwy skarbami Izbora i byli gotowi do drogi. Tylko Dalko a to wciąż grzebał w piachu, a to pochylał się nad noszami.

– Jedziemy? – spytał go Sambor.

Chłopak zignorował pytanie.

– Patrzcie! – pokazał im resztki skórzanych pasów, które łączyły drzewce z uprzężą pociągowego zwierzęcia.

Były ucięte! Któryś z Okrutnych Złotników musiał uwolnić

nieszczęsne stworzenie. Najpewniej po to, by wsadzić nań chorego łowcę i szybciej czmychnąć przed burzą. Dalko przeniósł wzrok na tulu, który się do nich przybłąkał.

– Ten tam, to nie jest zwierzak Izbora! – wypalił. – Ma siodło. Nie ciągnął noszy! Szlag! Jest tu ktoś jeszcze!

Sambor od razu wyjął miecz z pochwy.

– No to lepiej go znajźmy!

I znaleźli. Leżał skulony, z siną twarzą, nieruchomymi oczyma i rękoma zaciśniętymi przy obrzmiałej szyi. Burza go udusiła.

– Nadir – powiedziała cicho Wodniczka.

Sambor delikatnie położył palce na powiekach zmarłego.

– Nilu, weźcie jego rzeczy i broń. My dwaj go pogrzebiemy. Nawet łotra nie godzi się zostawiać bez pochówku.

– A co potem? – spytała.

– Ruszemy na Suche Pola.



Po kilku godzinach pożegnali pełen piaszczystych wydm cypel i wjechali na puste przestrzenie Suchych Pól. Nila uznała, że krajobraz krainy Taurisów niewiele różnił się od przygnębiającej scenerii Uroczyska. Jediną zmianę stanowiły rzadko rozsiane wzgórki, które wyglądały równie posępnie, jak reszta okolicy. Zdrewniałe łodygi porastających je roślin wczepiały się w zbocza tak mocno, że z daleka przypominały szczelną materię o gęstym, nierównym splocie. Widok był upiorny. Zdawało się, że wśród nagich równin poukładano chaotycznie nakryte całunami ciała poległych olbrzymów. Wszystko wokół było smutne, ponure i pozbawione życia. Świat stracił kolor, zupełnie jakby Matka Natura poskąpiła tej krainie radośniejszych farb ze swej palety barw.

Połącze równin między pagórkami pokrywał taki sam buroziem jak na Uroczysku. Mogły w nim przetrwać jedynie kępy piołunu, trzeszczyki o poskręcanych korzeniach i na wpół suche draganki. Jechali ostrożnie, pomni nauk Agi Badur o nieprzewidywalnym władcy tych olbrzymich przestrzeni. Spotkanie z nim nie było im do niczego potrzebne. Jego terytorium traktowali tylko jak bezpieczniejszą drogą dojazdową do Bawidła. Trochę bezpieczniejszą. Chcieli przemknąć po cichu niczym myszy, które skradają się przed nosem śpiącego kota.

Żrenicznik nieustannie przeczesywał wzrokiem równiny. Szukał najmniejszych śladów na piasku i tropił każdą wąską smugę na niebie, która mogłaby okazać się dymem z obozowiska.

Jednak czas mijał, a on nie wypatrzył nikogo. Wokół nie było żywej duszy. Otaczał ich tylko ponury bezmiar szarej gleby oraz brzydkich roślin.

– Zupełnie jak na Uroczysku – odważyła się w końcu podzielić wrażeniami Nila. – Paskudnie.

Dalko wzruszył ramionami.

– Bo to wciąż Uroczysko. Tylko ma inną nazwę. No bo, gdy Cesarstwo dało ten kawałek Taurisom, oni zaraz go przemianowali po

swojemu. I teraz stąd – powiedział, zataczając ramieniem kawał horyzontu – dotąd, to Suche Pola.

– Wyznaczyli innym granice, co? – domyślił się Sambor.

– A jak! U nas każdy dzieciak wie, że na ziemię Batu nie wchodzi się bez pozwolenia! – Zastanowił się chwilę. – No, tak naprawdę to chyba... nigdy!

– Tak czy siak, smętnie tu u was. Albo trawy albo piach.

– A wiecie, że dorzecze Nura jest inne? – Dalko rozpromienił się niespodzianie. – Jest zielono i kolorowo. Wszystko żyje, kwitnie!

– Skąd wiesz? Byłeś tam?

Chłopak zmarkotniał i pokręcił głową.

– Nie. Ale ile się nasłuchałem od bartników albo myśliwych z tamtych stron! Przyjeżdżają do Mercaty, bo przywożą miód i skóry na targ. Rodzice... no... ci ludzie, którzy byli moimi rodzicami – poprawił się, zaciskając szczęki – czasem z nimi handlowali. Mówię wam, opowiadali cuda! Wszędzie są maleńkie rzeki, pola, pastwiska! Mają lasy! I to nie byle jakie zagajniczki, ale prawdziwe bory! Są strumyki, jeziorka! Nawet niewysokie góry! Nie to, co tu!

Popatrzyli na niego ze zdumieniem. Kraina, którą opisywał z takim zachwytem, wydawała się rajem w porównaniu ze znanym im dotychczas skrawkiem Łajdackiego Krańca. Rzeka nadała jednej części tego podłego miejsca zupełnie inne oblicze. Wędrowali przez ziemie ponure i bezlitosne, na których dobre uczynki umierały, jak owe rośliny na Urocysku, a gdzieś w dorzeczu przestrzenie nęciły kolorami i tchnęły łagodnością.

– Dalko, a ludzie są tam dobrzy, czy tacy sami jak tu? – zapytała Nila.

– Na dobrych bym nie liczył – mruknął z przekąsem Sambor.

Żrenicznik uniósł się w strzemionach i znów patrolował teren.

– A bo ja wiem. Mało kto tam mieszka. To dzikie tereny.

Widziałem tylko paru takich, co żyją w dorzeczu. Jeden w jednego twardzi jak stal. Tylko tacy tam dają radę. – Opadł na siodło i dodał: – Przyspieszmy trochę. Paskudnie się tu czuję, jakby coś czyhało gdzieś za wzgórzem.

– Widziałeś kogoś?!

– Nie, ale... sam nie wiem. Mam ciarki na plecach.

Na wszelki wypadek uderzyli piętami w boki tulu. Nie tylko strach przed Taurisami kazał im gnać przed siebie. Czas, który wyznaczyła im Aga Badur, kurczył się nieubłaganie. Wyjeżdżając z Bawidła, mieli sześć dni, by wrócić na Karnawał Złota. Tego ranka zaczął się dzień czwarty. Trapiło ich też inne zmartwienie. Cóż z tego, że przetrwali burzę i byli coraz bliżej Alli, skoro nadal nie znaleźli sposobu, jak bezpiecznie przekroczyć Bramę Północną? Rozmawiali o tym niemal bez przerwy, snując coraz bardziej nedorzeczne wymysły, które bardziej ich zniechęcały, niż przybliżały do rozwiązania.

Jedynie Wodniczka milczała. Nie nagabywali jej, uważając, że ostatnie wydarzenia odcisnęły się piętnem na tym młodym sercu i powinni dać dziewczynce odpocząć od trosk.

Tym większe było ich zaskoczenie, gdy mała, zatopiwszy w Żreniczniku przenikliwe spojrzenie, zagadnęła go:

– Dalko, a skąd bierze się tyle łąjna w Bawidle? Tego, którym pałą w gliniakach. Nie widziałam w mieście zbyt wielu zwierząt.

Cała trójka spojrzała na siebie z niepokojem. W ich położeniu to pytanie było tak pozbawione sensu, że zaczęli się obawiać, iż dziewczynka znów pogrąża się w ciemnych zakamarkach własnego świata.

Żrenicznik chrząknął zmieszany, jakby niepewny, czy Wodniczka w ogóle czeka na jego wyjaśnienia. Ona jednak wciąż spoglądała na niego badawczo, więc odpowiedział:

– Od Taurisów. Handlują z resztą świata suszonym łąjnem. Oni mają największe stada koni i tulu. No, sprzedają nawóz do Bawidła, Mercaty i gdzieś tam jeszcze.

– Aha – pokiwała głową Wodniczka i umilkła wpatrzona w dal.

Dalko posmutniał. Popatrzył czule na dziewczynkę, a potem podjechał bliżej swoim tulu. Już uniósł się w strzemionach i wyciągnął dłoń, by pogłaskać ją po ramieniu, ale nagle wyprostował się jak struna.

– A niech to! – warknął. – Miałem rację! Dym!

Zamarli. Nie pytali o nic, tylko czekali, aż Dalko rozejrzy się dokładnie. Chłopak znieruchomiał, wpatrzony w oddalony o wiorstę wzgórek i długo mu się przyglądał.

– Może ci się zdawało? – zapytał Sambor, na próżno wytyżając wzrok.

Mimo zdenerwowania Dalko parsknął śmiechem.

– Bracie, ja jestem Żrenicznikiem! Zresztą, patrz! Już widać wyraźnie.

I rzeczywiście! Biała, cieniutka jak pasmo przędzy, strużka unosiła się lekko nad wierchem, a po kilku sążniach łagodnie opadała, ścieląc się po pochyłości.

– U licha! – szepnął Sambor. – Widzę ją!

Żrenicznik spał tulu i ruszył w tamtą stronę.

– Zostańcie! – krzyknął. – Sprawdź!

Gdy po chwili był z powrotem, wyraz jego poszarzałej z przerażenia twarzy starczył jego przyjaciołom za tysiąc słów.

– Olbrzymi obóz – wysapał. – Szlag! Ciągnie się aż po horyzont. Dziesiątki, setki namiotów.

Sambor chwycił mocniej wodze.

– Ruszajmy! Idziemy bokiem, nie zauważą nas.

– Już zauważyli!

– Z takiej odległości?! Jak? To niemożliwe!

– Mają Żrenicznika! – zrozumiała Nila.

Dalko pokiwał głową.

– Na to wygląda.

Sambor zaklął paskudnie i bez wahania wyciągnął miecz.

– Ilu i gdzie? – rzucił rzeczowo.

– Najmniej trzydziestu.

– Trzydziestu nie pokonam! Ale zajmę ich na jakiś czas!

– Bracie, okrążają nas! Pędzą od obozu i od strony Bawidła... nie wymkniemy się!

– Uciekajcie!

Zapanował chaos. Tulu, zdenerwowane podniesionymi głosami jeźdźców, zaczęły drobić w miejscu. Sambor coraz bardziej przerażony, że nie zdoła ich obronić, krzyczał i ponaglał do ucieczki.

– Już! Znikajcie stąd!

Dalko w końcu zrozumiał, że nie przekona przyjaciela i po prostu zamilkł, ale nie ruszył się z miejsca.

– Słyszycie?! Jazda! Uciekajcie!

Nilą nie wiedziała, co robić. Patrzyła bezradnie to na wzgórze, to na towarzyszy, aż wreszcie podjęła decyzję.

– Mowy nie ma! – zaprotestowała. – Zostaję.

Dalko niezdarnie ujął w dłoń broń Nadira.

– Ja też! – zapewnił. – Musimy się bronić!

– Nie! – wrzasnął bezsilnie Unik. – Nie dacie rady! Musicie uciekać!

– Jak mamy się bronić, to razem! – wściekł się Żrenicznik.

– Dość! – poważny głos Wodniczki osadził ich w miejscu. – Nie trzeba nic robić! Bądźmy, kim jesteśmy...

– Co? – przerwali jej jednym głosem Sambor i Dalko.

Mała spojrzała na nich pobłażliwie i odparła:

– Jesteśmy dziećmi skrzywdzonymi przez Okrutnych Złotników.

Pamiętacie?

Nilą pojęła to szybciej niż dwóch gotowych do walki młodzików.

– Wspólny wróg! Ona ma rację. Taurisi nienawidzą łowców! To nasza szansa. Sambor, opuść miecz!

Popatrzył na nią zbolalym wzrokiem, ale zrobił, co kazała.

– Dalko, ty też!

Żrenicznik posłusznie schował broń do sakwy.

Nie było żadnej pewności, czy Wodniczka miała rację. Skoro jednak ucieczka nie miała szans powodzenia, a walka była z góry przegrana, nic innego nie mogli zrobić. Po prostu czekali, aż Taurisi po nich przyjdą.

Tumany pyłu wzbijanego przez cwałujące konie wyraźnie wskazywały położenie obu oddziałów. Choć wciąż były daleko, rzenie zwierząt, okrzyki wojowników i dziwne wysokie dźwięki już docierały do Niepowszednich.

– Psy? – nadstawiła ucho Nilą.

Dalko pokręcił głową i postukał w swój amulet zdobiony sylwetką potężnego czworonoga.

– Gorzej, lisy wilcze. Wielkie jak lichy.

Nie mieli pojęcia, o czym mówił. Zrozumieli, gdy zza najbliższego pagórka wypadło pierwsze rude stworzenie. Talizman Żrenicznika

przedstawiał prawdziwe zwierzę! Nila wielokrotnie podczas podróży spoglądała na ów wizerunek z zaciekawieniem, ale nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że takie stwory rzeczywiście istnieją. W Kamiennych Kościach lisy były małe i groźne wyłącznie dla domowego ptactwa.

– O niebiosy! – wyszeptała, gdy gromada potężnych bestii z ujadaniem i wyciem otoczyła ich ścisłym kordonem.

Największy z drapieżników wysunął się do przodu i patrzył na Niepowszednich z chłodną pewnością siebie. Jak w pozostałych, więcej było w nim wilka niż lisa: szeroka pierś, długie umięśnione nogi i sposób, w jaki pochylał wielki łeb, gdy wpatrywał się w intruzów. Rudosc grubego futra przechodziła w czystą biel na brzuchu i wąskich policzkach. Postawione na sztorc uszy raz po raz drgały, łowiąc sygnały wysyłane przez wytropioną zdobycz, przez pobratymców i przez wojowników, zaś nieruchomy, wysoko uniesiony ogon jasno dawał jeńcom do zrozumienia, że siła i przewaga są po stronie myśliwych.

– Taurisi! – powiedział zduszonym głosem Dalko, gdy zza wzniesień wyjechali na równinę śniadolicy mężczyźni o wąskich oczach.

Na ogolonych głowach nosili czerwone, okrągłe czapki ze spiczastymi czubkami. Wszyscy mieli proste, długie koszule przewiązane wełnianymi pasami i szerokie szarawary wpuszczone w miękkie buty ze skóry tulu, a grube, aksamitne kamizelki chroniły ich przed stepowym wiatrem.

Siedzieli na wierzchowcach inaczej niż Okrutni Złotnicy czy mieszkańcy Kamiennych Kości. Z wysoko podkurczonymi nogami, pochyleni nad końskimi grzbietami, zdawali się niezgrabnie leżeć na zwierzętach, ale zwinność, z jaką nagle wszyscy sięgnęli do bocznych juków po łuki i szable, rozwiała złudzenia o ich nieporadności.

– Nie ruszajcie się – syknęła cicho Wodniczka.

– A wy kto? – rozległ się tubalny głos.

Na czoło kawalkady wysunął się jeździec straszliwy. Bez oka, z głową naznaczoną blizną, która zaczynała się przy uchu, a ginęła pod czerwoną czapką haftowaną w przedziwne czarne wzory. Choć przeguby jego dłoni szpeciły szerokie szramy, nie chował ich pod bransoletami czy nadgarstnikami. Przeciwnie, pokazywał je światu. Nie krył też ani

zabliźnionej rany na piersiach, ani pokiereszowanych ust okolonych wąsem i przyciętą w szpic brodą.

U pasa miał szablę o rękojeści prostej i skromnej, ale o płazie niezwyklej urody. Zdobiły go złote znaki wijące się na całej długości. Niczym wąż otaczały metal ciasnymi splotami od jelca aż po sztych.

– Wy kto? – powtórzył, przenosząc mroczne spojrzenie na twarz każdego z Niepowszednich.

Sambor skłonił się z szacunkiem.

– Uciekinierzy, panie.

Wojownik uniósł brwi i czubkiem szabli wskazał rękojeści wystające z juków Unika i Żrenicznika.

– Od kiedy to uciekinierzy wożą w sakwach miecze z runami Welesa?

– Jesteśmy Niepowszednimi. Okrutni Złotnicy porwali nas, ale udało nam się zbiec. Wracamy do Bawidła.

Cichy szmer rozmów rozległ się w gromadzie Taurisów.

– Po cóż? – zadał pytanie mężczyzna.

Nila podjechała bliżej. Spojrzała mu w oczy twardo i nieustępliwie.

– Weles sprzedał tam moją siostrę. Chcę ją odzyskać.

Przez chwilę rozważał w milczeniu jej słowa, a potem głosem nawykłym do wydawania komend rzekł:

– Pojedziecie ze mną!

– Nie mamy czasu! Musimy być w Bawidle pojutrze!

– Ja nie paktuję z tobą, dziewczyno – warknął. – Ja ci rozkazuję!

Nila przysunęła się o krok bliżej, chcąc go błagać, ale on natychmiast uniósł czubek szabli w ostrzegawczym geście.

– Ani się waż! Kim jesteś? I jaką masz moc?

– Nila – odpowiedziała cicho. – Żniwiarka.

Pokiwał głową.

– Uważaj, co robisz z rękoma, Żniwiarko – ostrzegł.

– Panie, ja nie chciałam...

– Dobrze ci radzę.

– Rozumiem.

Mężczyzna przeniósł wzrok na Dalko.

– A ty?

- Dalko, panie. Żrenicznik.
- Umiesz władać mieczem, chłopcze?
- Słabo.
- Nie sięgaj więc do juków, jeśli ci życie miłe.
- Tak, panie.

Spojrzenie ciemnych jak obsydian oczu spoczęło na Samborze.

– A ty, Uniku, lepiej od razu oddaj nam broń – rzekł twardo wojownik.

– Skąd wiesz, kim jestem? – zdumiał się chłopak.

Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem, ale jego oczy pozostały tak czujne, jak ślepia jego lisów wilczych.

– Rozpoznaję takich jak ty od razu. Widzę, jak układasz dłoń, by chwycić oręż. Jak ustawiasz ciało, by mieć większy zasięg, jak opierasz stopy w strzemionach, by móc wyskoczyć z nich, gdy nadejdzie pora. – Westchnął znużony. – Oddaj go. Tak będzie lepiej.

Chłopak bez słowa wyjął miecz. Piękna, zdobiona runami broń Izbora spoczęła w jukach jednego z wojowników. Sambor obrzucił ją ostatnim tęsknym wejrzeniem i zacisnął bezsilnie pięści.

– Jak ci na imię?

– Sambor, panie.

Mężczyzna skinął głową, a potem poprawił się w siodle i skierował uwagę na Wodniczkę.

– No a ty, pisklaku ... – Uśmiechnął się lekko.

Dziewczynka patrzyła na niego spokojnie.

– Wodniczka.

– Och – mruknął – to na tych suchych wzgórzach czujesz się jak ryba bez wody.

Mała zerknęła na niego prawie rozbawiona i kiwnęła nieśmiało głową.

– Umiesz władać mieczem? – zapytał.

Parsknęła nerwowym śmiechem i zaprzeczyła.

– To dobrze, będę się czuł przy tobie bezpiecznie. Chyba że masz jeszcze jakieś moce?

Wzruszyła ramionami.

– Mówią, że jestem mądra.

Wojownik cmoknął z uznaniem.

– To bardzo wiele. Rozum bywa groźniejszy niż miecz –
powiedział. – A jak ci na imię?

Dziewczynka westchnęła ciężko i szepnęła zawstydzona:

– Wodniczka, panie.

Spojrzał na nią uważnie, zaskoczony tym wyznaniem. Po chwili jednak schylił przed nią głowę i odezwał się z atencją:

– Witaj więc wśród nas, mądra Wodniczko. Jestem Batu Tauris.



Obozowisko Taurisów dorównywało wielkością Bawidłu! Jak okiem sięgnąć ciągnęły się rzędy namiotów – przysadzistych i okrągłych niczym stogi siana, na czubkach zwieńczonych łagodnymi szpicami. Musiały ich tu być tysiące! Koczowisko nie kończyło się zresztą na ostatniej linii ludzkich siedzib. Tuż za nimi, daleko na obrzeżach stały stada koni, tulu i owiec, wśród których uwijała się ciżba wyrostków, sprawujących nad nimi pieczę.

Oddział wojowników prowadził Niepowszednich szerokimi przesmykami między namiotami. Wszędzie witały ich zaciekawione spojrzenia. Zerkali ku nim i niewiasty nieśmiało wychylające się zza płóciennych ścian, i młode dziewczęta, które rozwieszały pranie na sznurach. Otwarcie gapili się na nich staruszkowie, wystawiający do słońca pomarszczone twarze oraz smagłolice dzieci, które biegały wokół bez wyraźnego celu. Nawet młodzieńcy pchający taczki z suszonym łąjnem wlepiali wzrok w niecodzienną atrakcję.

Nil, speszona tym zainteresowaniem, uciekła spojrzeniem w stronę zdumiewającego obozowiska. Nigdy wcześniej nie widziała takich siedzib ludzkich. W jej stronach domy budowano z kamienia, drewna, gliny i sitowia. Miały przetrwać lata i być schronieniem dla kilku pokoleń mieszkańców.

Taurisi niewysokie ściany kopulastych namiotów zwanych przez nich jurtami pokrywali białym płótnem, a na dachach rozpinali płachty zwierzęcej skóry, by chronić się przed uderzeniami wiatru. Jurty, tylko na pierwszy rzut oka takie same, różniły się w zależności od talentów zamieszkujących je kobiet. Tu białą materię upiększał zadziwiającej urody haft, tam plecionka z draganków i traw zawieszona nad wejściem albo niezwykle zdobienia nadproży.

Mieszkańcy nie znali drzwi. Ich rolę pełniły niewielkie derki, pracowicie pozszywane z różnokolorowych skrawków. Ktokolwiek chciał wejść do domostwa, musiał doń podejść od południa, bowiem otwory wszystkich jurt skierowane były właśnie w tę stronę.

Choć z pozoru w układzie białych kopców nie było żadnego planu, po chwili obserwacji jasnym stawało się, że otaczają zwartymi okręgami najbardziej okazały namiot. Bez wątplenia należał do Batu Taurisa.

Olbrzymia konstrukcja o ścianach białych niczym śnieg i zdobieniach czerwonych jak krew, górowała nad pozostałymi siedzibami. Znad sklepienia unosił się dym, a zza zasłony, haftowanej we wzory tak misterne, że zdawały się być bardziej dziełem rąk czarodziejek niż kobiet, dobiegały śmiechy i pokrzykiwania.

Kawalkada jeźdźców zatrzymała się w pewnej odległości od głównej jurty. Mężczyźni zeskoczyli z siodeł i zaczęli rozkulbaczać wierzchowce, a w stronę namiotu wodza ruszyli już tylko Batu Tauris, niewielki oddział jego osobistej straży oraz gromadka młodych jeńców.

Przed wejściem, wprost na nagrzaną słońcem ziemi, leżały zwierzęce skóry, okrągłe poduszki i tace pełne cienkich placków. Batu Taurus zniknął za szkarłatną zasłoną namiotu, zaś Niepowszednim dano znak, by zsiadli z tulu.

– Usiądźcie, posilcie się i odpocznijcie – usłyszeli łagodny głos.

Kobieta, która wyszła z jurty wodza, była tak piękna, że chyba jedynie Alla mogła się z nią równać urodą. Nosiła koralową suknię z szerokimi rękawami, spod której wystawały lniane szarawary. Wzorem mężczyzn chroniła się przed wiatrem aksamitną kamizelką, ale w odróżnieniu od nich przepasywała ją zdobionym złotymi monetami pasem. Głowę nakryła wyszywaną srebrną nicią czapczką, a na plecach ułożyła białą materię szala w taki sposób, by skrywał długie, kruczoczarne warkocze. Miała około trzydziestu lat, ale w kącikach jej oczu widniały już pierwsze zmarszczki. Nie takie, które przychodzą wraz ze smutkiem, lecz powstające od częstego uśmiechania się.

Nilą odetchnęła z ulgą. Czuła, że w obecności tej kobiety nie przytrafi im się nic złego.

– Jestem Flawia – odezwała się piękność życzliwie i wskazała rozrzucone na baranich skórach poduszki.

Przycupnęli posłusznie, ale niecierpliwość kazała im w kółko spoglądać na wejście do namiotu.

– Pani – odezwał się Sambor – nie możemy zwlekać.

– Musimy jak najszybciej ruszyć do Bawidła – poparła go Nilą.

Kobieta zerknęła na nią badawczo.

– Batu Tauris wie o tym, dziecko – powiedziała i położyła drobną dłoń na ramieniu dziewczyny.

Efekt był piorunujący. Nila nigdy wcześniej nie czuła takiego ciepła. Miała wrażenie, że dotknął ją rozgrzany do czerwoności metal, a jej ciało natychmiast odpowiedziało przywołaniem uzdrawiającej mocy. Wiedziała, co się stało!

– Jesteś Żniwiarką! – domyśliła się.

Flawia pokiwała głową, ale nie cofnęła ręki. Wsłuchiwała się we wszystko, co bez słów wyjawiała jej buzująca energia młodziutkiej Niepowszedniej.

– Jeszcze nie posłałaś nikogo ku śmierci, prawda?

– Nie!

– Ale chciałaś...

– Tak, pani – szepnęła Nila, wspominając przyływy czerwonej mgły.

Kobieta oderwała wreszcie dłoń.

– Uratowane życie naznacza nas lepiej niż to odebrane. Jeśli los pozwala ci wybierać, zawsze idź za życiem. My, Żniwiarze, możemy więcej niż inni, ale tym bardziej powinniśmy rozważać każdy nasz ruch.

Jeszcze nie wybrzmiało echo tych trudnych dla młodej dziewczyny słów, gdy Flawia odwróciła się ku pozostałym Niepowszednim i odezwała się ciepło:

– Nie przyszedłam tu, by straszyć waszą przyjaciółkę i częstować was placuszkami. Batu wysłał mnie, bym wam pomogła. Jeśli chcecie przetrwać rozmowę z nim, musicie okazać szacunek jemu, jego domowi i jego ludziom. Bez tego będziecie w tarapatkach. Nie podnoście głosu i nie zerkajcie w stronę broni. Poza tym, mówcie prawdę. Nawet najgorszą. I...

Słuchali uważnie, bo tak wiele od tego zależało. Gdy zatem Flawia wprowadziła ich do jurty, zgodnie z jej zaleceniami unieśli wysoko stopy, by nie nastąpić na próg. Na Suchych Polach uznawano to za zły omen, bowiem zdobiona belka na ziemi wyznaczała granicę pomiędzy domem a obcym światem.

Namiot okazał się tak wielki, że w środku zmieścił się prawdziwy

tłum. Byli tam wojownicy, dostojni starcy, matrony, dziatwa i młode kobiety, szykujące strawę. Co dziwne, wśród tej gromady smagłolicych i czarnowłosych tubylców Niepowszedni wypatrzyli dziewczę z warkoczami koloru pszenicy i młodzieńca o skórze tak białej, jak u osadników z Kamiennych Kości.

– Jeńcy? – zapytał cicho Sambor.

Dalko pokręcił głową.

– Nie widzę śladów po pętach – szepnął. – To chyba wolni ludzie.

Flawia popchnęła ich w stronę rozłożonych dookoła paleniska baranich skór, a sama przycupnęła przy prawym boku Batu Taurisa. Wódz siedział na honorowym miejscu i patrzył na nich z twarzą tak nieruchomą, jakby wykuto ją w marmurze. Blizna, która pokrywała jego prawy oczodół, błyszczała czerwienią w blasku płomieni. Zdrowe oko spoglądało czujnie, nie zdradzając ni nastroju, ni zamiarów mężczyzny. U stóp okaleczonego wojownika rozłożyły się dwa wielkie lisy wilcze: potężna samica i młody samiec.

Niepowszedni usiedli, odruchowo chroniąc Wodniczkę między sobą, a Dalko na wszelki wypadek ujął dziewczynkę za rękę.

– Cisz – basowym głosem odezwał się Batu Tauris.

Gwar zamarł w jednej chwili.

Mężczyzna pochylił się i z namysłem zaczął wybierać kąski z olbrzymiej tacy. Nakładał je do niewielkiej miseczki, od czasu do czasu rzucając skrawki sprawiedliwie między oba lisy. Zgromadzeni w jurcie ludzie przyglądali się temu ze skupieniem. Batu Tauris obejrzał zawartość naczynka, a potem podsunął poczęstunek Samborowi.

Wiedzieli, że to próba. Flawia pouczyła ich, by przyjmując cokolwiek, wyciągali obie ręce na znak pokoju, a dłonie zwracali ku górze.

Chłopak zawahał się przez moment, jakby musiał przypomnieć sobie zasady, ale już po chwili z atencją pochylił głowę i pewnym ruchem ujął kruchą czarkę palcami obu rąk. Pod sklepienie namiotu uniosło się zbiorowe westchnienie ulgi, zaś wódz uśmiechnął się i lekko skinął im głową.

– Jedzcie – powiedział i poczekał, aż Sambor skrupulatnie rozdzieli kąski przyjaciółom.

Mięso, kruche i przesycone aromatami ziół, rozpływało się w ustach. Było prawdziwą uczcą dla wygłodzonych na Welesowym wikcie Niepowszednich.

– Skąd jesteście?

– Z Kamiennych Kości, panie – odrzekła Nila. – To osada na drugim brzegu Topieli.

– Wiem, gdzie to jest.

Zajął się wybieraniem następnych kawałków, tym razem z tacy obłożonej plackami w miodzie. Nałożywszy kopiastą stertę, podał dziewczynie drewniany talerzyk ze słodkościami.

– A więc porwał was Weles.

– Tak, panie.

Mroczny cień przemknął przez okaleczoną twarz Batu Taurisa.

– Dziwne – wycedził. – Znam go aż za dobrze i wiem, że nie popełnia błędów. Przehandlował więcej Niepowszednich, niż moglibyście sobie wyobrazić. Choć pragnę wam ufać, nie mogę.

– Dlaczego? – wyrwało się Żrenicznikowi.

– Bo nie pojmuję, jak trójce niedorostków i jednej małej dziewczusce udało się zbiec największej kanalii Krańca.

Nie mieli wyjścia, musieli powiedzieć mu prawdę. Od niej zależała wolność i ich, i Alli.

– Jechaliśmy z Bawidła do Mercaty – odpowiedziała za wszystkich Wodniczka. – Drugiego dnia podróży Welesa zaskoczyła burza. Łowcy porzucili nas na śmierć. Jeden zginął, my przetrwaliśmy.

– Jak?

Widać było, że dziewczynka zwleka z odpowiedzią. Nikt z nich nie chciał ujawniać imion trojga odważnych ludzi, którzy pomogli im uciec. Ale nie mieli wyboru.

– Przy pomocy przyjaciół z Bawidła. Nauczyli nas o burzy, ile mogli. Dzięki nim byliśmy gotowi.

Batu Tauris przechylił głowę i wpatrywał się w dziewczynkę z namysłem.

– Staruszek Badur – domyślił się.

– Tak, panie.

Wojownik westchnął ciężko, powoli zdjął z głowy czapkę i dotknął

straszliwej blizny, która przecinała mu czaszkę od prawego ucha po lewą skroń.

– Kiedy łowcy wyrwali mnie z rodzinnego domu, miałem siedem lat – powiedział, rozsznurowując troczki koszuli. – Stłukli mnie tak, że przez tydzień nie mogłem się ruszać.

– Jesteś Niepowszednim! – wyszeptała zdumiona Wodniczka.

– Oko straciłem, gdy uciekłem po raz pierwszy. Złapali mnie i wybatożyli, a jeden z ciosów spadł mi na twarz.

Ściągnął koszulę z ramion, ukazując rozległy ślad po ostrzu. Biegł przez obie piersi aż do żeber. Batu przeciągnął po nim palcem.

– To pamiątka po drugiej ucieczce – mruknął. – Kazali mi walczyć z trzema Unikami, którzy zaprzędali się łowcom. Ledwie przeżyłem, a ponad miesiąc leżałem nieprzytomny.

Odwrócił się do nich tyłem, by obejrzeliby plecy pocięte siatką starych śladów po harapie.

– Zrobili mi to przy trzecim pojmaniu. Bili mnie tak, jakby chcieli zatłuc na śmierć. Przetrwałem i... uciekłem po raz czwarty. Ostatni.

Gdy Niepowszedni wciąż trwali w bezruchu przejęci tą straszliwą opowieścią, wódz nałożył koszulę, starannie zawiązał troczki, a potem wsunął czapkę na okaleczoną czaszkę. Nawet na moment nie przestał patrzeć na swoich gości, ale w jego wzroku pojawiło się trochę więcej ciepła i zrozumienia. Łagodnie uśmiechnął się do rudowłosej dziewczynki, która ze łzami w oczach spoglądała przed siebie.

– Wiem, że tacy jak my nie mają lekko – powiedział. – Nasze dary to szczęście i przekleństwo. Jednak nie pokazałem wam swoich blizn, by wzbudzić strach. Chcę, byście wiedzieli, że wasz los nigdy nie jest przesądzony. Oto Fryda. – Wskazał jedyną jasnowłosą dziewczynę w namiocie. – Jest Unikiem, jak ja. Zanim uwolniła się z niewoli, próbowała zbiec trzy razy. Łapali ją, siepali i wsadzali na długie tygodnie do lochu, żeby zmądrzała. A to Oleg – Popatrzył na młodziutkiego chłopaka o alabastrowej skórze. – Bestiarz. Czmychnął łowcom wprost z targu w Mercacie. Zanim się zorientowali, już był na Suchych Polach, ale ucieczkę przypłacił zdrowiem. Zgubił się. Szedł bez wody i jedzenia. Gdy go znaleźliśmy, Flawia nie dawała mu żadnych szans. Jednak leczyła go wytrwale, a on okpił Kostuchę. Wiecie

dłaczego? Bo chce wracać po brata bliźniaka. Łowcy sprzedali chłopaka, zanim Oleg zdołał go oswobodzić.

Batu Tauris sięgnął po czarkę z wodą i upił łyk. Odstawił naczynko na tacę i podparłszy podbródek dłońmi, powiedział:

– Nie wiem, ilu Niepowszednich ucieka. Może jeden na stu, może dwóch. Na pewno nie więcej. Reszta jest na to zbyt tchórzliwa, a w życiu nie wolno być tchórzem, zdrajcą ni łotrem. Takie prawo wyznajemy na Suchych Polach. Dlatego nie wpuszczamy nikogo, kogo nie szanujemy. I – dodał złowrogo – nie darujemy naruszenia granic nikomu, kto nie jest wart tego, by mu to wybaczyć. Dlatego chcę wiedzieć, ile każde z was zrobiło do tej pory, by odzyskać wolność.

Sambor pierwszy poderwał się z ziemi.

– Panie, Nila o mały włos nie uśmierciła Izbora. Miał szczęście, ale jeszcze długo będzie dochodził do zdrowia. I dwa razy chciała zabić Welesa, i sama przez to straciłaby życie, gdybyśmy jej nie powstrzymali. I...

– A ty? – przerwał mu Batu Tauris. – Co ty zrobiłeś?

– On – odezwał się bez chwili zastanowienia Dalko – wziął za mnie pięć batów, chociaż ja wcale tego nie chciałem! A potem ledwie mógł się po nich ruszać, ale nie pozwolił się uzdrowić... no, żeby nie osłabiać Nili. I pomógł uratować małą w Arenie.

– Czego więc ty dokonałeś, Żreniczniku?

– Gdyby nie Dalko – wtrąciła się Nila – Okrutni Złotnicy uśmierciliby Wodniczkę w Bawidle.

Wódz pokiwał głową.

– W takim razie, czym może pochwalić się Wodniczka?

Dziewczynka wstała i przestąpiła nerwowo z nogi na nogę.

– Nic nie zrobiłam – wyszeptała cichutko – niewiele mogę. Potrafię tylko siedzieć pod wodą... nic więcej.

Dalko, Nila i Sambor spojrzeli na nią zdumieni.

– Jak to nic? – obruszył się Żrenicznik. – No, bez ciebie w ogóle nie poradziłibyśmy sobie! Już od pierwszego dnia! A z tobą uciekaliśmy dwa razy i za trzecim się udało!

Batu Tauris przyglądał im się wyczekująco. Sambor, wzięwszy Wodniczkę za rękę, wskazał dziewczynkę wojownikowi.

– Nasza siostra... – zamilkł na moment, szukając odpowiednich słów. – Ona sprawia, że widzimy nasze położenie inaczej. Myśli tak przenikliwie i dostrzega rzeczy, których my...

– Bez niej nie powstałby żaden plan i pewnie już kilka razy znienawidzilibyśmy się nawzajem – dopowiedziała Nila.

Wódz uśmiechnął się łagodnie do rudowłosej.

– Jesteście rodziną? – zapytał.

Mała uśmiechnęła się z dumą.

– Teraz już tak – odparła.

– Teraz już tak – powtórzył za nią mężczyzna. – Rozumiem.

Dobrze cię rozumiem.

Zapadła cisza. Batu Taurus spoglądał na nich bez słowa, głaszcząc potężny łeb młodego lisa. Samica zapadła w niespokojny sen. Od czasu do czasu powarkiwała groźnie i przebierała łapami, jakby gonila za zdobyczą.

– I po tym wszystkim – zapytał wreszcie wódz – chcecie znów wrócić do Bawidła? Weles już na was czeka. Bo on na pewno uratował się przed burzą. Uwierzcie mi, że czego jak czego, ale szczęścia i sprytu mu nie brakuje. A gdy chodzi o jego własne życie, potrafi dokonać rzeczy niezwykłych.

– Też tak myślimy, ale nie mamy wyjścia. Nie zostawimy Alli w łapach Dragona – powiedział Sambor.

Batu Tauris zmarszczył brwi.

– Dziewczyno, twoją siostrę kupił sam Lubgost Dragon? – upewnił się.

– Tak, panie – odparła Nila.

Popatrzył na nią podejrzliwie.

– To bydlę nie szastałoby groszem na byle Niepowszedniego.

Nila pokiwała głową z rezygnacją. Nie pozostawił jej wyboru.

– Alla ma dublet mocy. – Westchnęła ciężko, wyjawiając mu tajemnicę. – Jest Gwarkiem i Bestiarką.

Za jej plecami rozległ się szmer głosów. Batu Tauris nie pozwolił jednak na rozmowy. Uniósł dłoń do góry i zdusił gwar tym jednym gestem.

Wstał i donośnym głosem zawołał do swoich ziomków:

– Słyszeliście wszystko! Jaki jest wasz osąd?

Pograżona w ciszy jurta ożyła. Gwar rozmów, pokrzykiwania, śmiechy i gorączkowe szepty wzbiły się nagle w górę i jednolitym szumem otoczyły Niepowszednich. Wreszcie z tej plątaniny dźwięków zaczęły wydobywać się pojedyncze okrzyki:

– Godni są! Pomóżmy! Przeszli próbę!

– To mówią mężczyźni – powiedział Batu Tauris i zwróciwszy się w stronę niewiast, zapytał: – A kobiety?

– Godni są!

Mężczyzna uklonił się z szacunkiem gromadce Niepowszednich.

– Mój lud zdecydował. Poruszyła nas wasza opowieść, a ponieważ jesteście dzielnymi ludźmi, pójdziecie swoją drogą. Pomożemy wam. – Batu Tauris przyłożył dłoń do serca. – Warto jednak byście wiedzieli, że ktokolwiek zyskał naszą życzliwość, może tu zawsze wrócić.

Całą czwórką pochylili głowy w podzięce. Skłonili się nisko wodzowi, a potem pozostałym koczownikom.

– Panie – powiedział Sambor – do tej pory w całym tym kraju tylko troje ludzi wyciągnęło do nas dłoń. Dzięki wam od dziś jest ich znacznie więcej. Nie potrafię opisać, ile to dla nas znaczy. Choć po tym, co nam opowiedziałeś, myślę że rozumiesz to lepiej niż ktokolwiek...

– To prawda.

– Przysięgam, że jeśli nie zdołamy dostać się do naszych rodzin...

– głos lekko załamał się chłopakowi, gdy wspomniał o tych, z ramion których wyrwali ich Okrutni Złotnicy. – Gdyby nam się nie udało, to wrócimy i zostaniemy przy tobie na Suchych Polach.

– Niech i tak będzie! – Batu Tauris skinął głową na znak przymierza, a potem rzekł: – Pora zająć się waszym wyjazdem. Jeśli mam wam pomóc, chcę usłyszeć, jaki macie plan.

Niepowszedni spojrzeli wymownie na Nilę, dając do zrozumienia, że do niej należy udzielenie odpowiedzi. Prawda była taka, że wciąż nie mieli żadnego pomysłu. Dziewczyna po prostu powtórzyła więc to, czym żyli od wyjazdu z miasta.

– Musimy dostać się niezauważeni do Bawidła. Jeszcze nie wiemy, jak tego dokonamy, ale zrobimy to na pewno. Potem odbierzemy Allę od naszych przyjaciół, wsiądziemy na barkę i popłyniemy aż do Przepawy.

I... to na razie wszystko.

Wódz podumał chwilę.

– Rad bym wysłać z wami wojowników do Bawidła, żeby siłą odbili Bestiarke i eskortowali was do granic Łajdackiego Krańca albo i nawet do Kamiennych Kości. Niestety nie mogę tego uczynić. Cesarstwo nie darowałoby nam, gdybyśmy jawnie zbrojną gromadą choćby tylko wyściubili nos poza granice Suchych Pól. Taurisi drogo by za to zapłacili. Jestem odpowiedzialny za ten lud, za bezpieczeństwo tych kobiet i dzieci... Nie dam wam ludzi, mogę natomiast zrobić coś innego. I uczynię to.

Cała czwórka Niepowszednich pokłoniła się nisko w geście wdzięczności, a on kontynuował:

– Po pierwsze, podaruję wam jadło, wodę i rzecz jasna, oddam wasze miecze. Dostaniecie też parę florenów, bo musicie opłacić myto w Bawidle i na granicznym moście. Po drugie, trzeba wam wiedzieć, że barki nie dowożą podróżnych pod Górską Przepawę. Cumują w niewielkiej przystani dla kupców, pół dnia drogi od granicy. Poślę tam mały oddział zwiadowców w przebraniu. Nie ryzykujemy niczym. Przemkną się niezauważeni i będą tam na was czekać. Jeśli oswobodzicie Allę i wsiądziecie na barkę bez łowców, aż do tego miejsca będziecie bezpieczni. Od przystani oni wezmą was pod swą opiekę. Jeśli nie dacie rady... jak wcześniej mówiłem, i tak nie możemy wam pomóc inaczej.

– Panie – odezwał się Dalko – to i tak więcej, niż moglibyśmy prosić!

– Mogę coś jeszcze dla was zrobić?

– Tak! – rozległa się cicha, ale zdecydowana odpowiedź.

Ku powszechnemu zdumieniu Wodniczka wystąpiła dwa kroki do przodu i nie zapytawszy nikogo o zdanie, oznajmiła:

– Chcę wymienić nasze tulu na wóz pełen suszonego łajna... – zamyśliła się na chwilę – ...zaprzężony w niezbyt okazałego konia. Najlepiej niech będzie brzydki, żeby nie wzbudzał zainteresowania.

Niepowszedni popatrzyli na siebie zaskoczeni, a Batu Tauris z kamienną twarzą, choć z wesołymi iskierkami w oku, pokiwał głową.

– Upewnię się, bo jestem uczciwym kupcem... Wiesz, że to

kiepska zamiana, prawda? Za tak porządne tulu dostałabyś i dwadzieścia wozów z łąjnem. O kiepskim koniu nie wspomnę.

Wodniczka uśmiechnęła się do niego zawadiacko.

– Wiem. Jednak potrzebujemy tylko jednego wozu i jednego konia, by wjechać niepostrzeżenie do Bawidła. – Wzruszyła ramionami. – Pod stertą nawozu.

Wymyśliła, jak się dostać do miasta! – Nila miała ochotę wyściskać rudzielca.

Mężczyzna uniósł brwi do góry i zrobił pełną uznania minę.

– Mówiłaś prawdę, jesteś mądra. A wy – zwrócił się do pozostałych – chcecie ten wóz?

Sambor popatrzył na Wodniczkę z uwielbieniem.

– Wierzę, że lepszego konceptu niż ona nie stworzymy. Jeśli więc nasza siostra chce furmankę z łąjnem, to my też.

– I konia! – przypomniała dziewczynka.

Schowana za ramieniem wodza Flawia zachichotała cicho.

Pozostali Taurisi nagrodzili Wodniczkę oklaskami, zaś sam Batu Tauris wyglądał tak, jakby lada moment miał parsknąć śmiechem. Przygryzł jednak wargę i zduszonym głosem wyszeptał:

– Dostaniesz najbrzydszą chabetę na Suchych Polach!

Potem zamilkł na chwilę, zapatrzony w rudowłose stworzenie. Gdy znów się odezwał, jego głos był równie poważny, jak wtedy, gdy opisywał im straszliwe koleje swego losu.

– Dam wam wszystko – powiedział. – Ale pod jednym warunkiem! Wodniczka nie pójdzie w świat bezimienna.

Dziewczynka zwiesiła głowę i wyszeptała cichutko:

– Ja nie pamiętam, jak się nazywam.

Wódz spojrział z wyrzutem na pozostałych. Zaczerwienieni po czubki uszu, wstydliwie opuścili wzrok.

– Nie było czasu... – szepnął Dalko.

– Więc czas musi znaleźć się teraz! – odparł z mocą wojownik. – Nie godzi się, by ktoś tak mądry i szlachetny szedł przez życie bezimiennie! Masz dziecino jakieś ukochane miano, które chciałabyś nosić?

Wodniczka wzruszyła bezradnie ramionami.

– Nie mam. A ty – szepnęła, patrząc na niego nieśmiało – znasz imię, które by do mnie pasowało?

Batu Tauris zapatrzył się w ogień i z wielką czułością w głosie powiedział:

– Znam kobietę niezwykle mądrą, piękną i bardzo dzielną. Tak doskonałą, że nie chce się wierzyć w jej istnienie. Flawia.

Zgromadzone w jurcie niewiasty westchnęły wzruszone i przyłożyły złożone dłonie do piersi, a kruczowłosa piękność przysunęła się bliżej wodza i łagodnie musnęła jego policzek dłonią. Potem wyszeptała mu coś do ucha, a on popatrzył na nią wzrokiem pełnym uwielbienia. Było w gestach obojga tyle miłości, że Nila i Sambor bezwiednie przysunęli się do siebie bliżej i wzięli się za ręce.

– Flawia – powiedziała z zachwytem Wodniczka – Flawia.

Zamknęła oczy i delektowała się brzmieniem tego słowa. Wreszcie rozejrzała się radośnie po jurcie i nagle podskoczyła jak rozbrykany żrebak.

– Flawia! Flawia, Flawia, Flawia!

Zgromadzeni w namiocie ludzie roześmiali się i zaczęli podchodzić do niej, witając ją nowym imieniem. Kobiety brały dziewczynkę w ramiona i po matczynemu tuliły do piersi. Mężczyźni dobrotliwie głaskali ją po włosach, a dzieci przynosiły słodczyce i ucałowawszy jej umorusane policzki, odbiegały w podskokach do własnych spraw. Batu Tauris patrzył na to bez słowa i tylko od czasu do czasu uśmiechał się, gdy drobniutkie ciało ginęło w zbyt serdecznym uścisku co grubszych niewiast.

Niepowszedni zaś, wzruszeni tym spektaklem, usiedli na ziemi i spokojnie czekali, aż ich najmłodsza siostra nacieszy się początkiem nowego życia. Wreszcie wycalowana, wygłaskana, zarumieniona z emocji i potargana od uścisków Flawia popatrzyła Batu Taurisowi w oczy.

– Dziękuję – wyszeptała.

Mężczyzna przyłożył dłoń do naznaczonej blizną piersi i skinął jej głową.

– Uczyniłaś nam obojgu wielki zaszczyt – powiedział. – To my dziękujemy tobie, Flawio. Musisz wiedzieć, że na Suchych Polach

czymy dni, w którym nadajemy naszym dzieciom imiona. Obdarujemy je wówczas amuletami, by bezpiecznie zaczęły nowe życie. I tak będzie tym razem...

Dał znak ukochanej, a ona wyciągnęła ku swej imienniczce dłoń, na której błyszczała niewielka bransoleta. Wąski pasek srebra, idealnie dopasowany do cienkiego nadgarstka dziewczynki, zdobiły okrągła blaszka i niewielki biały kamyk o kształcie migdała.

– Niech ci przyniesie szczęście – powiedziała i pokazała subtelnie wyryty znak. – Fale, byś jako kobieta była tak silna jak rwąca woda. I migdał na znak wiecznego szczęścia i mądrości w tobie ukrytej.

Rudowłosej aż mowę odebrało. Chciała coś powiedzieć, ale wzruszenie ścisnęło ją za gardło, więc tylko stała i patrzyła na dorosłą Flawię z zachwytem w oczach.

Wódz nie czekał na podziękowania. Rozumiał wszystko.

– Pora na was. Dostaliście wóz i wystarczająco kiepskiego konia. – Uśmiechnął się. – Daliśmy wam dożywotnie schronienie, bo nasz dom stał się waszym domem. Bezimienne dziecko otrzymało własne miano, a moi ludzie pakują wodę i strawę do juków. Każde z was wyjedzie więc stąd z podarunkiem. Źle by to jednak świadczyło o naszej gościnności, gdybyśmy zapomnieli obdarować dziewczynę, która wypatruje za wami oczy w Bawidle.

Pamiętaj i o Alli! – pomyślała rozrzewniona Nila.

– Oto Kadok. – Pogładził szare futro łaszącego się do niego lisa wilczego. – Jest młody, jeszcze trochę niesforny, ale już bardzo dzielny. Obroni was własnym ciałem, gdy zajdzie potrzeba. Dotrzecie bezpiecznie do Bawidła, odzyskacie Bestiarke i przekażecie jej mój dar. Wierzę, że go doceni.

Zwierzę, jakby rozumiejąc słowa pana, wpatrzyło się czujnym wzrokiem w gromadę Niepowszednich. Batu Tauris schylił głowę i lis podniósł się z ziemi. Podszedł do mężczyzny i czule wtulił łeb w jego ramię. Wojownik dotknął delikatnie jego ucha i długo szeptał coś cicho, podczas gdy Kadok nieruchomo wsłuchiwał się w każde słowo. Potem pomachał puszystą kitą, liznął człowieczą dłoń i spokojnie przeszedł na drugą stronę paleniska.

– Oby los wam sprzyjał – powiedział Batu Tauris. – Nie mówię

żegnajcie. Powiem do zobaczenia... Bo sam przyprowadzę do przystani ten oddział wojowników.



Ostatnie chwile na Suchych Polach Niepowszedni spędzili bardzo pracowicie. Wciąż naradzali się, spierali i zasypywali znających Bawidło Taurisów gradem pytań. Wszystko po to, by mozolnie dopracować plan przetrwania w mieście do chwili ucieczki. Równocześnie dwoili się i troili, pomagając w przygotowaniach do wyjazdu. Sporo było do zrobienia.

Aby uchodzić za handlujących łajnem pastuchów, musieli podróżować tak jak oni. Oznaczało to, że na wozie mogły znaleźć się tylko dwie osoby, gdyż jedynie takie załogi dostarczały towar z Suchych Pól do miast. Ponieważ rozdzielać się nie mogli i nie chcieli, dwoje z nich musiało zniknąć w sekretnym schowku pod stertą nawozu.

Sambor i Flawia bez wątpienia zbyt mocno zapadli w pamięć mieszkańcom Bawidła, by mogli ryzykować jazdę na furmańskim koźle. Natomiast Nili nie widział nikt poza Emą i garstką strażników Lubgosta Dragona. Wypadki na scenie potoczyły się tak szybko, że publika nie zdołała nawet dobrze przyjrzeć się jej twarzy. Dalko zaś – po tym, gdy wysmarowali go od stóp do głów popiołem i piachem – nijak nie przypominał chłopaka, który kilka dni wcześniej szukał w Arenie zausznic i sztyletów. Dlatego to właśnie im przypadła misja ostrożnego powożenia furmanką.

I to oni musieli wyglądać jak pastuszkowie z Suchych Pól. Zmiana powierzchowności Żniwiarki i Żrenicznika nie była trudna i zajęła ledwie chwilę. Oboje nałożyli najbrudniejsze ubrania, jakie udało się znaleźć u koniuchów, twarze wymazali sadzą, a włosy ukryli pod starymi, słomkowymi kapeluszami. Po tych zabiegach nikt nie był w stanie rozpoznać w nich dawnych jeńców Welesa. Rzecz jasna w Bawidle musieli się ponownie przebrać, ponieważ nie mogli swobodnie poruszać się po mieście w przebraniu Taurisów. Szaty otrzymane przed pokazem w Arenie zupełnie się do tego nie nadawały. Pokazali się w nich całemu grodowi i przyodziani w nie narażali się na rozpoznanie. Poza tym, odzież mocno ucierpiała podczas burzy, a w tak eleganckim

grodzie jak Bawidło, porwany i brudny strój natychmiast przykuwał uwagę. Jeśli chcieli wtopić się w tłum, musieli wyglądać schludnie i gustownie. Tak jak przystało na młodych mieszczan. Batu Tauris kazał więc otworzyć kufry i po krótkich poszukiwaniach sprezentował Niepowszednim nowe, idealne na ich misję odzienie. Potem zajęto się znacznie trudniejszym etapem podróży – bezpiecznym przemyceniem do miasta dwójki podróżnych.

Na polecenie Arkana, najważniejszego na Suchych Polach handlarza nawozem, ściany furmanki podwyższono, a nad dnem ułożono solidną konstrukcję z drewnianego szkieletu i grubych warstw wojłoku, który służył Taurisom do ocieplania namiotów. W powstały w ten sposób schowek wślizgnęli się Sambor i Flawia. W skrytce spoczęły też oba miecze, bo pastuszkowie jeździli bez broni. W razie niespodziewanych kłopotów za obrońcę wystarczyć musiał Kadok. Zresztą Dalko był i tak kiepskim szermierzem, więc oręż bardziej mu ciążył, niż go uspokajał.

Z powodu smrodu, ciasnoty i niewygodnych pozycji Unika i Wodniczkę czekała trudna podróż, ale nie mieli wyboru. Wiedzieli bowiem, że jeśli Weles przetrwał burzę i wrócił do Bawidła, a o tym byli przekonani, na pewno zdążył przycząć się przy Piaskowej Bramie i opłacić strażników przy trzech innych wjazdach, by mieli oko na uciekinierów. Nie zapominali też o Emie, która ani chybi rozpoczęła polowanie na zbiegłego Unika.

Upewniwszy się, że ukryci w schowku Niepowszedni mogą swobodnie oddychać, Arkan dał znak do równomiernego sypania łąjna na sklepienie kryjówek. Po każdym opróżnionym wiadrze sprawdzał, czy jego misterna budowla nie grozi zawaleniem i bez ustanku pytał Sambora, czy aby szkielet nie wydaje niepokojąco trzeszczących dźwięków.

– Im większa sterta suchego łąjna – powtarzał – tym mniejsza ochota poborców do przetrząsania towaru.

Wreszcie przyzma wielbłądzich odchodów była tak wielka, że Nila zaczęła się obawiać, czy koń podarowany im przez Batu Taurisa udźwignie ten ciężar. Okazało się jednak, że zwierzę wyśmienicie radzi sobie na piaszczystej drodze do Bawidła.

Stos nawozu podrygiwał na każdym wyboju, a wówczas wysłużone i obciążone ładunkiem deski skrzypiały niemiłosiernie, jakby ostrzegały, że lada moment popękają. Sambor i Flawia postukiwali w takich chwilach na znak, że wciąż są bezpieczni i przyjaciele nie muszą się o nich martwić.

Podróżowali tak od kilkunastu godzin, pracowicie licząc skryte wśród traw marmurowe bryły, na których pyszniły się insygnia Cesarstwa Gospar, gdy Żrenicznik wyciągnął dłoń przed siebie i powiedział:

– Jeszcze dwa kamienie kurierskie i jesteśmy przy Bramie Północnej! Spójrz!

W oddali widniała długa wstęga miejskich fortyfikacji i ponura sylwetka Areny. Choć świt ledwie nastał, wzdłuż muru wił się długi korowód oczekujących na wjazd podróżnych.

– O niebiosa! – jęknęła Nila. – Ile ludzi!

– No... dobrze jest! – mruknął zadowolony Dalko. – Spieszą się, są wściekli, a my jesteśmy jedynym wozem z łajnem!

Dziewczyna nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– Szlag! Nilu, śmierdzimy na wiorstę! – Roześmiał się. – Myślisz, że te damy i paniczki wytrzymają z nami? Akurat! Od razu pogonią strażników, żeby nas przepuścili bez kolejki! No Kadok, zobaczysz miasto!

Lis, który leżał spokojnie pod ich nogami, podniósł na Żrenicznika mądre oczy i polizał go po dłoni. Samiec nie odstępował ich na krok, zgodnie z obietnicą Batu Taurisa. Większość drogi przespał zwinięty w pokaźnych rozmiarów kłębek, ale myliłby się ten, kto uznałby go za bezużytecznego towarzysza. Kadok czuwał nawet z zamkniętymi oczyma, gotowy do ataku na każdy, choćby najślabszy, sygnał zagrożenia.

– Jazda! – Dalko energicznie popędził konia.

Niedługo później byli na miejscu. Stanęli na szarym końcu kolejki pieszych, wozów kuglarskich oraz zwierząt, które prowadzono na postronkach lub wieziono w klatkach. Obok pochodu plebejuszy stał równie długi rząd zdobionych herbami eleganckich kolebek. W nich, na wyściełanych aksamitem poduchach, spoczywali majętni miłośnicy

Karnawału Złota i z cierpiętniczymi minami chóralnie narzekali na niewygody podróży.

Wśród tej gromady podróżnych uwijali się jak w ukropie umęczeni poborcy myta. Kontrolowali zawartość furmanek, kojców, a nawet co okazalszych kufrów. Nie bacząc na protesty bogaczy, przywykłych do innego traktowania, podnosili zwały aksamitu i ostukiwali dna pojazdów w poszukiwaniu kontrabandy.

Dalko miał rację. Wypełniony łajnem wóz powitano niechętnymi spojrzeniami. A im słońce wyżej wznosiło się nad horyzontem, tym głośniejsze stawały się okrzyki obrzydzenia. Robiło się cieplej, lekki zefirek niósł odór odchodów wzdłuż muru miejskiego. Upierścienione dłonie przytknęły do nosów cieniutkie chusteczki, a umalowane cynobrem usta dam wykrzywiły się ze wstrętem. Zewsząd odezwały się oburzone niewieście głosy:

– Łajno! Plugastwo! Straż! Przepuścić ich! Straż!

Kadok zeskoczył z desek i jak kot wygiął grzbiet, rozciągając rozleniwione podróżą kości.

– Nie dość, że śmierdzą, to jeszcze takie bydlę ze sobą wiozą! – prychnęła wyfiokowana matrona.

Zwierzę warknęło ostrzegawczo, leniwie obeszło kolebkę elegantki dookoła, zatrzymało się przy każdym kole i zadzierając nogę, dokładnie zaznaczyło teren.

– No patrz tylko! Zrób coś! – sarknęła kobieta do kogoś schowanego za jej ramieniem.

Zza adamaszkowej zasłony wychylił się odziany w karmazynową szatę jegomość i niecierpliwym gestem przywołał ku sobie poborcę myta.

– Nie będę stał obok łajna! Ani znosił lisa wilczego! – Głos bogacza niósł się gromkim echem aż po Bramę Północną. – Ani ja, ani moja rodzina! Jesteśmy gośćmi Lubgosta Dragona! Wpuszczaj nas, durniu!

Poborca z szacunkiem zerknął na herb przytroczony do wysokich brzegów wozu, ale rozłożył bezradnie ręce.

– Nie mogę, panie! Toż nam sam Lubgost Dragon zabronił! Nie można bez kontroli! Musimy każdą furmankę, kolebkę i klatkę

sprawdzić, a potem myto wyliczyć!

Czerwone na twarzy panisko wściekłym wzrokiem obrzuciło rząd eleganckich zaprzęgów, który wił się przed jego pojazdem.

– Człowieku! – ryknął. – Jeszcze ze dwie godziny, zanim wjedziemy do miasta! Wpuść chociaż tych pastuchów! Zdechnąć tu można od smrodu!

Natychmiast poparł go zgodny chór zamożnych gości.

– Niech jadą! Zrobić im drogę! Przepuścić! Zabrać stąd lisa!

Poborca najpierw zgiął się w służalczym ukłonie, a potem odwrócił w stronę sterty nawozu i obrzucił zniecierpliwionym spojrzeniem umorusaną dwójkę Niepowszednich.

– Wynoście się, durnie! – wrzasnął. – Wielmoże was przepuszczają, wy śmierdzące koniuchy! Podziękujcie panom! I żywo do bramy! Ruszaj!

„A co, nie miałem racji?” – zdawał się mówić zawadiacki uśmiech Dalko, skryty pod grubą warstwą brudu. Żrenicznik poczekał, aż Kadok posłusznie wskoczy na wóz, a wtedy ukłonił się niezgrabnie bogaczom i huknął na konia takim głosem, że przestraszone stworzenie ruszyło z kopyta przed siebie.

Poganiani przez kolejnych poborców, zostawili tłum za plecami i zatrzymali się tuż przed kamiennym wjazdem. Nila miała wrażenie, jakby czas się cofnął. Wspominała inną bramę i inny dzień, ale wciąż to samo podłe i zepsute miasto. Znów – jak wówczas, gdy wjeżdżali tu jako jeńcy Welesa – stali przy zwodzonym moście. Znów widziała suchą fosę wypełnioną postawionymi na sztorc palami. I znów czuła niepokój w sercu i gęsią skórkę na ramionach. Ponownie pchali się bestii wprost do gardła, choć tym razem z własnej woli.

Do wozu podszedł niewysoki mężczyzna z glinianą tabliczką zawieszoną na szyi. Obejrzał dokładnie furmankę, ładunek i Kadoka, a potem skrobął coś rysikiem na płytce.

– Z Suchych Pól? – rzucił krótko.

Gdy potwierdzili, od niechcienia pokazał im, co nabazgrał.

– Wychodzi tak. Łajno pięć groszy za wjazd i dwa za postojowe w mieście. Lis wilczy... – Z respektem popatrzył na olbrzymi pysk, z którego ściekała wstążka śliny. – Jeden grosz.

Wyciągnął dłoń po odmierzane przez Nilę monety, upchnął je do sakiewki i skinął głową dwóm wyrostkom uzbrojonym w widły. Młodzieńcy energicznie jęli wbijać długie ostrza w stertę nawozu. Dźgali przyzmę od podstawy po wierzchołek z taką werwą, że aż wielkie grudy suchych odchodów spadały im na nogi. Poborca odskoczył oburzony.

– Dość! Zrobicie mi tu chlew, durnie!

Obszedł wóz dookoła i niedbale ostukał pięścią szerokie burty.

– Możesz jechać. A pilnuj zwierzaka! Jak kogoś pogryzie, nie wyjdziecie z lochu! To porządne miasto, nie wasze zapchlone Suche Pola!

Odwrócił się w stronę kolejnej furmanki.

– Następny!

Dalko też nie czekał. Strzelił z bata i jechał przed siebie tak długo, aż Północna Brama nie znikła im z oczu na dobre.

– No, Nilu – powiedział. – Teraz najwięcej będzie zależało od ciebie. Szlag, ten twój pomysł jest szatański.

Nilu uśmiechnęła się pod nosem. Była z siebie dumna. Tym razem to ona coś wymyśliła. Dzięki niej mogli bezpiecznie opuścić Bawidło...



Przemieszczali się powoli, bo tylko tak dało się ostrożnie manewrować wozem między kramami, które na ich oczach wyrastały jak grzyby po deszczu. Wszędzie uwijali się kupcy i ich czeladnicy. Wszyscy bez wyjątku rozładowywali wypakowane towarami furmanki, przynosili pakunki i wykładali je na ladach.

Między nimi przepychali się kuglarze, ciągnący licznymi grupami a to w stronę Areny, a to ku najbliższej tawernie. Szli tak, jakby gród należał tylko do nich. Torowali sobie drogę krzykiem, śmiechem, żartobliwymi szturchańcami i nic nie robili sobie ze zgorszonych mieszczan, zirytowanych kupców, a nawet maszerujących trójkami strażników.

Kto żyw, zjechał do Bawidła! Miasto pękało w szwach. Ulice zamieniły się w wąskie potoki, którymi płynęła spiętrzoną strugą niezliczona liczba żywych stworzeń. Mieniący się wszystkimi kolorami tłum sunął wąskimi przecznicami i wciąż walczył z przeszkodami. Ludzie narzekali na niedbale postawione furmanki, zatrzymywali się przy stoiskach z gorącą strawą i napitkiem, objali się o gliniane piece, w których po nocy dogasał żar z suchego łajna.

– Popatrz tam! – Dalko nagle szturchnął Nilę. – W prawo! Nada się?

Dziewczyna spojrzała na ginący w mroku ślepy zaułek. Tworzyły go fasady dwóch rzędów kamienic tak obskurnych, że strach było między nie wjeżdżać.

– Doskonały! Skręcaj!

Żrenicznik szarpnął wodze, a koń wszedł posłusznie w ów ciemny korytarz, niezrażony brudem i koszmarnym odorem rozkładających się nieczystości. Ze sterty śmieci podniósł się wyliniały kocur i z ostrzegawczym sykiem zniknął pod stosem zapleśniałych odpadków. Kadok nawet nie spojrzał w jego kierunku.

– To chyba śmietnisko! – Nila zaśmiała się cicho. – Akurat tu nasz wóz pasuje jak ulał. Jedź do końca, Dalko.

Już po kilku sążniach otaczający ich wcześniej gwar przycichł, a oni sami zniknęli w półmroku, który sprzyjał tajemnicom i spiskom. Przechodnie nie zapuszczali się do tego nieoświetlonego i cuchnącego zakątka, w którym mogły spotkać ich jedynie kłopoty.

Dalko rozejrzał się ostrożnie na wszystkie strony i nie dostrzegłszy żadnego zagrożenia, wyciągnął trzy czołowe deski spod furmańskiego kozła.

– Wychodźcie! – szepnął w głąb schowka.

Z ukrycia wyłoniły się dwie pary rąk, a za nimi roześmiane twarze Sambora i Flawii. Wypełzli z kryjówki, a uszczęśliwieni towarzysze natychmiast złapali ich w objęcia. Cała czwórka chichotała, ścisnęła się i poklepywała po plecach.

Kadok przekonany, że wybuchy radości oznaczają zaproszenie do zabawy, wywijał ogonem, tulił się wszystkim do nóg, delikatnie skubał zębami palce i skamlał, domagając się zainteresowania. Najwięcej uwagi poświęcał Flawii i Samborowi, bo źle znosił ich zamknięcie w ciasnym zakamarku. Na przekór Arkanowi, lis nie uważał schowka pod stertą łąjna za właściwe schronienie dla swych nowych ludzkich przyjaciół. Z trudem udało się go przekonać, by przestał ujadać i nie odkopywał ich spod kolejnych warstw nawozu. Obowiązek czuwania nad Niepowszednimi Kadok wziął sobie bowiem do serca już w chwili, gdy Batu Tauris im go podarował, i od tamtej pory sumiennie opiekował się całą gromadką.

Wodniczka zanurzyła ręce w jego gęstym futrze.

– Kochany! – zamruczała czule. – Czekaleś!

Dalko tymczasem z troską spoglądał na rudowłosą dziewczynkę.

– Nic ci nie jest? Szlag! Strasznie długo byliście w zamknięciu! – upewniał się. – Nie jest ci słabo?

Mała pokręciła stanowczo głową. Potem zostawiła Kadoka i wyciągnęła spod desek niewielki tobolek.

– Zmieniaj te łachy! – powiedziała do Żrenicznika.

Sambor też wyciągnął podobne zawiniątko w stronę Nili.

– Ty też musisz się przebrać – szepnął, przyciskając ją do siebie. – Ale najpierw...

Zrobił dwa kroki do tyłu, by ciemność zasłoniła ich przed oczyma

przyjaciół. Nila objęła go za szyję i zamknęła oczy.

– Ej! – Dalko wdarł się w tę kradzioną chwilę intymności – no... nie teraz! Nilu, pospiesz się.

Żniwiarka zdjęła więc z siebie brudne pastusze ubranie i naciągnęła podaną jej przez Sambora suknię. Na to narzuciła cienką pelerynkę z ogromnym kapturem. Wytarła twarz i najstaranniej, jak mogła, zaplotła włosy w schludny warkocz. Zniknął pastuszek z Suchych Pól, a pojawiła się młodziutka mieszcanka.

– I jak? – Spojrzała w oczy zapatrzonemu w nią chłopakowi.

– Cudnie, ale ja to powtarzam, ilekroć cię widzę.

Żrenicznik, znów czysty i schludnie ubrany, podszedł do nich i dokładnie obejrzał Nilę.

– Jest dobrze – powiedział zadowolony. – A niech mnie! No i jesteś panną z Bawidła!

Obaj chłopcy zawiesili na ramionach rzemienie, do których przypięli pochwy z bronią. W ten sposób krótkie miecze łowców całkowicie skryte były pod długimi połami kurtek. Mogli się nie obawiać, że ktoś zobaczy oręż, którego – zwłaszcza tak rozpoznawalnego – nikt z nich nie powinien posiadać.

Dalko wyprzągnął konia i skierował go w stronę bramy wyjazdowej. Arkan zapewnił ich, że zwierzęta Taurisów są tak mądre, że potrafią same wrócić do obozowiska.

– Idź! – Poklepał z wdzięcznością dzielne stworzenie. – Czekają na ciebie w domu.

Konik dziarsko ruszył przed siebie. Wszystko było gotowe.

– Ruszajmy! – zakomenderował Żrenicznik.

Nilę rozejrzała się jednak po zaułku i bezradnie rozłożyła ręce.

– Zaczekaj, Dalko. Musisz mi to pokazać jeszcze raz – powiedziała. – Pogubiłam się.

Chłopak wyciągnął dłoń przed siebie i wskazał wylot z zaułka.

– No, najpierw prosto do wyjścia, potem w prawo aż do takiego wielkiego rynku. Kawał drogi, ale trafisz. Poznasz od razu, bo na środku sterczy strasznie brzydki wodopój. Zerknij no...

Ze sterty odpadków podniósł usmolony kawałek drewna. Narysował nim na desce niezgrabny kwadrat z niewielkim kółeczkiem w

centrum.

– To ten plac, a to wodopój. Gdy tam sobie staniesz, to zobaczysz wyloty czterech ulic. O, patrz! – Postukał w rysunek. – Stąd przyjdziesz! A naprzeciwko będziesz miała drogę do Areny. Taki marmurowy niedźwiedź tam stoi. Tam nie idź!

– Dobrze.

– No! To potem masz trzecią ulicę. Prowadzi do Bramy Piaskowej i tego bydlaka Welesa. Tam też nie wolno!

– O niebiosa! – jęknęła Nila. – Wszystko mi się myli! Niezbyt pewnie czuję się w mieście. Nigdy nie byłam w żadnym innym niż Bawidło.

Dalko poklepał ją po ramieniu.

– Dobrze jest. Na rogu stoi Cech Rzemieślników, wielki czerwony budynek. Łatwo zapamiętać, co? Po prostu, trzymaj się z daleka od niedźwiedzia i jeszcze dalej od czerwonego domu. Musisz za to iść tu! Od razu poznasz, bo to najszersza droga. – Pokazał jej patykiem wylot czwartej ulicy na rysunku. – Ciągnie się pod samą Bramę Flisaków. Na końcu będzie skwer i kamienice z podcieniami. Rozumiesz?

– Tak.

– No, to ukryj się tam i czekaj na Allę.

Nila raz jeszcze powtórzyła w myślach wszystko, co powiedział. W głowie jej huczało od nadmiaru szczegółów, ale dzielnie pokiwała głową.

– Dobrze! – powiedziała na przekór przerażeniu.

Sambor spojrział na nią z troską i uśmiechnął się pokrzepiająco.

– Nie bój się, wszyscy będziemy szli za tobą. Każdy oddzielnie, ale nawet przez moment nie zostaniesz sama. Flawio – zwrócił się do dziewczynki – ty weźmiesz Kadoka ze sobą. Będziesz z nim bezpieczna.

– Zgoda.

– Szkoda, że nie możemy pójść razem – westchnęła Nila.

– Wiesz, że... – zaczął Dalko.

– Wiem, że tak musi być! – przerwała mu. – Wiem, że osobno łatwiej nam nie zwracać na siebie uwagi. Wszystko to wiem! Ale i tak mi się to nie podoba. Nie ma co dłużej zwlekać. Idę!

Schowała twarz pod kapturem, chwilę obserwowała kłębiący się u

wylotu zaułka tłum, a potem włożyła pierścionek do kieszeni sukni i pewnym krokiem wstąpiła w sam środek ciżby.

Miała wiele do zrobienia. Nadeszła pora na jej własny plan, ten szatański. Musiała wywołać w mieście zarazę. No, prawie zarazę...

By choroba wyglądała groźnie, ale nie zrobiła nikomu krzywdy, wystarczył lekki dotyk tuż nad nadgarstkiem ofiary i odjęcie dłoni ledwie po sekundzie. Jednak takich dotknięć czekało ją sporo, zanim ci, których w ten sposób obdaruje, rozniosą plagę na innych.

Nil obrzuciła baczным spojrzeniem najbliższe otoczenie. Przy jej prawym boku wędrował zażywny mężczyzna z rękawami koszuli podciągniętymi wysoko ponad łokcie i to on stał się pierwszym celem.

– Och! – Złapała go gwałtownie za przegub. – Niezdara ze mnie! Potknęłam się!

Roześmiał się przyjaźnie i pomógł jej utrzymać równowagę. Potem ruszył dalej, a dziewczyna odetchnęła z ulgą.

– Jeden za mną – szepnęła, szukając wzrokiem następnych odsłoniętych rąk.

Zanim doszła do placu z wodopojem, posłała w głąb Bawidła czterech dotkniętych chorobą strażników, pięciu straganiarzy, jedną tancerkę i sześciu pijanych kuglarzy. Ulica była tak zatłoczona, że dotykanie ludzi przychodziło Żniwiarce bez najmniejszego wysiłku. Co chwila ktoś na nią wpadał, popychał lub dźgał boleśnie łokciem. Wystarczyło, że wyciągnęła obie dłonie nieznacznie przed siebie, a przechodnie sami muskali nadgarstkami jej palce. Właściwie niewiele musiała robić.

Wraz z tłumem wolno przesuwała się w głąb Bawidła. Gdy w końcu wydostała się z wąskiego przesmyku na ogromny plac, stanęła oszołomiona nie tyle imponującą przestrzenią, co panującym tu ściskiem. Nie musiała się martwić tym, ile osób zdoła zarazić. Tłok był tak wielki, że wystarczyłoby, gdyby dotknęła jednego przechodnia na dwudziestu, a po kilkunastu minutach i tak wszyscy na tym kwadratowym rynku odnaleźliby na sobie symptomy choroby. Problemem nie było wywołanie plagi, ale wydostanie się z placu.

Dostrzegła czerwoną fasadę budynku, przed którym przestrzegał ją Dalko. Ponieważ po przeciwległej stronie nad dachami kamienic

górowała ściana Areny, Nila założyła, że tylko tam znajdować się może wykuty w marmurze niedźwiedź, najpewniej przesłonięty kopułami wozów i straganów.

Żniwiarka zerknęła na cztery zbiegające się na skwerze ulice. Szukała tej najszerszej, która miała ją zaprowadzić do Bramy Flisaków. Gdy ją znalazła, od razu zaczęła przedzierać się w tamtym kierunku, ale wciąż pracowicie obdarzała swym dotykiem każdego, kto znalazł się w zasięgu jej rąk.

Szła powoli, bo tylko tak dało się wędrować między furmankami, kramami, kuglarzami, tancerkami i mieszczanami. Musiała przystawać, zmieniać kierunek, przeskakiwać nad dyszlami, opadać na kolana i przesmykiwać się pod straganami. Zanim umęczona dotarła do krańca placu, naliczyła blisko pięćdziesiąt osób, które miały lada moment zacząć straszyć pierwszymi objawami choroby. A każda z nich, dotknąwszy dziesiątków innych, nieświadomie ich zarażała.

Gdzieś w tym rozgardiaszu mignęła Nili twarz Sambora, a zaraz potem szara kita Kadoka przy niebieskiej falbanie sukienki Flawii. Jednak te miłe sercu obrazy zaraz wtopiły się w tłum i po chwili dziewczyna nie była nawet pewna, czy rzeczywiście dostrzegła przyjaciół, czy tylko tego pragnęła.

Zostawiwszy rynek za plecami, brnęła przed siebie kolejną tłoczną ulicą i mozolnie dotykała palcami wciąż nowych nadgarstków, aż wreszcie ujrzała wysoki mur Bawidła i osadzony w nim łuk portalu Bramy Flisaków.

Potężna, zdobiona rzeźbieniami kolumna dzieliła wjazd na dwie części. Prawą stroną opuszczało się miasto, a lewą do niego wjeżdżało. Bez wątpienia było to najpiękniejsze z czterech wejść do grodu. Tak jak inne zostało wykute w czystym niczym śnieg alabastrze, ale bardziej niż pozostałe zachwycało mnogością reliefów przedstawiających bitwy, zmagania siłaczy z dzikimi bestiami i pochody ujętych na wojnach jeńców. Łuk przyciągał wzrok dziesiątkami wyciętych w kamieniu wzorów, z których żaden się nie powtarzał, a ich misterne sploty sprawiały wrażenie poruszających się w blasku słońca węży.

Tuż przy kolumnie, obojętni na urodę ornamentów, stali opryskliwi poborcy myta i z furią wyklócali się z kimś o wysokość opłaty. Jakiś

oporny na ich wrzaski podróżny zablokował wozem wjazd, a za nim ustawił się sznur furmanek, pieszych i kolebek tak długi, że jego koniec z trudem można było dostrzec daleko nad brzegiem Nura.

Dla odmiany strażnicy, którzy strzegli prawej strony Bramy Flisaków, gapili się bezmyślnie na zupełnie pusty plac przed ich stanowiskiem. Tego dnia każdy chciał wjechać do miasta, ale nikt nie miał zamiaru z niego wyjeżdżać. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, Niepowszedni bez problemu powinni wyjść poza mury i zdążyć na odpływającą po południu barkę.

Nilą rozejrzała się ostrożnie. Dalko rzeczywiście znał Bawidło jak własną kieszeń. Okolica wyglądała dokładnie tak, jak mówił. Uliczka, z której dziewczyna właśnie wyszła, kończyła się niewielkim skwerem. Z trzech stron zamykały go rzędy zaniedbanych kamienic, a z czwartej miejski mur. Obskurne budynki wsparte były na grubych kolumnach, a za nimi kryły się w mroku podcienia tak odpychające, że nikt, kto przeszedł drobiazgową kontrolę przy wjeździe, nie chciał się tu zatrzymać choćby na chwilę. Nawet po to, by uporządkować zawartość wozu wywróconą do góry nogami przez poborców. Wszyscy spoglądali lękliwie na zakamarki i czym prędzej sunęli do przodu, byle dalej od tego niegościnnego zaułka. Żniwiarka uśmiechnęła się zachwycona. Było to wymarzone miejsce dla każdego, kto chciał pozostać niezauważony. Dla ukrywających się Niepowszednich wręcz idealne.

Nilą ruszyła ku najbliższej budowli.

Ciemność otoczyła ją niczym ciężka kotara, dzięki czemu mogła ukryć się za szerokim filarem i spokojnie poszukać przyjaciół.

Cichutki gwizd, który dotarł do dziewczyny z północnej strony, naprowadził ją na ślad Sambora. Gardłowy warkot dwa podcienia dalej i mignięcie błękitnego lnu ukazały kryjówkę Flawii i Kadoka, a maleńki kamyczek, celnie rzucony prosto na Nili stopy, mógł zostać posłany tylko dłonią Dalko. Nie pozostało im już nic innego jak czekać.

Przed oczyma Żniwiarki przewijał się tłum kolejnych szczęśliwców wpuszczonych na Karnawał Złota. Przypatrywała się ludziom uważnie, szukając wśród różnobarwnych postaci sylwetki siostry. Niestety, nigdzie nie dostrzegła nikogo, kto choćby trochę ją przypominał. Czas płynął, a Alli nie było. Gdy po długich minutach

daremneho rozglądania się Nila spojrzęła na niebo, że zgrozę
uzmysłowięła sobie, że słońce wläśnie stanęło w zenicie. Nieublägalnie
nadeszła pora, w której Aga Badur winna spłacić dług za życie swego
syna. Barka miała odpłynąć za dwie godziny.

I nagle naszła dziewczynę straszliwa myśl, że musiało stać się coś
złego, co pokrzyżowało plany ich sojusznicze. Opadła na kamienną
posadzkę i objęła ramionami kolana. Schroniwszy twarz w fałdach
sukni, nerwowo rozważęła położenie, w którym wszyscy czworo się
znalezli. Wiedziała, że jeśli nikt nie stawi się na spotkanie, będą musieli
wedrzyć się podstępem do domu Lubgosta Dragona. A im dłużej nad
tym rozmyślała, tym mniej miała złudzeń, że uda im się to bez pomocy
Agi Badur. Jednak strażniczki Lubgosta Dragona wciąż nie było i... koło
się zamykało.

– Pazerne matoly! – rozległ się niespodziewanie tuż obok okrzyk
rozwścieczonego mężczyzny.

Natychmiast zaczęły mu towarzyszyć dziesiątki innych głosów,
wzburzonych i przeklinających na czym świat stoi.

– Złodzieje! Toż to rozbój w biały dzień! Kradzież, a nie myto!

Nila poderwała głowę i z bezpiecznego ukrycia obserwowęła sporę
gromadkę kuglarzy. Stanęli tuż przy filarze, za którym przycupnęła i
robili więcej rabanu niż pozostali złupieni przez poborców przyjezdni
razem więci. Jakby tego było mało, do zgiełku przyłączyły się
towarzyszące sztukmistrzom psy. Ujadały tak głośno, jakby chciwość
urzędników miejskich poruszyła je w równym stopniu, co ich
właściciele.

Mężczyźni ustawili przy murze kamienicy dwa wozy z wysokimi
kopułami i niespiesznie wzięli się za układanie rozrzuconego bezładnie
dobytku.

– Żeby was cholera wzięła! Wszystko porozwalane! Bydło! – nie
przestawali narzekać.

– Gulio, zagraj nam! – krzyknął ktoś.

Młodzietki chłopak rozsiadł się wygodnie na furmańskim koźle i
zaczęł skocznie grać na skrzypkach. Po chwili dołączyli do niego inni,
przynosząc lutnie, fletnie, liry i piszczałki. Niewiasty śpiewęły,
mężczyźni grali, dzieci podskakiwęły radośnie, a psy wyły i szczekały,

jakby chciały mieć swój wkład w ów niespodziewany koncert.

Nilą przeraziła się, że zza tych wozów i w panującym zgiełku ani nie dostrzeże, ani nie usłyszy Alli. Poderwała się więc z ziemi gotowa ruszyć przed siebie. Byle dalej od hałasującej zgrai i zamieszania, jakie czyniła!

– Zostań tam, gdzie jesteś! – cichy rozkaz osadził ją w miejscu.

Dziewczyna z ulgą oparła się o ścianę. Nie zapomniała tego spokojnego, silnego głosu.

Aga Badur podeszła bezszelestnie niczym skradające się zwierzę. Bez słowa objęła Nilę i mocno ją przytuliła, aż wreszcie, odsunawszy się na odległość ramienia, wskazała muzykującą gromadkę.

– Myślisz, że po co to przedstawienie? Wszyscy dookoła patrzą tylko na nich. Na nas nikt nie zwróci uwagi.

Nilą spojrzęła na kobietę, olśniona jej sprytem.

– Możesz przyjść – rzuciła gdzieś za siebie Aga Badur.

– Alla! – szepnęła Nila i ruszyła ku siostrze.

Filigranowa dziewczyna, która wyłoniła się z ciemności, wydała z siebie ni to pisk, ni łkanie, po czym wpadła w rozwarte szeroko ramiona Żniwiarki. Stały bez ruchu, ściskając się ze wszystkich sił, jakby nie wierzyły, że owa chwila jest prawdą. Skrzypki zawodziły cicho, lutniarz wydobywał ze strun wysokie tony, piszczałki przecinały powietrze wibrującym świstem, a one szlochały głośno i oglądały nawzajem swe naznaczone cierpieniem rozłuki twarze.

– Jesteś! – wykrztusiła w końcu Alla.

Nilą pokiwała głową rozradowana.

– I ty jesteś!

– Oficjalnie jej już nie ma. Nie żyje – odezwała się z tyłu Aga Badur.

– Nie żyje?! – powtórzyła Nila.

Alla uśmiechnęła się ponuro.

– Od wczoraj. Lubgost Dragon ubolewa nad tragiczną śmiercią swojej najlepszej Bestiarki. Niedźwiedzica, którą tak ofiarnie ocaliłam w Arenie, rozszarpała mnie na strzępy i razem ze swoim młodym zbiegła na Uroczyisko. Wiesz, że została po mnie tylko sterta zakrwawionych szmat?

– Ale jak...

Aga Badur wzruszyła ramionami.

– Nilu, Bawidło to niebezpieczne miasto. Ciągłe ktoś tu ginie zadźgany nożem. A podczas Karnawału Złota mamy jeszcze więcej zbrodni niż normalnie w ciągu miesiąca. Straż ciągle znajduje ciała. Jakaś nieszczęsna dziewczyna wyświadczyła twej siostrze ostatnią przysługę.

– O niebiosy! – Żniwiarka załamała ręce nad potwornością tego miejsca. – A niedźwiedzica? Wypuściliście ją?

– Nie my! – uśmiechnęła się kobieta. – Twoja siostra!

– Oczywiście! – zachnęła się Alla. – Lubgost Dragon to potwór! Należało mu się! I za nas, i za te biedne stworzenia! Berta i Im są teraz wolni i bezpieczni.

Nilu zerknęła na Agę Badur.

– Berta i Im?

– Nawet nie pytaj. Bestiarze to hardzi ludzie. Nie ma z nimi dyskusji, zaś Alla... Możesz być z niej dumna, bo...

Kobieta ucichła nagle i obie z Allą wsłuchały się w piosenkę kuglarzy. Muzyka wyraźnie zwalniała. Rytm stał się mniej skoczny, dźwięki bardziej liryczne, a śpiew przeszedł w zawodzącą nutę serenady miłosnej znanej też w Kamiennych Kościach.

– Pora na nas, Nilu – powiedziała Alla. – Ci tutaj odjadą po następnej melodii. Musimy się już żegnać.

To powiedziawszy, przytuliła Agę Badur jak siostrę.

– Dziękuję. Gdyby nie ty, tych sześć dni...

– Allu, zawsze będziesz miała we mnie oddaną przyjaciółkę.

– Wiem. Ty we mnie również.

Wreszcie i Nilu wyciągnęła przed siebie dłonie. Aga Badur podała jej swoje i przez chwilę spoglądały na siebie poważnie, połączone wzajemną wdzięcznością za wyświadczone sobie przysługi.

– Ja i ty – szepnęła kobieta – jesteśmy kwita. Spłaciłam swój dług.

– Tak, pani. Dziękuję ci za wszystko.

– I ja dziękuję tobie.

Nie było już nic do dodania. Melodia ucichła, kuglarze zaczęli wskakiwać na furmanki. Aga Badur po raz ostatni skinęła dziewczętom

głową, a potem rozejrzała się czujnie na boki i wyszła z cienia wprost w
zmierzający ku głównemu forum tłum. Jeszcze przez moment widać
było ciemne włosy i czubki rękojeści obu mieczy, ale w następnej chwili
kobieta rozplynęła się w mrowiu przechodniów, jakby jej noga nigdy nie
postała na tym niewielkim skwerze.



Alla uważnie rozejrzała się dookoła.

– Gdzie reszta? – spytała.

– Są blisko.

Nilą nie miała czasu na bardziej szczegółowe tłumaczenia.

Zastanawiała się. Oznaki choroby musiały się już pojawić. Zaraziła tyle osób, że większość powinna właśnie odkrywać niepokojące ślady na skórze. Choć nie wypatrzyła ich jeszcze wśród tłumu, była pewna, że nie popełniła błędu. Nadeszła pora, by zaczynać. Włożyła dwa palce do ust i gwizdnęła przeciągle.

Odpowiedziały jej trzy krótkie wizgi, a po chwili trójka Niepowszednich wyszła z ukrycia i wmieszała się w ludzkie mrowie.

– Widzę ich! – szepnęła rozgorączkowana Alla. – Sambor, Dalko, Wodniczka!

– Flawia – poprawiła ją odruchowo Nilą. – Dostała imię na Suchych Polach.

– Naprawdę? Flawia? Muszę zapamiętać... Będzie jej przykro, jeśli nazwę ją jak...

Zaniemówiła na chwilę, gdy dostrzegła czworonożnego towarzysza dziewczynki.

– Do groma! Co to jest? Wilk?!

– Lis wilczy. Wabi się Kadok.

– Skąd... Jak... – Z wrażenia Bestiarka nie była w stanie zadać sensownego pytania.

Siostra wybawiła ją z opresji.

– To dar od Batu Taurisa. Dla ciebie.

Alla popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Jest mój? Bogowie! – Westchnęła głęboko i pokręciła głową, oszołomiona. – Masz mi sporo do opowiedzenia, siostrzyczko.

– Później! Patrz! Są wreszcie! – Nilą z ulgą powitała pierwsze czerwone wykwity na ciele zażywnego przechodnia.

Plamy nie były duże. Z daleka przypominały dokuczliwe

pozostałości po ukąszeniu komara. Jednak, gdy przyjrzeć im się uważnie, straszyły krwistym kolorem i wypukłymi grudkami, które miały kierować ludzkie myśli tylko ku jednej przerażającej możliwości.

Pozostało tylko dobrze wszystko rozegrać. Czwórka spiskowców wiedziała, że ich plan wymaga spektakularnej oprawy. Sambor zaczął jako pierwszy. Stał pośrodku największego ścisku, wytrzeszczył dramatycznie oczy i wycelował palec w korpulentnego mężczyznę, którego ręce pokrywały czerwone pęcherze.

– Aaaaa! Zaraza! – ryknął, dając imponujący popis możliwości swojego głosu. – Aaaa! Ludzie, patrzcie! Czarna ospa!

Zaskoczony jegomość zerknął na swoje dłonie i przerażony widokiem, wyciągnął je w stronę towarzyszącej mu niewiasty.

– Co... to? – stęknął.

Kobiecie aż pakunki wypadły z rąk. Owoce, kłębki wełny i jakieś mosiężne kule potoczyły się po bruku.

– Śmierć! – jęknęła, a potem zaczęła piszczeć strwożona.

Alla złapała siostrę za ramię.

– Słyszałaś? Mór!

– Nic nam nie grozi – mruknęła uspokajająco Nila. – To zwykła wysypka. Sama ją wywołałam.

Mieszczanin, którego wskazał Sambor, niepewnie rozejrzał się wokół siebie. Niewiasta wciąż zawodziła, a zaniepokojony krzykami tłum omijał ich szerokim łukiem. Mężczyzna raz jeszcze spojrzął na swoje ramiona, a potem zawył:

– Ludzie, pomocy! Słabo mi! Medyka! To czarna ospa!

Przechodnie podskoczyli, jakby ktoś zdzielił ich batem.

– Mór! Śmierć! Plaga! – krzyczał niezmordowany Sambor.

Nagle wszyscy wpadli w panikę. Krzyczeli, rozpychali się i parli do przodu, byle jak najdalej od lamentującego jegomościa i jego żony. Tymczasem w sukurs Unikowi przyszli przyjaciele.

– Ludzie, uciekajcie! – Z drugiego skraju placu doleciał cienki głosik Flawii. – Czarna ospa!

– Śmierć! Zaraza! Ratuście się! – dołączył do niej Dalko.

Z okrzykami garstki Niepowszednich zwały się wrzaski dochodzące z tłumu – zrazu pojedyncze, potem coraz powszechniejsze. Nila

uśmiechnęła się pod nosem, widząc, że niemal jedna na pięć osób zastyga nieruchomo i z niedowierzaniem wpatruje się we własne dłonie lub nogi. Alla natomiast nerwowo rozglądała się wokół siebie.

– Może jednak uciekajmy... – jęknęła. – A jeśli to naprawdę mór?

– Jaki tam mór! Przysięgam, że to zwykłe, niegroźne pęcherze.

Tylko że nikt o tym nie wie. Są podobne do ospy, bo mają udawać ospę!

– Ale po co? Ja wciąż nie rozumiem...

– A jak inaczej miałam wywołać panikę? – przerwała jej Nila. –

Myślisz, że zwyczajnie wypuszczą nas z miasta? Wszyscy nas szukają! Dlatego robimy zamieszanie. Tylko tak uciekniemy. To jedyny sposób!

Bestiarka popatrzyła na siostrę z podziwem.

– To jest po prostu... Bogowie! Jesteś niesamowita! Zaraza w mieście? Żaden strażnik na nas nie spojrzy!

– Mam nadzieję, bo inaczej jesteśmy w tarapatach.

– Kiedy ruszamy?

– Gdy zrobi się naprawdę ciasno. Wiesz o barce?

Alla pokiwała głową.

– Aga wszystko mi powiedziała.

Spojrzała na słońce.

– Czas umyka. Trzeba się spieszyć.

– Wiem – odrzekła Nila.

– Zobacz, co się dzieje!

Na ich oczach kolejne ciała pokrywały się chorobliwą czerwiecią, a przerażeni tym faktem ludzie stawali jak wryci i z niedowierzaniem oglądali swoje dłonie, dekolty i ramiona. Chwilę potem zaczęli krzyczeć. Niektórzy rzucali się ku swoim towarzyszom w poszukiwaniu ratunku, inni opadali na kolana, by złorzeczyć na los, jaki przypadł im w udziale.

Ci zaś, których choroba oszczędziła, nie zamierzali wystawiać Fortuny na pokuszenie. Głusi na rozpaczliwe prośby o pomoc, bezlitośnie roztrącali chorych i parli przed siebie napędzani najmocniejszą z ludzkich sił – wolą przetrwania.

– Ludzie, ludzie! Uciekajcie! Zaraza! – nawoływał niestrudzenie Sambor.

– Zamknijcie się w domach! – radził ktoś.

– Nie pomagajcie nikomu! Chrońcie siebie! – ostrzegał inny głos.
– Nie dotykać chorych! To śmierć! – rozlegało się ze wszystkich stron.

To już była jedna wielka rejterada! Nie było nikogo, kto szedłby zwykłym krokiem. Większość biegła w milczeniu, ten i ów płakał, a wszyscy chcieli jak najszybciej oddalić się od nosicieli plagi. Niestety, w wymyślony przez Nilę plan wkradła się pierwsza rysa. Tylko nieliczni mieszkańcy ruszyli ku miejskim murom, jak to zaplanowała. Reszta popędziła szeroką nawą ku uliczce, która prowadziła na plac z wodotryskiem.

– Psiakrew! Dlaczego tam? – zdenerwowała się Żniwiarka. – Przecież powinni uciekać w stronę Bramy! Mieli nas zasłonić!

– Chyba w panice nikt nie myśli rozsądnie... – niepewnie odpowiedziała Alla.

– Trudno! Nie tak miało być, ale ruszamy. Szkoda czasu!

Gwizdnęła tak głośno, że wysoki świst rozszedł się szeroką falą ponad pogrążonym w chaosie placem. Niemal natychmiast odpowiedziały jej trzy podobne dźwięki na znak, że rozproszeni wśród oszalałego zbiorowiska Niepowszedni zmiierzają ku Bramie Flisaków.

– Szybko! W stronę muru!

Nie było łatwo, bo na przeszkodzie stanął im prący w przeciwną stronę tłum. Wyglądało na to, że mieszkańcy Bawidła woleli skryć się we własnych domach niż uciekać z grodu i dlatego gnali ku sercu miasta, natomiast zaślepieni trwogą przyjezdni bezmyślnie naśladowali miejscowych, choć nie mieli pojęcia, gdzie i w jakim celu owi pędzą.

Na szczęście im bliżej celu były dziewczęta, tym tłok stawał się mniejszy. Obie wciąż przeciskały się z trudem, ale ciżba ludzka nie stanowiła już tak zwartej masy. Gdy w końcu znalazły się na tyle blisko muru, że mogły bez trudu dostrzec wysokiego kupca przy stanowisku poborców i kolejkę wozów po drugiej stronie suchej fosy, tłum przzerzedził się aż tak bardzo, iż Nila zdołała wyszukać wzrokiem Sambora i Flawię. On też ją zobaczył, ale zamiast się ucieszyć, ryknął na cały głos:

– Nie ma Dalko!

Nilę wyhamowała gwałtownie.

– Jak to nie ma? – wychrypiała z rozpaczą. – To niemożliwe!
Niestety, chłopak mówił prawdę. Żrenicznika nigdzie nie było widać.

Sambor i Flawia uściskali Bestiarkę tyleż serdecznie, co krótko. Na więcej nie było czasu, bo Dalko... Może trzeba było go szukać, może potrzebował pomocy! Musieli decydować natychmiast. Tylko Kadok uznał spotkanie z dziewczyną za wydarzenie absolutnie najważniejsze. Przysiadł przy Alli i wlepiwszy w nią maślane spojrzenie, trwał w idealnym bezruchu jak zaczarowany. Jakby wiedział, z kim ma do czynienia. Ona zaś łagodnie pociągnęła go za kosmate ucho i uśmiechnęła się.

– Później, lisku – powiedziała. – Potem się poznamy, ale już cię kocham.

Rozanielony Kadok zapiszczał jak szczeniak.

– Nie pójdziemy bez Dalko! – zapowiedziała Flawia.

– Oczywiście, że nie!

Rozglądali się więc na wszystkie strony, lecz choć czas upływał nieubłaganie, chłopak wciąż się nie pojawiał.

Tymczasem nieoczekiwanie tłum ponownie zaczął gęstnieć. Najwyraźniej przyjezdni zorientowali się wreszcie, że ratunkiem dla nich jest ucieczka za mury i zaczęli się przedzierać w stronę bramy. Z jednej strony cieszyło to Nilę, bo odpowiadało jej planom, ale z drugiej utrudniało poszukiwania. Na skwerze było już zbyt wiele osób, by dało się wyłuskać Dalko z tłumu. Nawoływanie też straciło sens. Niemilosierny hałas sprawiał, że ledwie słyszeli siebie nawzajem. Na domiar złego z minuty na minutę działo się coraz gorzej.

Kto mógł, łapał z furmanek i kramów cokolwiek, co nadawało się do obrony i wywijając orężem, odstraszał zarażonych pechowców. Olbrzymia zgraja wystraszonych ludzi hurmem zaatakowała szeroki przesmyk między domami i zamiast się uratować... nieświadomie uczyniła z własnych ciał olbrzymi szpunt, który na trwałe zapchał jedyne wyjście z placu. Rozległy się wrzaski zaklinowanych między kamienicami nieszczęśników. Choć darli się wniebogłosy w obawie przed uduszeniem, nikt nie zamierzał ich słuchać. Tłum nadal naciskał ze wszystkich stron. Ci, którzy stali na samym końcu, wzięli się za obronę

tyłów i bezlitośnie tłukli chorych.

– Wynocha! – Wywijali kijami. – Wara od nas! Nie podchodzić!

Flawia odwróciła się nagle w stronę Alli i Kadoka.

– Za chwilę zaczną się tu dziać straszne sceny. Każ mu szukać Dalko!

Nawiązanie kontaktu ze zwierzęciem zajęło Bestiarce kilka sekund. Olbrzymi lis całym swym potężnym ciałem zdawał się mówić, że od urodzenia czekał na owo spotkanie. Od razu zaczął tłuc ogonem po bokach i z uwielbieniem w oczach przypadł dziewczynie do stóp. Pogłaskała go i szepnęła ponagląco:

– Biegnij! Znajdź Dalko!

Kadok poderwał się z bruku i jak strzała pomknął w stronę kamienic na północnym krańcu placu. W okamgnieniu zniknął w podcieniach, a Niepowszednim pozostało już tylko czekać i wypatrywać powrotu obu przyjaciół. Z trwogą przyglądali się temu, co działo się wokół nich.

– O niebiosa! – wyszeptała Nila. – Nie chciałam tego! Nie sądziłam, że ludzie będą się tak zachowywać! Myślałam...

Miała ochotę się rozplakać, ale wydarzenia toczyły się tak szybko, że nie zostawiły miejsca na rozczulanie się.

– Jest! – Sambor pokazał im szczupłą postać wspartą jedną dłonią na masywnym karku lisa.

Dalko szedł tak, jakby ledwie widział. Nic dziwnego. Jego prawe oko znikło zupełnie pod opuchlizną, zaś rozcięta brew straszyla brzydką raną, która zakrwawiła i twarz, i ubranie. Nie to było jednak najgorsze. Całe ciało Żrenicznika tonęło w morzu czerwonych plam i nabrzmiąłych pęcherzy!

– Zaraził się!

– A potem go za to pobili! Braciszku! – załamała ręce Flawia i zrobiła krok w jego kierunku.

Sambor w porę ją pochwycił.

– Poczekaj! Nie idź tam! – sapnął i krzyknął do przyjaciela: – Dalko, zatrzymaj się!

Chłopak posłusznie opadł na bruk.

– Nie dadzą mu szans, zatłuką go – powiedział cicho Sambor, a

potem dodał ponuro: – I nas też, jeśli się od niego zarazimy.

Nilą w mig zrozumiała, co chciał powiedzieć. Wiedziała, że bez leczenia się nie obejdzie. Nie mieli szans na wyjście z miasta z chorym. Ciężko zlinczowałby Dalko, zanim zbliżyliby się do bramy. Tylko zdrowi mogli wmieszać się w tłum.

– Muszę go uzdrowić – powiedziała stanowczo. – A wy macie się do niego nie zbliżać, bo i was będę musiała ratować! Nie mamy na to czasu. Zostańcie! Zaraz wrócę.

– Akurat! Nie puszcze cię samej. – Sambor wyciągnął z pochwy miecz. – Idę z tobą! To szaleńcy! Allu, wołaj Kadoka. Niech was pilnuje.

Bestiarka cichutko gwizdnęła, a uszczęśliwiony lis natychmiast znalazł się przy jej nogach.

– Chodźmy! Wylecz Dalko! – Sambor pociągnął Nilę za rękę. – A potem od razu na barkę!

Ledwie to powiedział, plac się wreszcie odkorkował!

– Ludzie, do Bramy Flisaków! Wiejmy za mury!

Pierwsi uciekinierzy oderwali się już od zwartej grupy tamującej wylot ulicy. Następni byli kwestią kilku chwil.

– Na Uroczysko!

Stukot pędzących po bruku stóp brzmiał coraz głośniej.

– Psiakrew, Sambor! – krzyknęła bezsilnie Nilą. – Nie zdążę! Zaklinują i to wyjście, zanim skończę!

– Trudno! Najpierw go ulecz!

Gdy dobiegli do Dalko, przy wylocie jeszcze przed chwilą zablokowanej alei nie było już prawie nikogo. Za ledwie kilku nieszczęśników wlokło się niemrawo w stronę forum. Pozostali, czy zdrowi czy zarażeni, co sił w nogach pognali ku Bramie Flisaków. Nilą położyła dłonie na Żreniczniku.

– Będzie dobrze! – Uśmiechnęła się do niego pocieszająco.

– Ktoś musiał mnie dotknąć, zanim się zorientowałem – wyjaśnił znużony. – No, a potem to już nie dali mi dojść do bramy. W końcu któryś zdzielił mnie kijem. Szlag, ale boli! Myślałem, że oślepiłem ... no, chyba zemdlałem i wtedy znalazł mnie Kadok.

– Nilu, szybciej! – ponaglił ją Sambor.

Pokiwała głową.

– Dalko, teraz zajmę się tylko pęcherzami. Oko uleczę na barce. Nie martw się.

Uzdrowiająca energia natychmiast uderzyła z całą mocą. Wyleczenie wykwitów, które choć wyglądały groźnie, były równie zabójcze jak zadrapanie na skórze, trwało tyle, ile ich wywołanie. Już po chwili Dalko patrzył z niedowierzaniem na swoją gładką skórę. Sambor nie pozwolił mu na zachwyty.

– Uciekajcie! – krzyknął w kierunku Flawii i Alli, a sam popchnął z całej siły Nilę i przyjaciela aż pod mur.

W samą porę. W stronę Bramy Flisaków pędziła nieprzebrana rzesza ludzi. Na jej widok strażnicy zaczęli gorączkowo naradzać się z poborcami myta. Jedni i drudzy miotali się w tę i z powrotem niepewni, czy wziąć nogi za pas, ale narazić się na gniew Lubgosta Dragona, czy zostać i stawić czoło czarnej ospie. W końcu do ucieczki skłonił ich przerażony właściciel wozu, który wciąż tarasował zwodzony most. Nieszczęśnik wrzasnął jak oparzony, zeskoczył z furmańskiego kozła i porzuciwszy cały swój dobytek, pobiegł na łeb na szyję w kierunku Uroczyska.

– Zaraza! – ostrzegł niczego dotąd nieświadomych podróżnych po drugiej stronie muru.

I tak rozpętał piekło na przedpolu grodu. Nikt już nie czekał na wjazd do Bawidła. Karnawał Złota raptem przestał być pożądaną atrakcją. W jednej chwili spod miasta ruszyła kawalkada furmanek i kolebek, a pośród nich przemykało też około setki pieszych.

– Co? Co się dzieje? – nerwowo pytali ci, do których wieści o epidemii jeszcze nie dotarły.

Nie wszyscy uwierzyli w straszliwe pogłoski. Kilkudziesięciu niedowiarków wbiegło na przerzucony nad fosą most, by spojrzeć na wydarzenia własnymi oczyma. W tej samej chwili na kładkę z przeciwległej strony wpadła gromada uciekinierów z grodu. Stare, wysłużone drewno ugięło się gwałtownie, a podpierające konstrukcję legary zachwiały się, niezdolne unieść takiego ciężaru. Most zaczął się przechylać!

– Ludzie! Zejdźcie! – krzyczeli wniebogłosy strażnicy.

Mało, że nikt ich nie słuchał, to jeszcze następna grupa uchodźców

wydostała się z kamiennego przejścia i wbiegła na deski! Przerażonemu ich głupotą poborcy pozostało tylko bezradnie wrzeszczeć za nimi:

– Nie wchodźcie na most! Ludzie, co wy robicie?!

W ten właśnie sposób na szczywanym planie Niepowszednich pojawiła się druga rysa. Kiedy Alla, Flawia i Kadok dołączyli do reszty przyjaciół, tłum zaklinował już i Bramę Flisaków, i most. Nie było sensu się tam pchać.

– Szkoda czasu – zawyrokował Sambor. – Miną wieki, zanim tędy przejdziemy.

Bestiarka tupnęła wściekle nogą.

– Daj spokój! W ogóle nie wyjdziemy tą drogą. Patrz, co za durni ludzie. – Pokazała przechylony most. – Zbierajmy się stąd, byle szybko. Ta kładka nie wytrzyma! Gdy się zawali, wszyscy będą szukać najbliższej bramy. Musimy być tam pierwsi!

– Psiakrew! – przerwała jej Nila ze łzami w oczach. – Naprawdę to nie tak miało być! Gdybym umiała przewidzieć, co się stanie, nikogo bym nie zarażała... Wybaczcie, ja...

Dalko nie pozwolił jej dokończyć.

– Przestań! Toż sama o tym nie zdecydowałaś, nie? No, wszyscy tego chcieliśmy! Skąd mieliśmy wiedzieć? Szlag! Potem będziemy płakać i się obwiniać. Teraz trzeba dumać, co dalej. Inaczej wszyscy stąd zwieją, a nas Weles capnie w pustym mieście!

– Przepraszam. Masz rację. – Nila wytarła nos rękawem.

– Dobra. A gdyby tak...

– Co? Masz jakiś pomysł?

Dalko westchnął ciężko i rozejrzał się wkoło. Chwilę myślał, kreśląc coś pospiesznie palcem na zakurzoną bruk.

– Mam, ale parszywy – zastrzegł. – Brama Piaskowa.

– O bogowie! – jęknęła Alla.

– Do Welesa?!

– No, innej drogi to ja nie widzę – mruknął Dalko. – Ile nam zostało do odpłynięcia barki? Godzina najwyżej, nie? Flisakami nie przejdziemy. Do Północnej i Kresowej nie przebijemy się. I za tłoczno, i za daleko. Zresztą, stamtąd za długa droga do przystani. Nie zdążylibyśmy. No... tego, zostaje tylko Piaskowa.

– Ale, Dalko – odezwała się cicho Nila – oni tam na nas pewnie czekają!

– Szlag! Wiem! Mówiłem, że parszywy...

Flawia popatrzyła na stłoczonych przy murze ludzi. Wrzeszczeli, pchali się i złorzeczyli sobie nawzajem.

– A gdyby... – zastanowiła się – wykorzystać ich jeszcze raz.

– Znowu mam zarażać?

Mała pokręciła głową.

– Nie, nie... napuścimy ich na Welesa. Właściwie, nic nie musimy robić. Sami do niego przyjdą, gdy zawali się most, o ten tutaj.

– Wy tłumacz dokładnie!

– Pobiegniemy do Piaskowej i przyczaimy się tak, żeby Weles nas nie zauważył. Za nami ciągnąc będzie cały ten tłum. Poczekajmy na największy ścisk i wtedy spróbujemy uciec. W tłoku może nam się udać. Poza tym – Wodniczka pomyślała chwilę – Weles to tchórz.

– Zwiął przed burzą, to pierwszy zwieje przed zarazą! – domyślił się Sambor.

– Właśnie. Może zapomni o nas.

Całą piątką popatrzyli na siebie z nadzieją.

– To może się udać? – zapytała Nila.

– Właściwie to nasza ostatnia szansa – ponuro uzmysłowiła im Flawia. – I tak nie mamy wyboru.

– Obyśmy mieli gdzie się przyczaić, zanim Weles nas wypatrzy – mruknął grobowym głosem Unik.

Dalko pacnął się w czoło.

– Pamiętacie nasz wyjazd na Pagórki? Przy murze jest ślepy zaułek! No, taki długi i wąski, strażnicy trzymają tam jakieś rupiecie. Szlag! Tam możemy przeczekać!

Nie zwlekali dłużej. Kadok mknął przed nimi. Szcherząc kły i powarkując, torował im drogę. Gdy dotarli na plac z wodopojem, stanęli jak wryci. Forum, wcześniej tak tłoczne i nieprzejezdne, opustoszało. Pozostały tylko porzucone kramy, wozy i puste klatki po ptakach. Wśród tej masy nieruchomych przedmiotów snuli się pokryci karmazynowymi pęcherzami biedacy.

– Gdzie reszta? – zdumiała się Alla.

– Miejscowi pewnie w domach – wzruszył ramionami Dalko. – A przyjezdni pod bramami.

– Może jednak zdążymy przez Północną?
Żrenicznik zdecydowanie pokręcił głową.

– Za daleko. Nie mamy na to szans. Naprzód!

Przecięli olbrzymi skwer i wpadli w długą ulicę. Domy po obu jej stronach, czy to biedne, czy okazałe, zgodnie odstraszały zatrzaśniętymi na głucho okiennicami i zaryglowanymi drzwiami.

Dalko pewnie prowadził ich przez plataninę kolejnych przecznic, wąskich przesmyków i niewielkich skwerów. Musieli zbliżać się do celu, bowiem wokół nich pojawiały się coraz liczniejsze grupy ludzi. Wszyscy zmierzali w tym samym kierunku. Żrenicznik niespodziewanie zwolnił, pozwalając obcym wyminąć ich małą gromadkę, aż w końcu zatrzymał się przed ostatnią w rzędzie kamienicą. Tuż za nią rozpościerał się zatłoczony plac, na którego końcu wznosiła się potężna Brama Piaskowa. Chłopak wyjrzał ostrożnie zza węgła i obrzucił czujnym spojrzeniem każdy zakątek rozległego skweru.

– Nie widzę ich – szepnął. – Może idźmy oddzielnie, co? No, trudniej wypatrzyć jednego dzieciaka niż czworo, nie?

– Dobrze – zgodziła się Alla. – Którędy?

– Jak najbliżej wschodniego krańca. To najkrótsza droga do zaułka. Sambor wyciągnął miecz z pochwy.

– Pójdę pierwszy – powiedział i przyciągnął Nilę do siebie.

Pocałował ją żarliwie, nie zwracając uwagi na pozostałych, a potem odważnie wyszedł ostrożnie na zalany słońcem plac.

Bez problemu wmieszał się w tłum i pomknął ku wschodniej ścianie kamienic. Żrenicznik śledził przyjaciela wzrokiem aż do chwili, gdy ten dotarł bezpiecznie do ciemnego zakamarka pod murem.

– Udało mu się! No, kto teraz?

Flawia trwożliwie wystąpiła do przodu.

– Ja.

Bestiarka zareagowała natychmiast.

– Kadok! Pilnuj jej!

Potężny lis posłusznie zamachał kitą i z gracją podszedł do rudowłosej dziewczynki.

– Idźcie!

Ruszyli oboje. Zwierzę nie odstępowało małej nawet na krok. Oślaniało ją ciałem przed każdym, kto ośmielił się stanąć im na drodze. Nie było zresztą takich wielu, bo lis warczał jak wściekły, a to wystarczyło, by wszyscy czmychali w popłochu. W ten sposób także Flawia zniknęła bezpiecznie w czeluściach mrocznej uliczki.

Żrenicznik odetchnął z ulgą i odwrócił się ku obu dziewczętom:

– Będę ostatni. Gdybym zauważył któregoś łowcę, od razu narobię rabanu.

– No to teraz ty. – Popchnęła siostrę Nila. – Idź!

Alla tylko skinęła głową i poderwała się do biegu. Z każdym krokiem przyspieszała, aż w końcu zdawało się, że to nie dziewczyna, lecz wicher mknie pomiędzy straganami i furmankami. Dotarła do muru najszybciej z całej trójki i zginęła im z oczu.

– Teraz ja! – westchnęła z przestraszeniem Nila.

Wypadła na skapany w promieniach słońca skwer i popędziła ku jego wschodniemu obrzeżu. Unikała spoglądania w twarze biegnących zewsząd ludzi. Po prostu omijała wszystkie przeszkody na swojej drodze. I nagle jakieś niepokojące wejrzenie, czyjś ponury wzrok zatrzymał ją na ułamek sekundy! Rozejrzała się przejęta. Daleko, na zachodnim skrzydle placu dostrzegła barczystą sylwetkę, błądy policzek i długie ciemne włosy.

Izbor! – ni to jęk, ni histeryczny wrzask rozległ się w jej głowie.

Zamknęła na sekundę oczy, a gdy je na powrót rozwarła, po mężczyźnie nie było śladu. Zupełnie jakby rozpułynał się w południowym słońcu lub jak gdyby był tylko wytworem podsycanej strachem wyobraźni.



– Chyba widziałam Izbora! – obwieściła Nila przyjaciółom, gdy tylko wpadła do ciemnego zaułka.

Wszyscy czworo rzucili się jednocześnie ku wylotowi uliczki. Przepychali się niezdarnie, szukając twarzy znienawidzonego łowcy. Zanim jednak na dobre rozejrzeli się po skwerze, wprost na nich wyskoczył zziajany Dalko. W oczach miał grozę.

– Znaleźli nas! – wysapał. – Szlag! Weles i reszta! Idą tu!

– Uciekajmy przez bramę!

– To na nic. Za późno!

Sambor od razu spojrział na boki i za siebie, ale nie znalazł niczego, co pomogłoby im wydostać się z tej wąskiej pułapki.

– Do licha! – krzyknął wściekły.

Mroczne zakamarki miały niestety to do siebie, że były świetną kryjówką, ale mogły też stać się śmiertelnym potrzaskiem. Uliczka była ślepa. Z trzech stron otaczał ich wysoki ceglany mur. Chłopak nie namyślał się długo. Instykt Unika natychmiast kazał mu stanąć tak, by zatarasować ciasne wejście.

– Idźcie jak najdalej w kąt! – komenderował pospiesznie. – Straszna ciasnota, więc będą atakować w pojedynkę. I dobrze! To moja szansa. Muszę ich pokonać! Tylko wtedy stąd wyjdziemy. Schowajcie się!

– Mowy nie ma! – Dalko wydobył z pochwy miecz Nadira. – Pomogę ci, jak umiem.

Sambor spojrział na druha z wdzięcznością.

– Doceniam, lecz póki co, nie ryzykuj. Stań za mną. Atakuj tylko, jeśli ktoś się przedrze. Miecz na razie trzymaj pod kapotą i nie wyjmuj aż do ostatniej chwili.

– Ale...

– Dalko – przerwał mu chłopak – rób, co mówię! Jeśli ich zaskoczysz, będziesz miał większe szanse.

– Weźcie Kadoka! – zdecydowała Alla i machnęła palcami.

Zwierzak potrzebował ledwie chwili, by pojąć, jak ważne zadanie wyznaczyła mu Bestiarka. Warknął cicho i przywarował u boku Sambora. Sam wygląd gotowego do ataku lisa powinien odstraszyć niejednego napastnika. Zjeżona sierść, sztywny ogon i wyszczerzone kły czyniły go podobnym do rozjuszzonej bestii. Tylko głupiec, za nic mający własne życie, chciałby się z nim zmierzyć.

Nilu wepchnęła się pospiesznie przed siostrę.

– Ty też ustaw się z tyłu! – zdecydowała. – Uważaj na siebie i chroń Flawię. Dopóki się da! Zrobię, co mogę, żeby nikt do was nie podszedł.

– Nilu!

– Nie zabiję nikogo! Tylko powalę... jak Izbor. Nie pozwolę was skrzywdzić!

– A ja? Mam stać jak kołek? Chcę pomóc!

– Allu! – Potrząsnęła nią Nilu. – Ja, Sambor, Dalko i Kadok naprawdę możemy walczyć! Ty jesteś bezbronna! Flawia też nie poradzi sobie sama!

– Akurat! Patrzcie! – doleciał z góry cichy głosik.

Obie poderwały wysoko głowy i na moment oniemiały ze zdumienia. Flawia wspinała się po niewielkich nierównościach muru zwinnie jak jaszczurka. Można było uciec górą!

– Idź za nią! – Nilu dźgnęła siostrę palcem. – Ratuj siebie i małą. Spotkamy się przy barce! Jeśli tam nie dotrzemy, uciekajcie same. Słyszysz? Wróc do domu, sprowadź pomoc!

– Ale... ja... – wydukała osłupiała Bestiarka.

– Już!

Alla posłusznie postawiła stopę na cegle i zaczęła się wspinać. Robiła to lekko niczym kot. Uważnie stawiała stopy i bezbłędnie wyszukiwała maleńkie krzywizny muru, czyniąc z nich podporę dla nóg i palców. Wędrowała w górę tak szybko, że po chwili nie było po niej już śladu. W samą porę, bo sekundę później plamę światła u wylotu zaułka zakrył cień – Izbor wepchnął się w wąski przesmyk.

– Ty! – ryknął w stronę Nili. – Doigrałaś się, dziewucho! Mam cię!

Choć wciąż był blady, wyglądał znacznie lepiej niż na Pagórkach Wietrzycy. Jego silne ciało dawało odpór słabości, a nienawiść do

Żniwiarki promieniowała zeń ze zwielokrotnioną mocą.

Zza szerokich pleców łowcy wysunął się Weles.

– Wszystko w swoim czasie. Najpierw wyjedźmy z miasta! – Popatrzył na odzyskanych więźniów ze znudzeniem. – Jesteście tylko zgrają głupich dzieciaków. Mogę w was czytać jak w księdze. Nie ma lepszej przynęty niż te bzdury o rodzinie i przyjaźni. Wystarczyło zacząć się i czekać, aż sami wrócicie po Bestiarke. Tak się odzyskuje towar, kamraci! Bez kiwnięcia palcem! A wiecie, co jest najlepsze? Dostałem z powrotem coś, co przegrałem w kości. Na dodatek samo wlało mi w łapy. Uniku, zwiaseł Emie?

Izbor zarechotał pogardliwie.

– Patrzcie, patrzcie... Młody nie jest taką ofertą, na jaką wygląda. Sambor nie zamierzał pokornie znosić kpin. Szyderczo wykrzywił usta i lekko uniósł migoczącą złotem broń. Łowca spojrzał na miecz i zmienił się na twarzy.

– Patrzcie, patrzcie... – drwiąco powtórzył jego słowa chłopak – Izbor, mam coś twojego. Ty tchórze! Uciekałeś tak szybko, że zgubiłeś żelastwo. Dobrze, żeś gaci na pustyni nie zostawił.

Pozornie Sambor nie robił nic, tylko wypowiadał obelżywe dla Złotnika zdania. Jednocześnie wysunął jedną nogę do przodu, znieruchomiał i omiatał przeciwników czujnym wzrokiem. Przyjął postawę typową dla Unika przed walką. Był gotowy.

I dobrze, bo Izbor zaklął plugawo i skoczył ku niemu jak wściekły. W rękę dzierżył zwykły kord, niepodobny do oręża łowców i znacznie tańszy – z długą głownią, pozbawiony zdobień, tu i ówdzie wyszczerbiony. Stał uderzyła o stal, a wąską przestrzeń zaułka wypełniły odgłosy walki.

Drab atakował brutalnie, wyprowadzanymi z furii uderzeniami. Nie starał się zaskoczyć Unika żadnym niespodziewanym manewrem, nie silił się na wyszukane pchnięcia. Po prostu z całej siły walił mieczem, niczym kowal młotem. Było w tej rąbaninie coś dziwnego.

– Następny! – po kilku minutach krzyknął znienacka Weles, a Izbor usunął się poza zaułek.

Faro wkroczył w przesmyk między murem a kamienicą z tym samym beznamiętnym spojrzeniem, jakim obdarzał Niepowszednich

codziennie przez całą podróż. I tak też nacierał – z zimną bezwzględnością, bez emocji, ale z dorównującą poprzednikowi zwierzęcą furią. Uderzenia jego miecza spadały na Unika bezlitośnie jak głązy, które wyrzuca się z machin oblężniczych, by skruszyć mury twierdzy.

Sambor nie miał wyboru. Aby nie ulec tej dzikiej szarży, musiał poświęcić pojedynekowi całą swą uwagę. Nie mógł strzec nikogo poza sobą. Pojął to także Lasota. Wyjął broń i nagle skoczył do przodu. Przywarł ciałem do muru i uchylając się przed śmigającymi ostrzami, zaczął drobnymi krokami posuwać się w stronę Żrenicznika. Słusznie liczył na to, że Unik, uwikłany w bój z Faro, nie będzie w stanie go zatrzymać.

– Dalko, uważaj! – ostrzegła Nila.

Nie musiała tego robić. Kadok czuwał! Potężne rude cielsko śmignęło w powietrzu, uderzyło w skradającego się łowcę i obaliło go na bruk z taką łatwością, z jaką wichur łamie trzcinę. Lasota wrzasnął przerażony i zamachnął się na Kadoka uzbrojoną ręką. Głupiej postąpić nie mógł. Rozjuszony lis bez wahania wbił potężne kły w prawą dłoń niegodziwca, a potem raz i drugi szarpnął łbem, jakby chciał rozerwać łotra na strzępy. Ten zawył jak potępieniec i wypuścił miecz.

– Psiamać! – wściekł się Weles. – Dość tej zabawy. Lederg, szykuj się! Zmienisz Faro!

Nila wreszcie zrozumiała taktykę łowców. To nie był jednostajny ślepy łomot, ale przemyślana strategia! Chcieli wycieńczyć Sambora brutalną walką, odebrać mu siły szarżą, na którą każdy byłby zbyt słaby.

I rzeczywiście, Unik starał się odpierać uderzenia jak najoszczędniejszymi ruchami, lecz ciało osłabione olbrzymim wysiłkiem zaczynało się buntować. Wciąż parował ciosy i atakował, gdy tylko nadarzyła się okazja, ale robił to coraz wolniej. I coraz ciężiej oddychał. Nila z przerażeniem patrzyła, jak drżą mu ramiona, mięśnie nóg tężeją w kolejnych skurczach, kolana odmawiają pracy, a obolałe nadgarstki z trudem władają orężem.

Wyglądało na to, że Ledergowi nie da już rady! Właściwie walka została rozstrzygnięta. Było tylko kwestią czasu, kiedy któryś z łowców wytrąci miecz z coraz słabszej dłoni chłopaka.

Nagle od strony skweru dał się słyszeć monotony pogłos histerycznych krzyków. Nadciągały z oddali, ale z każdą sekundą brzmiały coraz wyraźniej. Okrutni Złotnicy znieruchomieli, zasłuchani w narastające dźwięki. Niepowszedni zerknęli po sobie. Nie musieli zgadywać, co się stało. Most przy Bramie Flisaków w końcu się zawalił! Zaniepokojony tą wrzawą Weles nie zamierzał dłużej czekać.

– Poddaj się! – krzyknął do Unika.

– Nigdy!

– Jak chcesz! Nie mamy czasu. W mieście wybuchł mór! Wszyscy wokół zdychają! Albo rzucisz miecz, albo zastrzelę z kuszy to wasze lisie bydlę. Potem wpakuję strzałę w udo Żrenicznika. Do patrzenia potrzebne mu oczy, nie nogi. A następną w...

– Dość! – wdarła mu się w słowo Nila. – Poddamy się, ale wypuść lisa.

– Nie! – zawył Sambor. – Dam radę! Odejdź, Nilu!

– Pokaleczą was, nie rozumiesz?! Będą strzelać, a jeśli trafią źle, możecie umrzeć! Obaj! I ty, i Dalko!

Weles wiedział, że wygrał.

– Dziewczyna ma rację.

Nil westchnęła ciężko i bezradnie opuściła ramiona.

– Wypuść lisa – powtórzyła.

– Niepotrzebny mi kundel.

Skinął głową swoim ludziom, a oni rozsunęli się, robiąc wąskie przejście między sobą. Żniwiarka opadła na kolana i wtuliła usta w szpiczaste ucho.

– Biegnij, Kadok! Szukaj Alli! Broń Flawii!

Lis poderwał się z ziemi, zaskamlał rozdzierająco i pognął przed siebie z nosem utkwionym przy ziemi. Po chwili już go nie było.

– Teraz ty, szczeniaku! – warknął Weles. – Albo postrzelę ci przyjaciół!

Zdobiony złotymi runami miecz upadł na ziemię. Nila zobaczyła w oczach Sambora rozpacz tak wielką, że serce ścisnęło jej się z żalu.

Rozumiała, co czuł – chciał walczyć, bronić jej i Dalko, a musiał ustąpić i znowu się poddać. Jakby tego było mało, Faro podszedł do chłopaka i trzepnął go pięścią w podbródek.

– Należało ci się. Ruszajcie się!

We trójkę zrobili krok w stronę wylotu zaułka.

– Zaraz! – wrzasnął Izbor w kierunku Nili. – Wołaj siostrę i tę małą! Niech wyleżą z kąta!

Dziewczyna spojrzała mu z satysfakcją w oczy.

– Nie ma ich. Zgubiły się!

– Ty mała podła żmijo! – ryknął, a potem rzucił się w jej kierunku.
– Zatłukę cię!

Dopał Nilę i szarpał ją tak, jakby chciał rozerwać na kawałki gołymi rękoma.

– Gdzie są? Gadaj!

– Nic ci nie powiem!

– Ty... – Zamachnął się.

– Dość! – huknął Weles. – W nogi! Potem poszukamy reszty. Jeśli żyją i będą poza murami, znajdziemy je. Jeśli zdechły od ospy, i tak nic nie poradzimy. Bierz swój miecz, Izbor!

Łowca posłusznie schylił się po porzucony przez Unika oręż. Obojętny na dobiegające ze skweru złowieszcze odgłosy, zaczął mozolnie rozsznurowywać rzemienne rapcie tandetnej broni, którą musiał zadowolić się po ucieczce z pustyni. Pragnął jak najszybciej przytroczyć do boku tę właściwą. Weles patrzył na niego jak na szaleńca.

– Czyś ty zdurniał do reszty? Nie teraz! – wściekł się i wyrwał mu odzyskany miecz. – Lasota, nieś go. Na nic więcej się teraz nie przydasz! I owiń sobie rękę jakimś gałganem. Patrzyć na ciebie nie mogę. Ruszać się, do diabła!

Wyszli na plac gęsiego. Weles i Lasota na przedzie, potem Niepowszedni, na końcu pozostali Okrutni Złotnicy. Największa fala paniki jeszcze tu nie dotarła. Ścisk gęstniał w oczach i wszyscy wokół pędzili do Bramy Piaskowej, bo wciąż jeszcze można było wydostać się nią bez zatorów i hysterii.

Izbor popchnął Nilę w stronę wspartej na solidnych murowanych filarach wiaty, pod którą Okrutni Złotnicy uwiązali do poideł wierzchowce.

– Psiamać! Weles, słyszysz? – zapytał przestraszony Lederg.

Harmider i opętańcze krzyki od strony głównego forum stawały się coraz wyraźniejsze. Nie trzeba już było nadstawiać uszu, by wśród jednostajnego szumu, czynionego przez dziesiątki biegnących stóp wyłowić rozpaczliwe nawoływania o pomoc. Oszalały ze strachu tłum gnał tak szybko, że chwilę później z odległego wylotu ulicy wypadła pierwsza, potężna gromada.

– Ludzie, przez Flisaków nie przejdziecie! Most się zawalił!

– Na konie i w drogę! – rzucił krótko Weles.

Nie zdążył nawet podejść do wierzchowca, gdy o jego gardło oparł się czubek długiego sztyletu. Trzymał go oprych o twarzy tak okrutnej, że nawet Weles nie próbował go lekceważyć.

– Witaj, złodzieju! – usłyszeli pogardliwy niewieści głos.

Na samo jego brzmienie Nila podskoczyła niczym dźgnięta nożem, a herszt Okrutnych Złotników znieruchomiał. Do gry wkroczył nieoczekiwany gracz i nagle wszystko się odmieniło. Zza pleców rzezimieszka wyszła ubrana ze zbytkiem dama.

Przesłonięta plecami Izbora Żniwiarka schowała się za najbliższym filarem. To samo zrobił Dalko. Sambor nie miał tyle szczęścia, stał dokładnie naprzeciw rozwścieczonej ślicznotki.

– Ema! – wychrypiał Weles.

– Rzućcie broń – powiedziała twardo kobieta. – Albo Petrowi drgnie ręka!

Drab ze sztyletem wyszczerzył paskudnie żółte zęby i od niechcienia docisnął czubek ostrza do Welesowej skóry.

– He, he, he – zarechotał zadowolony.

O dziwo, tylko Lasota wykonał polecenie Emy, ciskając na ziemię miecz Izbora. Może pozostali łowcy mniej przejmowali się zdrowiem swego herszta.

Pięknisia bez słowa podniosła porzucony oręż.

– Ema! – powtórzył spolegliwie Weles.

Ona zaś skrzywiła się z dezaprobatą i zacmokała głośno. Zza filarów wyszło kolejnych pięciu osiłków i stanęło za jej plecami. Ema rozejrzała się wśród swych jeńców.

– No proszę! – sarknęła gniewnie, gdy jej wzrok padł na Sambora.

– Kradziony towar. Mój Unik!

– Ema – odezwał się Weles – to nie tak, jak...

– Zamknij się! Uczciwie go wygrałam, ty kłamliwa świni! A tyś kazał mu zwiać i wrócić do siebie. Sprytne! Ale ja takich oszustw nie wybaczam. Pożałujecie!

– Aleś ty durna! – rozeźlił się Izbor.

Kobieta zmrużyła oczy z wściekłości i wycodziła:

– Zabić ich!

Pięciu zbirów tylko czekało na ten sygnał. Z uniesionymi mieczami skoczyli ku stłoczonej przy wiacie gromadce. Zaatakowali z furją, bez litości. Ema musiała im obiecać górę florenów, bo rzucili się na Złotników tak, jakby płaciła im od każdej zadanej rany. Śmierć zajrzała łowcom w oczy. Zareagowali odruchowo, ruszając naprzeciw swym przeciwnikom i obie bandy zwały się w bezlitosnym starciu. Miecze uderzały o miecze, zza pasów wyciągnięto sztylety, by w razie potrzeby zadać skrytobójczy cios. Od razu było jasne, że to walka o najwyższą stawkę.

Nikt już nie patrzył na Niepowszednich, bo choć bardzo cenni, nie byli warci życia, które siepacze Emy mieli chętkę odebrać Okrutnym Złotnikom. Dalko syknął cicho na przyjaciół schowanych za kamiennymi słupami wiaty i wskazał im Bramę Flisaków. Wciąż jeszcze była przejezdna!

– Uciekajmy!

Sambor przytaknął ochoczo.

– Szybko, chodźmy!

Jednak zanim sam zdążył odsunąć się od zadaszania, lodowaty głos Emy zatrzymał go w miejscu.

– Dokąd to? – warknęła i oparła koniec miecza Izbora o pierś chłopaka. – Należysz do mnie.

A więc nie wszyscy stracili zainteresowanie Niepowszednimi! Nila zakłęta pod nosem i oboje wraz z Dalko na nowo przyczaili się za swoimi filarami. Żrenicznik gestem dłoni kazał dziewczynie zostać na miejscu, a sam zaczął skradać się ku odwróconej do niego plecami Emie.

– Pytałam, dokąd się wybierasz, Uniku? – powtórzyła zimno Ema.

– Byle dalej od ciebie!

Kobieta zacisnęła piękne wargi i pokręciła głową z

niedowierzaniem.

– Wiesz, głupcze... Nic mnie nie kosztowałeś, więc i twoje życie nie ma dla mnie znaczenia.

Urwała nagle, bo tuż obok przebiegła rozczochrana niewiasta, wrzeszcząc coś tak bełkotliwie, że nie byli w stanie jej zrozumieć. Ema spojrzała na nią przestraszona i rozejrzała się wokół. Walka wciąż pozostawała nierozstrzygnięta, choć twarze mężczyzn spływały potem, a kubraki Faro i brodacza, z którym się starł, znaczyły ślady krwi. Tłum jednak gęstniał, a krzyki stały się tak wyraźne, jakby docierały zza rogu ulicy. Sprawy miały się coraz gorzej, a Ema nie była w ciemną bitą. Nie wahała się ni chwili dłużej.

– Ruszaj, chłopcze!

– Nie! – wypalił Sambor. – Po moim trupie!

Ema wzruszyła ramionami i z zimnym uśmiechem dźgnęła go czubkiem miecza w ramię. Na tyle lekko, by nie zrobić mu krzywdy i dość mocno, by śnieżnobiały rękaw koszuli zabarwił się na karmazynowo.

– To akurat da się...

Cios Żrenicznika wymierzony płazem miecza dosięgnął celu.

Oczy Emy uciekły w tył głowy, a ciało upadło z łoskotem na bruk.

– Za Flawię! – Dalko zwinnie ukrył broń Nadira pod kapotą. –

Popamiętasz, ty...

– Patrzcie! – Nila przerwała mu zduszonym głosem.

Wprost na nich sunęła żywa ściana dziesiątków ściśniętych w ciasnym skwerze ciał! Jeśli chcieli żyć, musieli brać nogi za pas. Każda sekunda była cenna. Sambor ocknął się pierwszy. Wyrwał z bezwładnej dłoni Emy miecz i pociągnął Nilę w kierunku Bramy Piaskowej.

– Dalko, biegiem! – huknął do przyjaciela.

Ten popędził tuż obok. Jak taran parł przed siebie, roztrzając wszystkich, którzy zamiast pierzchać, wpatrywali się z niedowierzaniem w mrowie ludzi na skraju skweru.

– Z drogi! Złazić! Z drogi! – darł się Żrenicznik, ale jego wrzaski zwróciły uwagę tylko jednej osoby.

Za plecami Niepowszednich rozległ się ryk Izbora:

– Uciekają! Psiamać! Wieją nam!

Nilą odwróciła się za siebie. Od razu go zobaczyła. Weles stał nad trupem oprycha Emy i patrzył na Nilę jak wąż przed atakiem. A w następnej chwili i łowca, i jego wciąż walczący na śmierć i życie kamraci, i siepacze Emy, i ona sama, i wiata, i niespokojne wierzchowce... wszystko zniknęło! Pochłonęła ich ciżba wielokrotnie przewyższającą swymi rozmiarami tę spod Bramy Flisaków.

– Szlag! – przeraził się Dalko. – Szybciej!

Pognali więc, ile sił w nogach, ścigani przez zgrają gotową stratować wszystko, co stało na jej drodze. Nawet na sekundę nie zmniejszali tempa, przeskakiwali ponad dyszlami porzuconych wozów, omijali leżących na bruku chorych i szczęśliwie, choć ledwie o kilkanaście sążni, ale wciąż wyprzedzali mknącą ich śladem zagładę. W końcu zdyszani, z sercami walącymi tak mocno, że prawie rozsadały piersi, wpadli pod alabastrowy portal i po kilku krokach pokonali drewniany most. Kilkanaście sekund później tłum uderzył w wąski przesmyk bramy i zaklinował ją na dobre. Za murem natychmiast rozległy się krzyki:

– Do Północnej! Ludzie, jeszcze jest jedno wyjście!

Nilą opadła na piach na wpół przytomna ze zmęczenia. Najgorsze było za nimi.

– Udało się... – wyrzęziła.

Sambor pogłaskał ją po rozwichrzonych włosach i pokręcił głową.

– To jeszcze nie koniec. Jeśli chcemy zdążyć na barkę, musimy ruszać!

Nilą wstała. Na przekór drętwiejącym łydkom i obolałym płucom podniosła się, bo każda sekunda zwłoki oznaczała ryzyko klęski.

– Dalko? – spytała leżącego bez sił chłopaka.

I on dźwignął się na kolana i wysapał:

– Idę. Muszę odnaleźć siostrę.



Wieść o czarnej ospie dotarła nad rzekę wraz z pierwszą falą uciekinierów, którzy w panice natychmiast zajęli pokłady obu zacumowanych tam barek. Stało się to, jeszcze zanim w porcie pojawiły się Alla z Flawią. Obie utknęły na piaszczystym nabrzeżu, daremnie żebrząc o miejsce na komiędze. Niestety, chętnych było więcej niż wolnej przestrzeni na deku, więc nie upłynęło wiele czasu, a ludzie zaczęli się burzyć.

Gdy poza mury wypadła trójka pozostałych Niepowszednich, przystań była już prawdziwym polem walki. Wszyscy chcieli dostać się na pokład. Kto się tam wdrapał, spychał następnego, który też próbował szczęścia. Na miejsce jednego wyrzuconego wracało jednak dwóch nowych, ale i przepędzeni nie zamierzali rezygnować. Zamieszanie było potworne. Ten i ów desperacko skakał na komięgi wprost z lądu, inni wypływali z odmětów i próbowali wypełznąć niepostrzeżenie na deski.

Gdyby nie Flawia, żaden z Niepowszednich nie dostałby się na barkę. To ona ubiła interes z flisakami, których w tych stronach nazywano też orylami. Nie zawracała sobie długo głowy błaganiem o miejsce. Po prostu wskoczyła do rzeki, dopłynęła do łajby i wdrapała się na dek. Załoga na widok przemoczonego do suchej nitki chuchra zmiękła i nie miała serca wyrzucić niebogi za burtę. Wioślarze kazali jej usiąść w kącie i nie przeszkadzać, ale ona otrząsnęła się z wody jak psiak i natychmiast podeszła do głównego flisaka, by oznajmić mu, że jej siostra uleczy mór.

– Tyle że nie za darmo – dodała twardo.

Jeśli chcieli Żniwiarki, musieli uratować całą rodzinę. No to... uratowali! Najpierw jednak na dno poszła komięga towarowa. Nadmiernie przeciążony dek pękł łatwo niczym nadkruszona gałązka. Tony przewożonych w skrzyniach towarów osunęły się w toń przy wtórze przerażonych krzyków uciekinierów. Po chwili na falach unosiła się już tylko jedna, i tak już wypchana po brzegi, jednostka. Dokładnie wtedy Dalko wypatrzył Kadoka, Allę i Flawię bezpiecznie

zadomowionych na jej pokładzie. Trójka Niepowszednich na brzegu odetchnęła z ulgą na ten widok, ale ich radość nie trwała długo. Tłum rzucił się bowiem natychmiast w stronę jedynej łajby. Kapitan był jednak szybszy! Kazał ciąć cumy i odbijać.

– Sambor, skaczcie! – krzyknęła Alla.

Dokładnie to zrobili. Niestety, kiepsko im szło. Poruszali się najszybciej, jak się dało, ale nurt Nura co chwila spychał pływaków z powrotem w stronę nabrzeża.

– Żwawo, durnie! – ponaglił ich rosły flisak, który stał za plecami Bestiarki.

– Nilu, prędzej! – piszczała Flawia.

Kosztowało ich to sporo wysiłku, lecz w końcu pokonali atakujące fale i dotarli do burty. Tam wyciągnęły się po nich pomocne dłonie pasażerów i załogi. Mokrzy, umęczeni i kompletnie zdezorientowani, we trójkę padli na deski.

– No! – Poklepał Nilę po plecach siwowłosy oryl. – Witaj, Żniwiarko! Na razie my są zdrowi... a co potem, się zobaczy. Odetchnij, póki można. Zgoda?

Dziewczyna nie miała siły, by się odezwać. Pokiwała tylko głową i dla pewności zerknęła za siebie. Miasto, port i mrowie pomstujących ludzi na nabrzeżu... wszystko to zostało w tyle. Nila z ulgą przewróciła się na plecy.

– Udało się – jęknęła.

Wszyscy popatrzyli na siebie na poły z niedowierzaniem, a na poły z radością.

– Zwialiśmy! – szepnęli jednocześnie i zaczęli chichotać.

I tak oto, dzięki drobnej rudowłosej dziewczynce, całą szóstką opuścili Bawidło.

Komięga od razu zaczęła nabierać prędkości. Ruchy wiosła, początkowo nieskładne i dalekie od równego rytmu, po kilku minutach nabrały jednakiego tempa. Gród za ich plecami stawał się coraz mniejszy, a stłoczony nad rzeką tłum powoli zmieniał się w plamę na horyzoncie.

Kapitan postawił na dziobie młodego chłopaka, każąc mu wypatrywać podwodnych zasadzek i wirującej kipieli. Płynęli coraz

szybciej, napędzani nie tylko siłą ramion wioślarzy, ale i nurtem, który za Bawidłem zaczynał nabierać większej stromizny.

Na pokładzie zapanował względny spokój. Znużeni wrażeniami podróży zbili się w niewielkie grupki i apatycznie obserwowali rwący prąd Nura. Większość straciła zainteresowanie tym, co się działo na barce.

Nastrój odprężenia nie udzielił się jednak Niepowszednim. Zdawało im się bowiem, że jakieś zatroskanie panuje wśród członków załogi. Odczytywali je w nerwowych szeptach i spanikowanych spojrzeniach, którymi obrzucano to łajbę, to pasażerów. Wyczuleni na wszelkie oznaki niebezpieczeństwa przyjaciele nie mieli innego wyjścia – wysłali Sambora i Dalko na przespīgi.

Ci najpierw pokręcili się przy burtach, potem zaczepili kapitana, a najdłużej zabawili na dziobie, gdzie rozmawiali z wypatrującym wirów młodzieńcem. Kiedy w końcu wrócili do dziewcząt, na ich twarzach malował się frasunek.

– Nie dopłyniemy do przystani. Nie ma szans – powiedział cicho Sambor.

– Dlaczego?!

– Bo komięga jest za ciężka! – wyjaśnił zdenerwowany Dalko. – No, tyle ludzi na nią wlało! Flisacy ledwie sterują.

– Ale przecież płyniemy! – zaprotestowała Alla.

– Na razie – mruknął ponuro Sambor. – Długo tak nie dadzą rady. Muszą wysadzić część pasażerów wcześniej. Jeśli tego nie zrobią, to albo wpadniemy na mieliznę, albo się rozbijemy.

I opowiedział im, czego się dowiedzieli.

Okazało się, że przeciążona ponad wszelką miarę barka z trudem opierała się silnemu nurtowi rzeki. Ostre fale wciąż spychały ją w stronę najeżonego ostrymi kamieniami brzegu, a oryle – choć nawykli do ciężkiej pracy – z trudem dawali radę utrzymać kurs. Co gorsza, płynęli najłatwiejszym odcinkiem Nura, prostym i wciąż dość płaskim.

Prawdziwe kłopoty miały dopiero nadejść za kilka godzin, gdy wraz ze wzrostem stromizny komięga nabrałaby prędkości. Aż wreszcie, bliżej północy, czekało ich Zakole Wirów. Od samej nazwy, rzuconej przez Sambora z grobową miną, ścierpła im skóra.

– A co to znowu takiego? – wymamrotała zniechęcona Nila.

– Ostry zakręt. Ten młody na dziobie mówił o takich wirach, że się wierzyć nie chce. Ponoć wyglądają jak wielkie koła! Kręcą się od samego dna aż do tafli wody.

– No! – potwierdził Dalko. – Całe mnóstwo wodnych świrdrów. A najgorsze jest to, że spychają łajbę na resztki mostu, co to go mieli zbudować, ale jakoś nie skończyli. No i te ogryzki filarów mostowych sterczą pod wodą i topią statki.

Sambor pokiwał głową.

– Właśnie! Niejedna komiega leży tam na dnie. Dlatego, przed Zakolem Wirów będą musieli pozbyć się nadmiernego obciążenia.

– Ilu chcą wysadzić?

– Zwykle biorą na pokład dwadzieścia osób. Reszty się pozbędą.

– Nas też? – zapytała z niedowierzaniem Alla.

Chłopcy tylko pokiwali głowami.

– Ale my mamy z nimi umowę! Flawia się dogadała!

– Co z tego? – szepnął Dalko. – Nie ma czarnej ospy, nie ma uzdrawiania, nie ma układu.

– I to kapitan wam o tym wszystkim opowiedział? – zapytała Nila.

– Nie, to tajemnica! Nie chcą zawczasu niepokoić pasażerów, bo boją się, że zaraz zaczną się burzyć. Ten młody się wygadał. Polubił nas. Może dlatego, że daliśmy mu na zachętę parę groszy... No, trochę więcej niż parę.

Flawia rozejrzała się z powątpiewaniem.

– Łódź miała być szybsza niż wierzchowce. A teraz, co? My musimy iść na piechotę do przystani, Weles ściga nas na koniach! Nie mamy szans!

Dalko uśmiechnął się pod nosem.

– No... chyba jednak mamy. Pamiętajcie, co mówiła Aga, że nie ma tu szlaków?

Pokiwali głowami.

– Jest nawet jeszcze gorzej! Wiecie, dlaczego barka nie zatrzymuje się po drodze? Bo strach przybić do brzegu. Szlag! Nie tylko nie ma tu dróg, ale jeszcze wszędzie czają się zbiry. Nie jacyś mali krętacze, ale takie łotry, którym nawet Weles nie straszny! – Żrenicznik wyszczerzył

zęby. – To powinno opóźnić Okrutnych Złotników.

– Ale tylko o kilka godzin! – zaoponowała Nila.

– Starczy, żeby dojść do Bukowych Kopców! To góry – uprzedził jej pytanie Sambor. – Młody mówił, że to najkrótsza droga do Górskiej Przystani, a konie...

Flawia uśmiechnęła się radośnie i klasnęła w dłoń.

– Nie wejdą na szczyt! Muszą iść dookoła!

– Aha!

Nie pozostało im nic innego, jak czekać. Wtuleni w siebie, popatrywali w ciszy na brzegi Nura. Gdy tylko Bawidło zniknęło z pola widzenia, sucha roślinność ustąpiła miejsca zrazu pojedynczym, a później coraz gęstszym krzewom i skrzącym się po obu stronach rzeki wąskim strumykom. Wkrótce dojrzelili ścianę lasu tak bujnego, że zieleń zdawała się być zwartą kurtyną, a nie setkami drżących na wietrze liści.

Popołudnie przeszło w wieczór. Flawia, zwinięta w kłębek, oparła plecy o potężny bok Kadoka i oboje zasnęli kołysani jednostajnym skrzypieniem wiosła. W świetle jasnego księżyca na przegubie dziewczynki zamigotała srebrna bransoletka.

– O, jaka piękna! – zachwyciła się Alla. – Nie widziałam jej wcześniej. Skąd...

– Prezent od Taurisów. Właściwie to od ukochanej Batu Taurisa, też Flawii – wyjaśniła Nila. – Fale to symbol siły, a migdał mądrości. I szczęścia.

– Hmm... Oby nam sprzyjało. Słuchajcie, może już nam sprzyja? Co, jeśli zostawili nas w spokoju? – rozmarzyła się dziewczyna. – Dalko, jak myślisz?

Chłopak spojrzał na nią ponurym wzrokiem.

– Kiedyś – powiedział – Izborza prawie zabił taki jeden jak ja, Żrenicznik. Mały dzieciak. Widziałem go... chudy i no... całkiem przerażony. Jakimś cudem zwał im w Mercacie. Wbiegł do czyjegoś domu, złapał kuszę i strzelił do tego bydlaka. A potem zniknął. Szlag! Izborz zdychał przez dwa dni u moich rodziców. Matka go zszyła, jak umiała, ale majaczył i ropa się sączyła. Ohyda.

– I?

Dalko zaśmiał się posępnie.

– I? – powtórzył. – Weles dał mu wybór: towar albo śmierć. No to Izbor wybrał to pierwsze, a Weles kazał mu się natychmiast zwlec i znaleźć dzieciaka! Nie jednego. Szlag! Dwóch! Bo to miało Izbora czegoś nauczyć. Wiecie czego? Że towar rzecz święta.

– O niebiosa! – jęknęła Nila. – Poszedł?

– Pewnie. Wstał i zanim dolazł do drzwi, zemdlał z bólu. Myślicie, że Weles się zawahał? A gdzie tam! Wściekł się i sięgnął po nóż! Szlag! Matka krzyczała, a ojciec ocucił to bydlę, dał mu wina medykusa i wykopał półprzytomnego za drzwi. Nie chciał zadzierać z Welesem. On bywa szalony!

– Nigdy nas nie zostawią – stwierdziła przybita Alla.

Zapadła cisza, bo każdy układał w głowie to, czego się właśnie o Okrutnych Złotnikach dowiedział. Zresztą, trudno było dodać po słowach chłopaka cokolwiek. Prawda była zbyt przerażająca, by dłużej ją roztrząsać. Patrzyli więc na siebie przygnębieni i milczeli zgodnie. Aż raptem odezwała się Flawia:

– Dalko, a może oni musieli tak zrobić?

Głos miała przytomny, a spojrzenie czujne. Widocznie pozostałym tylko wydawało się, że śpi.

– Kto? – nie zrozumiał Żrenicznik.

Podniosła się z desek i wzięła go za rękę.

– Twoi rodzice – powiedziała nieśmiało. – Przegrali cię, mówiłeś. Ale skąd wiesz, że tak było? Byłeś przy tym?

– Weles mi powiedział!

– Ale...

– Mówił prawdę! Przez pół drogi gadał i gadał, jak to było. Nie oszczędził mi żadnego szczegółu!

– Ale...

Dalko pokręcił tylko głową, jakby nie chciał więcej słyszeć ani słowa na ten temat. Bezradna Flawia umilkła, lecz z pomocą przyszedł jej Sambor.

– Bracie – odezwał się łagodnie – mała ma rację. Weles to największy łotr na świecie! Powie wszystko, co chce!

Dalko zawahał się na moment.

– Ale musiało tak być, bo... oni jakoś nie opierali się, kiedy mnie

zabierał.

– Nie masz jednak pojęcia, czym groził im albo tobie! – nie dawał za wygraną Unik.

– Sambor, to niemożliwe. Ja ciągle o tym... Tak nie mogło być. Sam już nie wiem – wymamrotał.

– Po prostu, pomyśl o tym. – Flawia leciutko pocałowała go w policzek – Braciszku...

To powiedziawszy, złożyła głowę na jego kolanach i znów zamknęła oczy. On zaś, choć wyraźnie zmagął się z tym, co mu rzekła, nie zapomniał pogłodzić jej po drobnych plecach i nakryć własnym kubrakiem.

– Szlag! Pomyślę.

Nilą uśmiechnęła się do niego pokrzepiająco, a potem wtuliła się w Sambora. Nie miała już siły walczyć ze znużeniem. Po raz pierwszy od wielu dni czuła się odrobinę mniej przerażona widmem podążającego za nimi Welesa. Całą piątką byli strudzeni, ale wolni! Zamknęła oczy, gotowa osunąć się w ciemność.

– Nie powinniśmy czuwać?

Sambor, tak jak ona ledwie żywy ze zmęczenia, pocałował ją w czoło i wyszeptał:

– Ockniemy się na czas. Będzie dobrze. Śpij.

Nilą pozwoliła więc ukołysać się falom i w sekundę usnęła spokojna niczym niemowlę.



Obudziło ich uderzenie tak potężne, że deski komiędzy aż jęknęły. Barka zaryła dziobem w falach, a sekundę później wyhamowała gwałtownie. Z impetem osiadła na podwodnej przeszkodzie. Zewsząd wzbiły się pod niebo krzyki strachu.

– Woda! Nabieramy wody!

– To Zakole Wirów? – Sambor zatrzymał biegnącego przez pokład flisaka.

– Nie! Wpadliśmy na skałę!

Ludzi ogarnęło szaleństwo. Miotali się chaotycznie od burty do burty, przez co czynili łajbę jeszcze bardziej chybotliwą. Rzeka zaś wdzierała się na pokład coraz szerszym strumieniem i wkrótce jasnym stało się, że barka tonie. Pierwsi śmiałkowie zaczęli skakać w spienione fale Nura.

– Na rufę! – rozkazał Sambor.

Kadok popędził przodem, reszta podążyła za nim. Na niewiele się to zdało. Drewniany pokład stęknął pod naporem wody, a potem poddał się jej ciężarowi i rozpadł na pół. Komięga szła na dno!

– Toniemy! – pisnęła Alla.

Pękały deski, puszczały łąty, łamały się burty. Większość podróżnych zdążyła już wyskoczyć ze statku i w wodzie kłębiła się masa ciał. Kto umiał pływać, zmierzał w kierunku brzegu. Kto nie potrafił, łapał dryfujące wokół kawałki drewna i bezwładnie unosił się na wodzie. Nie było już na co czekać. Niepowszedni rzucili się w zimną, ciemną toń.

– Trzymać się razem! – krzyknęła Nila, mocno uczepiwszy się siostry.

Okazało się to jednak tylko pobożnym życzeniem. Prąd był zbyt silny, a rozbitkowie wokół nadto owładnięci paniką. Po sekundzie stracili z oczu Flawię i Sambora.

– Na ląd! – sapnął Dalko.

Manewrowali między innymi pływakami i kołyszącymi się na

falach szczytkami komiędzy. Wąski sierp księżycyca nie dawał wiele światła, ale Nili udało się dostrzec Unika. Silnymi pociągnięciami ramion z wielką wprawą rozgarniał wodę.

– Sambor, tutaj! – zawołała z ulgą i w tej samej chwili dostrzegła sunący tuż za chłopakiem cień.

Nurt pchał potężną deskę wprost na niego! Kawał ciężkiego drewna podskoczył na fali i trzepnął Unika w tył głowy. Sambor zniknął pod wodą i już nie wypłynął!

Nila wpadła w panikę.

– Nie! – zawyła. – Sambor!

Nie wiedziała, co ma zrobić. W przerażeniu nie była w stanie składnie się poruszać i sama o mało nie zaczęła tonąć. Raz i drugi zachłysnęła się wodą.

– Nie! Błagam! Nie! – nie przestawała bezradnie krzyczeć.

Na szczęście Alla zachowała więcej zimniej krwi.

– Flawia! – ryknęła przeraźliwie głośno. – Flawia! Na pomoc! Flawia!

– Jest! – Dalko wskazał im podobny do dużej ryby kształt.

Mała poruszała się w rzece tak, jak gdyby zamiast płuc i kończyn miała skrzela i płetwy. Mknęła w poprzek fal, a Nur unosił ją, nie stawiając oporu. Zupełnie jakby czuł, że ma do czynienia z kimś stworzonym do życia w jego odmętach. Wodniczka w kilka chwil dotarła do miejsca, w którym zniknął Sambor, nabrała powietrza i zanurkowała.

Pozostali popłynęli za nią.

– Nilu, ty zostań! Musisz mieć siły! – krzyknęła Bestiarka i zanurzyła się w rzecznej toni.

– Właśnie. Może trzeba go będzie leczyć – dodał Żrenicznik i poszedł w jej ślady.

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Nila z zaciętą miną wpatrywała się w ciemną rzekę. Dalko i Alla wypływali na przemian, by zaczerpnąć powietrza i za każdym razem mieli coraz większe przerażenie w oczach. Kręcili głowami, chwyтали kolejny oddech i na powrót wracali w głębiny. Flawia nie pojawiła się ani razu.

– Proszę! – powtarzała bezgłośnie Nila. – Sambor, proszę! Żyj!

I nagle spomiędzy fal wysunęła się mała główka oblepiona mokrymi strąkami rudych włosów.

– Jest! – stęknęła Flawia słabiutkim głosem i z trudem wypchnęła na powierzchnię bezwładne ciało Sambora.

Nilą pochwyciła pod brodę nieprzytomnego Unika i położywszy się na plecach, zaczęła płynąć do brzegu. Poruszała się wolno i z wielkim wysiłkiem, ale radziła sobie z tym lepiej, niż mogła przypuszczać. Dalko z Allą podparli bezwładnego chłopaka z obu stron i tym sposobem we trójkę dociągnęli go na płyciznę. Wszyscy bez tchu opadli na porośniętą trawą niewielką skarpe.

– Najpierw Sambor! – rzuciła szybko Żniwiarka. – Potem zajmę się każdym, kto potrzebuje pomocy.

Przyłożyła dłonie do zimnej piersi Sambora. Ledwie wyczuwała puls, ale serce na pewno biło. Kamień spadł jej z serca. Delikatnie dotknęła głowy chłopaka i przechyliła ją, szukając śladu uderzenia. Skóra krwawiła mocno, lecz czaszka pozostała nienaruszona. Z ulgą pojęła, że jako Żniwiarka nie miała tu wiele do roboty. Ponieważ jednak czas ich naglił, a uciekać mogli tylko, będąc w pełni sił, zamknęła oczy i pozwoliła nadejść życiodajnej mocy.

– Nila? – usłyszała po chwili ukochany głos. – Strasznie kręci mi się w głowie.

Zamrugnęła gwałtownie, by odpędzić łzy.

– Przeraziłeś mnie.

Sambor dotknął dłonią potylicy i zdumiony obmacał ranę.

– Oberwałem?

– I to porządnie. Ile widzisz palców?

– Dwa.

– Boli cię?

– Nie bardzo. Leczyłaś mnie?

– Odrobinę. Jak z twoją pamięcią?

– Świetnie. Pamiętam, że się w tobie kocham.

Nilą zaśmiała się z ulgą, a potem bez słowa przyłożyła usta do jego warg. Pachniał wodą, mułem i trawą, na której leżeli.

– No! – mruknął Dalko. – Widać, że będzie żyć!

A potem zmęczony padł na skarpe.



Z każdym krokiem ich niewielka gromadka oddalała się od rzeki w stronę niskiego łańcucha rozłożystych górskich szczytów. To były Bukowe Kopce. Wyglądały jak przednia straż rozpościerających się tuż za nimi niebotycznie wysokich i pokrytych śniegiem Stromowych Wichrów.

Musieli się spieszyć. Reszta rozbitków, cała i zdrowa, również dotarła na brzeg i zmierzała ku najbliższej osadzie rybackiej. Niepowszedni nie mieli wątpliwości, że gdy do sioła dotrą Okrutni Złotnicy, Weles siłą lub przekupstwem dowie się wszystkiego i o katastrofie, i o piątce ocalałych dzieci, którym towarzyszył lis wilczy. Poszli więc przed siebie tak szybko, jak się dało.

Naprzeciw nich wyrastał mur przysadzistych wzniesień. Aż do połowy wysokości pokrywała je jednolita ciemnozielona knieja, natomiast górne regle były niemal nagie. Szerokie grzbiety wzgórz porastał jedynie cienki płaszcz traw.

Los sprzyjał uciekinierom. Według młodego flisaka, który skuszony dodatkową zapłatą raz jeszcze chętnie podzielił się swą wiedzą, do czasu katastrofy udało im się pokonać rzeką sporą część drogi do granicznego mostu. Od ujścia Nura do Topieli dzieliło ich ledwie pół dnia podróży barką, a potem już tylko drugie tyle od celu wędrowni. Piechotą posuwali się wolniej, ale i tak najpóźniej za dwie lub trzy doby powinni opuścić Łajdacki Kraniec. O ile nic już by im nie przeszkodziło...

Nie zastanawiali się długo nad wyborem trasy. Jeśli chcieli mieć baczenie na Welesa, musieli dać Żrenicznikowi sposobność do obserwacji. Z tego powodu woleli nie wędrować pokrytymi lasem niższymi partiami gór. Dalko na niewiele by się przydał w takich zaroślach. Za to z wysokości muraw, które wieńczyły masyw, mógł bez trudu wypatrzeć Okrutnych Złotników jeszcze na nizinie. Ustalili więc, iż wejdą na najbliższy szczyt, a stamtąd pójda połoninami aż do Górskiej Przeprawy.

Droga wiodła najpierw łąką wśród miękkich traw, maków, bławatków i złocieni. Jako że teren był płaski, pozbawiony przeszkód, maszerowali rażno i wkrótce dotarli do granicy lasu. Nie zatrzymując się, weszli pomiędzy wąskie, strzeliste pnie. Do wysokości kilkunastu sążni były idealnie gładkie i pozbawione gałęzi, zaś korony drzew tworzyły zielone baldachy niebotycznie wysoko ponad ludzkimi głowami. Gęstwina przywitała ich cichym szumem i zapachem roślin butwiejących na wilgotnej ziemi. Świat miał tu inne barwy niż na pozostawionym za plecami zielonym rozłogu. Pograżona w cieniu kraina koła wzrok popielatą szarością kory jaworów, szmaragdem liści olszyny i ceglanym brązem leśnego runa.

Las ciągnął się godzinami. Ranek przeszedł w południe, a oni nieprzerwanie szli wąskim duktem. Wkrótce nachylenie terenu gwałtownie zaczęło wzrastać, aż przyszedł czas mozolnego wspinania się po zboczu.

Krok za krokiem, gęsiego, ostrożnie stawiali stopy, uważając na wystające korzenie drzew i ostre kamienne odłamki, które zalegały na całym stoku. Coraz to ktoś potykał się, opadał na kolana i boleśnie ocierał skórę.

Jedynie Kadok czuł się w tej nowej dla siebie krainie jak ryba w wodzie. Uparcie odbiegał od ludzi, penetrował zarośla i węszył, zachwycony wszechobecnymi zapachami. Znikał na długie minuty, a gdy wracał, znów tęsknie spoglądał na olbrzymie połacie lasu.

– Idź! – Alla zagłębiała mu głęboko w oczy. – Biegnij!

Nie musiała dwa razy powtarzać. Lis chwacko pędził na północ, by nieoczekiwanie zjawić się od południowej strony. Biegł na wschód i wracał z zachodu. Okrążał ich, podekscytowany jak maleńki szczeniak, znosząc im w zębach patyki, a w sierści długie źdźbła twardych traw i kępki mchu. Zachłystywał się szczęściem, jakie daje poznawanie świata, którego nigdy wcześniej się nie widziało. Ludzie zaś śmiali się serdecznie z jego podskoków, ale wytrwale wędrowali przed siebie.

Wkrótce zbocze stało się jeszcze bardziej strome. Prawie nie dało się już iść, musieli więc pochylić nisko plecy i wdrapywać się na czworakach. Kurczowo łapali się korzeni, kaleczyli dłonie o ostre krawędzie kamieni, ześlizgiwali się przy każdym nieuważnym ruchu, a

potem ciągnęli nawzajem wyżej. Góra nie poddawała się łatwo. Wyciągnąć dłoń, wesprzeć się o korzeń lub pień, podciągnąć nogę, odepchnąć się, ruszyć do przodu. I znów, i jeszcze raz, i na nowo od początku.

Im byli wyżej, tym stok nabierał większej pochyłości. Coraz trudniej przychodziło im wykonywanie tych samych ruchów.

– Muszę odpocząć – wysapała Nila, na wpół żywa ze zmęczenia.

Poparli ją gardłowymi stęknieniami. Nawet Kadok zwolnił i szedł z wywieszonym językiem, ciężko pracując bokami.

– Wytrzymajcie jeszcze trochę! – wymamrotał umordowany Dalko. – Jeszcze dwadzieścia, no... może trzydzieści sążni i jest prześwit wśród drzew. Chyba jesteśmy blisko.

Ruszyli więc znowu, ale szło im opornie. Zmęczone mięśnie nóg bolały przy najmniejszym wysiłku, kolana drżały, a poranione dłonie nie miały już siły zaciskać się na następnej podporze. Bezustannie śmigwały im spod nóg jaszczurki i małe myszy. Dziesiątki owadów otaczały ich głowy zaciekawionym rojem, a ptaki świergotliwie obwieszczały nadejście intruzów. Im zaś ledwie starczało energii na mozolną wspinaczkę. Nie mieli siły na rozmowy, rozglądanie się czy podziwianie życia, które się wokół nich toczyło. Nikt już nie podnosił głowy, by spojrzeć, jak daleko jeszcze do krańca lasu. I tak nie miało to znaczenia, musieli tam dotrzeć.

W końcu tak się stało. Cień ustąpił przed światłem, a wysokie pnie drzew przeredziły się, oddając pole karłowatym krzewinkom. Las wypuścił ich wreszcie ze swoich objęć.

– O niebiosa! – szepnęła zachwycona Nila. – Patrzcie tylko!

Przed nimi rozpościerał się widok, którego piękno zaparło im dech w piersiach. Góry, góry, wszędzie góry! Mniejsze, większe, z ostro i łagodnie zakończonymi szczytami. Stały tak od początku świata i trwać miały po jego kres. Piątka utrudzonych Niepowszednich padła na kolana z podziwu nad ich urodą i wspaniałością, ale majestatyczne olbrzymy spoglądały obojętnie na oszołomionych nimi wędrowców.

– Ależ pięknie! – zachłysnęła się magią okolicy Alla.

Świat znów nabrał kolorów. To, co z położonej w dolinie łąki wydawało się jednolitą murawą, z bliska okazało się mieszaniną

zielonych traw, żółtych i różowych kwiatów, modrych jagód, płożących się fioletowych dzwonek, szmaragdowych liści dzikiego szczawiu i białych wiechci ciemżycy.

Powietrze było tu inne niż u podnóża. Zimne, czyste, klarowne, wypełniało płuca ożywczym eliksirem. Hulający po połoninie wiatr omiatał ich gwałtownie swym chłodnym oddechem, a ciepłe słoneczne promienie przyjemnie łagodziły te przenikliwe uderzenia.

– Dobrze jest! No... szczyt przechodzi w następny szczyt! – powiedział uradowany Dalko, wpatrując się w wygiętą linię górskiego łańcucha. – Będzie nam się dobrze szło! Mało wspinaczki!

Rzeczywiście, wzniesienia wyrastały jedno przy drugim tak, że łączyły się nierzadko niemal pod samymi wierchami. Wystarczyło iść przed siebie i tylko od czasu do czasu pokonywać płytkie przełęcze między wzgórzami.

Nilą wzruszyła ramionami.

– Wybacz Dalko, ale nie mam siły się tym cieszyć. Ja po prostu muszę odpocząć.

Siadła na środku zalanej słońcem łąki i z ulgą spojrzała w chmury. Pozostali bez słowa poszli w jej ślady. Wyciągnęli skromne zapasy, odkorkowywali bukłaki. Jedli, śmiali się, rzucali kąski Kadokowi i po raz pierwszy od porwania czuli się naprawdę wolni i beztroscy. Nie trochę wolni, ale właśnie naprawdę i całkowicie. Świat wokół należał tylko do nich, niezmacony podłością łowców czy kaprysami ślepego trafu. Byli na tym odludziu sami, szczęśliwi i przynajmniej chwilowo bezpieczni.

Dziwnie to poczucie beztroski na nich podziałało. Alla wstała i odeszła kilkanaście kroków, a Kadok natychmiast pognął za nią. Dalko w milczeniu skierował się w przeciwnym kierunku, w swoją stronę oddaliła się też Flawia. Na murawie zostali Nilą i Sambor, który zdumiał się tą nagłą tęsknotą przyjaciół za samotnością.

– A im co się stało?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Chyba chcą wreszcie pobyć sami, bo przez ostatnie dni... sam rozumiesz. Pewnie chcą się w spokoju tym nacieszyć. Każde po swojemu.

Westchnął i położył się na trawie.

– Jesteś najładniejszą dziewczyną na świecie. I najładniejszą. Chciałem ci to powiedzieć jeszcze u nas, w wiosce.

Obrzuciła go żartobliwym spojrzeniem i wyciągnęła się obok, układając głowę w zagłębieniu jego ramienia.

– Tak? I co cię powstrzymało?

– Ty! Strasznie byłaś nieprzystępna – odrzekł i parsknął śmiechem.

– Ja?

– Wiesz, że moja matka cię uwielbia. Posłuchaj, jakie miałem z nią rozmowy.

Sambor odetchnął głęboko, a potem pisnął cienkim głosem, naśladując matczyne głos:

– Synku, ja ci mówię, idź i powiedz Nili, co czujesz! Idź, zanim ktoś cię uprzedzi! Wszyscy wiedzą, że do niej wzdychasz, wielu to nie w smak. Synku, nie strać tej dziewczyny! To prawdziwy skarb. Idź, synku!

Nila zachichotała.

– Naprawdę?

– Dzień po dniu suszyła mi głowę. Myślała, że ty też mnie lubisz. No wiesz, że wystarczy, jeśli pójdę i wyznam ci prawdę. Nie miałem serca jej powiedzieć, że ty... no patrzysz i mnie nie widzisz.

Wzdychałem i robiłem maślane oczy. Nawet podrzucałem ci kwiaty! I nic. W końcu wołałem w ogóle do ciebie nie podchodzić.

– Podrzucałeś mi kwiaty? – spytała cicho.

Spojrzał na nią oczyma tak ciemnymi, że zdawały się wciągać ją w toń.

– Przez całe lato.

– A ja głupia myślałam, że to dla Alli! Że to jakiś chłopak dla niej...

Sambor nagle podniósł się i przycisnął ją do nagrzanej słońcem ziemi. Nila przyciągnęła go do siebie zachłannym ruchem. Świat wokół przestał istnieć. Nie widzieli nic poza swoimi roziskrzonymi oczami, nie czuli nic poza słodyczą warg, nie słyszeli niczego poza własnymi oddechami. W tym jednym, niezwykłym pocałunku powiedzieli wszystko, co czuli. Gdy wreszcie oderwali się od siebie, patrzyli sobie w oczy inaczej. Tak, jak nigdy dotąd nie spoglądali.

– O niebiosa! – wyszeptała Nila.

– Wiem.

Oboje pojęli, że potęga, którą obudzili pocałunkami tamtego strasznego popołudnia podczas burzy piaskowej, nie pozwoli się już uciszyć. Sambor wstał i zatrzymał na Nili wzrok.

– Ja i ty – powiedział poważnie, bez cienia uśmiechu – to coś więcej niż całusy kradzione na potańcówce. Rozumiesz?

Pokiwała głową.

– Zginę za ciebie, jeśli będzie trzeba. – Ścisnął do bólu jej dłoń.

– Wiem. Ale ja nigdy ci na to nie pozwolę!

Dopiero wtedy w jego oczach zamigotały rozbawione iskierki.

– Tak myślałem. – Zachichotał czule. – Chodź. Pora ruszać.

Nila przywołała resztę ich gromadki i wkrótce znów szli przed siebie. Szczęśliwie, w porównaniu z trudami leśnej wspinaczki marsz szerokimi grzbietami wzniesień był czystą przyjemnością. Nogi same niosły ich przed siebie. Gdy więc pokonali pierwszą grań, wiedzieli, że z następną też sobie poradzą.

Jak dotąd, los wciąż im sprzyjał. Welesa nigdzie nie było widać – ani na brzegu Nura, ani u podnóża gór. Dalko, który ze szczytu widział wszystko jak na dłoni, penetrował teren wzrokiem od rzeki po zachodni kraniec Bukowych Kopców.

– Nic – powtarzał za każdym razem i jedynie od czasu do czasu dodawał: –Tylko daleko w dole cienkie smugi dymu.

– Może to jednak łowcy? – pytali w takich chwilach.

– Nie z tej strony zbiega. To węglarze. Widzę mielerze.

– Mój ojciec też wypala węgiel! – rozrzewnił się Sambor, gdy Dalko po raz pierwszy dostrzegł dymiące piece. – Wiecie, jak się to robi?

Każde dziecko w Kamiennych Kościach wiedziało, ale pozwolili mu mówić. Wiedzieli, jak wielka tęsknota kryła się za tymi wspomnieniami.

– Najpierw stawiamy niewysoki drewniany słupek, nad którym wiążemy trzy żerdzie. Muszą mieć kształt trójnoga, bo inaczej wszystko się rozwali. Wokół niego układamy gałązki, korę i smolne drzazgi. Powolutku, warstwa po warstwie. Potem przychodzi pora na równe

drzewne polana. Trzeba je ciasno przycisnąć jedno do drugiego i położyć tak, żeby powstała kopuła. Na koniec całość nakrywamy pierzynką. Ojciec tak na to mówi. – Uśmiechnął się.

– Pierzynką? – zapytał Dalko..

– Tak naprawdę to gruby pokład z mchu i darni, ale dobre są też liście paproci i lepka glina – wyjaśnił Sambor. – A gdy wszystko jest gotowe, ojciec wyjmuje ten słupek, cośmy go ustawili na początku, i wprowadza do środka ogień. No... i pozostaje tylko spokojnie czekać, aż te szczapy w środku spłoną i zmienią się w węgiel. Aha, i jeszcze matka się cieszy, bo robi potem z tego węgla różne pożyteczne rzeczy.

Słuchali jak urzeczeni i ukradkiem ocierali łzy, bowiem i w nich ta opowieść wywołała wspomnienia domu. Wiedzieli, że Sambor tak naprawdę nie mówił o mielerzach, ale o swoich rodzicach. Czuli, że dzieli się z nimi swoim smutkiem. Udawali jednak, że tego nie rozumieją, by Unika nie peszyć.

– No, ale to i tak węglarze, a nie Weles – powtórzył po prostu Dalko, gdy chłopak skończył opowieść.

Uspokojeni zapewnieniami Żrenicznika, pierwszą noc przespali beztrąsko, skupieni wokół ognia rozpalonego na północnym stoku. Bali się, że na przeciwległym zboczu blask płomieni będzie za bardzo widoczny, a tylko z południowej strony spodziewali się Okrutnych Żłotników. Drewna mieli pod dostatkiem. Wystarczyło wrócić do lasu i zgarnąć naręcza suchych jak wiór gałęzi wiatrołomów, które leżały tu bezużytecznie od lat.

Nieoczekiwanie trafiło się im też porządne, ciepłe jedzenie. Kadok zniknął na chwilę w ciemnościach, a gdy wrócił, rzucił Alli pod nogi bezwładne ciało tłustej wiewiórki i znów ruszył na polowanie. Po pewnym czasie leżeli na trawie z brzuchami wypełnionymi pieczonym mięsem. Podzielili się wszystkim uczciwie, staranie planując zapasy na kolejne dni.

Tuż przed brzaskiem obudził ich chłód. W samą porę, by zdążyli zobaczyć wschód słońca nad górskim masywem. Obojętni na ziąb i poranną rosę z zachwytem obserwowali ten cud natury. Nikt z nich nie widział wcześniej czegoś równie pięknego. Ciemne niebo rozjaśnił pas różowego światła na horyzoncie. Chwilę później panowanie nad

nieboskłonem przejęła żółć, tak jasna i połyskliwa, że oczy zaczęły im łzawić od patrzenia. Wszystko wokół – niebo, śnieżnobiałe chmury, mgielne smugi ponad wierchami – zabarwił radosny kolor jutrzeńki. Wreszcie nad najodleglejszym szczytem pojawił się maleńki skrawek blasku, mocniejszego niż płomień milionów świec. Zrazu niewielki, rósł i stopniowo ukazywał światu swą doskonałą, okrągłą postać. W końcu całkiem wyrwał się z ukrycia i zalśnił w pełnej krasie. Wisiał ponad grzbietami gór, chmurami i olśnionymi jego widokiem Niepowszednimi. Zaczął się nowy dzień.

Sambor wygasił ogień, spakowali resztki zimnego mięsa do toreb i ruszyli rażno na zachód.

Odzywali się niewiele, skupieni na ostrożnym stawianiu stóp. Grzbiety wzniesień, choć szerokie i wygodne, naszpikowane były wystającymi z ziemi ostrymi kawałkami skał, które czyhały na każdy nieostrożny krok.

Dalko szedł pierwszy, uprzedzając o niebezpieczeństwach. Widział nawet najmniejszy kamienny odłamek. Ostrzegwał, zbaczał z trasy, omijał co trudniejsze przeszkody. Oni zaś, wpatrzeni w jego plecy, powtarzali każdy ruch przewodnika. Wędrowali żwawo, równym rytmem do czasu, aż nagle chłopak zatrzymał się tak niespodziewanie, że zamyślona Flawia uderzyła go czołem w zębra.

– Ej! – krzyknęła zaskoczona Alla, na którą z kolei wpadła Nila. Wszyscy stanęli.

– Dalko? – zaniepokoił się Sambor.

Ten bez słowa wyciągnął dłoń, wskazując im coś u podnóża gór. Choć nie byli w stanie dostrzec tam niczego, odpowiedź była oczywista. Dobry nastrój prysł jak bańka mydlana.

– Weles! – krzyknęli jednocześnie.

Żrenicznik pokiwał głową.

– Szlag! Diabli nadali... No, wciąż go wyprzedzamy i to sporo, ale...

– ...bestia zwęszyła już trop – dokończyła za niego Alla.

– Nie ma wyjścia – zdecydował Sambor. – Trzeba zrobić wszystko, żeby zachować tę odległość.

W jeszcze głębszym milczeniu, trwożliwie spoglądając na zieloną

dolinę, ruszyli dalej. Szli z twarzami naznaczonymi strachem i rozczarowaniem. Każde z nich gdzieś w głębi serca liczyło przecież na łut szczęścia. Wszyscy mieli nadzieję, że uda im się zbiec i nigdy więcej nie zobaczyć znieawidzonych twarzy Okrutnych Złotników. Rozstanie z tymi marzeniami bardzo bolało.

Maszerowali szybko, jakby czuli na plecach towarzyszący im złowrogi cień. Żrenicznik co kilka minut oglądał się za siebie, oceniając dystans dzielący ich od pogoni i za każdym razem uspokajająco machał ręką. Utrzymywali tak mordercze tempo, że około południa uradowany Dalko krzyknął:

– Widzę! Do diaska, to Górska Przepawa!

Musieli jeszcze pokonać tylko jeden, niezbyt odległy szczyt i mogli schodzić ku granicznemu mostowi.

– A łowcy? – zapytał zmęczony Sambor.

– Szlag! Bracie, daleko za nami! Nie przybliżyli się ani odrobinę. No, czy ja wiem... – Spojrzał w dal. – Może nawet trochę im odskoczyliśmy! Warto trochę odsapnąć.

Odetchnęli z ulgą, nieco śmieiej rozglądając się dokoła. Słońce stało już w zenicie i przygrzewało tak mocno, że powietrze nad zboczem drżało. Wiatr, który poprzedniego dnia kąsał ich zimnymi zębami, przeistoczył się w łagodny zefirek lekko pieszczący dziewczęce warkocze.

– Jeśli mamy odpocząć, to lepszego miejsca nie będzie – powiedziała Alla, padając na trawę.

Pozostali zrobili to samo.

– Nie wiem, jak wy – rzekła uśmiechnięta Nila – ale ja mam zamiar najeść się jagód.

Zdjęła buty i radośnie postawiła bosc stopy na murawie. Przez chwilę poruszała palcami, ciesząc się dotykiem delikatnych źdźbeł i miękkiej ziemi. Potem podkasała lekko suknię i zrobiła kilka kroków ku niewysokim krzaczkom jagodzin. Podświetlone ciepłym południowym światłem owoce lśniły niczym ciemne rubiny. Przy nagrzanym słońcem kamieniu rosły najbardziej dorodne sztuki. Nila schyliła się i zerwała pierwszą. Delektowała się przez chwilę smakiem cierpkiej słodczy, a potem sięgnęła po następną i następną. Było ich tu tyle, że wystarczyło

położyć się na ziemi i zrywać. Już dawno nie było jej tak dobrze. Na krótką chwilę pozwoliła sobie zapomnieć o łowcach i jak dziecko cieszyła się wszystkim. Słońce pieściło rozkosznie skórę, wiatr łagodnie mierzwił włosy, a słodki smak mięszu kierował myśli w stronę rodzinnego domu. Matka ucierała suszone owoce z miodem i trzymała je na zapiecku dopóty, dopóki masa nie zmieniła się w twardy, aromatyczny blok. Kroiła go potem ostrym nożem na cieniutkie plastry i wydzielala pieczołowicie jak najcenniejszy skarb. Do tej pory zdawało się Nili, że nie było większego przysmaku nad ten matczy ny. Jednak teraz, gdy w blasku południowego słońca patrzyła na świat rozpościerający się u jej stóp, zmieniła zdanie. Nic nie mogło się równać z jagodami jedzonymi wprost z krzaka na rozległej połoninie!

Chociaż mama, to mama – przemknęła jej przez głowę kojąca myśl.

– Nilu, musimy już ruszać! – zawołał Sambor. – Weź trochę na zapas!

Roześmiała się radośnie i poderwała z trawy.

– Tylko kilka! – Rozejrzała się wkoło.

Nieopodal rosła krzewinka obsypana tak okazałymi owocami, że prawie ociekały sokiem. Schyliła się gwałtownie, wyciągając po nie rękę.

W tej samej chwili Dalko wrzasnął: – Stój!

Nila zamarła.

– Widzisz? – usłyszała ostrożne pytanie Żrenicznika.

Pokiwała głową przerażona.

Miedziane, wijące się ciało, przemykało wprost spod jagodowego krzaka ku jej bosej stopie. Miało złowróz bne zygzakowaty wzór, który zdobił je od nasady łba aż po kraniec ogona. Żmija!

Gad syknął i błyskawicznie zwinął się w spiralę. Przez moment trzymał wysoko głowę, a potem otworzył pysk, ukazując jadowe kły.

Dziewczyna zachwiała się nieporadnie.

– Nie... ruszaj... się! – szepnął Żrenicznik.

Mówił wolno i spokojnie, żeby nie straszyć przyjaciółki i nie prowokować jadowitego napastnika, ale Nila słyszała każdą histeryczną nutę w jego głosie.

– Stój... nieruchomo... powinna odejść za chwilę...

Nila robiła, co mogła, by wytrwać w bezruchu. Jednak coraz dotkliwiej czuła drżenie wygiętych pleców i ból uniesionego ramienia. Wiedziała, że jeśli gad nie odpełźnie dość szybko, lada moment będzie musiała się wyprostować i opuścić rękę. Popatrzyła z nadzieją na niewielkie stworzenie. Niestety, żmija nie zamierzała się oddalać. Przyglądała się dziewczynie badawczo, jakby nie mogła się zdecydować, czy uznać ją za agresora, czy też zupełnie ją zignorować. Wreszcie schowała kły.

I właśnie wtedy umęczone ramię Nili przeszył rozdzierający ból od barku aż po czubki palców! Dziewczyna jęknęła i gwałtownie opuściła dłoń! Żmija zareagowała natychmiast. Uderzyła z niewiarygodną szybkością.

Dosłownie w ułamku sekundy wbiła zęby w miękkie ludzkie ciało. Po chwili było po wszystkim. Gdy krzycząca z bólu Żniwiarka opadła na trawę, gada już nie było.



Zanim przerażeni przyjaciele przypadli do jęczącej dziewczyny, Kadok już węszył w fałdach jej sukni. Gdy tylko wyczuł ślad żmii, zaskamlał żałośnie, a potem z podkulonym ogonem położył się przy Żniwiarce. Zły znak. Sambor bez słowa uniósł brudny materiał i ze zmarszczonymi brwiami spojrział na zaróżowioną stopę Nili. Tuż przy samej kostce znaczyły ją dwa punkciki. Można by je było uznać za niewinne i nic nieznaczące, gdyby nie to, że noga zaczynała już puchnąć.

– Kochana... – wyszeptła przerażona Alla. – Co mamy robić?

Ból uderzył z taką siłą, że Nila z trudem była w stanie skupić się na słowach siostry. Miała wrażenie, że od palców po kolano jej ciało jest jednym wielkim cierpieniem. Męczarnia była straszna. Jakby dziesiątki rozgrzanych do czerwoności cęgów szarpało delikatną skórę i skryte pod nią tkanki, wrywało żywcem mięśnie, łamało kości i pruć żyły. W Kamiennych Kościach mawiano, że jeśli już przyszło się zetknąć z jadem zygzaka, to lepiej umrzeć szybko, gdyż powolna agonia była tysiąckroć gorsza.

Nila zerknęła na stopę. Wokół dwóch maleńkich dziurek szybko formował się purpurowo-siny krwiak i na jej oczach rozlewał się coraz wyżej. Wiedziała, że jest źle, a przecież miało być jeszcze gorzej. Choć serce trzepotało niczym ptak w sidłach, rozum zdobył się na heroiczny wysiłek i zmusił dziewczynę do zachowania spokoju.

– Ja... – powiedziała, ale słowa z trudem przechodziły przez ściśnięte trwogą gardło – ...pomocy...

Moc Żniwiarki była bezsilna wobec tej odrobiny żółtej mazi, którą żmije wtłaczały w ciała swych ofiar. Nila była w stanie pomóc pacjentom jedynie w zmniejszeniu obrzęków i łagodzeniu bólu. Choć za każdym razem narzekała, że to żałośnie mało, dla siebie samej nie mogła zrobić nawet tyle.

– Nilu, powiedz, czego ci trzeba! – Sambor objął ją tak mocno, jakby bał się, że śmierć zechce wyrwać mu ją wprost z ramion. – Zrobię wszystko.

Czego mi trzeba? – powtórzyła w myślach. – *Czego mi trzeba?*

W Kamiennych Kościach ukąszenia zdarzały się na tyle często, że mieszkańcy osady nauczyli się wytwarzać całkiem skuteczne antidotum. Była nim krew szczurów, hodowanych wyłącznie po to, by wystawiać je na ataki żmij. Te gryzonie, którym udało się przetrwać truciznę w swych trzewiach i przeżyć, wychodziły z bolesnej przygody całkowicie odporne na jad, a odrobina ich krwi była najlepszym lekarstwem dla pokąsanych ludzi. Dziewczyna знаła zygzakowate gady wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że jeśli nie dostanie takiego specyfiku, jej życie zawiśnie na włosku.

Problem w tym, że pech dopadł Nilę w górach, nie w Kamiennych Kościach, i nie było tu żadnej odtrutki. Trzeba było pilnie dotrzeć do najbliższej siedziby drwali, smolarzy, czy kto tam jeszcze mieszkał w tych dzikich ostępach. To jednak wymagało czasu, którego wciąż ubywało. Żniwiarka musiała więc zrobić wszystko, by dać go sobie jak najwięcej.

W jej rodzinnych stronach nie było domostwa, w którym by nie uczono dzieci reguł postępowania w razie ukąszenia. Od tego mogło zależeć życie. Zatem matka Nili wciąż powtarzała, że jeśli serce bije szybciej, to i zła krew prędzej do niego dotrze. Nie wolno więc męczyć go ani strachem, ani wysiłkiem. To oznaczało, że Nila była w całości zdana na swych towarzyszy.

– Jest gorzej – szepnęła Flawia wpatrzona w spuchniętą stopę przyjaciółki. – Zsiniała.

Nilę nie musiała tam zerkać. Czują to. W ciągu pięciu minut krwiał nie tylko przybrał fioletowy kolor, ale i stał się tak wrażliwy, że nawet dotknięcie delikatnego materiału sukni było torturą. Dziewczyna zagryzła wargi, żeby nie krzyczeć z bólu. Wiedziała, że gdy minie kolejna godzina, najwyżej dwie, nie będzie już w stanie klarownie myśleć. Mogła zemdleć, histeryzować, zapaść w sen lub całkowicie stracić orientację. Musiała więc przekazać przyjaciółom jak najwięcej swej medycznej wiedzy na wypadek, gdyby przyszło im podejmować decyzje za nią...

– Znajdźcie odtrutkę – powiedziała. – Skoro są żmije, to tutejsi muszą ratować się tak jak my. Może gdzieś są ludzie... wiem!

Wypalacze węgla!

Słowa Nili jeszcze nie przebrzmiały, a Dalko stał już na skraju grani, wypatrując śladów osadników.

Alla delikatnie odsunęła falbanę sukni siostry.

– Stopa strasznie spuchła! – Popatrzyła na nią przejęta. – Może trzeba to naciąć? Żeby jad wypłynął...

Nilą pokręciła głową.

– Nie wolno! Znajdźcie liście jęczyczków polnych. Byle dużo. Część zjem, a z reszty zrobimy okłady.

Ledwie to powiedziała, Alla już popędziła na poszukiwania i w ciągu kilku chwil uskładała niewielką stertę długich, lancetowatych roślin.

Nie było lepszego lekarstwa. Matka dziewcząt mawiała, że to najmądrzejsza bylina pod słońcem. Kurowali się nią wszyscy, bo pomagała na większość słabości. Goiła otarcia, utrzymywała w czystości otwarte rany, łagodziła bóle żołądka, pomagała kaszlącym, a nawet byli i tacy, którzy przysięgali, że wyciągała z krwi jad węża i skorpiona!

– Co jeszcze? – Sambor ponaglił Nilę.

– Trzeba unieruchomić nogę, najlepiej w łupkach. Im mniej nią ruszam, tym lepiej. Trucizna wolniej się rozchodzi. Przynieś proste gałęzie, nie grubsze niż moja ręka.

Flawia zerwała się z miejsca.

– Ja pójdę!

– I węgiel roślinny – sapnęła z wysiłkiem Nilą. – Choć nie wiem, jak mielibyśmy to zrobić.

W Kamiennych Kościach w mielerzach wypalało się antracyt głównie z drewna lipowego. Leczyło się nim potem biegunkę, uzdatniało wodę, a nawet usuwało podły zapach z gorzałki.

Sambor popatrzył na nią zdumiony.

– Na co ci węgiel?

– Powinnam go zjeść. – Uśmiechnęła się słabo. – Tyle, ile dam radę. Wyciągnąłby ze mnie choć trochę tego paskudztwa.

– Nilu, wypalanie węgla trwa przynajmniej tydzień. Wiesz, że akurat na tym się trochę znam. Ile mamy czasu?

Zastanowiła się.

– Przez cztery godziny trucizna będzie miała największą moc. – Zdumiewał ją spokój, z jakim odliczała cenne minuty swego życia. – Przez następnych szesnaście osłabnie o połowę. Potem zacznę powoli wracać do sił. Jeśli przeżyję...

– Przestań!

– Języczki polne będą musiały wystarczyć – stwierdziła.

Powoli odkorkowała bukłak i przyłożyła do niego usta. Gardło miała tak suche, że woda ocierała się o nie z trzaskiem. Nie była pewna, czy to skutek przerażenia, czy objaw zatrucia. Na wszelki wypadek wypięła tylko kilka kropel, z obawy, że rozrzedzona płynem krew szybciej przeniesie jad do serca.

Choroba rozprzestrzeniała się po ciele. Nila czuła mrowienie w rozrywanej bólem łydce. Część nogi, poniżej śladów po zmijowych zębach, robiła się coraz bardziej sztywna.

– Jeszcze coś? – chciał wiedzieć Sambor.

– Nie powinnam się ruszać. Nie mogę też się męczyć ani bać. Nie mogę niczego, co wprawi serce w szybsze bicie! Psiakrew! Sambor, jak mam to zrobić?!

Rozpląkała się. Starła się nie szlochać, nie popadać w spazmy. Łzy po prostu ściekały po jej pobladłej, ściągniętej bólem twarzy.

– Przestań! – wyszeptał chłopak zduszonym głosem. – Uratujemy cię! Słyszysz? Będę cię niośł przez całą drogę albo zrobimy nosze! Będziesz mogła leżeć! Co jeszcze? Mów!

Nila podała mu bukłak.

– Trzeba przemyć ranę. Tylko jej nie dotykaj!

Uniósł brwi, nie rozumiejąc.

– Masz poobcierane dłonie, pełno skaleczeń – wymamrotała. – Wchłoną jad jak gałganek wodę!

Gdy ostrożnie przechylił naczynie i lał wodę wąskim strumieniem, drobinki piachu, krwi i zmijowego śluzu ściekły z nogi na ciemną ziemię.

– Załóż opaskę i zaciśnij mocno! – Uniosła falbanę, pokazując zdrowy fragment ciała ponad ukąszeniem. – O, tu!

Jednym ruchem oderwał spory kawał materiału z sukni i sprawnie zawiązał węzeł na łydce.

– Co jeszcze, Nilu? Mów!

Z trudem zebrała myśli.

– Trzeba zrobić okład i schłodzić nogę. Im bardziej będzie mi zimno, tym lepiej. W chłodzie krew wolniej krąży. I podaj mi te liście.

Wzięła się do jedzenia. On zaś wstał i poszedł w kierunku grani.

– Ty zrób kompres – powiedział na odchodnym do Alli. – Ja idę po kamienie. Niczego zimniejszego nie znajdę.

Ruszył ku krawędzi szczytu, coraz bardziej przyspieszając kroku. A im szybciej się oddalał, tym niżej opadały mu ramiona, wstrząsane bezgłośnym szlochem. Nie odwracał się. Nie chciał, by Nila domyśliła się, jak bardzo się o nią boi. Ona jednak i tak wiedziała.

– Głuptas! – Uśmiechnęła się smutno do siostry. – Jestem Żniwiarką! Nikt nie pojmuje lepiej ode mnie, co mi grozi.

– Kochasz go, prawda?

Nilu spojrzała na nią z lekkim zawstydzeniem.

– Przecież wiesz.

Wsunęła do ust kolejną roślinkę. Języczki polne nie były smaczne. Gorzkie, z ostrym ziołowym posmakiem, zostawiały po sobie nieprzyjemną suchość w gardle i na wargach. Spływający sok garbował delikatne tkanki.

– Allu – odezwała się z namysłem – gdybym... no... mogę nie dać rady...

Przez piękną twarz Bestiarki przebiegł skurcz takiej rozpacz, że Nilu urwała w pół słowa.

– Przestań! – krzyknęła Alla. – Przestań! Nie chcę słuchać, że możesz umrzeć, rozumiesz?! Chcę wiedzieć, jak cię ratować, a nie jak żyć bez ciebie! Mów!

Nilu westchnęła ciężko.

– Dobrze, niechaj będzie po twojemu. Jeśli znajdziecie odtrutkę, podawajcie mi ją nie częściej niż co godzinę. Odmierzaj starannie porcje, bo nawet lek może zabić. Nalewaj tyle, ile zmieści się w naparstku. I... postaraj się, żebym utrzymała ją w żołądku.

– Będziesz wymiotować?

– Możliwe.

– Co jeszcze?

– Ból głowy, brzucha, biegunka, pokrzywka, krwotok, omdlenie, gorączka, opuchlizna, łamanie w kościach...

– Bogowie... – wyszeptała przerażona Alla.

Nagle zrobił się wokół nich tłum. Wróciła Flawia, niosąc dwie idealnie równe, odpowiednio grube gałązki na łupki. Tuż za nią przybiegł zdyszany Sambor i z uczynionego z koszuli tobołka wyjął kilka kamieni, które kształtem przypominały spłaszczone dyski.

– Zimne jak lód – powiedział i przyłożył jeden do trawionego jadem ciała.

Nilą miała wrażenie, że rozpalona trucizną skóra aż jęknęła w zetknięciu z chłodnym głazem.

– Kochany! Co za ulga! – wyszeptała z wdzięcznością.

Jednak najlepszą wieść przyniósł im zziębnięty po biegu Dalko.

– Mielerz! – wysapał. – Cholera, ale się zmachałem! Widziałem mielerz! Niedaleko, no... jakieś trzy godziny marszu w dół! Schodzimy!

– Nie! – zaprotestował Sambor. – Ona nie może się męczyć! Musimy zrobić nosze!

Chłopcy z Flawią i Kadokiem ruszyli więc z powrotem w stronę lasu, tym razem w poszukiwaniu odpowiednich drzewiec na nosze. Po drodze podcinali rzemienie przytwierdzone do bukłaków. Teraz miały im posłużyć za wiązania.

Alla podała siostrze następny listek i sprawnie ujęła nogę w łupki. Nilą zaś zawiesiła wzrok na swojej obrzmiałej i straszącej krwistymi wybroczynami kończynie. Mimo okładu była cieplejsza niż kilka minut wcześniej. Ból wzrastał się z minuty na minutę, kłusząc ją już po całej łydce i pod kolanem.

– Allu, jeżeli to, co widział Dalko, to rzeczywiście mielerz, zdobądź węgiel drzewny i karm mnie nim.

Bestiarka bez słowa skinęła głową.

– I utrzymujcie nogę w chłodzie, nieruchomą, zawsze poniżej poziomu serca. To tyle... wszystko, co wiem.

– Dobrze. Wracają. Chodźmy wreszcie znaleźć tych węglarzy.

Chłopcy ciągnęli za sobą dwie solidne gałęzie, spięte materiałą. Miała na niej spocząć Nilą, ale tymczasowo zajęli ją Flawia i Kadok. Zapewne w ten sposób przyjaciele sprawdzali wytrzymałość swego

dzieła. Próba wypadła pomyślnie, bo była to prosta, naprawdę solidna konstrukcja. Wręcz doskonała, zważywszy warunki, w jakich powstała.

– No i po mojej zapasowej sukni – mruknęła Alla.

We czwórkę ułożyli Nilę na noszach tak delikatnie, jakby mieli do czynienia z noworodkiem. Sambor poprawił łupki i podał jej nową wiązkę listków.

Pierwszych kilkanaście sążni przeszli całkiem gładko i bez przeszkód. Kłopoty zaczęły się przy zejściu ze zbocza. Każdy podskok na kamieniu czy wystającym korzeniu wwiercał się w ciało dziewczyny bolesnym spazmem. Od kostki po kolano noga paliła żywym ogniem. Nila zagryzała wargi, by nie jęczeć, ale na nic się to zdało.

Im zaś nie wolno było ani się zatrzymać, ani zwolnić. Nie mogli więc zrobić nic, by ulżyć jej w cierpieniu. Jeśli chcieli ją uratować, musieli pędzić w dół, poganiani bezlitośnie upływającym czasem.

Na pierwszy postój zdecydowali się dopiero po półgodzinie forsownego marszu. Wyszukali najbardziej zacienione miejsce, by nie narażać chorej na promienie popołudniowego słońca.

Pomogli jej usiąść, a sami padli na wilgotną ziemię i z trudem łapali oddech.

Nilę wyglądała źle. Miała rozpaloną rumieńcami twarz, rozszerzone z bólu źrenice, a trawione gorączką ciało spływało potem. Choć rozogniona od środka, na zewnątrz trzęsła się jednak z zimna.

– Kamień wciąż chłodzi? – zapytał Sambor.

– Nnn ... ie – zaszczękała zębami – jeeee... st cieeee... pły.

Alla natychmiast zdjęła gruby kaftan i opatulila nim siostrę.

– Zaraz będzie lepiej. Zmienimy ci opatrunek i pójdziemy dalej.

– Nieceedobbb... rze mi!

Tych kilka słów, które Nila ledwie zdołała wykrztusić, okazało się wysiłkiem ponad jej możliwości. Jeszcze nie skończyła mówić, a już coś szarpnęło ją gwałtownie. Przechyliła się poza nosze i wymiotowała w takich bólach, jakby ktoś uderzył ją w żołądek cegłą.

Gdy torsje minęły, wbiła wzrok w kałużę przetrawionych liści i skąpego posiłku.

– Połóż się – odciągnęła ją Alla.

Nilę odepchnęła siostrę niezgrabnie.

– Krew! – wymamrotała niewyraźnie. – Muszę sprawdzić, czy jest krew!

– Ja zobaczę! – zdecydował Sambor.

Odsunął delikatnie na w bok przytomną dziewczynę, a potem nachylił się nad zwróconymi resztkami i obejrzał je dokładnie.

– Nic tu nie ma – powiedział. – Nawet kropli krwi. To dobrze, prawda?

Chora z trudem pokiwała głową i padła na nosze. Miała wrażenie, że pod jej czaszką rozbrzmiewa łoskot tysięcy rozhuśtanych wichrem dzwonów. Ukąszona noga była zaledwie punktem, od którego rozchodziły się macki cierpienia. Bolało ją wszystko. Bolało sponiewierane wymiotami gardło, bolały kości, bolał wygarbowany roślinnym sokiem język, bolała skóra do granic możliwości napięta opuchlizną i bolały dłonie, którymi kurczowo trzymała się żerdzi, by nie spaść podczas tej szalonej gonitwy po zboczu.

– Czasem jad niszczy wszystko od środka. – Nawet mówienie sprawiało ból. – Żyły, trzewia... Wtedy nie ma już ratunku.

– Tobie się to nie przytrafi! – zaproponował Sambor. – Jesteś Żniwiarką! Masz w sobie więcej siły niż stu łowców!

– Mam nadzieję.

Flawia delikatnie uniosła falbany siostrzanej sukni, by można było zmienić opatrunek, a potem zręcznie odjęła łupki i powoli podniosła płaski kamyk.

– Rozgrzał się – mruknęła, odkładając go na bok.

Na koniec listek po listku usunęła grubą warstwę polnych jęczyczków. Gdy odrzuciła ostatni, to, co zobaczyli, pozbawiło ich tchu! Od palców po kolano noga miała jednolity fioletowy kolor. Opuchła tak bardzo, że w skórze odznaczyły się grube żłobienia po bandażach. Można było dostrzec dokładny rysunek wątku i osnowy, jakby ciało Nili stało się szkicem skrupulatnej tkaczki.

– Siostrzyczko... – szepnęła Alla.

Żniwiarka ocknęła się z cierpiętniczego letargu.

– Zdejmijcie opaskę!

– Ale trucizna pójdzie do serca! – zaprotestował Sambor.

– Bracie, krew nie krąży! – Dalko pochylił się nad mocno

zadzierzgniętym węzłem. – Straci nogę, jeśli to zostawimy.

– Ale jad może ją zabić! – Unik obronnym gestem położył dłoń na rozognionej łydce dziewczyny.

Nilą wrzasnęła z bólu. W oczach jej pociemniało, a orkiestra poruszanych wichrem dzwonów odezwała się w skołatanej głowie ze zdwojoną mocą.

– Sambor... – wymamrotała cicho, wbijając paznokcie we wnętrze dłoni. Zrobiłaby wszystko, by choć na chwilę przestać czuć potworne rwanie w ciele.

Nachylił się nad nią ostrożnie, a ona objęła go ramieniem i schowała rozpaloną twarz w miękkim zagłębieniu jego szyi.

– Sambor – powtórzyła, z trudem składając wyrazy – kochany mój. Z trucizny być może i zdołasz mnie wyleczyć. Z niczego więcej. Nie tutaj. Krew musi krążyć. Przecież wiesz to. Sambor...

W milczeniu sięgnął po nóż i rozciął ciasno obwiązany materiał. Potem starannie polał nogę lodowatą wodą i nałożył nową warstwę listków. Docisnął to płaskim lodowatym kamykiem i lekko zawinął bandaż. Na powrót ujął łydkę w łupki, a potem ułożył Nilę na noszach. Twarz miał zaciętą, szarą i naznaczoną śladami łez.

– Nie chcę więcej słyszeć, że być może cię uratuję! – powiedział. – Słyszysz? Nie być może, u licha! Uratujemy cię na pewno! Rozumiesz?

Umęczona pokiwała głową.

– Idziemy! – warknął i chwycił za nosze. – Szmat drogi przed nami!

Znów popędzili w dół. Nilą przestała już zagryzać wargi z bólu i jęczała przez cały czas. A oni przestali się dopytywać, jak bardzo z nią źle. Nie było czasu na pogaduszki. Mknęli po zboczach, utrzymując nosze tak, by chora noga znajdowała się nie wyżej niż serce.

Żniwiarka leżała na boku, kurczowo trzymając się szerokiej żerdzi. Żołądek miała tak ściśnięty, że gdy dotykała brzucha, czuła twardy węzeł pod skórą. Nie dała rady utrzymać w nim kolejnej porcji polnych jęczmyków. Żółć napłynęła jej do gardła i drażniła przełyk goryczą roślinnego soku. Ponownie przechyliła się nad krawędzią noszy i zwymiotowała, a przyjaciele wciąż biegli, ciągnąc ją za sobą.

– Żyjesz? – krzyknął zdyszany Sambor. – Zatrzymać się?

Machnęła dłonią na znak, żeby nie zwracał na nią uwagi. Postój nie miał żadnego sensu. Nie poczułaby się przez to nawet odrobinę lepiej. Zwłoka zaś mogła ją zabić.

Minęła godzina od ukąszenia. Ona rozumiała, że jest z nią coraz gorzej. Oni doskonale to widzieli. Świat bez przerwy wirował wokół Nili w rytmie ogłuszającego łomotu, który rozsadzał jej czaszkę. Ilekroć zaś przyłożyła dłoń do piersi, czuła, jak serce tłucze się wariacko i coraz częściej gubi tempo.

Gdy przeniosła rękę pod kolano, odkryła następny objaw choroby! Noga nie zginała się tak łatwo, jak wcześniej. I nie w opuchliznie był problem, choć ta rozrosła się tak, że sięgała już niemal do połowy uda. Bardziej martwiło ją skupisko twardych dużych kulek pod skórą, które bez trudu wyczuwała. Te największe, najbardziej bolesne, wypełniały przestrzeń w miękkim zagłębieniu pod kolaniem. Każda próba przygięcia chorej nogi kończyła się pełnym cierpienia krzykiem. Mniejsze punkciki, jeszcze nie tak wrażliwe na dotyk, Nila znalazła w pachwinach. Wiedziała, że to tylko kwestia czasu, zanim i one zaczną palić ją żywym ogniem. Trucizna coraz śmielej sobie poczynała!

Po dwóch kwadransach biegu stok wyraźnie utracił swą stromiznę. Wreszcie zbliżali się do podnóża! Drzewa rosły tu gęściej, a wokół nich pojawiło się więcej rozłożystych olszyn, które utrudniały poruszanie się. Nie było czasu na mozolne wycinanie gałęzi. Kluczyli więc między nimi, wydeptując dodatkowe sążnie. Po kolejnych kilku minutach Kadok zwęszył trop i przepadł w zaroślach. Chwilę później i oni poczuli wyraźny zapach tłących się drewnien.

– Nilu, węglarze! – krzyknęła Flawia. – Wytrzymaj!



Choć zapach dymu był coraz silniejszy, samych mielerzy wciąż nie było widać.

– Długo jeszcze? – wysapała zdyszana Alla.

– Widzę polanę! Będzie z kwadrans! – odpowiedział równie zmęczony Żrenicznik.

– Jeszcze? – zawył Sambor i wyrzucił z siebie potok przekleństw zmieszanych z błaganiem, by niebiosy dały dziewczynie spokój.

Od dłuższego czasu na przemian to złorzeczył, to dopraszał się łaski. Tylko w ten sposób umiał sobie radzić ze strachem, który zawładnął jego sercem.

– Nilu, zlituj się, wytrzymaj!

Udręczona dziewczyna zamknęła oczy. Bała się, że nie miała już nawet kwadransa. Była Żniwiarką, nie jeden raz widziała zgon i знаła na pamięć zwiastuny jego przybycia. W połowie zbrocza odczytała w swym ciele pierwszy z nich. Zaraz po nim pojawiały się następne, niczym kruki zwabione wieścią o dogorywającej ofierze. Kadokowi instynkt być może podpowiadał to samo, bo lis wciąż jeżył się i skamlał. Każde z przyjaciół wychwytywało w tym zwierzęcym zawodzeniu żalobną nutę, ponurą zapowiedź coraz pewniej kroczącej ku dziewczynie śmierci.

Nilu nie miała już siły, by walczyć. Noga, mięśnie, kości, nawet skóra, paliły ją żywym ogniem. Nie zwracała sobie głowy szukaniem nowych guzów. Czula je! Te pod kolanem stwardniały niczym kamienie i raniły tkanki od środka. Te w pachwinach uwierały i bolały tak bardzo, że gdyby miała na to dość energii, wyrwałaby je z siebie gołymi rękami. Te pod zuchwą, wielkie jak dorodne ziarna fasoli, nawet przełykanie czyniły bolesnym. Nilu ledwie mogła ruszać językiem, opuchniętym i nieznośnie tkliwym. Zrezygnowana i na wpół przytomna, otworzyła usta i leżała tak miotana kolejnymi szarpnięciami bólu. Strużka śliny powoli spływała na rękaw sukni, a ona mogła na to tylko bezradnie patrzeć.

W końcu świat wokół niej zaczął się zmieniać i rozumiała, że jej czas dobiegał końca. Kontury ludzi i przedmiotów stały się mniej

wyraźne, dźwięki bardziej oddalone, a światło co chwila zanikało, by ustąpić miejsca ciemności. Świadomość coraz częściej uciekała, pozostawiając dziewczynę w mrocznych otchłaniach męki i strachu.

– Nie! Nila! – przerażony głos Alli wyrwał Żniwiarkę na chwilę z letargu. – Ona chyba umiera!

Sambor aż zawył straceńczo na te słowa.

– Zostań! – zawołał. – Nie waż się odchodzić! Słyszysz?! Nie zostawiaj mnie! Patrz! Jesteśmy na miejscu! Patrz!

Nila jeszcze raz zebrała wszystkie siły. Na przekór śmierci, która czekała z szeroko rozwartymi ramionami, otworzyła oczy.

Polana nie była duża. Niewiele ponad trzydzieści sążni od zachodu na wschód i drugie tyle od północy na południe. Na jej obrzeżach kilkanaście przysadzistych mielerzy kopciło białym dymem.

Drzewa rosły tu z rzadka, jakby na pamiątkę tego, co zostało z gęstego niegdyś lasu. W centralnym punkcie stał obszerny szałas, zbudowany z solidnych żerdzi, nakryty strzechą z darniny. Znacznie dalej, przy trzaskającym ogniu, siedziało dwóch mężczyzn.

Jeden z nich, strzelisty niczym tyka, był przeraźliwie chudy. Drugi, niski i prawie zupełnie łysy, krył połowę twarzy za niechlujną, skołtunioną brodą. Obaj uwalani sadzą, z twarzami czarnymi od węglowego pyłu i demonicznie błyskającymi białkami oczu, bardziej podobni byli do leśnych biesów niż do ludzi. Na widok gromady rozwrzeszczanych przybyszów i ujadającego wściekle lisa wilczego poderwali się na równe nogi, a do obrony złapali, co mieli na podorędziu. Wyższy chwycił długi drąg, niższy – solidną siekierę.

– Czego tu?!

Niepowszedni nie mieli czasu, by przejmować się nieprzyjaznym przywitaniem. Przekrzykując się wzajemnie, zaczęli wołać o ratunek. Sambor zatrzymał się gwałtownie tuż przed niższym węglarzem i opadł na kolana w błagalnej pozie.

– Nie podchodź! – ostrzegł łysy, a obuch ciesielskiego topora zawisł nad głową Unika.

– Pomocy!

Wyższy wypalacz stał nieporuszony i zdumionym spojrzeniem ogarniał intruzów. Dopiero skowyt cierpiącej Nili wywołał błysk

zrozumienia w jego oczach. Opuścił drąg i przechylił głowę, by zerknąć na leżącą na noszach dziewczynę. Łysy też przysunął się bliżej i obaj spoglądali na chorą z zaciekawieniem, ale bez cienia współczucia.

– Żmija! Odtrutka! – Sambor złożył dłonie jak do modlitwy. – Błagam!

– Aaaa... zygzak ją dopadł! – domyślił się łysy i zabobonnie splunął przez lewe ramię. – Nic tu po nas, Siemił. Toć dziewczucha zaraz umrze.

Sambor ryknął wniebogłosy i rzucił się na niego z gołymi rękami. Węglarz w panice skoczył do tyłu, potknął się o kretowisko i legł na ziemi jak długi. Unik już miał runąć z pięściami na mikrusa, ale Dalko w ostatniej chwili złapał przyjaciela.

– Szlag! Bracie, nie tak!

Zrozpaczony Sambor zacisnął pięści, jednak zrobił krok wstecz, zaś rozwścieczony łysy natychmiast poderwał się na nogi i walnął chłopaka trzonkiem cieślicy po żebrach.

– Parszywiec! Miarkuj się albo won stąd! – warknął.

Sambor skrzywił się z bólu, lecz pokornie schylił głowę.

– Błagam, uratujcie ją. Proszę.

– Toć mówię ci durniu, że to na nic! Siemił, rzeknij no mu!

– Cichaj, Gwido! – zadudnił basem wysoki mężczyzna. – Najpierw zobaczyć trza.

Podszedł do noszy i odsłonił nogi Nili aż po uda.

– Bogowie! – jęknęła Alla.

Flawia zakryła dłonią drżące od płaczu usta. Dalko zaklął, a Sambor zakwilił cicho jak śmiertelnie ranne zwierzę i przypadł do ukochanej. Delikatnie pogłaskał ją po sklejonych potem włosach i zszokowany patrzył na potworne skutki żmijowego jadu. Trucizna do cna przeniknęła ciało Żniwiarki. Zaatakowała obie kończyny, znacząc je obrzmiałością i upiornym fioletem wybroczyn. Opuchnięte do granic możliwości łydki, kolana i uda wprost rozlewały się na noszach. Zdawało się, że skóra lada moment nie wytrzyma naporu rozsadzającego ją ciała i pęknie. Nila oddychała płytko, oczy miała zamknięte i niewiele rozumiała z tego, co się wokół niej działo.

Siemił trącił Allę czubkiem buta.

– Dokąd sięga opuchlina?! Gadaj!

Dziewczyna drżącymi palcami rozsznurowała wierzchnią suknię siostry i zajrzała pod gieszło.

– Ponad kibić!

– No to już po niej! – Wzruszył ramionami łysy. – Mówiłem przecież.

Siemił odwrócił się do towarzysza i burknął od niechcienia:

– Gwido, przynieś szczury.

– A na cholerę?!

– Idź!

Niski węglarz skrzywił się, ale poszedł w kierunku koliby. Wrócił stamtąd z klatką pełną czarnych jak smoła gryzoni.

– Mówiła o węglu drzewnym! Żeby jeść... dużo – wtrąciła szybko Alla.

Siemił pokręcił głową.

– Tera już na to za późno.

Podszedł do najbliższej kępy roślin i wyrwał z niej garść pokrzyw. Gwido w tym czasie postawił kojec na murawie, otworzył wieko i wprawna ręką wyciągnął jedno ze stworzeń. Choć szczur zajadle kłapał zębami, mężczyzna nic sobie z tego nie robił. Objął palcami cienką szyję zwierzęcia i docisnął cztery łapki do własnej piersi. Nieszczęsna bestyjka mogła już jedynie zaciekle tłuc ogonem. Gwido westchnął zrezygnowany i spojrzał ciężkim wzrokiem na towarzysza.

– Bracie! – przemówił spokojnym tonem. – Szkoda dobrego szczura na truposza. Toć ona już jedną nogą na tamtym świecie albo i bardziej.

– Przestań! – jęknął Sambor.

– Prawdę mówię!

Siemił, obojętny na gderanie kamrata, wyciągnął zza pasa niewielki kozik i maleńki wydrążony w drewnie naparstek.

– Trzymaj go! Ino mocno!

Pewnym ruchem naciął szczurze udo i zwinnie podstawił naczynko. Ciemnoczerwona krew skapywała wielkimi kroplami na dno. Gryzoń znieruchomiał, zaskoczony bólem, ale widać nie cierpiał bardzo, bo wciąż kłapał długimi, żółtymi zębami.

Życiodajny płyn w kilka chwil wypełnił naporstek po brzegi.

– Dość – zdecydował węglarz. – Opatrz szczura.

Podał Gwidonowi pokrzywowe liście, a sam pochylił się nad Nilą. Potrząsnął nią mocno, aż uniosła powieki i popatrzyła na niego obojętnie oczyma zasnutymi mgłą bólu. Dopiero wtedy uniósł jej głowę. Dziewczyna szarpnęła się bezwiednie i jęknęła żałośnie jak przerażone kocię.

– No, już! – Przyłożył naczynko do jej spękanych ust. – Może ci się poszczęści i wyżyjesz... Pij!

Zamknęła oczy i przełknęła wszystko.

– Dobrze. Tera trza ci odsapnąć.

Gdy tylko Nila na powrót pogrzyżyła się w malignie, Alla kurczowo uczepiła się dłoni węglarza.

– Przeżyje, prawda? – zapytała szeptem.

– A mnie skąd wiedzieć?! Toć ona już na wpół umarła.

Odpowiedziało mu niechętnie spojrzenie czterech par wpatrzonych w niego oczu.

– No czego się tak gapią? Mam łąać? Godzi się spróbować, to i damy jej trochę juchy. Niedużo, bo to szczury dla nas.

– Najwyżej dwie miarki! – zapowiedział Gwido.

Siemił zerknął na niego pobłaźliwie.

– Cztery.

– Toć ci gadam, że szkoda!

– Obaczym.

– Durnego robota! I tak zdechnie za godzinę!

Siemił zerknął na niego chytrze.

– Gwido, przecie mamy tych szczurów pod dostatkiem, a ci tutaj...
– węglarz zawiesił głos i zerknął twardo na gromadkę przybyszów – na pewno się odpłacą.

Alla, Dalko, Sambor i Flawia popatrzyli na siebie porozumiewawczo. W ich spojrzeniach było tyle samo bezwzględności, ile dostrzegli jej w pazernych mężczyznach. Resztę pieniędzy od Batu Taurisa oddali chłopakowi na barce. Nie mieli ani grosza, ale też nie zamierzali się do tego przyznawać. Wszyscy czworo wiedzieli, co muszą zrobić. Życie Nili było ważniejsze.

– Odplacimy, odplacimy – zapewnili chórem.

Łysy wzruszył ramionami i złorzeczając pod nosem, zniknął w szalasye wraz ze szczurami. Siemił też nie miał przy Nili nic do roboty. Wstał ciężko z murawy i ruszył w stronę ogniska.

Przyjaciele zostali sami.

– Co zrobimy po czwartej miarce? Nie dadzą nam więcej! – powiedziała cicho Flawia.

– Sami sobie weźmiemy! – rzuciła Alla głosem tak twardym, że nikt nie miał wątpliwości, iż prędzej rozniesie w perzynę siedzibę węglarzy, niż pozwoli siostrze dogorywać bez odtrutki.

– Nie mamy czym zapłacić.

– Coś wymyślimy.

Wpatrzeni w rozpaloną gorączką twarz chorej, niecierpliwie czekali na jakikolwiek znak nadchodzącej poprawy. Nic takiego się jednak nie działo. Wstrząsana drgawkami Żniwiarka coraz głębiej zapadała w dziwny letarg, z którego nie sposób jej było wyrwać ani nawoływaniem, ani potrząsaniem. Śniła, choć musiały być to koszmary, bo na przemian wydawała z siebie jęki bólu i okrzyki trwogi, od których aż cierpła im skóra. Szczupłe ręce Nili to drżały, to znów podrywała je tak, jakby chciała odepchnąć od siebie coś, co jej zagrażało. Raz rzucała głową na wszystkie strony, raz zastygała w bezruchu, jak zwierzę złapane w śmiertelną pułapkę.

– Ale żyje! Wciąż żyje! – powtarzał Sambor, który nie widział niczego poza szamoczącą się w malignie ukochaną.

Odgarniał jej z czoła zlepione potem włosy, całował spękane usta i uśmiechał się do niej promiennie, ilekroć otwierała oczy i spoglądała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Nilu – szeptał wówczas – jest już dużo lepiej!

A ona znów wracała w mrok, na nowo wpadała w dygot, jeszcze raz zanurzała się w świecie, w którym królował ból. Czasami powtarzała imię Sambora, a wtedy on chwycił się za głowę ramionami i skowyczał żałością. Niekiedy Żniwiarka wzywała Allę, rzadziej rodziców, a czasem Flawię i Dalko, lecz gdy nachylali się nad nią, na powrót traciła świadomość.

Po godzinie tej męki Siemił wlał w usta Nili drugą dawkę szczurzej

krwi. Nie było żadnej poprawy, ale chora nadal żyła. Nieprzytomna, rozgrzana gorączką, krzycząca z bólu wciąż opierała się śmierci.

Po trzeciej porcji leku stan Nili się odmienił. Nie wiedzieli jeszcze, czy była to zmiana na lepsze, czy na gorzej, ale jej pełen majaków letarg przeszedł w sen cichy i tak spokojny, że coś to musiało oznaczać.

Pomyślnego czy wprost przeciwnie? – wpatrywali się w siebie, nawzajem zadając sobie to samo nieme pytanie.

Siemił nie potrafił na nie odpowiedzieć. Spojrzał zaskoczony na opróżniony naparstek, a potem na miarowo oddychającą dziewczynę.

– Nigdy żem czegoś takiego nie widział – burknął. – Albo to znak końca, albo ozdrowienia.

Alla delikatnie zajrzała pod siostrzane gieżło. Długo przyglądała się ciału Nili, a potem podniosła na nich roziskrzony wzrok.

– Nie ma! Zeszła opuchlina wokół talii!

Sambor aż podskoczył.

– Nilu, dobrze ci idzie! Nie poddawaj się – wyszeptał z nadzieją w oczach.

Po kilkunastu minutach zmniejszył się obrzęk ud, a ukąszona łydka zmalowała o połowę. Kadok wreszcie przestał skamleć i stał się spokojniejszy. Z twarzy Niepowszednich z wolna zaczął ustępować grymas rozpacz.

Zaś Nila wciąż spała. Leżała cicho i spokojnie, a jej oddech stał się głębszy i wolniejszy.

– Gorączka też spada. Chyba najgorsze za nią – uśmiechnęła się niepewnie Flawia.

Zaczęli chichotać radośnie, ścisnąć się i poklepywać po plecach – zrazu nieśmiało, ukradkiem, a potem coraz odważniej.

– Będzie żyć! Zdążyliśmy! Nilu, udało się! – powtarzali na przemian bezładnie, aż w końcu usiedli bez tchu przy noszach.

Nagle okazało się, że napięcie ostatnich godzin zupełnie ich wyczerpało. Nie mieli już na nic siły. Nawet na to, by się cieszyć. Po prostu zlegli na wilgotnej od wieczornej rosy trawie i w milczeniu wpatrywali się w ciemne, usiane gwiazdami niebo.

– Szlag! Wiedzieliście, że już noc? – zapytał zaskoczony Dalko.

Pokręcili głowami. Noc? Nie mieli pojęcia, że zapadł zmrok!

Dopiero gdy dostrzegli pozostawiony im przez węglarzy bukłak z wodą, dotarło do nich, że od kilku godzin nie jedli, nie pili, nawet nie rozmawiali.

– Do końca życia zapamiętam ten dzień – wyszeptała umęczona Alla.

– Ja marzę, by o nim zapomnieć! – mruknął Sambor i głos mu się załamał: – Niech ona się już obudzi... ja tak strasznie ją...

Bestiarka poklepała go delikatnie po dłoni.

– Ona to wie – powiedziała łagodnie. – Dajmy jej spać.

Tymczasem wraz z czwartą dawką Nila otworzyła niespodziewanie oczy i całkowicie przytomna usiadła chwiejnie na noszach.

– Żyje? – wydukała zdumiona.

Siemił odsłonił w uśmiechu czarne pieńki zębów.

– Ano!

– Nila!

Przyjaciele rzucili się ku niej z radosnym krzykiem. Na przemian tulili ją, głaskali po włosach, ściskali dłonie i snuli chaotyczną opowieść o własnym przerażeniu i jej niezwykłej woli życia. Kadok przepychał się między nimi i sprawiedliwie obdzielał ich swoim szczęściem.

Odratowaną cudem dziewczynę lizał, a pozostałych tłukł rozkołysaną kitą.

– Żyjesz! – Sambor zamknął ją w objęciach i całował tak długo, aż Nili zabrakło tchu.

– Weź no, przestań! – trąciła go w ramię Alla.

– Udusisz ją! – Dalko zachichotał. – A ledwie żeśmy ją ocalili...

Sambor oderwał wargi od ust dziewczyny i zaśmiał się jak wariat.

Potem delikatnie, jakby trzymał w ramionach figurkę z kruchej porcelany, posadził ukochaną na kolanach i ciasno objął ją w talii.

Żniwiarka, wtulona w jego pierś, zerknęła na uszczęśliwioną czwórkę druhów.

– Ja ... dziękuję!

– Nilu, przestań.

– Nie musisz nam dziękować.

– Muszę! – przerwała im twardo. – I chcę. Bez was bym umarła!

Ten bieg, odtrutka...

Głos odmówił jej posłuszeństwa. Godziny cierpienia, bólu i przerażenia wylały się z niej strumieniem łez. Szlochała i za nic nie zamierzała przestać. Czuła, że z każdą uronioną kroplą, każdym łapczywie chwyconym haustem powietrza, pozbywała się zalegającego na duszy tchnienia śmierci. Wreszcie wracała do życia! Napawało ją to nadzieją i olbrzymią ulgą.

Oni zaś spoglądali na siebie niepewni, czy koić te smutki, czy też zostawić dziewczynę w spokoju.

– Niechaj płacze – uspokoił ich Siemił. – Człęk musi pożegnać się z Kostuchą, jeśli mu darowała.

Miał rację. W końcu Nila otarła łzy. Obejrzała dokładnie poranioną łydkę, dotknęła miękkich miejsc pod kolanami i pod żuchwą. Przyzwyczała się do dokuczliwej obecności twardych guzików i dopiero po chwili zrozumiała, że już ich tam nie wyczuwa. Zniknęły! Wraz z nimi ustąpiła bolesna wrażliwość skóry. Krwiste dotąd wybroczyny nabrały zielonego koloru, a obrzmiałe żyły znów schowały się głęboko w bezpiecznym schronieniu zdrowiejących tkanek. Stawy na nowo były silne i giętkie, a mięśnie zdumiewająco sprężyste i niebolesne. Każdy skrawek ciała dojrzał i z minuty na minutę czuł się lepiej.

– Ano dziewczyno, wylizaaś się – podsumował te oględziny Siemił.

Nila pokiwała głową.

– Jeszcze kwadrans i byłoby po mnie.

Węglarz wzruszył ramionami.

– Widać jeszcze nie twoja pora.

– Żyje?! – rozległ się nagle za ich plecami zdziwiony głos.

Gwido, zwabiony śmiechem i odgłosem rozmów, zbliżył się do noszy.

– Jakże to?! Przecie ledwie zipała! – Pokręcił głową zaskoczony. – Chłop wielki by szczeł, a ta ozdrowiała? To siła nieczysta! Wiedźma z ciebie!

Nila uśmiechnęła się nieśmiało.

– Jaka tam siła nieczysta! Jaka wiedźma! Zwykła dziewczyna.

Wasza odtrutka zadziałała, ot co!

Niewysoki węglarz zabobonnie skrzyżował dwa palce, a potem

zmrużył oczy i wypalił:

– Skoroś nie wiedźma, a ino my cię uleczyli... to za krew nam jesteś winna, dziewucho! Takie szczury to majątek!

Siemił szturchnął kamrata w bok.

– Nie czas jeszcze. Toć ledwie się ocknęła.

– Co z tego? – zaperzył się Gwido. – Oздrowiała, to i grosz słuszny się należy.

Tykowaty wzruszył ramionami, a Nila rozłożyła dłonie w bezradnym geście.

– Nic już nie mamy! Mieliśmy, ale...

– Mówiliście, że odpłacicie! A tera nie macie?! To było tu nie leżć po pomoc! Gołodupce! Coś musicie...

Gwido urwał nagle i spojrzał na zwiniętą w precel potężną górę rudego futra. Zmrużył chytrze oczy i aż pokraśniał z zadowolenia.

– Macie lisa wilczego – powiedział przymilnym tonem.

– Nie! – warknęła Alla.

Węglarz obrzucił ją wściekłym spojrzeniem.

– A niby dlaczego?! Toć to ino kundel! Nam się przyda. Tu i niedźwiedź potrafi podejść.

– Nie! – powtórzyła Bestiarka.

– Zaraz! Zaraz! – wtrącił się Dalko. – No, szlag, coście tacy nerwowi w tym lesie? Po co krzyczysz na dziewczynę? Jej zwierzak, to i oddawać go nie chce.

– Zapłata nam się należy – przypomniał ponuro Siemił.

– Wiemy! Szlag, no nie mamy ani grosza, a lisa wam nie damy.

Odwdzięczymy się.

– Niby jak?

– Przyniesiemy wam tyle mięsa, że przez miesiąc nie przejecie – powiedziała Alla.

Siemił skrzywił się niechętnie.

– A co my sami polować nie umiemy?

– To uczciwa zapłata za cztery miarki krwi.

– Za życie dziewczuchy masz płacić! – zaperzył się Gwido. – Ono droższe niż szczurza jucha!

Nikt mu nie odpowiedział. Zapadła cisza. Węglarze wpatrywali się

w Niepowszednich spojrzeniami chciwymi i bezdusznymi, w których Nila dostrzegła znany jej błysk zimna. Widywała go wcześniej w oczach Okrutnych Złotników. Mimowolnie wysunęła dłonie przed siebie, gotowa bronić siebie i reszty, a cichy głos w tyle głowy powtarzał, że powinni się stąd wynieść jak najszybciej.

– Podumamy! – powiedział wreszcie Siemił.

Odwrócił się i poszedł w stronę koliby, a w ślad za nim ruszył Gwido. Przyjaciele na powrót zostali sami w ciemnościach. Sambor stanął plecami do szalasu tak, by nikt poza towarzyszami nie słyszał jego słów i szepnął przejęty:

– U licha! Mamy kłopoty! Znowu.



Gwido i Siemił szeptali coś cicho przy ognisku. Nie wyglądało to na dumanie nad propozycją Niepowszednich. Raczej knuli coś zażarcie, co chwila przebiegle zerkając na gromadkę przybyszów.

– Uciekajmy stąd! Natychmiast! – powiedziała strapiona Nila. – Mam złe przeczucia.

– I ja – poparła ją Flawia. – Patrzcie na Kadoka, on też!

Lis nie spuszczał wzroku z obu mężczyzn. Zjeżył się cały i przywarował na ziemi gotowy, by bronić swych towarzyszy.

– Wy tam! Strawa czeka! – huknął Gwido znad ogniska.

Całą piątką popatrzyli w jego kierunku. Węglarze przestali szeptać i niecierpliwymi machnięciami przywoływali swych gości. Kadok obnażył kły. Alla poruszyła palcami, jakby chciała go o nich zapytać. Odpowiedział jej gardłowym warkotem. Dziewczyna westchnęła ciężko i pokiwała głową.

– Widzi w nich zło – powiedziała grobowym głosem. – Nila ma rację. Wiejmy!

Siemił tymczasem wstał i wyprostował swą długą jak tyka postać.

– Ej! – ryknął zirytowany. – Nie będziem prosić więcej! Chcecie żreć, to chodźta!

– Idziemy! – odkrzyknął Sambor głośno, a potem ściszył głos: – Chcecie uciekać w nocy? Przecież ciemno jak w grobie. Co z tego, że mamy Żrenicznika? Nie upilnuje nas wszystkich. Wybacz bracie, ale taka prawda. Starczy chwila, żeby się potknąć i nogę skrećić. Nilę pewnie trzeba nieść, a do rana nabrałaby sił. U licha! I jeszcze te niedźwiedzie! Słyszeliście, co mówili. Mało nam frasunków?

Alla westchnęła ciężko.

– Sambor, ci dwaj nam nie darują.

– Wiem. – Chłopak poprawił wiązanie miecza pod pazuchą. – Odejdzimy o świcie. Niech tylko spróbują nas zatrzymać! Ale teraz lepiej coś zjedzmy. Przyda nam się, a już na pewno Nili. Dalko, trzymaj miecz w pogotowiu, ale nie wychodź przede mnie! Uważaj na siebie i

chroń dziewczyny.

– Dobrze.

Niechętnie i bardzo ostrożnie ruszyli w stronę węglarzy. Choć nie ufali im za grosz, musieli zaspokoić głód. Żołądki mieli puste, ostatni raz jedli jeszcze na szczycie. Podeszli więc bliżej znęcani wonią skwierczącego na ruszcie tłuszczu i rzucili się na jedzenie jak wygłodniałe wilki.

Posiłek był prosty, ale sycący. Soczyste kawałki wiewiórczego mięsa, odrobina czerstwego chleba, garść jagód i orzeźwiająca źródłana woda. Niepowszedni pochłaniali wszystko łapczywie, ale nie spuszczała oka z siedzących po przeciwnej stronie węglarzy. Ci, póki co, nie zrobili niczego podejrzanego. Znudzony Siemił raczył się gorzałką i grzał dłonie przy ogniu, a naburmuszony Gwido spode łba przyglądał się gościom.

– Wy skąd? – zapytał w końcu.

– Z Gospar – skłamał gładko Dalko. – Rodzice nam umarli, do stryja w Bawidle idziemy.

– Szmata drogi nadrabiacie!

– Niby tak, ale baliśmy się iść przez Suche Pola. – Sambor łgał równie łatwo jak Żrenicznik. – Tylko głupiec szuka spotkania z Batu Taurisem.

– Ano racja. A lisa kto wam ułożył?

Nil otworzyła usta, by rzec, że dostali już poskromione zwierzę, lecz nie zdążyła. Alla odezwała się pierwsza.

– Ja – powiedziała bez zastanowienia.

Żniwiarka z cichym jękiem opuściła głowę, a reszta Niepowszednich – spanikowana tym wyznaniem dziewczyny – zagapiła się na Allę bezradnie. Ona zaś zamarła przestraszona, bo i sama pojęła sens wypowiedzianych słów.

Gdyby węglarze jej uwierzyli, nieuchronnie zobaczyliby w niej Bestiarkę. Gdyby jednak nie dali wiary tej odpowiedzi, uznaliby swych gości za kłamców. W obu przypadkach położenie Niepowszednich stawało się jeszcze gorsze, niż było. Bestiarka była warta nieporównywalnie więcej niż fura mięsa czy zapłata za szcurzą krew. Siemił i Gwido zapewne spróbowaliby zabawić się w łowców, porwać

dziewczynę i sprzedać ją w Mercacie. Posądzenie o kłamstwo zaś... kto wówczas uwierzyłby, że przybysze naprawdę nie mają pieniędzy?

Nila podniosła niepewnie wzrok na obu mężczyzn. Obaj wpatrywali się w Allę zaskoczeni.

– Ty? – powtórzył Gwido ze zmarszczonymi brwiami.

– E tam! Zmyśla – próbował ratować sytuację Dalko.

Siemił parsknął drwiącym śmiechem.

– Ot, durna! Toć to lis wilczy. Tylko Taurisi umieją je okiełznać.

– No i Bestiarz! – mruknął Gwido, a potem dodał podejrzliwie: –

Albo Bestiarka...

Alla przełknęła ślinę i patrzyła całkiem bezradnie na przyjaciół. Na domiar złego Kadok, przeczuwając, że o nim mowa, podszedł do dziewczyny i pełnym czułości spojrzeniem wpatrywał się w jej palce.

– Jaka tam Bestiarka! – powiedział szybko Dalko. – Ojciec kupił lisa od pastuchów Batu Taurisa. Już ułożonego.

– I dał naszej siostrze jako dar, na urodziny – dodała Flawia. – A ta głupia chwali się wszystkim, że sama go tresowała!

Na szczęście Alla gładko weszła w rolę przyłapanej na kłamstwie dzierlatki.

– Dobrze już! – prychnęła. – Dobrze! Zmyślałam!

Siemił zarechotał znad flaszki i podał ją kamratowi. Zamyślony Gwido upił kilka łyków, a koścista grdyka przesuwiała się w tę i z powrotem po chudej szyi. Wreszcie skończył, wzdrygnął się i zakąsił kawałkiem zimnego mięsa.

– Bachorowi dał lisa wilczego? – wymamrotał z pełnymi ustami. – Wasz ojciec musi być bogaty skoro...

– Był – przerwał mu ostro Sambor – ale umarł, a pieniądze przepadły. Nie mamy nic.

– Jakże tak nic? Coś przecie musiało się ostać!

– Przepadło, powtarzam ci!

Gwido splunął w ogień.

– Bogacze zawsze chowają gdzieś złoto... na czarną godzinę.

– Bajki opowiadasz! Gdyby tak było, nie wałęsalibyśmy się sami po tej dziczy. Głupoty i tyle! – Sambor lekceważąco machnął ręką.

Nili mignęły przed oczyma jego pokiereszowane, zbroczone

brudem i skrzepłą krwią kłykcie. Otumaniona słabością, nie dostrzegła wcześniej tych otarć. Musiał poranić dłonie, gdy przedzierali się z noszami przez najgęstsze zarośla.

– Sambor, pokaż mi ręce – powiedziała.

– Nic mi nie jest.

– To trzeba opatrzyć. Poczekaj...

Odruchowo sięgnęła do sakwy po wino medykusa i...

powstrzymała się w ostatniej chwili. Tylko ci, którzy znali się na leczeniu, nosili ze sobą odpowiednie specyfiki, a Nila mogła przysiąc, że Gwido śledzi uważnie każdy jej gest. Nie zamierzała go naprowadzać na trop swojej mocy, więc tylko poklepała torbę, a potem bez pytania wyrwała węglarzowi flaszkę i chlusnęła okowitą na zakrwawione kostki Sambora.

Chłopak zaklął paskudnie, zacisnął pięści i zaskoczony bólem, pochylił się tak niefortunnie, że poły kubraka rozchyliły się, ukazując światu ornamenty na rękojeści miecza. Oświetlane blaskiem ognia symbole Okrutnych Złotników zamigotały w pełnej krasie!

Przerażona tym Nila z sykiem wciągnęła powietrze, ale minęło kilka sekund, zanim Sambor pojawił się, co się stało, i upchnął oręż głębiej pod ubranie. Oboje zerknęli na siebie trwożliwie. Nie wiedzieli, czy ktoś poza nimi zauważył rozbłysk złota na rękojeści. Niestety! Wystarczył rzut oka na przeciwległą stronę ogniska, by stracić nadzieję. Gwidon i Siemił patrzyli na nich żarłocznie i pożądliwie.

– To gadasz chłopcze, że bieda u was? – zagaił niby od niechcienia chudy węglarz.

– Bieda – potwierdził ostrożnie Sambor.

Siemił skrzywił wargi z powątpiewaniem.

– A mnie się widzi, że łżesz. Jakoś dziwuje mnie to wasze wędrowanie.

– A to dlaczego? – warknął Dalko.

– Boście przyszli ze szczytów, a tam nawet szlaku nie ma. I jeszcze naszą kolibę znaleźliście! A przecie z wierchów nie wypatrzysz ni szałas, ni mielerzy. Dym idzie wąską smugą i kładzie się po drzewach. Nikt go nie obaczy ...

– Chyba że Żrenicznik – mruknął Gwido.

– Ano racja! Jeno Niepowszedni.

Zapadła niezręczna cisza. Atmosfera gęstniała z sekundy na sekundę.

– Jaki Niepowszedni? – prychnął Dalko. – Po smrodzie do was trafiliśmy. Mielerze cuchną na wiorstę! Wystarczyło...

Nie dokończył.

– Dziwne to – przerwał mu cierpko Gwido – że bachory z was, a macie lisa wilczego. Toć każdy wie, że one słuchają ino tych, co obudzą w nich respekt. A ten? Ugiął się przed młodą kozą!

– Chyba że to Bestiarka! – usłużnie dodał Siemił.

– Właśnie. I jeszcze ta dziewczucha! – Błyszczące oczy Gwido spoczęły na Nili. – Przeżyła, a przecie zmijowy jad już wygrywał. Kto by się wybronił?

Jego druh nie czekał z odpowiedzią.

– Ino ktoś twardy, ze śmiercią obeznany. Żniwiarka!

I zanim ktokolwiek zdążył zaprzeczyć, stało się coś niespodziewanego. Gwido nachylił się ku kamratowi, a z jego ust popłynął potok cichych słów. Mówił gwarą, która nadawała miękkość końcówkom słów, a w ich środkach szeleściła jak suche liście szarpane wiatrem. Język był melodyjny. Łagodnie pobrzmiwały w nim na przemian to tony dźwięczne, to znów dziwne wymawiane na przydechu szmery.

Nila mogłaby przysiąc, że słyszała po wielokroć powtarzane imię Welesa, choć Gwido wymawiał je dziwnie, inaczej niż znani jej mieszkańcy Łajdackiego Krańca. Niepowszedni słuchali uważnie, lecz nie docierał do nich sens wyrazów. Nie pojmowali, o czym była rozmowa. Na szczęście był wśród nich ktoś, kto rozumiał każde zdanie. Gwarek. Straszne rzeczy musieli wygadywać ci dwaj, bo Alla siedziała sztywno z paznokciami wbitymi głęboko we wnętrze dłoni, a z każdym kolejnym słowem Gwidona jej piękna twarz stawała się bardziej blada. Gdy zaś w odpowiedzi odezwał się Siemił, oczy dziewczyny rozszerzyły się, a broda zadrżała. Nila знаła te objawy – siostra była śmiertelnie przerażona!

Ta zdumiewająca rozmowa zakończyła się równie niespodziewanie, jak się zaczęła, węglarze zerwali się z ziemi, a Gwido

wrócił do zrozumiałego dla wszystkich języka.

– Idziem po drewno!

Popędzili w stronę szałasów tak prędko, jakby od opał zależało ich życie.

– Mów! – szepnęła Nila do siostry.

– Wszystkiego się domyślili. Wszystkiego! Uciekajmy stąd! Chcą nas przehandlować Welesowi!

Niepowszednich jakby ktoś ukropem polał! W kilka sekund spakowali swój ubogi dobytek, a Bestiarka zdjęła drżącymi palcami resztki wiewiórczego mięsa z rusztu. Owijała skrawki szerokimi liśćmi łopianu i nie przestawała mówić:

– Ten Gwido... on nie jest głupi. Runy na mieczu mu wystarczyły. Poskładał resztę w całość.

– Weles ich zna? – zdziwiła się Flawia.

– Gdzie tam! – wybuchł Dalko. – Tu wszyscy znają Welesa. Szlag! Podłe typy chcą zarobić!

– Allu, dokąd poszli?

– Po sznur i broń.

Sambor objął Nilę w talii tak, by mogła wspierać się na nim podczas marszu i pociągnął ją w stronę lasu.

– Chodźmy stąd! Szybko! – ponaglił resztę. – Jeśli się pojawią...

– Wiemy... – zapewniła Alla, a potem cicho gwizdnęła na Kadoka. Zwierzę natychmiast zajęło miejsce przy jej nodze, położyło uszy po sobie i czekało na rozkazy.

Ruszyli.

Nie uszli nawet stu kroków, gdy za plecami usłyszeli głośny tupot. Węglarze biegli za nimi! Sambor zatrzymał się, a potem łagodnie posadził Nilę na trawie.

– Flawio, chodź tu! – rozkazał. – Dalko, stań za mną! Strzeż dziewczyn! Alla!

– Jestem gotowa.

Pszeniczne włosy Bestiarki zamigotały w świetle księżyca. Dziewczyna stanęła w jednej linii z Unikiem, zaś Kadok ustawił się tuż przy niej, gotowy do ataku.

Kroki w ciemnościach wyraźnie zwolniły. Nie potrzebowali

tłumaczeń Żrenicznika, by zrozumieć, że ich prześladowcy zaczęli się skradać.

– Ej wy! – Głos Sambora rozniósł się echem po polanie. – Zostawcie nas, jeśli wam życie miłe!

– Zawrzyj gębę, szczeniaku! – warknął Gwido. – Rzucaj no miecz i na kolana! Wszyscy!

– Bo co?

– Bo pożałujecie, mamy łuk!

Unik uniósł brwi w niemym pytaniu. Żrenicznik wbił wzrok w ciemność i pokręcił głową.

– Nie mają – szepnął. – Tylko siekierę i nóż.

– Odejdźcie! – Sambor jeszcze raz spróbował perswazji. – Nie chcemy się z wami bić!

– Ty ścierwo! Taka zapłata?! Bić chcesz? Uratowali my dziewczuchę!

– Zatluczemy was! – ryknął Siemił.

Ziemia aż zadudniła pod ich piętami. Kadok warknął i zjeżył się od łba aż po nasadę ogona, a Nila bez wahania przesunęła Flawię za własne plecy i stanęła u boku Dalko.

– Pomogę ci – zapewniła.

Skinął głową.

– Są!

Ona też ich dostrzegła! Zasapani, z twarzami wykrzywionymi wściekłością, biegli prosto na Sambora.

– Gwido, bierz chłopaka! – huknął Siemił, a sam rzucił się w stronę Alli.

Dziewczyna nie ulękła się.

– Kadok!

Wystartowali jednocześnie: lis wilczy ku rozwścieczonemu Siemiłowi, a Gwido ku Unikowi. Ruchy zwierzęcia były czystą finezją w porównaniu z niezgrabnym kłusem mężczyzny. Kadok był szybszy niż wiatr. Odbił się z czterech łap, przeleciał prawie sążeń ponad ziemią i całym ciężarem zwałił się Siemiłowi na pierś. Węglarz pisnął jak spłoszona dzierlatka i zaczął po wariacku młócić rękami, ale lis natychmiast ucapił go za ramię. Wystarczyło, by mocniej zacisnął

szczęki, a kość pękłaby niczym sucha szczapka pod naciskiem buta.

– Poddaj się! – rozkazała Alla.

Siemił posłusznie wypuścił siekierę z uwięzionej dłoni.

– Teraz ty! Rzucaj nóż! – warknął Sambor do Gwidona.

Węglarz stracił rezon i poniechał ataku na Unika, ale nie wypuścił broni.

– Rzucaj! – powtórzył chłopak.

– Nie!

Alla machnęła leciutko palcami. Kadok zacisnął mocniej szczęki na ramieniu Siemiła, a potem gwałtownym ruchem przeskoczył nad zapadniętą piersią mężczyzny, pociągnął go i przewrócił na brzuch! Siemił leżał z twarzą w trawie, z rękoma szeroko rozrzuconymi po obu stronach tyczkowatego ciała i darł się jak opętany. Nic dziwnego. Zadowolony lis oparł przednie łapy na jego plecach i dla pewności przywarł pyskiem do karku nieszczęśnika.

Sambor oparł czubek miecza na szyi Gwidona.

– Odłóż broń albo już po twoim kumplu! – powiedział twardo.

– Nie! Bydlę mnie też zabije!

– Odwołam go. Nic wam nie zrobi – obiecała Alla.

Gwido rozwarł palce, nóż upadł w piach. Bestiarka gwizdnęła, a Kadok podniósł się ciężko i niechętnie zszedł z Siemiła. Widać nie ufał węglarzom do końca, bo wyszczerzył zęby i z warkotem zataczał wokół nich ciasne kręgi.

– Siadajcie – nakazał im Dalko.

– I co tera? – burknął Gwido.

– Zwiążemy was – powiedziała Nila.

Użyli sznura, który miał służyć za ich własne pęta. Siekierę zabrali ze sobą, na wszelki wypadek. Nóż odrzucili daleko, niemal pod ścianę lasu. Jeśli napastnicy chcieli się oswobodzić, najpierw musieli go znaleźć. Sambor zaplątał tak wymyślne węzły, że tylko ostrze mogło im dać radę.

– Trochę tu posiedzicie, bo do świtu daleko, a w ciemnościach niczego nie wyszperacie w zaroślach – zadrwił Dalko. – Widzę kordzik tak wyraźnie! Leży i czeka... szkoda, że nie macie Żrenicznika.

Odpowiedziało mu wrogie spojrzenie spętanych drani.

– Dopadnięm was jeszcze! – szepnął mściwie Gwido.

Sambor trącił go nogą. Węglarz spojrział na niego nienawistnie, ale nie odezwał się więcej słowem. Chłopak przykucnął i przysunął miecz do jego osmalonego lica.

– Spłaciliśmy dług za życie. Nie zabiliśmy was – wycedził lodowato. – Jesteśmy kwita. Ale spróbujcie się choć do nas zbliżyć, a pożałujecie. Więcej łaski nie będzie.

Gwido odsłonił zęby jak wściekły pies. Sambor zrobił to samo.

– Jestem Unikiem! Rozumiesz mnie, głupcze? – huknął.

– Tak! – odpowiedział za brata Siemił. – Zginiemy. Idźcie swoją drogą...

Sambor kiwnął głową i wstał. Podeszedł do Nili i objął ją ciasno w pasie.

– Chodźmy stąd.



Kilka pierwszych mil przebyli, wciąż oglądając się za siebie. Nie obawiali się Siemiła i Gwido – raz dali im radę, daliby i kolejny. Gdyby jednak węglarze zbyt wcześnie uwolnili się z pęt i wbrew rozsądkowi dogonili Niepowszednich, ponowna walka byłoby nieunikniona. To zaś oznaczałoby katastrofalną stratę czasu, którego przez niefortunną przygodę Nili i tak zmitrężyli już nazbyt wiele. W przeciwieństwie do Okrutnych Złotników – ci z pewnością nie zmarnowali ani minuty. Gdy Żniwiarka leżała nieprzytomna, a jej towarzysze siedzieli tuż przy niej, Weles na pewno bezlitośnie popędzał konie i zaciskał coraz ciaśniejszą pętlę wokół swoich ofiar. Choć wraz z zejściem ze szczytu Niepowszedni stracili łowcę z oczu i nie znali jego położenia, nie mieli złudzeń. Łotr na pewno krążył gdzieś bardzo blisko.

– Teraz, mała? – cichy głos Żrenicznika wyrwał Nilę z ponurych rozmyślań.

– Mhm.

Dziewczyna popatrzyła na nich uważnie. Dopiero teraz dostrzegła dziwne zmieszanie na twarzach tej dwójki. Dalko przełykał nerwowo ślinę, a Flawia zwinęła dłonie w drobniutkie pięści.

– Dalko, o co chodzi? – zapytała Nila z niepokojem.

– No, szlag! Musimy pogadać – odrzekł i przystanął.

– A ty co? – przywołał go do porządku Sambor. – Mów, przyjacielu, ale nie zwalniamy! Diabli wiedzą, gdzie to bydlę się przyczaiło.

Żrenicznik posłusznie na nowo podjął marsz.

– Dobra, no... jest tak – zaczął nieskładnie. – Wy wracacie do domu, ale ja nie. Właściwie to my... ja i Flawia... nie mamy dokąd wrócić. Dużo myślałem. Wtedy, na komiędze... Flawia powiedziała, że rodzice może musieli mnie oddać Welesowi. Szlag! No, i ja zaczynam wierzyć, że ten łotr kłamał. Mogło tak być!

Sambor ścisnął mocno ramię przyjaciela.

– Bracie, ja na twoim miejscu nie dałbym złamanego grosza za

jedno jego słowo! – mruknął współczująco.

Dalko zwiesił głowę, a potem wybuchł potokiem nerwowo wyrzucanych słów:

– No! Tylko że dla mnie jest jeszcze za wcześnie. Szlag! Ja nie mogę tak po prostu im wybaczyć! Bo ja przecież nic nie wiem! Może było jakieś inne wyjście! No, uciezka czy kryjówka, nie mam pojęcia! A oni nic mi nie powiedzieli! Tak przecież nie można! Własna matka pozwoliła mi myśleć, że mnie przegrali w karty!

– Braciszku! – Flawia przytuliła go czule.

Wzburzony chłopak zamilkł na chwilę i popatrzył na przyjaciół ze smutną miną.

– No... – Westchnął. – Sami widzicie. Wierzę, że mnie ratowali, ale na razie nie dam rady ot tak im darować, naprawdę. A nawet gdybym mógł, to przecież i tak nie wrócę do Mercaty. Jeszcze ściągnę na nich to bydłę, Welesa! Może kiedyś, gdy dorosnę... albo będę miał wsparcie kogoś silnego. Potężnych przyjaciół.

– Masz nas – powiedziała cicho Alla.

Dalko uśmiechnął się nerwowo i zagryzł wargi.

– No i właśnie o tym chciałem pogadać. Szlag! Myślałem i myślałem...

– Ja też! – wtrąciła Flawia.

Żrenicznik pokiwał głową.

– No, oboje się zastanawialiśmy, aż w końcu wyszło mi, że jedyne miejsce, gdzie Okrutni Złotnicy mi nie zagrażą, to Suche Pola. Wiecie, no, bo rzecz w tym, że Batu Tauris powiedział... No, że możemy wrócić. Mieć tam dom. Ja i mała.

Zapadła cisza tak straszna, że przez chwilę zdawało się, że nawet las zamarł po tym wyznaniu. A potem Alla ocknęła się pierwsza.

– Co takiego?! – oburzyła się. – Chcecie nas zostawić?!

Dalko spojrział na przyjaciół zbolalym wzrokiem, a Flawia posłała im smutny uśmiech. Nili serce ścisnęło się z żalu.

– Flawio? – jęknął Sambor.

– Dalko jest sam – odpowiedziała. – Ani tutaj, ani u nas nie ma nikogo. Ja przecież też!

Żrenicznik zaczerwienił się i opuścił wzrok, zawstydzony.

– Poza tym, no wiecie... Szlag! To sam Batu Tauris!
Sambor uśmiechnął się półgębkiem.
– Wiem, wielki wojownik i w ogóle.
Dalko spojrział na przyjaciela i parsknął śmiechem.
– Trochę tak.
– Ale przecież to nieprawda! Wy macie kogoś! – zaprotestowała
Alla. – Nas! Jesteśmy rodziną!
– Możecie mieszkać z nami! – zapewniła żarliwie Nila.
– Albo u nas! – dorzucił Sambor. – Chałupa jest spora, zmieścimy
się.
Dalko pokręcił głową i westchnął.
– Znacie mnie, trudno ze mną wytrzymać. Sambor, ja tak nie mogę,
przecież wiesz. Muszę mieć własne miejsce, choćby małą jurcję.
– Ja też – pisnęła cicho Flawia.
Nila rozplakała się bezradnie.
– Błagam was! Wróćcie z nami! Ja wiem, że się boicie, ale
Dalko... – zachlipała – po tamtej stronie Topieli możesz jechać w świat
wolny! Flawio, ty też.
– Ma rację! – poparła ją Alla. – Dwór kniazia przyjmie was z
otwartymi ramionami.
– Ale ja chcę żyć wśród przyjaciół. Nie widzi mi się dwór kniazia.
Nie ma tam ani was, ani Taurisów.
– Poczekajcie! – Sambor pacnął się w czoło. – A chałupa rodziców
Flawii? Tam możecie mieszkać! Sami! Stoi na uboczu. Bez obrazy, ale
pies z kulawą nogą tam nie zagląda! Rządzilibyście się po swojemu. I
zostalibyśmy razem!
Zaskoczony Dalko spojrział na dziewczynkę.
– Masz dom?
– Chyba tak – powiedziała niepewnie.
– Taki z dachem i w ogóle? – zapytał z niedowierzaniem.
– No pewnie, że z dachem! – prychnął Sambor. – Porządna
chałupa. Nawet zagonik jakiś z tyłu jest.
Flawia opuściła głowę.
– Nie chodź tam, odkąd... rodzice...
Żrenicznik popatrzył na nią badawczo.

– Szlag! A chciałabyś tam wrócić?

– Tak! – Rozpromieniła się. – Ale tylko z tobą! Sama nie...

Dalko zamyślił się. Choć czekali na jego odpowiedź niecierpliwie, nie ponaglali go. Takie decyzje podejmowało się raz w życiu. Podszepcy przyjaciół musiały ustąpić przed podpowiedziami serca i rozumu.

Żrenicznik nie trzymał ich długo w niepewności. Objął gromadkę przyjaciół radosnym spojrzeniem i mruknął z krzywym uśmiechem:

– Dobra, siostrzyczko, chodźmy! Chcę zobaczyć tę naszą chałupę!

Mała rzuciła mu się na szyję.

– Z dachem i w ogóle – zachichotał Sambor i poklepał oboje po plecach.

Nilą popatrzyła na tę zadziwiająco bliską sobie parę i dotarło do niej, że myśl o utracie tych dwojga była dla niej nie do wytrzymania. Pojęła coś jeszcze. Dalko i Flawia też nie chcieli się z nimi rozstawać! Widziała to w uldze, która malowała się na ich twarzach, w rozświetlonych radością spojrzeniach. Tak naprawdę nie marzyli o powrocie na Suche Pola! W głębi serca pragnęli usłyszeć, że są potrzebni przyjaciołom w Kamiennych Kościach. Nilą uśmiechnęła się, odkrywszy to kłamstewko. Zachichotała w duchu, bo uczucie, jakim darzyła tę niezwykłą parę, wcale nie osłabło. Wprost przeciwnie.



Wraz z nastaniem świtu dotarli do skraju lasu i ukryci bezpiecznie za gęstwiną olszyny obserwowali teren. Nila zupełnie inaczej wyobrażała sobie przystań kupiecką, która obsługiwała tak ważny punkt jak graniczny most. Oczekiwała komięg, łodzi, mrowia ludzi i rzędów magazynów. Tymczasem nie było tu żywego ducha, a sam port stanowiły ledwie dwa oddalone od siebie niewielkie magazyny z równych okrągłaków, wsparte na kamiennych fundamentach i nakryte strzechami z sitowia. W porannym słońcu połyskiwała szarość wysuszonych liści poszycia i głęboki brąz pociemniałych od starości ścian z bali.

Pomiędzy budynkami rozpościerał się spory plac, który od strony rzeki zamykała drewniana konstrukcja pomostu. Solidna kładka niezbyt głęboko wrzynała się w spienione wody Nura, ale rozciągała się wzdłuż brzegu na tyle szeroko, by połączyć oba składy.

– Musimy dobiec aż do magazynu? – przeraziła się Nila. – Każdy nas zobaczy! Jak na dłoni!

Pomiędzy nimi a niewielką keją na brzegu Nura rozciągała się pozbawiona roślinności połąć piaszczystego lądu. Tak szeroka, że zdaniem Żrenicznika, aby ją pokonać, potrzebowali minuty szybkiego marszu. Była to fatalna wiadomość dla kogoś, kogo ścigała banda łowców. Minuta na pustej przestrzeni! Żadnej możliwości ukrycia się.

– Jeśli ktoś na nas czyha w tych zaroślach, to już po nas – mruknął przybity Sambor.

– Myślałam, że będą tu jacyś kupcy, ruch! Przecież to port! – narzekała Nila.

– Szlag! No jaki tam port! Ledwie pomost, żeby ludzie się nie potopili przy wyłazeniu z komięgi! – prychnął lekceważąco Dalko. – W jednej stodole trzymają towar tych, co chcą odpłynąć, a w drugiej skrzynie, które przywieźli z Bawidła. Nie ma barki, to i nie ma nic do rozładunku.

– A pasażerowie? Przecież muszą być jacyś!

– Jakąś milę stąd jest osada i karczma. Tam się czeka! Dlatego tak tu pusto.

Ledwie to powiedział, drzwi usytuowanego bardziej na południe budynku uchyliły się nieznacznie i ostrożnie wyjrzał zza nich mężczyzna, którego – nawet z takiej odległości – nie sposób było pomylić z nikim innym.

– Batu Tauris! – podskoczyła radośnie Flawia. – Przyjechali!

Wódz uśmiechnął się od ucha do ucha na ich widok i machnął niecierpliwie ręką. Widoczni czy nie, musieli ruszać. Nie było na co czekać.

– Żwawo! – ponagliła Flawia.

Nilą wciąż jeszcze była zbyt słaba na bieganie. Marzyli, by znaleźć się wreszcie pod opieką wojowników, ale maszerowali w tempie, jakie narzuciła im uwieszona na ramieniu Sambora dziewczyna.

– Biegnijcie sami – przekonywała ich.

Lecz oni nie zamierzali jej zostawiać nawet na chwilę. Szli tuż obok i tylko rozglądali się niespokojnie na wszystkie strony. Choć żadne nie dzieliło się swymi przeczuciami z przyjaciółmi, każdy czuł gdzieś pod skórą towarzystwo złowrogich cieni. Nie widzieli Złotników, ale...

Intuicja ich nie zwiodła. Byli w połowie dystansu, gdy zza niewysokiego parawanu zielonych krzewów wysunęło się kilku konnych. Ich zdobione złotem miecze, sztylety i kusze lśniły upiornym blaskiem w porannym słońcu.

– Szlag! – jęknął Żrenicznik. – Dopadli nas!

W tej samej chwili zza drzwi magazynu rozległ się basowy ryk Batu Taurisa:

– Pędem!

Sambor zaklął bezradnie, a potem przerzucił Nilę przez ramię i całą gromadką poderwali się niczym zwierzyna spłoszona ujadaniem gończych psów. Zaskoczeni Faro, Lasota, Izbor i Lederg ściągnęli gwałtownie wodze, a ich wierzchowce zaryły kopytami w ziemię. Niepowszedni zyskali na tym nie więcej niż sekundę, bo już w następnej Złotnicy zaczęli krzyczeć do kogoś wciąż ukrytego w cieniu drzew.

– Weles! – jęknęła Alla.

Herszt pojawił się jako ostatni. Bardziej leżał niż siedział w siodle,

a wyjęte ze strzemion nogi kiwały się bezwładnie po obu stronach końskiego grzbietu. Wyglądał źle! Jeszcze gorzej niż tego pamiętnego dnia w Kamiennych Kościach. Nawet ze sporej odległości Nila była w stanie postawić diagnozę. Choroba na nowo ocknęła się z uśpienia i tym razem zaatakowała drapieżniej.

– Goń! – Weles machnął ręką, a czwórka łotrów natychmiast rzuciła się w stronę Niepowszednich, zostawiając go z tyłu.

On sam zaś, choć słaby, nie stracił rezonu. Spiał konia i zza pleców kamratów wykrzykiwał przekleństwa w stronę zbiegłych więźniów. Wściekłość watażki dodała skrzydeł jego łajdakom. Popędzili na łeb na szyję i, ku przerażeniu Nili, zbliżali się do ich piątki szybciej niż oni do magazynu.

– Złapią nas! – wyrwał jej się zdławiony jęk.

Na szczęście nie byli na tym pustkowiu sami. Drzwi magazynu znów się uchyliły i pojawiła się w nich szczupła sylwetka wojownika Taurisów. Rozległ się cichy świst, coś przecięło powietrze i z odgłosem miękkiego plaśnięcia wbiło się w szyję Lederga! Strzała!

Ugodzony łowca zachwiał się w siodle. Westchnął cicho, a z każdym jego oddechem z ust wypływała mu strużka krwi. Lederg dotknął karku, jakby nie dowierzał własnym zmysłom. Zdumiony, przyglądał się przez chwilę zboczonym szkarłatem dłoniom, a potem zwiotczał i bez życia osunął się na ziemię.

– Aaaaa! Aaaaaa! – Izbor zawył jak obłąkany. – Zabiję!

Uniósł miecz i z szaleństwem w oczach rzucił się w stronę magazynu. Następny grot przeszył powietrze! Śmignął zza węgła południowego składu i ledwie o włos minął łotra. Izbor momentalnie oprzytomniał. Raz ocaliwszy skórę, nie zamierzał czekać na kolejną wiadomość od łucznika. Szarpnął lejce i w miejscu zmienił kierunek biegu konia.

– W nogi! – Pomknął ku drugiemu budynkowi.

Jego kamraci nie byli tak głupi, by protestować i dać się zabić. Pochylili się nisko w siodłach i już ich nie było. Popędzili przed siebie, byle dalej od śmigających w powietrzu strzał! Niepowszedni też nie czekali. Wpadli do południowego składu w tej samej chwili, gdy za Okrutnymi Złotnikami zatrzasnęły się drzwi północnego magazynu.

Sambor pomógł Nili usiąść na klepisku.

– Dziękujemy, żeście nam pomogli – wysapał zmęczony, a potem z szacunkiem skłonił się wojownikom.

– Po to tu przyjechaliśmy – odparł wódz i uśmiech rozjaśnił mu twarz. – Witajcie!

I tak oto każda z wrogich grup zajęła inny budynek.

Łowcy natychmiast zaczęli wyrzaskiwać groźby w stronę swych przeciwników, ale nie doczekali się odpowiedzi. W schronieniu Taurisów i ich podopiecznych zapanowała bowiem atmosfera milczącej ulgi. Flawia natychmiast wsunęła się w rozchylone szeroko ramiona Batu. Nie chciała ani go puścić, ani się od niego odsunąć. Po prostu przytuliła go bez słowa. Wódz też nic nie mówił, tylko gładził dziewczynkę po rozczochranych włosach i czujnie przyglądał się jej towarzyszom. Ci zaś, czekając na swoją kolej w tych czułych powitaniach, rozglądali się po składzie. Oprócz jednookiego wojownika byli tu jeszcze dwaj inni i drobna, kruczowłosa niewiasta, na której widok twarze Niepowszednich rozjaśnił uśmiech.

– Flawia! – krzyknęli zgodnie.

Ona zaś zaśmiała się radośnie.

– Nie mogłam sobie tego odmówić! Witajcie! Chodź do mnie, maleńka!

Wyjęła zaróżowioną z emocji imienniczkę z ramion ukochanego.

Dopiero teraz Batu Tauris mógł obdzielić wszystkich równo swoją uwagą.

– Dobrze was widzieć – powiedział.

Powitał ciepłym uściskiem Dalko, ojcowsko przytulił Bestiarkę, którą dotąd znał tylko z opowieści. Mocno uchwycił wyciągniętą prawicę Unika, a na koniec wytarł sobie zupełnie zagubionego Kadoka. Na głowę biednego lisa spadło naraz tyle szczęścia, że nie wiedział, jak zapewnić wszystkich o swym oddaniu. Miotał się więc między dawnymi a obecnymi towarzyszami. To skakał wokół nóg wodza, to łąsił się do Alli, przypadał do dorosłej Flawii albo lizał jej imienniczkę. Przez cały czas machał jednak kitą z takim zapałem, że ktokolwiek znalazł się na jej drodze, na długo zapamiętywał te bolesne powitania.

– Starczy, Kadok! – Wódz przerwał jego szalone płasy. – Chodźmy

wreszcie przywitać się z Nilą!

Wraz z ukochaną ramię w ramię podeszli do poszarzałej na twarzy dziewczyny. Kobieta zacmokała z niepokojem i od razu położyła długie palce na jej nadgarstku.

– Żmija! – odgadła w mgnieniu oka.

Nilą kiwnęła głową.

– Ukąsiła mnie w górach.

– Szlag! Mało nam nie umarła!

– Jeszcze nie wróciły mi wszystkie siły – powiedziała Nilą.

– Wszystkie? – złapał się za głowę Żrenicznik. – To cud, że w ogóle tu doszłaś!

– Ale za kilka godzin będę zupełnie zdrowa! Dam radę uciec! Nikogo już nie opóźnię, przysięgam.

Łagodny uśmiech rozświetlił twarz dorosłej Flawii, czyniąc z niej skończoną piękność.

– Nilu, ulecę cię z tej słabości, jeśli chcesz. Będzie szybciej.

– Nie chcę!

– Zrób to! Koniecznie! – zapalił się Sambor.

– Tak! – poparła go Alla. – Ulecz Nilę, proszę.

– Przestańcie! Ja nie chcę uzdrawiania!

Oboje popatrzyli na dziewczynę tak, jakby wycieńczenie odebrało jej nie tylko siły, ale i rozum. Tylko kobieta skłoniła przed nią głowę z szacunkiem.

– Mądrze, dziewczyno.

Sambor wzniosł oczy do nieba i westchnął bezradnie.

– Już nic nie rozumiem.

– Choroby czynią Żniwiarzy silniejszymi tylko wtedy, gdy nikt ich nie uzdrawia. Gdyby Flawia mnie teraz uleczyła, nie pozostałby we mnie nawet ślad po żmii – wyjaśniła Nilą. – Nie chcę tego! Nie po tym, co przeszłam.

– Ale po co ci ten jad? – zdumiała się Alla. – Będiesz mogła leczyć pokąsanych przez zygzaka?

– Nie, tego żaden Żniwiarz nie potrafi. Będę silniejsza.

– Ale przecież dostałaś odtrutkę. Nie ma w tobie trucizny.

Dorośla Flawia uśmiechnęła się ciepło.

– Żniwiarze są inni niż zwykli ludzie. Im dłużej zmagają się z tym, co ich zaatakowało, tym mocniej ich ciało zapamiętuje chorobę. Uczą się jej i przyjmują jak część siebie. Jeśli przeżyją, noszą ją w sobie jak niegroźną pamiątkę po bitwie.

– Trochę przypominacie te szczury od odtrutki – zdumiała się Alla.

– Tak! – Nila pokiwała głową. – Prawie dwie godziny walczyłam z jadem sama i odrobinę go zwyciężyłam. Inaczej nie donieśliście mnie żywej do węglarzy. Resztę wyciągnęliście ze mnie szczurzą krwią. Dlatego żyję. Ale nie chcę uzdrawiania. Ta kropla trucizny, którą pokonałam, jest teraz maleńkim kawałkiem mnie, zostanie ze mną aż do śmierci.

– Ale Nilu... – Sambor spróbował raz jeszcze.

Batu Tauris położył mu dłoń na ramieniu.

– Synu, ona wie, co dla niej najlepsze. Niepowszedni czują, czego im trzeba. Pomóżmy jej po swojemu, Uniku. My zajmiemy się walką, ona odpoczynkiem. Nic dziewczynie po tej żmii, jeśli przegramy. Jesteś wojownikiem! Bierz się więc do roboty. Jaką mają broń? Mów!

Chłopak przyglądał się jeszcze przez moment wymizerowanej Nili, jakby nie mógł się zdecydować, czy wciąż ją przekonywać, czy zawierzyć słowom Batu Taurisa o intuicji Niepowszednich. W końcu westchnął ciężko i zajął się tym, na czym znał się lepiej.

– Welesa znacie – powiedział. -- Ma miecz. Nie widziałem, jak walczy, ale teraz i tak jest bardzo słaby. Mała Flawia by go pokonała. Nila mówi, że mu się pogorszyło.

– Co to znaczy?

– Nie mówiłam wam w obozie? Naprawdę? – zdumiała się dziewczyna. – Weles ma chorobę w trzewiach... straszną, złą. Podleczyłam go raz, ale to wraca. Dlatego tak wytrwale mnie tropi. Chce mnie na zawsze.

– Tumor! – domyśliła się druga Żniwiarka.

– Na razie bardzo mały, ale rośnie.

– Dalej, synu! – ponaglili Unika mężczyźni.

– Izbor, prawdziwe bydlę. Ma miecz i kuszę. Na pewno walczy nieczysto. Faro, tylko miecz. Lederg nie przeżył. Lasota jest lekko ranny, ale da radę się bić i strzelać z kuszy.

– Cztery miecze, dwie kusze, jeden bez sił i trzech zdatnych do bitki – podsumował Batu Tauris. – I nas trzech, a od was mogę wziąć tylko ciebie, Sambor.

– I Kadoka! – zaprotestowała Alla.

– Prawda, Bestiarko. I Kadoka.

– No dobrze, czyli lis i czterech naszych przeciwko tamtej czwórce. Co teraz? – spytał Sambor.

– Prawdę mówiąc, sam nie wiem. Przyjechaliśmy niewiele przed wami, a potem wszystko potoczyło się tak szybko! Nie przewidzieliśmy tego – my tu, oni tam.

– Nikt nie wyściubi nosa na zewnątrz – rzucił łucznik, który zastrzelił Lederga. – U nas pójdą w ruch łuki, u nich kusze. Szach!

– To nie wszystko – stwierdził ponuro Batu. – W składach nie ma ni wody, ni jadła, a za kilka godzin, gdy słońce stanie w zenicie, ledwie będzie się dało się tu oddychać.

– Nie macie zapasów? – zaniepokoiła się Alla.

Dorośla Flawia pokręciła głową i wskazała cztery stojące w rogu wierzchowce.

– Zdążyliśmy tylko napić je w rzece. Potem mieliśmy napełnić bukłaki i upolować coś w lesie, kiedy... A wy, macie coś?

– Już nic!

Zapadła chwila przedłużającego się milczenia. W końcu Nila odezwała się znużonym głosem:

– Czekamy. Kiepskie wyjście, ale... żadnego innego na razie nie mamy.

Tak też zrobili. Siedzieli cicho, obserwując sąsiedni budynek. Ludzie Welesa zapewne robili to samo. Batu Tauris zarządził, by warty zmieniały się co dwie godziny, choć przy takim usytuowaniu magazynów strażnicy nie mieli wiele do roboty. Południowe wejście schronienia łowców i północne wierzaje kryjówek Niepowszednich leżały na wprost siebie, a dzieliła je odległość ledwie pięciu sążni. W tych warunkach nikt o zdrowych zmysłach nie próbowałby tamtędy wychodzić. Zapasowe wrota obu budynków, umieszczone od strony Nura, tylko pozornie dawały większą możliwość ucieczki. Niestety ulokowano je tak, by najkrótszą drogą prowadziły na wspólny dla obu

składów pomost. Niezależnie od kierunku dalszego marszu już po kilkunastu krokach wkraczało się w obszar widoczności przeciwnika i stawało się celem tak łatwym jak kaczka na polowaniu.

Przez pierwszych kilka godzin trwała zrazu ożywiona, a potem coraz bardziej leniwa wymiana obelg i gróźb pomiędzy Okrutnymi Złotnikami a Taurisami. Jedni obiecywali drugim, co im zrobią, gdy się spotkają na otwartym polu. Wreszcie słońce i doskwierająca duchota do reszty pozbawiły wszystkich zapału do rozmów.

Skwar był niemożliwy. Choć Batu Tauris pozwolił uchylić drzwi od strony rzeki, nawet mały podmuch wiatru nie wpadł do gorącego niczym łaźnia pomieszczenia. Powietrze zmieniło się w sztywny, nieruchomy kokon, który zaciskał się na ich nozdrzach i wysuszonych gardłach z siłą kowalskich cęgów.

Z godziny na godzinę było coraz gorzej. Rozgrzane upałem bale zaczęły wydzielać słodki aromat żywicy, zaś znad klepiska i pustych skrzyń po towarach uniosła się mieszanina zapachów wszystkiego, co tu zwykle składowano. Ostry fetor rzecznych ryb mieszał się ze smrodem surowych skór dla kuśnierzy, a przez ziołową woń pszenicy przebijał smolisty odór dziegciu. Wśród tego wszystkiego szalał zapach spoconych ciał, które od dawna nie widziały balii z wodą.

– Kręci mi się w głowie – poskarżyła się Alla i zwymiotowała na ubitą glinę.

Nie mogli jej pomóc. Wszyscy mieli jednakie wrażenie, że ściany kręcą się wokół nich, a swąd lada moment ich zadusi.

Po południu zaduch był już tak trudny do wytrzymania, że na zmianę podchodzili ostrożnie do uchylonych drzwi i chciwie łapali hausty świeżego powietrza. Minuty płynęły powoli, a czas zdawał się stanąć w miejscu. O tym, że to nieprawda, świadczyły tylko coraz silniejsze pragnienie i narastające wyczerpanie.

Dzień z wolna zmierzał ku końcowi. Wreszcie upał osłabł. Niedługo jednak cieszyli się wieczornym chłodem. Gdy tylko słońce purpurową łuną zaszło nad górami, dla odmiany nagle zrobiło się tak zimno, że pot natychmiast zastąpiła gęsia skórka. Nie było im ani odrobinę lżej niż podczas skwarne go dnia.

Na próżno obejmowali się ramionami, nadaremno zbijali w

gromadkę, próbując ogrzać się ciepłem towarzyszy. Wszyscy trzęśli się z zimna. Przesiąknięte potem ubrania nie wyschły, lecz wyziębiły się i mokre przylgnęły lodowatym kompresem do ich wychłodzonych pleców, brzuchów i piersi. Usta im zsiniały, a skóra zrobiła się tak blada, że żyły widać było na niej równie wyraźnie, jak litery kreślone inkaustem na pergaminie.

– Jak długo chory Weles da radę wytrzymać bez wody? – odezwał się nagle Batu Tauris.

Nilą poderwała głowę zaniepokojona brzmieniem jego głosu. Wódz oddychał ciężko, a oczy miał w półprzymknięte. Ramionami ogrzewał wtuloną w niego ukochaną, ale sam cały drżał z zimna pod wilgotną koszulą. Nawet on, przywykły do trudnego klimatu Suchych Pól, z trudem znosił duchotę, brak wody i zmienne temperatury. Nilą przebiegła wzrokiem po pozostałych. Wszyscy wyglądali źle! Nawet konie stały osowiałe i błagalnie patrzyły w stronę ludzi.

– Nie wiem – powiedziała i przestraszona zawiesiła wzrok na rudowłosej Flawii.

Mała siedziała oparta o ścianę i z wyraźnym wysiłkiem próbowała podciągnąć kolana do siebie. Wargi miała suche i niemal bezbarwne.

– Bolą cię mięśnie, siostrzyczko? – zapytała Nilą, za wszelką cenę próbując nadać głosowi spokojne brzmienie.

Dziewczynka westchnęła ciężko.

– I głowa... bardzo – odezwała się niewyraźnie – mam język... taki suchy....

Spojrzenia obu Żniwiarek spotkały się natychmiast.

– Źle z nią! – szepnęła kobieta. – Potrzebna jej woda!

– Wiem.

– Nie ma wiele czasu.

– Wiem.

Nilą zaczęła chodzić nerwowo po składzie. Każde żywe stworzenie, by przeżyć, musiało pić. W chłodzie zdrowy i wypoczęty człowiek przetrwałby bez płynu kilka dni. Mała Flawia była jednak chudym, niedożywionym dzieckiem, które miało za sobą wyczerpującą podróż i przez kilka ostatnich godzin wypociło z siebie resztki życiodajnego zapasu. Ból głowy i mięśni były rozpaczliwymi sygnałami

ciała, że się poddaje! Nie można już było czekać! Musieli zdobyć wodę!

Myśli dorosłej Flawii musiały kroczyć tym samym torem, bo podeszła do Nili, niosąc kilka pustych bukłaków. Wyglądała równie kiepsko, jak pozostali. Miała apatyczne spojrzenie, drżące dłonie i wysuszone wargi.

– Mężczyźni muszą zostać w środku – szepnęła – bo do nich na pewno będą strzelać. Sióstr przecież nie wyślesz, mamy więc prosty wybór, Nilu: ja lub ty.

Nilą zerknęła na zewnątrz. Nastąpiła pełnia, co przy bezchmurnym, przejrzystym niebie oznaczało doskonałą widoczność przez większą część nocy. Jasne bukowe deski pomostu lśniły w księżycowej poświacie.

– Ja! Mnie Weles nie tknie.

Chwyciła skórzane worki i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę drzwi.

– Nilu! – zaprotestowała blada jak duch Alla.

– Muszę, siostrzyczko – szepnęła dziewczyna, nawet się nie zatrzymując.

– Ej! Czekaj! – Sambor rzucił się w ślad za nią. – A ty dokąd?

– Po wodę.

– Oszalałaś?! Zabiją cię!

Złapała go za ramię i odwróciła w stronę współtowarzyszy.

– Sambor – powiedziała cicho – rozejrzyj się! Słabniemy. Nie tylko my. Trzeba napoić i konie. Jutro będzie nowy upalny dzień. Bez wody zaczniemy umierać, a z małą Flawią już jest bardzo źle! Moja siostra też zaczyna chorować. Widzę to!

Batu Tauris podszedł do nich zmęczonym krokiem.

– Idź! – Popchnął Nilę lekko w stronę wyjścia. – Nie będą do ciebie strzelać, bo Weles musi mieć cię żywą. Pewnie spróbują cię złapać. Jednak ugodzimy z łuku każdego, kto wyjdzie z tamtego magazynu.

– Ale... – zaprotestował Sambor.

– A ty – przerwał mu mężczyzna – ruszaj pod drugie wierzeje! Ja będę przy tych. Jeśli łucznicy nie dadzą rady powstrzymać łowców, my wyskoczmy z pomocą. Nie pozwolę jej skrzywdzić! Rozumiesz?

Chłopak pokiwał głową, a potem spojrział na Nilę.

– Chodź tu! – Przyciągnął ją do siebie. – Zrób to szybko, słyszysz? Napełnij od razu wszystkie bukłaki i wycofaj się natychmiast. Nie zatrzymuj się, nie rozglądaj, po prostu wracaj!

– Dobrze.

Popatrzyła na niego czule, a potem zbliżyła wargi do jego ust. Pocałowała go szybko i ukradkiem, niepewna, czy w zetknięciu z jego miłością nie straci odwagi, by wyjść na zewnątrz. Musiał czuć się podobnie, bo szorstko oderwał dłonie od jej twarzy i popchnął ją w stronę drzwi.

– Idź! – mruknął. – Zanim cię zatrzymam!

Łucznicy zajęli pozycje, Sambor stanął przy drzwiach z obnażonym mieczem, Batu Tauris wysunął ostrożnie głowę na zewnątrz i rozejrzał się wokoło.

– Pusto, ruszaj.



Nila wyszła na chłodne nocne powietrze i aż zachłysnęła się jego czystością. Po godzinach spędzonych w zaduchu haust tlenu przesyconego świeżym aromatem rzeki i gór był prawdziwą uczta dla płuc.

Pomost stał tuż przed nią. Wystarczyło tylko przejść kilka kroków brzegiem Nura. Dziewczyna rozejrzała się i najciszej, jak umiała, pobiegła przed siebie. Niestety, jedynie na piasku poruszała się bezszelestnie. Na bukowych deskach trapu jej stopy zastukały leciutko. Nic wielkiego, ale miała wrażenie, że w pełnej napięcia ciszy odgłos kroków niesie się kilometrami.

Tak, jak radził Sambor, od razu zanurzyła wszystkie bukłaki w lodowatej wodzie i z bijącym sercem niecierpliwie czekała, aż się napełnią. Bała się okrutnie. Wyobraźnia płatała jej figle. Widziała cienie przemykające pod wodą, mroczne kształty chowające się za budynkami. Słyszała dźwięki, od których włos jej się jeżył na głowie. Najchętniej cisnęłaby bukłaki do rzeki i z wrzaskiem uciekła do przyjaciół.

Maleńka Flawia umrze – odezwał się natychmiast głos rozsądku.

Nila zagryzła więc wargi i poprzysięgła sobie wytrwać. Skupiła całą uwagę na bulgoczących pęcherzykach, które tańczyły u wąskiej szyjki naczynia, ale na niewiele się to zdało. Wciąż czuła, że źle robi, pozostając tak długo na pomoście. Szósty zmysł podpowiadał jej, iż powinna mieć się na baczności.

Przecucia jej nie zwiodły! Cichutko skrzypnęły zawiasy i za węglem północnego budynku coś się szybko poruszyło, a potem równie gwałtownie znieruchomiało! Nila wstrzymała oddech. Zdumiewające, ale nic więcej się nie działo! Cokolwiek było przy składzie Welesa, pozostało tam zastygłe jak posąg. Nie odważyło się ani poruszyć, ani iść w stronę Żniwiarki. Na razie.

Nila wepchnęła bukłaki głębiej między fale.

– Szybciej! Szybciej! – mamrotała sama do siebie.

Wreszcie maleńkie bańki powietrza przestały unosić się ku górze.

Dziewczyna z wysiłkiem wyciągnęła drogocenny ładunek na powierzchnię. Uważając, by nie uronić ni kropli, zakorkowała starannie każdy zbiorniczek, a potem dźwignęła się z kolan.

Zrobiła krok i zamarła.

Zza narożnika magazynu łowców oderwała się sylwetka barczystego mężczyzny! W dłoni błysnęło ostrze długiego noża!

– Lasota! – zaskowyczała Nila i rzuciła się do ucieczki.

Łotr runął wprost na nią.

– Wracaj tu!

– Ratunku! Pomocy!

Łucznik Taurisów nie próżnował, ale i niewiele zdziałał. Pierwsza strzała lekko drasnęła łowcę, a kolejne nie nadleciały. Lasota biegł w prostej linii za Żniwiarką, przezornie schowany za jej plecami, więc wojownik nie odważył się strzelać, by nie trafić w Nilę. Dziewczyna od razu pojęła, w czym rzecz, i spróbowała pomóc.

– Teraz! – krzyknęła i rzuciła się w lewo, a potem w prawo, by odsłonić zbira.

Jej ruchy były jednak zbyt ociężałe. Nie dość, że wciąż nie wróciła do pełni sił, to biegła obładowana bukłakami, które plątały jej się wokół nóg.

– Aaaa! – zawyła bezsilnie.

Lasota był bezpieczny i co gorsza, zbliżył się na tyle, że wyciągnął po Nilę łapska!

– Mam cię!

Niewiele myśląc, zamachnęła się i cztery wypełnione wodą worki z głuchym odgłosem uderzyły łajdaka po żebrach. Ten zaklął i zgiął się wpół. Nila zaś pobiegła dalej. Od piaszczystego brzegu dzieliła ją już tylko ostatnia prosta pomostu. Modliła się, by Lasota pokłęczał jeszcze chwilę na deskach.

Tylko kilka sekund! Błagam! – jęknęła w duchu.

Niestety. Łotr w dwie sekundy odzyskał oddech i znowu puścił się w pogoń.

– Pożalujesz! – wrzasnął.

Walił nogami po pomoście z taką mocą, że cała konstrukcja aż trzeszczała! W porównaniu z nim Nila była powolna jak kulawe juczne

zwierzę. Podczas, gdy ona przebiegła ledwie kilka kroków, Lasota ponownie znalazł się za jej plecami. Tak blisko, że znów słyszała jego zdyszany oddech.

Raz jeszcze wyciągnął ręce przed siebie i zdołał pochwycić dziewczynę za skraj sukni.

– Mam cię!

Szarpnął za materiał, prawie przewracając biedaczkę. Nila wrzasnęła, jakby ją obdzierali ze skóry.

Już po mnie – pomyślała z przerażeniem.

Nagle drzwi składu otworzyły się z impetem. Na wprost Żniwiarki wyrósł łucznik!

– Padnij!

Zdażyła tylko dostrzec wycelowany wprost w swą pierś grot, a potem posłusznie zaryła kolanami w piachu!

Lasota zamarł naprzeciwko Taurisa. W dłoni trzymał nóż.

– Odejdź! – nakazał mu wojownik.

Łowca podjął decyzję.

– Nie! Zdychaj! – Zamachnął się.

Nie zdażył rzucić. Zwolniona cięciwa zabręczała upiornie. Nila poczuła pęd strzały ponad głową i usłyszała makabryczny świst. Grot pofrunął na spotkanie celu!

Przerażona dziewczyna zakryła uszy, bo ponad wszystko inne na świecie nie chciała usłyszeć śmiertelnego jęku Lasoty. Jednak ten odszedł bezgłośnie, ugodzony prosto w serce. Ciało wpadło z pluskiem do rzeki, a wartkie fale Nura poniosły je ze sobą tak szybko, że zanim Nila zebrała się na odwagę, by spojrzeć za siebie, zwłoki łowcy odpłynęły już daleko.

W północnym magazynie zawrzało. Okrutni Złotnicy znali tylko jedną odpowiedź na śmierć towarzysza:

– Zemsta! Gorze! Ubijemy was! Zapłacicie za to!

Nila zerwała się na równe nogi. Nie miała już sił, by nieść bukłaki. Rzuciła się w stronę drzwi, ciągnąc je za sobą po ziemi. Skórzane troczki wrzynały jej się w dłonie aż do krwi, ale nie zwracała na to uwagi.

Biegła przed siebie tak strwożona, jakby ścigało ją widmo Lasoty.

Wreszcie ze szlochem wpadła do środka. Natychmiast otoczyły ją

opiekuńcze ramiona Sambora, a delikatne dłonie Alli rozsypały paski worków. Ktoś poklepał ją po ramieniu, ktoś inny przytknął jej do spieczonych warg szyjkę bukłaka. Flawia, ta dorosła, pogłaskała dziewczynę czule po głowie i odebrawszy jedno z naczyń, poszła napić śpiącą na klepisku imienniczkę. Dalko zaniósł wodę wycieńczonym zwierzętom.

– Dobrze się spisałaś – pochwalił Nilę Batu Tauris.

Dziewczyna zwinęła obolałe palce w pięść.

– On mnie nigdy nie zostawi w spokoju! Woli tracić swoich ludzi niż zrezygnować ze mnie! Dwie śmierci jednego dnia! Z mojego powodu! Nie wypuści mnie stąd!

– Nilu – odezwał się cicho wódz Taurisów – ani Lasota, ani ten drugi nie umarli przez ciebie. Przecież wiesz...

– Izbor idzie po wodę! – zaalarmował wszystkich Żrenicznik. Spojrzeli na siebie zdumieni.

– Musi być z nimi krucho, skoro tak ryzykuje – zawyrokował Sambor.

Batu Tauris skinął głową przyczajonemu przy oknie łucznikowi.

– Strzelaj!

Nilę złapała się za skronie i jęknęła z rozpaczą. Wódz zerknął na nią ze współczuciem i poklepał ją łagodnie po ramieniu.

– Ale nie zabijaj! – dodał szybko.

Wojownik napiął łuk, mierzył przez chwilę, a potem posłał strzałę w rozświetloną księżycową poświatą noc.

– Żebyś zdechł! – rozległ się wrzask Izbora. – Trafił mnie!

– Lekko, w prawe ramię – doniósł im Dalko.

– Jeszcze jedna, na ostrzeżenie! Celuj blisko, ale nie w niego! – rozkazał Batu Tauris. – Niech drań wraca do swoich!

Łucznik posłusznie wykonał polecenie.

– Dajcie choć nabrać wody! Zdychamy! – ryknął Izbor.

– Następna!

Kolejna strzała odcięła łowcy dostęp do Nura.

– Zawrócił – zameldował Żrenicznik.

Izbor zatrzasnął za sobą drzwi składu. Przez chwilę nasłuchiwali odgłosów nocy, ale nic więcej nie rozproszyło już ciszy na zewnątrz.

– Mamy spokój na jakiś czas. Dalko pilnuj okolicy – zarządził Batu Tauris i spokojnie wrócił do przerwanego wątku: – Nilu, to nie twoja wina. To łowcy! Nie sympatyczni wieśniacy, czy poczciwi mieszczanie. To najgorsze kanalie, jakie można spotkać! Poświęciliby własną matkę, gdyby była Niepowszednią. Ci ludzie żyją ze zła i tak umierają. Nie znam łowcy, który zmarł ze starości we własnym łóżku. Mordują się nawzajem albo giną tak jak Lasota. Nie ma nic złego w tym, że bronisz swojego lub cudzego życia przed kimś takim.

– Nigdy się od niego nie uwolnię, prawda?

– Nie wiem. Wierzę jednak, że nie będzie tak źle. Drugi raz nie przejdą przez Topiel.

– A jeśli im się uda?

Wódz uśmiechnął się ponuro.

– Weles jest jak blizna. Naznacza na całe życie. Teraz już będziecie czujniejsi niż kiedyś.

Wstał i rozejrzał się po składzie.

– Warty nadal co dwie godziny. Kto może, niech śpi. Mam przecucie, że jutro przyjdzie nam się bić. My mamy wodę i czas. Weles nie ma już wyboru.

Nie rozmawiali więcej, bo i nie było o czym. Czekali ich walka i liczyło się jedynie to, by wygrać. Każdy radził sobie po swojemu z oczekiwaniem na następny poranek. Taurisi ostrzyli szable. Batu szeptał coś do ucha ukochanej. Niepowszedni zaś stłoczyli się w jednym kącie i trwali tak do świtu, czerpiąc odwagę z obecności pozostałych. Nila w ramionach Sambora, Alla wsparta o bok Kadoka, a Flawia z głową złożoną na kolanach Dalko. Nie spali. Po prostu zamykali oczy i na powrót je otwierali, by upewnić się, że wszystko jest tak, jak się do tego w podróży przez Łajdacki Kraniec przyzwyczaili. Pięcioro przyjaciół razem, na dobre i na złe.

O świtaniu, gdy pierwsze promienie słońca zatańczyły beztrąsko na falach Nura, niespodziewanie rozległ się krzyk Welesa:

– Żniwiarko, słyszysz mnie?! Chcę rozmawiać! Odpowiedz mi, dziewczyno!

Nila, przejęta nie mniej, niż gdyby stanął w drzwiach, zerwała się na równe nogi. Nigdy wcześniej nie zwrócił się do niej w ten sposób,

nigdy nie słyszała takiej desperacji w jego głosie, nigdy nie brzmiał tak spokojliwie.

– O niebios! – Strwożona, przebiegła spojrzeniem po zaskoczonych twarzach towarzyszy.

Alla natychmiast wzięła ją za rękę.

– Bydlę coś knuje!

– Żniwiarko, słyszysz mnie? – powtórzył Weles.

Sambor, Batu Tauris i jego Flawia stanęli przy Nili.

– Nie bój się. Jesteśmy tu. Odezwij się! – powiedział wódz.

Dziewczyna przełknęła nerwowo ślinę i ze zduszonego lękiem gardła wydobyła piskliwy dźwięk.

– Czego chcesz?

– Dogadać się!

– Mów!

– Źle z nami! Izbor ranny, a Faro ledwie dycha z pragnienia.

Głowa mu pęka i coś tam jeszcze... – Weles zamilkł na chwilę. – Ja też... Cóż, przecież nie muszę ci mówić. Wy macie wodę, więc pociągniecie dłużej. Wiedz jednak, że zanim zdechniemy, zabijemy kilku waszych sprzymierzeńców! Kimkolwiek są! I was, bo jeśli mamy zginąć, to razem. Możecie się kryć w mroku, ale na bełt kuszy nie ma mocnych!

– Zawołałeś mnie, żeby grozić? – zawrzała gniewem Nila.

– Ależ skąd! Jedynie mówię prawdę. Nie chcę umierać w jakiejś parszywej szopie nad rzeką! Dogadajmy się! Ja i ty! A potem wszyscy pójdą swoją drogą.

Wiedziała, czego potrzebował.

– Chcesz uzdrawiania!

– Pewnie! Ostatni raz. Zwróć mi tyle życia, ile zdołasz. Potem rozejdziemy się każde w swoją stronę.

Nila zmarszczyła brwi. To nie były uczciwe targi z Agą Badur ani pełne prawdy wyznania u Batu Taurisa. Po drugiej stronie miała łajdaka, który kłamał jak z nut, gdy było mu to do czegoś potrzebne. Jego propozycja była tak nieoczekiwana i zaskakująca, że Nila nie mogła w nią uwierzyć ot, tak, bez podejrzeń.

– A niby dlaczego mam ci zaufać? – zapytała.

Weles ryknął jak rozjuszony zwierzę:

– Rozejrzyj się, ty głupia dziewucho! – Porzucił pozory dyplomacji. – Jestem chory, ledwie oddycham i to przez ciebie siedzę na jakimś zadupiu! Zostało mi tylko dwóch ludzi! Reszta nie żyje! Albo mi pomożesz i odejdziemy, albo zginiemy tu razem. Klnę się na własne życie, że utłuczemy was jak najwięcej. Oto, dlaczego powinnaś mi wierzyć!

Nilą milczała. Myślała szybko, logicznie, bez zbędnego kluczenia.

– Wiesz, że nie zniszczę choroby? – upewniła się.

– Wiem. Daj mi tyle, ile możesz.

– I nie będziesz nas ścigał?

– Nie. Przysięgam!

Sambor prychnął pogardliwie.

– Daruj sobie te przysięgi, Weles. I tak są nic nie warte. A ponieważ jesteś kłamcą, nie zawierzemy nawet jednemu twojemu słowu. Ona nie wyjdzie do ciebie. Ty przyjdź tutaj. Sam. Masz odwagę?

– Mam, ale nie jestem głupcem. Spotkamy się pośrodku pomostu!

Sambor spojrzał pytająco na Nilę i Batu Taurisa. Wódz cmoknął z powątpiewaniem, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Nilą krzyknęła:

– Muszę pomyśleć!

I odwróciła się do swych towarzyszy z brwiami uniesionymi w niemym pytaniu. Spoglądała kolejno na twarze przyjaciół. Sambor wzruszył ramionami.

– Mowy nie ma!

– Nigdzie nie pójdziesz! – poparła go Alla.

Flawia tylko pokręciła głową.

– Szlag, Nilu! Zwariowałaś? – Mina Dalko nie pozostawiała wątpliwości, co myśli na ten temat.

Oczy Żniwiarki spoczęły na zafrasowanym obliczu Batu Taurisa.

– Wiesz, że on łże – bardziej stwierdził niż zapytał wojownik. – Gdy go uleczysz, przystawi ci nóż do gardła i zabierze ze sobą. Będziesz ledwie żywa, zbyt słaba, by mu się przeciwstawić, a i my nie znajdziemy wtedy sposobu, żeby Welesowi przeszkodzić.

Nilą pokiwała głową i w końcu spojrzała na towarzyszącą wodzowi

kobietę.

– Flawio?

Ta odetchnęła głęboko.

– Tylko ty stoisz między nim a śmiercią, nic go od ciebie nie oderwie! On zawsze wybierze swoje życie, Nilu!

Dziewczyna drgnęła gwałtownie na dźwięk tych słów. Coś przemknęło przez jej umysł i zgasło, zanim zdołała pochwycić sens tej myśli.

– Jeszcze raz! Powtórz to! – poprosiła.

– Powiedziałam, że tylko ty stoisz między nim a śmiercią i nic go od ciebie nie zdoła oderwać, bo on zawsze wybierze swoje życie.

– Właśnie! Otóż to! – Nila aż podskoczyła. – Jest sposób, by zniknął stąd natychmiast! Niech ściga się z chorobą, przy której ja nie będę mogła mu pomóc!

Dziewczyna tryumfalnie zerknęła na dorosłą Flawię. Na twarzy niewiasty przez chwilę malowało się zagubienie, a potem zastąpił je błysk olśnienia.

– Chylę czoła przed twą mądrością – powiedziała z uznaniem. – I odwagą. Jedno „ale”. Wiesz, że będziesz musiała zrobić to bardzo szybko? On nie jest głupi, w mig się zorientuje.

– O czym wy rozmawiacie, u licha? – zdenerwował się Sambor.

Nila uspokajająco złapała go za rękę.

– Poczekaj.

– Też chcę wiedzieć! – westchnął Batu Tauris.

– I ja! Ja też! Nic nie rozumiem! – rozlegało się ze wszystkich stron składu.

– Nie teraz, dajcie nam czas! – zirytowała się Nila. – Flawio, tylko ciebie mogę o to spytać. Jesteś Żniwiarką. Myślisz, że się uda?

– Dziewczyno, to Weles! Rzuci wszystko i pogna szukać ratunku. Tylko pamiętaj, zrób to jak najszybciej! Kilka sekund i odskocz na bezpieczną odległość.

Natarczywy głos łowcy znów wdarł się w bezpieczną przestrzeń składu:

– Wciąż czekam!

– Jeszcze chwila! – krzyknęła twardo Nila i zwróciła się do

towarzyszy: – Chcę tam iść. Muszę!

– Opamiętaj się! – jęknęła Alla.

– Nie możesz!

– Zostań tu!

Nilą omiotła wzrokiem przyjaciół. Jej siostra była blada z trwogi, mała Flawia zagryzała wargi aż do krwi, Dalko zaciskał bezsilnie pięści, a Sambor był wściekły na cały świat. I wszyscy czworo patrzyli na nią z tym samym lękiem w oczach.

– Bo ja mam pomysł – powiedziała cicho.

– To już wiemy, ale i tak wybij go sobie z głowy! – rozeźlił się Sambor.

Ciemne oczy wodza spoczęły na ukochanej.

– Flawio, serce moje, dobry chociaż ten koncept? Bo ja nic z tego nie rozumiem!

– Ryzykowny, ale doskonały. Jednak musicie mieć łuki w pogotowiu, bo gdy Nila skończy z Welesem, różnie może być.

– Jeśli myślisz, że po tym wszystkim, cośmy przeżyli, puszcę cię do tego łajdaka, to się grubo mylisz! – oburzyła się Alla i ustawiła się z Kadokiem na drodze do wyjścia.

Nilą opuściła dłonie na szerokie fałdy sukni. Miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Protesty i gniewne głosy towarzyszy zmieniły się w cichy szum wędrujący gdzieś w oddali wokół jej głowy. Patrzyła na swoją pociemniałą od słońca skórę, na cynowy pierścionek, który zdobił jej wychudzony palec i nagle ze zdumieniem pojęła, że nie drży z przerażenia. Po raz pierwszy od długiego czasu myśl o spotkaniu oko w oko z Welesem nie wywoływała w niej wyłącznie dygotu. Teraz miała w sobie też siłę! Prawdziwe poczucie mocy. Znalazła wreszcie sposób na pokonanie ostatniej przeszkody przed granicznym mostem i zamierzała z niego skorzystać, by doprowadzić przyjaciół do domu. Choć bała się Welesa jak nikogo innego na świecie, myśl o przechytrzeniu go dodawała jej odwagi.

– Musicie mi zaufać – odezwała się głosem tak twardym, że wszelkie rozmowy ucichły w jednej chwili. – Ten jeden raz nie podejmiemy decyzji wspólnie. Ja to zrobię. Nie mam czasu na tłumaczenia, ale róbcie, co każe Flawia. Ona wie wszystko.

Spoglądali na nią smutnymi oczyma, ale nie odezwali się ani słowem.

– Weles! – rzuciła Nila w stronę północnego składu.

– Tak?

– Wyjdź za minutę na pomost, bez broni! Zdejmij kubrak, koszulę i buty! Chcę widzieć, żeś nie przyniósł noża, by mnie dźgnąć!

– Rozumiem!

– Jeśli spróbujesz zrobić mi krzywdę, łucznicy cię zabiją. Są dobrzy w swoim fachu!

– To też wiem. – W głosie Welesa pojawiło się zniecierpliwienie.

Nila spojrzała na Allę błagalnie. Ta pokiwała głową.

– Idź.

– Sambor? – Dotknęła delikatnie policzka ukochanego.

Westchnął, jakby wyrywała mu serce, a potem pocałował wnętrze jej dłoni.

Przyglądał się dziewczynie się z taką czułością, że zebrani wokół nich towarzysze instynktownie odwrócili się w poczuciu, iż zakłócają coś niezwykle wzniosłego i intymnego.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

– Przez cały czas nic tylko się o ciebie boję.

– Wiem, kochany.

– Weles jest na pomoście! – usłyszeli spokojny głos Batu Taurisa.

Nila spojrzała na drzwi. Szybkimi ruchami wygładziła sponiewieraną suknię, zaplotła na nowo warkocz, zdjęła pierścioneł i podała go Samborowi. Była gotowa.

– Muszę iść. – Nie bardzo wiedziała, co jeszcze mogłaby mu rzec.

Przyciągnął ją do siebie i przez moment spoglądał na nią tak, jakby w ostatniej chwili rozmyślił się i nie zamierzał jej wypuścić.

– Tylko wróć do mnie – szepnął, a potem popchnął ją w stronę wyjścia.



Ten jeden raz Weles nie skłamał. Naprawdę było z nim źle. Gdy tak siedział zgarbiony, z bosymi nogami, na wpół nagi, wychudzony i niechlujnie zarośnięty, przypominał bardziej żebraka z zaułków Bawidła niż dawnego eleganta. Miał głęboko zapadnięte oczy, a sine cienie pod nimi rozlewały się prawie na połowę twarzy i czyniły ją podobną do jarmarcznej maski, którą kuglarze straszili gapiów.

Nilą przycupnęła ostrożnie na pomoście, z dała od swego prześladowcy. On tymczasem niemrawo podniósł wzrok i wykrzywił wargi w pogardliwym grymasie.

– Patrz, co ze mnie zostało! – wycedził. – Dalej, naciesz się!

Żniwiarka popatrzyła na niego twardo.

– Wstań i odwróć się. Chcę wiedzieć, czy nie masz noża z tyłu.

Uniósł brwi w uznaniu dla jej odwagi, a potem niezdarnie podniósł się z desek i okręcił się wokół własnej osi.

– Gdybym chciał, nawet w tym stanie zadusiłbym cię gołymi rękoma.

Nilą zacisnęła nerwowo dłonie. Wiedziała, po co to robił. Wcześniej złamał jej ducha wiele razy i w tej trudnej chwili chciał na nowo uczynić ją bezbronną i przerażoną. Była jednak mądrzejsza, twardsza i silniejsza niż dziewczyna, którą porwał przed kilkunastoma dniami. Była już kimś innym. Rozumiała, że jeśli będzie go słuchać, wszystkie lęki wypełzną jak żmije ze swych kryjówek i wyszczerzą do niej swe jadowe kły. Wówczas nie starczyłoby jej odwagi na to, co miała zrobić. Z trudem przełknęła więc ślinę, wstała, podeszła nieco bliżej i na przekór strachowi stawiała łajdakowi czoło.

– Byłbyś głupcem – powiedziała głosem zimnym jak lód – bo moi przyjaciele aż się palą, żeby ci posłać kilka strzał. Siadaj, Weles! Nie przyszedłem tu gadać. Wyciągnij rękę, a drugą wysuń jak najdalej za siebie. Rusz nią tylko, a tamci cię zastrzelą.

Skrzywił się z bólu, ale zrobił to, co kazała.

– Przerażone szczenię wyrosło na wilczyce – sapnął. – Cóż...

dzięki mnie, oczywiście.

Nilą zrobiła jeszcze jeden ostrożny krok w jego kierunku. Wciąż nie przestawała wypatrywać oznak podstępów, ale łowca siedział nieruchomo z poszarzałą twarzą. Dyszał ciężko, a po jego bladej skórze i suchych ustach poznała, że zmagał się nie tylko ze słabością, ale też z pragnieniem. Jednak choć ciało cierpiało, duch pozostał ten sam. W oczach Welesa nie było ani skruchy, ani wdzięczności, ani pokory. Jedynie lodowaty chłód, niechęć i pogarda.

– Zaczynaj, Żniwiarko! – warknął.

Opadła na kolana, bukowe deski pomostu zadudniły głucho. Energicznie zatarła dłonie, by krążąca żywiej krew pozwoliła mocy uderzyć natychmiast. Chory przyglądał się temu obojętnie, a potem po prostu położył szeroko rozczapierzone palce na dziewczęcej sukni.

Nilą objęła jego rękę powyżej nadgarstka i zacisnęła chwyt, by nie czuł, jak bardzo drżą jej mięśnie. Zamknęła oczy, niecierpliwie czekając na pierwsze uderzenie energii. Ta nadeszła bez zwłoki. Przyniosła ze sobą obraz schorowanych trzewi i niewielkiego, głęboko skrytego w nich guza. Życiodajna siła mozolnie napełniała obolałe tkanki, przyżegała krwawiące wewnątrz rany, z wolna dusiła drapieżny tumor, który pożerał Welesa od środka. Wszystko szło zgodnie z planem.

Nilą ukradkiem uchyliła powieki. Łowca siedział z lekko opuszczoną głową, a na twarzy miał wyraz uniesienia. Nie patrzył ani na dziewczynę, ani na magazyn Taurisów. Wyglądało na to, że w ogóle przestał zauważać otoczenie. Wbił niewidzący wzrok w fale Nura i chłonał pierwsze oznaki ozdrowienia.

Teraz albo nigdy! – pomyślała.

Na nowo odgradziła się od świata i skupiła na witalnej potędze, która przetaczała się przez jej ciało. Gdy tylko nad nią zapanowała, rozdzieliła myśli tak, jakby tworzyła w swej jaźni dwa rwące strumienie. Jeden wciąż leczył chore wnętrza Welesa, dając mu tyle ulgi w cierpieniu, by łądak nie zorientował się, co niesie mu drugi nurt. Ten zaś włókł ze sobą śmierć, z którą żaden Żniwiarz nie mógł sobie poradzić. Żmijowy jad!

Nilą wspięła się na wyżyny umiejętności Niepowszedniej. W tej samej chwili leczyła jedną i sprowadzała drugą chorobę! Moc w ułamku

sekundy przyniosła łowcy ulgę, ale i wtłoczyła w jego żyły truciznę. Życiodajna siła ogrzała zbawiennym działaniem chore tkanki, ale rozogniona uzdrawianiem krew uniosła toksynę w głąb ciała.

Weles zadygotał i zaskoczony potrząsnął głową. Nila nie czekała! Oderwała natychmiast dłonie i odskoczyła na bezpieczną odległość.

– Co się dzieje? – szepnął bełkotliwie. – Coś ty mi...

Zamarł, wpatrzony we własny nadgarstek. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą dotykały go delikatne palce Żniwiarki, lśniły krwistoczerwone plamy opuchlizny! Przerażony mężczyzna dotknął bojaźliwie zmienionego miejsca i wrzasnął jak oparzony. Ból zakażonych tkanek oszołomił go po raz pierwszy. Jad zaczął już swój powolny marsz.

– Co to... – wymamrotał.

– Żmija. Jeśli będziesz mądry, przeżyjesz.

Łowca zerknął na Nilę bezradnie, jakby nie rozumiał ani jednego wypowiedzianego przez nią słowa. Wciąż to dotykał obrzmiałej ręki, to unosił do oczu dłoń i oglądał wybroczynę, która ledwie po minucie rozlewała się już pod kłykcie.

– Co to jest? – sapnął. – Źle się czuję... Pali mnie...

– Weles! – krzyknęła Nila. – Oprzytomniej! Patrz na mnie! To jad żmii! Rozumiesz mnie?

Błysk świadomości wreszcie rozświetlił jego otępiałe spojrzenie. Łowca zmrużył oczy i wbił wzrok w uzdrowicielkę.

– Ty! Otrułaś mnie! – syknął i zrobił niezdarny ruch w jej stronę.

Ledwie drgnął, a już pomiędzy nich wbiła się w pomost pierzasta strzała.

– Ostrzeżenie! Drugiego nie będzie! – usłyszeli wściekły głos Sambora.

Mężczyzna opadł ciężko na deski i dotknął nadgarstka.

– Umrę przez ciebie! Zabiłaś mnie! – wychrypiał.

Nila cofnęła się następnie pół kroku. Ręce jej drżały ze zdenerwowania, ale zaplotła je z tyłu, by nie okazać słabości.

– Rób, co mówię, a przeżyjesz. Podleczyłam twój tumor i cię nie zabiłam. A mogłam! Nie zatrzymałam ci serca, nie wlałam krwi do mózgu! Dostałeś ode mnie żmijowy jad! Możesz się uratować. Docień to,

Weles!

– Nienawidzę cię! – wycodził przez zaciśnięte zęby. – Zdechnę tu!
A wy... razem ze mną...

– Weles! – huknęła. – Ty nadal nic nie rozumiesz! To jad! Nie masz czasu na gadanie. Nie masz nawet chwili na głupie pogrożki. Musisz się ratować. Rzucaj się tak dalej po pomoście, a umrzesz w kwadrans. Ty głupcze, trucizna krąży tak szybko jak krew. Pojmujesz? Im szybciej bije ci serce, tym zwawiej sam siebie mordujesz! Uspokój się i mnie wysłuchaj albo rób, jak chcesz. Twoja decyzja.

W oknach północnego składu zamigały przesuwane się nerwowo cienie.

Izbor i Faro – pomyślała z niepokojem Nila.

Łowcy kręcili się bezradnie w tę i z powrotem. Zaniepokoił ich rozwój wypadków nad Nurem. Nie rozumieli sceny, która rozgrywała się na ich oczach. Nie wiedzieli, dlaczego dziewczyna przerwała zabieg. Nie pojmowali wściekłości, która biła z twarzy chorego. Dopóki jednak ich herszt nie sprawiał wrażenia powalonego mocą Żniwiarki, bali się podejmować samowolne decyzje.

Tymczasem Weles zacisnął pięści. Dyszał jak wściekły pies, którego jedyną myślą jest rozerwanie gardła stojącej przed nim ofierze.

– Gadaj! – wydusił z siebie wreszcie.

– Masz kilka godzin na znalezienie odtrutki. Pamiętaj, że nie więcej niż osiem, boś chory i chudy. Jad pokona cię szybciej niż zdrowego osiłka.

– A gdzie ja tu znajdę odtrutkę, kłamliwa dziewucho? No, gdzie? Rozejrzyj się!

– Powiem ci – rzuciła szybko. – Ruszycie we trzech i więcej się tu nie pokażecie. Dam wam jednego konia.

– Trzy!

– Mowy nie ma! Znam cię! Jeśli dostaniesz trzy, sam pojedziesz po lek, a swoje psy wyślesz po zemstę. Jeden albo wcale. Z jednym wierzchowcem tu nie wrócicie.

– Przysięgam ci!

– A więc łiesz! – Wzruszyła ramionami. – Jak zwykle zresztą. Weles, musisz mieć swoich ludzi przy sobie, bo...

– Ja nikogo nie potrzebuję! Niech cię... – przerwał jej, zginając się z bólu. – Niech cię cholera weźmie! Nie daruję! Każę im wrócić na piechotę! Nic was nie uratuje! Nic! Słyszysz?

– I to jest ta twoja przysięga? Wiedziałaś, że nic niewarta! Jak wolisz – powiedziała twardo i wstała z desek. – Potrzebujesz pomocy kamratów, bo najdalej za godzinę stracisz przytomność. Jednak skoro wolisz nasłać ich na nas, nie muszę ci nawet zdradzać, gdzie szukać odtrutki. I tak sam tam nie dojedziesz. Żegnaj, Weles!

Odwróciła się i zaczęła iść w stronę składu.

– Czeka!

Stała, spoglądając na niego w milczeniu.

– Pojedziemy! – szepnął umęczonym głosem. – We trzech. Natychmiast! Do diaska! Jak to boli! Chcę żyć! Mam gdzieś ciebie i resztę! Odejdziemy! Mów, co mam robić. Mów, proszę!

– Nie pij, nie jedz, nie nacinaj nadgarstka. Nie usuniesz jadu inaczej niż szczurzą krwią. Pojmujesz?

Skinął głową.

– Pij ostrożnie. Jeden naparstek co godzinę. Nie częściej! Jeśli macie przy sobie węgiel drzewny, żuj go. Wchłonie trochę jadu.

Weles ponownie dał znak, że rozumie.

– Gdzie to jest? – Westchnął ciężko.

– Nie tak szybko! Najpierw wsiądziesz na konia, a twoi ludzie wyjdą ze składu tak jak ty, tylko w spodniach. I boso! Buty przywiążcie do juków, nałóżcie je pod lasem.

– Zgłupiałaś?!

Popatrzyła na niego lodowatym wzrokiem.

– Mam ufać Faro i Izborowi? Żadnej broni w cholewkach, za pazuchą, czy pod koszulą! Tak czy nie?!

– Tak! Tak, ty wredna dziewucho! Żebyś zdechła! Tak! – wypluwał z siebie podłe słowa z takim zapamiętaniem, jakby jad przeniknął także do jego mowy.

Niła czuła, że dłużej tego nie wytrzyma.

– Bądźcie przed składem za pięć minut.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę magazynu. Nogi trzęsły jej się tak bardzo, że gdy zniknęła za drzwiami, oparła się ciężko o deski,

a potem bez sił osunęła się na klepisko.

– O niebioso, o niebioso, o niebioso! – Strwożona kiwała się w przód i w tył.

Przyjaciele otoczyli dziewczynę ciasnym kręgiem, na przemian to chwalać, to ją pocieszając.

– Ciiii... już dobrze. Dałaś radę! – Alla przemawiała tak łagodnie, jak mówi się do dziecka przerażonego spotkanym we śnie potworem.

– Zrobiłam to. Zatrulałam go! Był podły, groził mi, lżył i... tak strasznie się go bałam! Ale zrobiłam to!

– Odjadą? – zapytał Batu Tauris.

Kiwnęła głową.

– Za chwilę. Bez broni, na jednym koniu, żeby nie mogli wrócić.

– Mądra dziewczyna!

– Muszę do nich wyjść i zdradzić kryjówkę węglarzy – uprzedziła.

– Wcale nie musisz! Może to zrobić każde z nas.

– Wystarczy uchylić drzwi i głośniej krzyknąć – poradziła kruczowłosa Flawia

– Wiem. No dobrze, powiem prawdę. – Uśmiechnęła się smutno Nila. – Może nie muszę, ale chcę. Nie rozumiem tego, ale coś mi mówi, że tego potrzebuję. Jeśli nie zobaczę, że on odjeżdża, do śmierci nie pozbędę się strachu.

Zamilkła, bo nie umiała ubrać w słowa galopujących myśli. Pozostali jednak wiedzieli, o co jej chodzi. Nie musiała niczego tłumaczyć. Gdyby byli na jej miejscu, pewnie zrobiliby tak samo. W imieniu ich wszystkich odezwał się Batu Tauris:

– Takie sprawy trzeba doprowadzić do samego końca. Idź! Ochronimy cię.

Natychmiast zaczął wydawać komendy. Kazał Samborowi osłaniać dziewczynę. Łuczników ustawił tuż przy wejściu, a na koniec przywołał Kadoka i stanął za węglem z obnażonym mieczem.

Nila powiodła spojrzeniem po przyjaciółach. Wszyscy mieli na twarzach pokrępiający uśmiech, ale w ich oczach dostrzegła coś jeszcze. Po raz pierwszy od dnia porwania widziała prawdziwie radosne iskierki. Każdy czuł zbliżającą się wielkimi krokami wolność.

– Świat bez Welesa, co? – mruknęła z niedowierzaniem.

– Już niedługo, siostrzyczko – szepnęła mała Flawia. – I to dzięki tobie.

Nila zacisnęła mocno powieki, by nie widzieli jej łez. Wspominała to, czego doświadczyli w ciągu tej szalonej podróży przez Łajdacki Kraniec. Obrazy, słowa, nawet pojedyncze gesty przesuwały się w jej umyśle jak widma zwabione magicznymi zaklęciami. Pamiętała wszystko! I wiedziała, że przetrwali w tym podłym miejscu nie dzięki litościwemu gestowi niebios. Przeżyli i dotarli tak daleko, bowiem zgrali się niczym palce jednej dłoni. Stali się wilczym stadem – twardym, nieustępliwym i gotowym do poświęceń.

– Dzięki nam wszystkim, maleńka. – Nila spojrzała czule na najmłodsze wilczątko w ich watasze.

– Są! – zameldował Dalko. – Już czas.

Nila i Sambor wyszli na poranne słońce, zegnani cichymi słowami otuchy i muśnięciami dłoni. Nur migotał milionami iskier na falach, ptaki śpiewały, a lekki wiatr niósł ze sobą ożywczy zapach bukowego lasu. Świat tętnił radosnym życiem i był zupełnie nieświadomy tego, że owa dwójka zmierzała na spotkanie ze śmiertelnie groźnymi potworami.

Sambor zatrzymał się przed narożem składu. Zerknął ostrożnie na szeroki plac wokół magazynów.

– Stoją nie dalej niż sześć sążni stąd. Weles na koniu, Izbor i Faro obok. Nie bój się. Z takiej odległości łucznik trafi nawet muchę! Nie musisz iść daleko, by cię usłyszeli. Wystarczy kilka kroków.

Nila wzięła głęboki oddech.

– Gotowa?

– Tak.

Wyszła powoli za węglą, by po raz ostatni wejrzeć w oczy ludziom, którym zawdzięczała piekło kilkunastu minionych dni. Udała, że nie widzi, jak Faro przeciągnął wymownie palcem po szyi. Zawiesiła wzrok na Izborze i przełknęła lęklonie ślinę, bo jego mroczne, przepełnione złem spojrzenie przewiercało ją na wylot. Gdy popatrzyła na Welesa, ten tylko uniósł upiornie opuchniętą rękę. Jad dotarł już do łokcia.

– Żebyś zdechła w męczarniach! – warknął. – Gadaj, dziewucho! Jesteś mi to winna!

Nila poczuła się tak, jakby wbił jej ostry lodowy soplek prosto w serce! Gniew rozprzestrzenił się w niej tak szybko, jak trucizna w żyłach łowcy.

– Jestem ci to winna! – krzyknęła. – Ja tobie?! Porwałś mnie z domu, sprzedałeś siostrę, naraziłeś moich przyjaciół na śmierć! Tłukłeś nas i poniżałeś! Przez ciebie i Izborę użyłam swej mocy, by zabijać! Ja, Żniwiarka! Moim przeznaczeniem jest uzdrawianie! I ty masz czelność mówić mi, że jestem ci coś winna?

– Obiecałaś!

Nila pokiwała głową znużona. Te przemowy nie miały sensu. Ona i tak wygrała, a on nie rozumiał, jaką krzywdę im wyrządził. Zło przeniknęło go do szpiku kości. Miała przed sobą nie człowieka, lecz bestię.

– Obiecałam, to prawda. – Machnęła dłonią na łowców. – Wy dwaj, ruszajcie na południową stronę lasu. Tam poczekajcie.

Faro i Izbor popatrzyli wyczekująco na swego dowódcę, a on apatycznie przymknął oczy.

– Zróbcie, co kazała.

Poszli więc upokorzeni, ale Izbor, mijając Nilę, syknął z nienawiścią:

– Pewnego dnia dziewczuszko... zapłacisz za to.

Wytrzymała i to. Wolno uniosła dłoń i znacząco przyłożyła ją do szyi. Z precyzją powtórzyła gest, którym omal nie uśmierciła go na scenie Areny.

– Nie zapominaj – poradziła.

Łotr zbladł i zabobonnie skrzyżował przed sobą dwa palce.

– Psiamać! Pożałujesz!

Nila nie zwracała już na niego uwagi. Gdy tylko obaj Złotnicy stanęli przy olszynowych zaroślach, opowiedziała Welesowi o węglarzach, o szurzej klatce schowanej w kolibie, o przebiegłości Siemiła i pazerności Gwido.

– To wszystko – zakończyła.

On zaś bez słowa spiął konia i pocwałował przed siebie. Choć nie obejrzał się ani razu, Żniwiarka odprowadziła go wzrokiem, bo gdzieś głęboko w sercu czuła, że historie takie jak ta nie mogły skończyć się w

milczeniu. Chyba że przerywała je śmierć. Czekala więc z niepokojem na ostatnią wiadomość od łowcy, ale nade wszystko czuła ogromną ulgę.

To nie wszystko – pomyślała. – Przyznaj się sama przed sobą. Jesteś z siebie dumna!

Rzeczywiście tak było. Rozpierało ją szczególnego rodzaju zadowolenie, którego się ani nie wstydzila, ani przed samą sobą nie wypierała. Oto Weles i jego zgraja uciekali w popłochu półnady, bosci i bezbronni. Upokorzeni. Przez nią!

– Chodźmy, Nilu. – Sambor wziął ją za rękę.

– Jeszcze chwila.

Uporczywie wypatrywała jakiegoś znaku. Cokolwiek miało to być, wolała wiedzieć niż żyć w nieświadomości. I nagle stało się! Tuż przed samą ścianą lasu łowca zatrzymał wierzchowca i odwrócił w stronę Nili wychudzoną twarz.

Ciszę słonecznego poranka przerwała wykrzyczana mściwym głosem obietnica:

– To jeszcze nie koniec, Żniwiarko!

– Zobaczymy – szepnęła.

Choć wiedziała, że jeszcze niejedno może się zdarzyć, na razie przestała się bać Welesa. Odgrzązał się jej tylko schorowany, bezsilny włóczęga.

Zamknęła oczy, a gdy je na powrót otworzyła, pod olszynowymi zaroślami nie było już nikogo.



Nim ruszyli ku granicznemu mostowi, pożegnali się z Batu Taurisem i jego kompanią. Wydarzenia na przystani zbliżyły ich do siebie tak bardzo, że wódz uznał Niepowszednich za swą rodzinę i na potwierdzenie tego obdarował całą piątkę maleńkimi amuletami, jakie nosili wszyscy mieszkańcy Suchych Pól. Potem uściskał każdego oddzielnie, ponownie zapewniając, iż w jego jurtach zawsze będzie czekało na nich miejsce. Oni zaś, wzruszeni tym gestem, gorączkowo przetrząsnęli swoje sakwy w poszukiwaniu czegoś, co byłoby godne tak wielkiego wojownika. Nie znaleźli niczego.

Spoglądali po sobie strapieni, aż nagle oczy Dalko rozjaśniły się, a na jego twarzy pojawił się uśmiech. Chłopak wyjął zza pazuchy zdobiony runami miecz Nadira i podszedł z nim do Batu Taurisa.

– No... nie mamy nic innego – powiedział. – Ale coś mi mówi, że to cię ucieszy.

Miał rację. Pokierszowana bliznami twarz mężczyzny rozpromieniła się na ten widok.

– Broń Okrutnego Złotnika! Nie ma lepszego podarunku niż oręż odebrany łotrom. Dziękuję wam!

Skłonił im się głęboko i przywołał uśmiechem ukochaną.

– Teraz ty, serce moje – powiedział.

Ciemnowłosa Flawia wyciągnęła dłonie, prezentując im niewielką klatkę na ptaki. W środku, przytulone do siebie czule, siedziały dwa przepysznej urody magnetyki!

– Ode mnie dla was, moi mili – szepnęła. – Hodowałam je z myślą o dniu takim jak ten. Wiedziałam, że kiedyś będę miała przyjaciół w odległym kraju! To dzielne ptaszyny. Dbajcie o nie, proszę. Dobrze, Allu?

Bestiarka z czcią przyjęła podarek i od razu machnęła palcami przed oczyma wpatrzonych w nią stworzeń.

– Przysięgam – zapewniła żarliwie.

Kobieta uśmiechnęła się wdzięcznie.

– Gdybyście kiedykolwiek zamierzali wrócić do Łajdackiego Krańca lub jeśli znów trzeba było iść wam z pomocą, to są najszybsi posłańcy. Nie zwlekajcie, ślijcie magnetyka! Batu będzie wiedział, jak wam pomóc.

I tak oto nie zostało już nic do powiedzenia, nic do ofiarowania. Choć nikt tego nie chciał, definitywnie nadeszła chwila rozstania. Wódz i jego ludzie odjechali śladem Welesa, by z ukrycia obserwować zmagania łowcy ze zmijowym jadem. Taurisi jeszcze raz stanęli na straży Niepowszednich, ale teraz zabezpieczali im tyły. Chcieli mieć pewność, że nic nie zakłóci dzielnym dzieciakom bezpiecznego powrotu do domu.

Piątka przyjaciół tymczasem, gdy tylko za wierzchowcami wojowników opadł kurz, ruszyła w przeciwną stronę.

Przez całą drogę od przystani do granicy Nilę dręczyło nieprzyjemne uczucie, że zapomnieli o czymś ważnym. Choć usilnie nad tym rozmyślała, żadna podpowiedź nie przyszła jej do głowy. Nie miała pojęcia, czy owa niepamięć dotyczy Okrutnych Złotników, czy czegoś innego, ale im dłużej się głowiła, tym większą miała pewność, że to nie koniec ich tarapatów.

Wreszcie stanęli u podnóża Górskiej Przepawy, imponującego kamiennego kolosa przerzuconego nad wodami wzburzonej rzeki.

– U licha! Jesteśmy! – wykrzyknął Sambor. – Naprawdę tu dotarliśmy!

Stał i patrzył, a w jego oczach migotały coraz weselsze promyki. W końcu ryknął śmiechem, złapał Nilę w pól i zawirował w szalonym tańcu. Pozostali też zaczęli skakać, klaskać w dłonie i wesoło pokrzykiwać. Płásali tak, dopóki nie zabrakło im tchu.

Alla pierwsza opadła z sił. Postawiła na piachu klatkę z magnetykami i przyjrzała się potężnej konstrukcji.

– Choroba! Most Rusalek to przy tym zaledwie kładeczka! – sapnęła z podziwem.

Topiel była w tym miejscu tak szeroka, że przeprawa wspierała się aż na pięciu grubych filarach. Od strony Łajdackiego Krańca wejścia broniły dwie zwieńczone blankami wieże. W czasach wojny służyły obrońcom rubieży, w dniach pokoju schronienie znajdowali w nich

urzędnicy cesarstwa Gospar wspomagani przez oddział strażników.

Kilku uzbrojonych w kusze i miecze wojaków przemierzało powoli drogę między obydwoma donżonami.

– Ej, dzieciaki! Ruszajcie się! Żwawo!

Przy uchylonych drzwiach strażnicy stał odziany w długą kobaltową szatę mężczyzna i machał energicznie do gromadki przybyszów.

Był najgrubszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widzieli. Wspierał się na szeroko rozstawionych nogach, a olbrzymi brzuch rozlewał się przed nim jak rozrośnięte ciasto w dzieży. Twarz miał tak otyłą, że jego głowa zdawała się wyrastać nie z szyi, ale z dwóch potężnych podbródków pokrytych niechlujną szczecią zarostu.

Do szerokiego skórzanego pasa przytroczył sakiewkę, a w dłoniach trzymał glinianą tabliczkę i drewniany rysik.

– Ilu was? – zapytał, gdy podeszli bliżej. – Piątka, lis i dwa ptaki.

Wyrył na płytce niezgrabne kreski, po jednej na każdego wpuszczanego na most wędrowca.

– To będzie po całym groszu za człeka i pół za zwierzaka – rzekł. – Razem sześć i pół.

– A ty kto? – zapytał podejrzliwie Sambor.

Mężczyzna popatrzył na niego zdumiony.

– Poborca, durniu!

Nil nagle zrozumiała, co dręczyło ją przez całą drogę od przystani.

– Myto! – jęknęła.

Przyjaciele zagapili się na nią zrazu zaskoczeni, a chwilę później na ich twarzach pojawił się wyraz trwogi. Zapomnieli o podatku za przejazd przez most! Za pieniądze, które dał im w jurcie wódz Taurisów kupili wjazd do Bawidła i informacje na barce! Przeszli pół Łajdackiego Krańca, mało nie umarli na Pagórkach Wietrzycy, uratowali Flawię przed utonięciem, odzyskali Allę, wyleczyli Nilę, umknęli Okrutnym Złotnikom, a zatrzymali się bezradnie na ostatniej przeszkodzie.

Żadne z nich nie miało przy sobie nawet grosza, a co dopiero sześciu i pół. Co gorsza, ostatnią cenną rzecz, jaką mogli opłacić myto, podarowali Batu Taurisowi.

Zirytowany poborca postukał rysikiem w tabliczkę.

– No! Płacicie albo wynocha stąd!

– Chwila! – zaprotestował Sambor. – Daj nam pomyśleć, człowieku!

– A juści, myślcie! Ino pamiętajcie, że bez pieniędzy nie przepuszczę!

Mężczyzna prychnął pogardliwie i zniknął za drzwiami strażnicy. Wartownik, który stał nieopodal, zmarszczył brwi, a potem podejrzliwie obserwował odprawioną z kwitkiem gromadkę.

– Myśli, że spróbujemy zwać bez zapłaty – mruknął Dalko.

– Damy radę? – spytała z nadzieją, szacując długość mostu.

– Oszalałaś?! Szlag! Wystrzelają nas jak kaczki!

– I co teraz? – zdenerwowała się Alla. – Poszukamy Batu Taurisa?

On musi mieć jakieś pieniądze.

Nilą wzdrygnęła się na samą myśl o powrocie w tamtą stronę.

– Nie po to oddaliśmy się od Welesa, żeby znów do niego leźć!

– Sprzedajmy magnetyka! – zaproponował Dalko.

Alla przycisnęła klatkę do piersi w obronnym geście.

– Nigdy! Zresztą, na co komu gołąb, który poleci z wiadomością na Suche Pola?

– To może... moją bransoletkę? – zaofiarowała z drżącą brodą Flawia.

– Mowy nie ma! – zaoponowała Nilą. – To taki prezent, którego się nie sprzedaje.

– Pożyczmy? – Żrenicznik spróbował raz jeszcze.

– Od kogo? Rozejrzyj się!

Sambor obrócił się dokoła. Niepowszedni byli tego dnia jedynymi podróżnymi, którzy opuszczali Łajdacki Kraniec. Jako że barka nie przybiła do przystani o czasie, to i ruch na moście zamarł. Kupcy, którzy przybyli tu specjalnie na ów feralny rejs, pewnie czekali na nową łódź w przygranicznej karczmie, a nieszczęśni rozbitkowie z zatopionej komięgi wciąż jeszcze nie dotarli do granicy.

– Zresztą – dodał Unik – i tak nikt by nam nie pożyczył.

– Szlag! No to nie mamy nic!

– Mamy – powiedział cicho Sambor, a potem z ciężkim

westchnieniem sięgnął za pazuchę i wyjął miecz Izbora.

– Nie, bracie! Szlag! No, nie możesz tego zrobić!

Unik zagryzł wargi i czule pogłaskał zdobioną złotymi runami rękojęść.

– Ten ornament jest warty ze dwa floreny. Grubas na pewno nas przepuści!

– Sambor – szepnęła bezradnie Nila.

– Wiem – odrzekł krótko i opuścił głowę zdruzgotany.

Nie musieli pytać, jak się czuje. Wystarczyło na niego spojrzeć, by zrozumieć, co oznaczała dlań utrata Izborowej broni. Unik tracił znacznie więcej niż tylko kawałek metalu. Nie było lepszego symbolu przemiany, jaką przeszedł podczas wędrówki przez Łajdacki Kraniec, niż ten miecz, wcześniej należący do pokonanego wroga. Przy nim Sambor przestał być narwanym chłopakiem, a stał się młodym mężczyzną zdolnym chronić ukochaną i przyjaciół. Wraz z orężem oddawał część siebie!

Nilą nie mogła patrzeć na jego rozpacz.

– Musi być inny sposób!

– Możesz kogoś uzdrowić! – wykrzyknęła Flawia. – Za pieniądze. Za sześć i pół grosza zbiegną się wszyscy na moście. Będziesz mogła wybrać, kogo chcesz!

Nilą aż podskoczyła.

– Mogę! Tak! Sambor, zatrzymaj miecz!

– Nie! Będziesz potem słaba! Dość się wycierpiałaś.

Żniwiarka roześmiała się w odpowiedzi.

– Za sześć i pół grosza zgodzę się co najwyżej usunąć brodawki.

Nawet tego nie poczuję!

– Nie! – powiedział twardo. – Nie chcę, by ktokolwiek tu wiedział, że jesteśmy Niepowszednimi. Nie ufam nikomu.

– Ale...

– Nilu, idę go sprzedać!

Dalko rozejrzał się z powątpiewaniem.

– Komu? Grubasowi? – skrzywił się. – No dobra, pójdę z tobą.

Potargujemy się.

– Grubas wie, że nie mamy grosza przy duszy – ostrzegła Flawia –

nie będzie się z wami układał. Da tylko sześć i pół grosza.

– U licha. Masz rację. Może strażnicy?

Żrenicznik pokręcił głową.

– Biedni jak myszy kościelne! Przynajmniej w Mercacie i Bawidle.

Tu pewnie jest tak samo.

– Komuś muszę go przehandlować!

– To może tym, co tam idą? – Dalko wyciągnął dłoń, pokazując kilkuosobową gromadę, która zbliżała się do mostu od strony Ferretum.

Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku. Nila otworzyła szerzej oczy. Alla zbladła, a Sambor wspiął się na palce, by lepiej widzieć.

– Czy ja dobrze... – szepnęła Flawia – Czy to...?

– Nie wiem, są za daleko! – Nila złapała siostrę za rękę. – Widzisz ich? Allu!

– Widzę! To oni?

– Nie wiem, nie mam oczu Żrenicznika!

– Szlag! Co? No, co takiego? – Dalko spoglądał zdumiony na nadchodzących wędrowców. – Ja nic z tego nie...

– Bracie! – przerwał mu Sambor. – Opisz tych ludzi! Błagam!

Chłopak posłusznie przechylił głowę i zapatrzył się na oddaloną grupę.

– Siedmioro. Czworo z tyłu, troje z przodu. Pierwszy to wysoki mężczyzna, ciemne loki, blizna na dłoni.

– Tak! – szepnęła Alla.

– Drugi jest jeszcze wyższy, potężne bary, taki trochę łysy na głowie. Niesie toporek, a na stylisku są... czekajcie... tak, ma tam zamotane rzemienie.

– Tak! – krzyknął Sambor.

– Między nimi idzie kobieta. Szczupła, czarne włosy, suknia niebieska jak chaber, na głowie chustka.

– Ma na niej wyhaftowany kwiat? – spytała niecierpliwie Nila.

– Ma. Czerwony taki. Ten... no...

– Mak! – Alla rozplakała się jak małe dziecko.

– No, co jest? Czy ja dobrze się domyślam? – Podniecenie pozostałych udzieliło się Żrenicznikowi.

– Dobrze. To ich rodzice! – wyjaśniła drżącym głosem Flawia.

Dalko wziął dziewczynkę za rękę i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Jestem z tobą. Cały czas. – powiedział. – Choćby nie wiem co, zostaniemy razem i będziemy dla siebie rodziną. Szlag! Żadne z nas nie zostanie samo. Przysięgam!

A ona, choć radowała się szczęściem przyjaciół, spytała niepewnie:

– Boisz się, że teraz, gdy ich rodzice... no, wiesz, że nie będziemy im już potrzebni?

– Nie. – Pokręcił głową. – Tego w ogóle się nie boję. Wiesz, mówię tak, żebyś ty się nie bała. Starsi bracia tak robią, nie?

Rozmawiali szeptem, ale choćby nawet krzyczeli, przyjaciele i tak by ich nie usłyszeli. Stali jak zamurowani, skupieni tylko na ludziach po drugiej stronie mostu.

Dalko uśmiechnął się pod nosem.

– Szlag! No, na co czekacie, matolki? Naróbcie hałasu!

Sambor i Alla ocknęli się pierwsi. Zerwali się do biegu i w sekundę stanęli przy wejściu na most.

– Mamo! Tatusiu! Tu jesteśmy! Mamusiu! Tu! – wrzeszczeli ile sił w płucach. – Tutaj jesteśmy!

Nilą, choć na pewno rada biec ku najbliższym, odwróciła się w stronę Dalko i Flawii i spojrzała im w oczy.

– To niczego między nami nie zmienia – rzekła uspokajająco. – Wiecie o tym, prawda?

– Mamusiu! Mamusiu! Tatko! Szybko, chodźcie! – Alla niemal unosiła się z ekscytacji nad ziemią.

Żrenicznik uśmiechnął się dobrotliwie.

– Wiemy. Biegnij, Nilu! Zauważyli was!

Rzeczywiście, trzy odległe sylwetki oderwały się od reszty towarzyszy i przybliżyły się coraz szybciej. Kobieta i dwóch mężczyzn wpadli na most, a potem pomknęli jak burza po kamiennym podjeździe.

Dzieci i ich rodzice krzyczeli do siebie, zupełnie nie zważając na zamieszanie, jakie czynili. Te pierwsze skakały przy samej strażnicy ku irytacji opasłego poborcy myta. Ci drudzy pędzili po moście i rozpychali opieszłych wartowników.

– Nilą! Alla!

– Matuniu, kochana!

- Tatko!
- Sambor, syneczku!
- Dzieci! Bogowie! Nasze dzieci!
- Żyj! Są zdrowi. Allunia! Nila, córciu!
- Mamo! Chodź! Mamusiu!
- Idę, córeńko! Idę!

I wreszcie troje dorosłych stanęło naprzeciw trójki młodych. Wszyscy płakali, a usta drżały im od wzruszenia tak wielkiego, że zadawało się rozsadzać piersi.

W końcu rodzice zrobili to, co od wieków czynią każdy ojciec i matka, gdy cudem odzyskują swój najdroższy skarb. Rozwarli szeroko ramiona.

Dzieci zaś uczyniły to, co od początku świata robi każde stworzenie, gdy potrzebuje ukojenia i bezpiecznego schronienia. Skryły się w matczynych i ojcowskich objęciach.

Chwilę trwali w bezruchu, a potem młodzi zaczęli coś szeptać do uszu dorosłych i po chwili kilka par oczu spojrzało na Flawię i Dalko. I znów otworzyły się ramiona, a kobieta załkała:

- Chodźcie i wy, dzieci!

Więc poszli. Oboje wsunęli się w objęcia nowych rodzin tak łatwo i ochoczo, jakby całe życie czekali na te czułości.

– Komu mamy dziękować za wasze ocalenie? – Ojciec Sambora nie krył łez.

Przekrzykując się, opowiedzieli pospiesznie historię marszu przez Łajdacki Kraniec. Porwanie, Tolos, Kresa, Bawidło, Arena, pustynia, Suche Pola, góry oraz przystań. Ludzie źli i dobrzy: Weles, Izbor, Marcus, węglarze, Aga Badur, Wit, dorosła Flawia i Batu Tauris. A im dłużej mówili, tym bardziej tężały twarze mężczyzn. Dłonie zaciśnięte na styliskach toporów aż zbieleły, a oczy pełne były nienawiści do tych, którzy skrzywdzili ich dzieci.

– Gdzie ich szukać?! – ryknął ojciec Nili. – Przysięgam, że znajdę Welesa, choćbym miał do końca życia gonić bydło po tym podłym kraju!

– I jeszcze ta kanalia, zdrajca z Kamiennych Kości! – wściekł się ojciec Sambora. – Wrócę, wywęszę i nie daruję!

Matka dziewcząt rozplakała się bezsilnie.

– Pocięchy najdroższe! A mnie z wami nie było! Nie mogłam wam pomóc!

Opisała im każdy dzień ich nieobecności. Powiedziała o rozpaczliwej wyprawie do stolicy – Ferretek, o zabieganiu o audiencję na dworze, o bakszyszu dla szambelana i wreszcie o tym, jak książę nie tylko ich nie przyjął, ale ustami prostego urzędnika odmówił pomocy. Kobieta zacisnęła pięści, wyrażając nieużytemu władcy.

– Wysłał tylko oddział do patrolowania rzeki!

Mówiła dalej o powrocie do Kamiennych Kości i o tym, jak sami zaczęli organizować wyprawę w głąb Łajdackiego Krańca. Pokazywała czterech towarzyszy, którzy dla nich porzucili swe gospodarstwa i poszli na poszukiwanie porwanych. Wspominała, ile drogi musieli nadrobić, by duktem dotrzeć do Górskiej Przeprawy.

– To nas tak opóźniło! – jęknęła.

I wreszcie przytuliła ich wszystkich do siebie i szepnęła, że szukaliby ich dopóty, dopóki nie znaleźliby wszystkich.

– Nie opuścicie nas! – Alla się rozszłochała.

Ojciec siłą oderwał córkę od piersi żony i zajrzał dziewczynie głęboko w oczy.

– Nigdy! – powiedział z mocą. – Nigdy! Rozumiesz?

Potem porwał Allę na ręce, jakby ważyła tyle co piórko i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę strażnicy.

– Wracamy do domu! Chodźcie, dzieci!

– Nie tak szybko! – Wyskoczył mu na spotkanie poborca. – Myto opłać za tę zbieraninę!

Ojciec Nili stanął zaskoczony. Ostatnie, o czym w takiej chwili myślał, to pieniądze.

– Nie ma przejścia za darmo! – pieklił się grubas. – Najpierw te bachory! A teraz następni bez grosza przy duszy!

Mężczyzna nie wypuścił córki z ramion. Zmierzył poborcę złym spojrzeniem i warknął:

– Cicho bądź, człowieku! Dziecinę mi straszysz tym wrzaskiem.

– Ile? – Ojciec Sambora stanął u boku druha.

– Za wszystkich? Dziewięć i pół grosza! – Poborca wyciągnął grube jak serdelki palce. – Albo won!

Sambor podszedł ze zwieszoną głową i wyciągnął przed siebie oręż Izbora.

– Weź mój miecz. Starczy na myto, tato.

Ten przyjrzał się uważnie rynsztunkowi i dotknął palcami runów. Zapewne rozważał w myślach to, co Niepowszedni przeżyli w Łajdackim Krańcu, bo kiedy na powrót przeniósł spojrzenie na syna, było w nim tyle miłości, podziwu i szacunku, że chłopak spłonął się jak dziewczyna.

– Jestem z ciebie dumny, synku. Bardzo. – Uśmiechnął się i uniósł broń. – Chcesz go sprzedać?

Unik westchnął ciężko i zacisnął pięści.

– Nie! Boli mnie, gdy o tym pomyślę! Ale oni – pokazał gromadkę przyjaciół – znaczą dla mnie więcej niż miecz. Jeśli więc trzeba, zapłaćmy nim.

Mężczyzna na długą chwilę przycisnął pierworodnego do piersi, a potem oddał mu oręż.

– Nie, synu! – powiedział twardo. – Jesteś prawdziwym wojownikiem. Tacy jak ty nie sprzedają broni.

Sięgnął do sakiewki, wyciągnął garść drobnych i rzucił monety w piach, wprost pod nogi poborcy.

– Równe dziesięć – warknął. – Za twoją fatygę. Chodźcie, dzieci!

Sambor podał dłoń Nili, Dalko chwycił palce Flawii, Kadok pobiegł za Allą, wywijając radośnie ogonem. Byli gotowi.

Wkroczyli na most i przeszli ponad Topielą. Nie obejrzeliby się za siebie. Nie było tam nic, na co chcieliby patrzeć.

